

DOBRA POWIEŚĆ KRIMINALNA

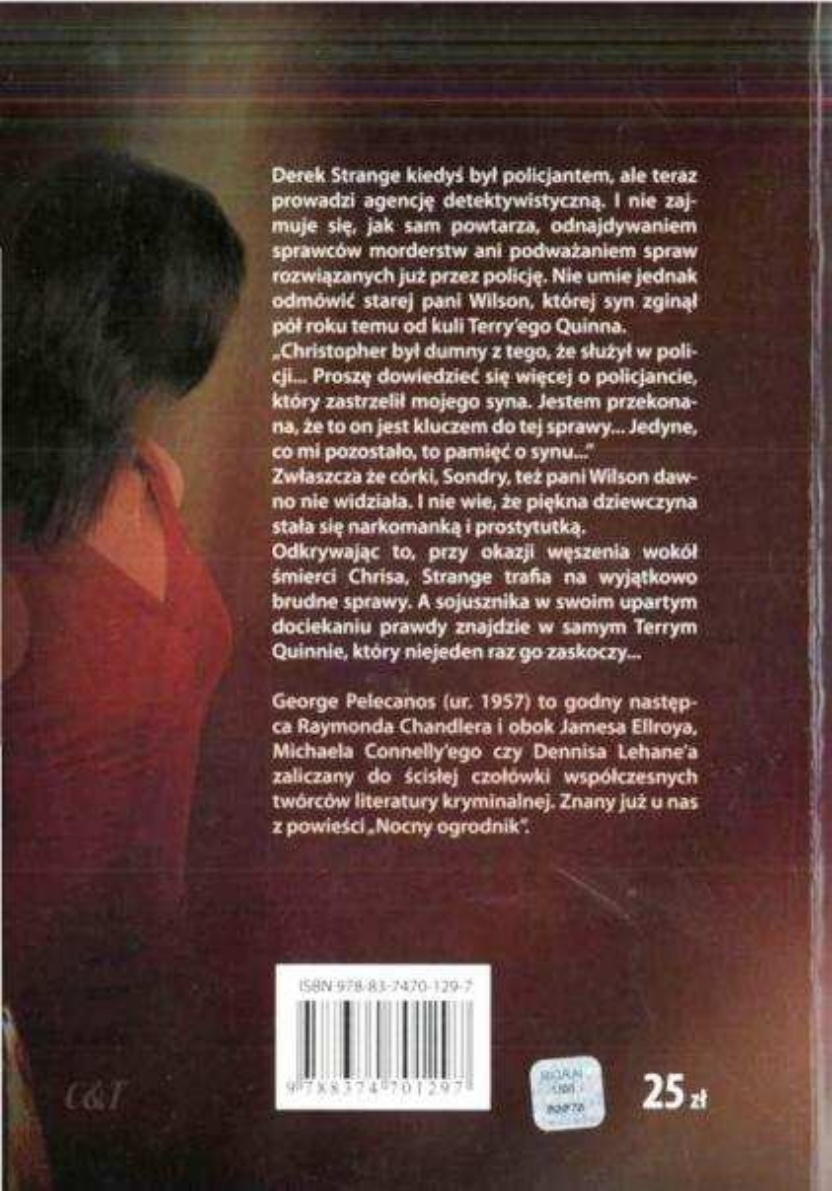
George PELECANOS

Jeden z najlepszych współczesnych twórców kryminałów!
Dennis Lehane, autor „Rzeki tajemnic”



CZYSTY JAK ŁOŻA

C&T



Derek Strange kiedyś był policjantem, ale teraz prowadzi agencję detektywistyczną. I nie zajmuje się, jak sam powtarza, odnajdywaniem sprawców morderstw ani podważaniem spraw rozwiązanych już przez policję. Nie umie jednak odmówić starej pani Wilson, której syn zginął pół roku temu od kuli Terry'ego Quinna.

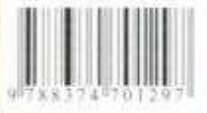
„Christopher był dumny z tego, że służył w policji... Proszę dowiedzieć się więcej o policjancie, który zastrzelił mojego syna. Jestem przekonana, że to on jest kluczem do tej sprawy... Jedyne, co mi pozostało, to pamięć o synu...”

Zwłaszcza że córki, Sondry, też pani Wilson dawno nie widziała. I nie wie, że piękna dziewczyna stała się narkomanką i prostytutką.

Odkrywając to, przy okazji węszenia wokół śmierci Chrisa, Strange trafia na wyjątkowo brudne sprawy. A sojusznika w swoim upartym dociekaniu prawdy znajdzie w samym Terry'ym Quinnie, który niejedną raz go zaskoczy...

George Pelecanos (ur. 1957) to godny następca Raymonda Chandlera i obok Jamesa Ellroya, Michaela Connelly'ego czy Dennisa Lehane'a zaliczany do ścisłej czołówki współczesnych twórców literatury kryminalnej. Znany już u nas z powieści „Nocny ogrodnik”.

ISBN 978-83-7470-129-7



9 783747 012977

NOJAN
ISBN
97870

25 zł

C&T

GEORGE PELECANOS

CZYSTY JAK ŁZA

Przekład:
Tomasz S. Gałązka

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: RIGHT AS RAIN

Copyright © 2001 by George P. Pelecanos

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2008

Copyright © for the Polish translation by Tomasz S. Gałązka

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA-SOBECKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS” Toruń, tel. (056) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-129-7

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (056) 652-90-17.

Toruń 2008.

Wydanie I.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

1.

Kiedy Derek Strange siedział tak i patrzył na Jimmy'ego Simmonsa, który nie mieścił się na krześle po drugiej stronie biurka, martwił się głównie o to, że Jimmy złapie któryś ze stojących na blacie osobistych fantów Dereka i zacznie napięprzać po ścianach. Albo poryczy się jak małe dziecko. Strange sam już nie wiedział, czego bardziej chciałby uniknąć. Miał na biurku trochę rzeczy, które wiele dla niego znaczyły: podarunki otrzymywane przez lata od kolejnych pań, dowody wdzięczności klientów i parę pamiątkowych gadżetów Redskinsów z lat sześćdziesiątych. Nie mógł też jednak patrzeć na dorosłego faceta, który płacze jak bóbr.

— Powiedz mi jeszcze raz... — dolna warga Simmonsa drżała, a w kącikach przekrwionych oczu zbierały potoki łez. — Powiedz mi jeszcze raz, jak wyglądał ten skurwiel.

— To wszystko jest w raporcie — odparł Derek.

— Zabiję gnoja, kumasz? A potem jeszcze mu dokopię.

— Gadasz bzdury, Jimmy.

— Piętnaście lat po ślubie, a moja stara właśnie teraz postanowiła zając się jakimś cudzym fiutem? I ty mówisz, że gadam bzdury? Jasny szlag!

Jimmy Simmons walnął pięścią w blat, tuż obok gipsowej figurki futbolisty z głową zamocowaną na sprężynce. Piłkarz — pierwotnie biały, dopóki Lionel, syn Janine, nie pomalował mu twarzy ciemnobrązową farbą — był ubrany w złote spodenki i bluzę barwy burgunda, stare barwy drużyny, a pod pachą miał piłkę. Jego głowa zaczęła się telepać, a cała figurka zakołysała się na podstawie. Strange wyciągnął rękę, złapał piłkarza i ustawił go z powrotem, nim zabawka się przewróciła.

— Wyluzuj. Gdybyś to zepsuł, nawet nie miałbym cię jak obciążyć, bo to bezcenna rzecz. Jasne?

— Wybacz, Derek — z prawego oka Simmonsa wyciekła jedna łza i popłynęła w dół pulchnego policzka. — Kurwa mać.

— Masz tutaj, facet — Strange wyszarpnął chusteczkę ze stojącego na blacie pudełka i podał ją Simmonsowi. Ten delikatnie otarł policzek. Łagodny gest jak na faceta, który już chyba nie pamiętał, kiedy ważył mniej niż trzysta funtów.

— Muszę wiedzieć, jak ten typ wyglądał — upierał się Simmons. — Muszę poznać jego nazwisko.

— Wszystko jest w raporcie — powtórzył Strange i pchnął po blacie sztywną kopertę. — Lepiej, żebyś nic głupiego z tym nie robił, jasne?

Simmons otworzył kopertę i zaczął wyciągać jej zawartość, cal po calu, powoli i czujnie, jak dziecko pierwszy raz widzące otwartą trumnę. Strange obserwował jego oczy, wędrujące po fotografiach i pisemnym sprawozdaniu.

Nie musiał zbytnio się trudzić, żeby znaleźć to i owo na Denice Simmons. Robota była nieskomplikowana — śledzić, sfotografować. Żadnych cudów. Najprostsze, najbardziej nudne i najczęstsze zadanie, jakie mu się trafiało. Dwa razy pojechał za Denice pod dom jej kochasia w Springfield w stanie Wirginia i czekał na ulicy, nim od niego wyszła, by wrócić do Dystryktu Columbia. Kiedy pojechał za nią po raz trzeci, w niedzielny wieczór, gdy Jimmy Simmons był w Atlantic City na targach elektroniki, też tak na nią czekał, ale Denice nie wyszła z mieszkania amanta. Kiedy zgasły światła na drugim piętrze, gdzie tamten mieszkał, Strange niczego więcej już nie potrzebował. Rano odrobił papierkową robotę, odebrał fotografie z ekspresowego zakładu i zadzwonił do Simmons, żeby ten tego samego dnia odwiedził go w biurze.

— Od dawna? — zapytał Simmons, nie podnosząc wzroku znad papierów.

— Powiedziałbym, że ze trzy miesiące.

— Skąd wiesz?

— Denice nie ma innych powodów, żeby wyjeżdżać do Wirginii, zgadza się?

— Pracuje w Dystrykcie. Nie ma w Wirginii żadnych przyjaciół...

— Pamiętasz te kwity z karty kredytowej, które sam mi pokazałeś? Denice od trzech, trzech i pół miesiąca płaciła kartą za tankowanie na tamtejszej stacji benzynowej, przy zjeździe na Franconia. A od tej stacji do mieszkania naszego kochasia jest już tylko mila.

— Wydawałoby się, że jest na to za mądra — Simmons niemal uśmiechnął się z uczuciem. — Nigdy nie lubi płacić za benzynę z własnej kieszeni. Zawsze tankuje na kartę, żebym to ja zapłacił, kiedy przyjdzie rachunek. Widzisz, ona strasznie kisi własny szmal. To aż

dziwne u kobiety. I choć wie, że pokryję te wydatki, zawsze musi jechać po najtańszą benzynę, nawet jeśli to jej nie po drodze. Założę się, że gdybyś sprawdził, mieliby na tej stacji cholernie tanie paliwo.

— Dolar i cent za galon bezołowiowej — odparł Strange.

Simmons wstał z krzesła. Jego brzuch i twarz zdrząły, jakby ciałem szarpnął nagły podmuch wiatru. — No cóż, na razie, Derek. Jak tylko dostanę rachunek, rozliczymy się za twoje usługi.

— Janine zaraz ci go wyśle.

— W porządku. I dzięki za dobrą robotę.

— Nienawidzę takich zakończeń, wiesz, Jimmy...

Simmons założył na swą wielką głowę rozłożysty kapelusz z czerwonym piórkami za paskiem. — Po prostu robisz swoje.

Strange został za biurkiem — czekał na dźwięk zatraskujących się za Simmonsem drzwi. Powinno to nastąpić za kilka minut, tyle, żeby Simmons zaczął podrywać Janine, a ona zdążyła go splawić. Usłyszał trzaśnięcie drzwi. Wyszedł zza biurka i założył czarną, półdługą kurtkę podbitą filcem i cienką warstwą puchu. Z biurka wziął batonik PayDay, który mu kupiła Janine, i schował go do kieszeni kurtki.

W recepcji zatrzymał się przy biurku Janine Baker. Za jej plecami monitor komputera wyświetlał jedną ze stron internetowych, specjalizujących się w wyszukiwaniu danych o osobach prywatnych. Jaskrawe kolory stroju Janine odcinały się od jej ciemnej, lśniącej skóry. Pąs szminki podkreślał czerwień sukienki. Janine była śliczną, dojrzałą kobietą, o głębokim spojrzeniu, jędrnych piersiach, rozłożystych biodrach i smukłych nogach.

— Szybko ci poszło — rzucił.

— Tym razem nie miał chęci do figli. Powiedział, że ślicznie dziś wyglądam...

— To fakt.

Zarumieniła się. — Ale nie poszedł za ciosem. Wyglądało na to, że nie miał serca do flirtów.

— Właśnie dostał ode mnie złe wieści o żonie. Zorganizowała sobie na boku małe figo-fago z takim jednym młodziakiem, sprzedawcą części samochodowych. Młody handluje akumulatorami dla sieci Pep Boys w północnej Wirginii.

— To jak się poznali? Niby co, spotkał ją gdzieś na poboczu, jak samochód jej zgasł?

— Właśnie tak, jeden z tych dobrych Samarytan, wszędzie o nich trąbią.

— Zatrzymał się, żeby jej podładować akumulator, he, he.
— No wiesz, Janine.
— To ten sam, z którym kręciła dwa lata temu?
— Inny gość. I nie ten, z którym poszła w tango trzy lata temu.
— I co robi Jimmy?
— Przy mnie odstawił cały teatrzyk, mówił, czego to nie zrobi temu koleśowi. Skończy się na tym, że Denice będzie musiała trochę odpokutować. Nie fizycznie, nic z tych rzeczy. Jimmy nie potraktowałby Denice w ten sposób. O nie, przez następnych parę dni będą się bawić w „Okropnie mi przykro”, a potem jej wybaczy. Do następnego razu.

— To po co wciąż z nią jest?
— Bo ją kocha. Myślę, że ona jego też. Więc nie wydaje mi się, żebyś miała jakieś szanse u Wielkiego Jimmy'ego. Tak szybko od niej nie odejdzie.

— Ach, mogę poczekać.

Strange uśmiechnął się szeroko. — Dasz mu szansę, żeby nabrał nieco ciała, he?

— Jak jeszcze trochę przybierze, będziemy musieli wstawić tu drzwi jak do garażu, żeby mógł wejść.

— Jak jeszcze trochę przybierze, zbiorą się do kupy Ciężki Albert, Roseanne, Liz Taylor i Sinbad, * i zaczną rzucać grepsami o Jimmym Simmonsie.

* Ciężki Albert (Fat Albert) to postać z kreskówki, do której scenariusze pisał Bill Cosby, Roseanne to Roseanne Barr, Sinbad to sceniczny komik amerykański — też niezbyt wąty. (Wszystkie przypisy od tłumacza).

— No, jak jeszcze trochę przybierze...

— Dobra, Janine. Wiesz, co my tu robimy?

— Nie, co takiego?

— To się nazywa „robienie rundek”.

— Poważnie?

— Aha. Taki białas opowiadał wczoraj w publicznym radiu, że napisał książkę o kulturze Afroamerykanów. Powiedział, że robienie rundek to nasza tradycja od pokoleń. Że to „prekursorskie” wobec rapu.

— To takie gadanie ma nazwę, powaga? A ja myślałam, że tylko robimy sobie jaja z Jimmy'ego.

— Przecież bym ci nie kłamał. — Strange zapiął kurtkę. — Wyśliz Simmonsowi ten rachunek, co?

— Dałam mu go do ręki, kiedy wychodził.

— Wiecznie czujna. Nie mam pojęcia, czemu ci w ogóle przypominam... — Derek obejrzał się na jedno z dwóch pustych biur pod ścianami pokoju. — A gdzie Ron?

— Próbuje namierzyć tego dłużnika, tego naciągacza, który wyrolował kobietę na dwa tysiące dolarów.

— Tę, co mieszka przy Princeton?

— Aha. A ty teraz dokąd?

— Na spotkanie z mamą Chrisa Wilsona.

Strange ruszył do drzwi wyjściowych: jego szerokie, umięśnione ramiona poruszały się pod czarną skórą kurtki. Włosy i krótko przystrzyżoną brodę miał oproszone siwizną.

Gdy dotknął gałki drzwi, obrócił się jeszcze do biura. — Będziesz jeszcze czegoś potrzebować?

Czuł na swoich plecach spojrzenie Janine.

— Nie... czemu?

— Jakbyś jednak czegoś chciała, albo Ron, mam przy sobie pager.

Strange wyszedł na Dziewiątą Ulicę, krótki trakt handlowy między ulicami Upshur i Kansas, rzut beretem od Georgia Avenue. Wspomnił Janine i uśmiechnął się. Po raz pierwszy spotkał ją w klubie, dziesięć lat temu, i zaczął podryw, bo oboje mieli na to ochotę, a było co podrywać.

Janine miała syna z poprzedniego małżeństwa, Lionela, co wystraszyło Strange'a. Właściwie to każdy aspekt stałego związku go przerażał, ale bardziej niż cegokolwiek innego na świecie bałby się być ojcem młodego chłopca w dzisiejszych czasach. Mimo tych obaw, spędzane razem chwile najwyraźniej dobrze służyły i Derekowi, i Janine, więc trzymał się z nią, wiedząc, że nieczęsto się zdarza, żeby było dobrze, więc nie powinno się rezygnować bez poważnych i dotkliwych powodów. Ciągnęli ten romans przez dobrych kilka miesięcy.

Kiedy odeszła kierowniczka jego biura, naturalnie pomyślał o Janine, która miała naturalny dryg do organizacji, była bystra — i bezrobotna. Umówili się, że zerwą romans, kiedy zaczną dla niego pracować, a zaraz potem związała się z innym facetem. Derek nie miał nic przeciwko, ba, ulżyło mu, bo dzięki temu mógł ulotnić się po angielsku, tylnymi drzwiami, jak to lubił robić. Tamten jednak wkrótce zniknął z życia Janine.

Strange niedawno znów zaczął z nią kręcić. Nie był to związek na wyłączność, przynajmniej nie z jego strony. Nie mieli też żadnych etycznych oporów przez wzgląd na to, że był jej szefem. Kochali się, bo tego potrzebowali, a Strange nawet przywiązał się do chłopaka. Przyjaciele ostrzegali go, żeby nie srał tam, gdzie je, ale naprawdę lubił

tę kobietę, a ona nawet po wszystkich tych latach potrafiła wyzwolić w nim zwierzę. No i lubił zabawy z nią, lubił dawać jej do zrozumienia, że wiedział, że on wciąż ją kręcił. Dzięki temu otępiający kierat codziennej rutyny nabierał nieco blasku.

Strange zatrzymał się przez chwilę na chodniku i zadarł głowę, patrząc na żółty szyld nad drzwiami: „Strange Investigations”. Połowy obu wyrazów napisano większymi literami, jakby naprawdę działała lupa wymalowana na podświetlanej szybie. Strange uwielbiał to logo. Kiedy tylko spoglądał na szyld i widział własne nazwisko, czuł się niemal fajnie.

Sam rozkręcił ten interes, zrobił coś pożytecznego w miejscu, w którym się wychował. Dzieciaki z okolicy co rano widziały, jak czarny facet otwierał drzwi frontowe, i może gdzieś im to zostawało, może coś wkładało się do ich umysłów, nawet jeśli nie zdawały sobie z tego sprawy. Strange zdołał utrzymać firmę przez dwadzieścia pięć lat i po drodze napatoczył się na parę wybojów, ale nic więcej. Ta firma była jego życiem. Należała do niego, a on do niej.

Strange obsunął się nisko w fotelu swojego chevroleta caprice model 89, czarnego z białymi wykończeniami, i niespiesznie toczył się na południe Georgia Avenue, słuchając Blackbyrds z taśmy. Obok na siedzeniu miał małą latarkę firmy Maglite, atlas miasta z wydawnictwa Rand McNally, i wielofunkcyjne narzędzie marla Leatherman w skórzanym pokrowcu, który często przypinał sobie do paska na biodrze. Przez cały czas, kiedy był w pracy, nosił tak również nóż myśliwski. W schowku na rękawiczki, zabezpieczonym przez dwa zamki, miał lornetkę 10x50, komórkę, uruchamiany głosem dyktafon i zapas baterii do latarek i aparatu fotograficznego. W bagażniku miał karton na akta wszystkich bieżących spraw. Poza tym trzymał tam również stalową skrzynkę na narzędzia firmy Craftsman, a w niej ciężką latarkę Maglite, aparat Canon AE-1 z pięćsetmilimetrowym obiektywem, parę gogli typu NVD, rosyjskiej produkcji, stalową taśmę mierniczą długości stu stóp firmy Craftsman, rolkę taśmy izolacyjnej i rozliczne narzędzia firmy Craftsman do pracy przy silniku i kołach. Strange kupował ich narzędzia, kiedy tylko miał wybór — miały dożywotnią gwarancję, a on z reguły nie oszczędzał sprzętu.

Przejechał dzielnicę Petworth, po czym w Park View skręcił na wschód w Irving Avenue, za Szpitalem Dziecięcym zjechał na Michigan Avenue, dalej na Northeast obok Uniwersytetu Katolickiego, aż wreszcie dotarł do Brookland.

Zaparkował pod skromnym, murowanym domem Leony Wilson na rogu Dwunastej i Lawrence. Wyłączył silnik, wysiadł z auta, zamknął drzwi i ruszył wylaną cementem ścieżką do drzwi domu Leony. Kiedy podchodził, drzwi już zaczęły się uchylać.

- Pani Wilson — podał jej dłoń.
- Panie Strange...

2.

Co, pomoże mi pan?

Siedzieli obok siebie na okrytej narzutą kanapie w salonie. Z kominka rozbrzmiewały stłumione potrząskiwania. Strange popijał z kubka kawę, Leona sączyła drobne łyżeczki herbaty z miodem i cytryną.

Była od niego młodsza o kilka lat, choć sądząc po wyglądzie, mogłaby być odeń o dziesięć lat starsza. Pamiętał, że kiedyś, przed śmiercią jej syna, widział ją w kościele. Od tamtej pory jej wygląd uległ radykalnej zmianie. Była wysoka, grubokoścista, ale zbyt mało było na niej ciała, a pod brodą zwisał miśzek jasnobrązowej skóry. Miała na sobie purpurowe spodnie i bluzkę do kompletu, a na stopach sponiewierane pantofle na niskim obcasie. Całość wyglądała nieporządnie, jakby narzucona w pośpiechu. Górny guzik bluzki gdzieś się zapodział, więc broszka przytrzymywała połę materiału, by nie odsłaniały płaskiej, kościstej piersi. Leona posiwała i nie zwracała już sobie głowy czesaniem. Smutek okradł ją z próżności.

Strange odstawił kubek na szklany blat stojącej przed nim ławy. — Nie wiem, proszę pani, czy będę w stanie pani pomóc. Śledztwo policji było tak dokładne, jak to tylko możliwe. Bądź co bądź, to była słynna sprawa.

— Christopher był dobrym chłopcem — powoli, rozważnie stwierdziła Leona Wilson. Każde jej „r” było „charczące”. Przez trzydzieści lat zajmowała się nauczaniem początkowym w szkołach publicznych Dystryktu. Strange wiedział, że gramatyki i wymowy uczyła tak, jak sama ją poznała — jak i on, dorastając w Dystrykcie Columbia.

- Na pewno — przytaknął.
- W gazetach pisali, że znano go z brutalności. Sugerowali, że trzymał tego białego pod bronią zupełnie bez powodu, kiedy nadjechali

tamci policjanci. Ale ja w to nie wierzę. Christopher potrafił użyć siły, jeśli musiał, lecz nigdy nie był brutalny.

— Mam w wydziale starego znajomego, pani Wilson. Mówił mi, że Chris był porządnym gliną i wspaniałym facetem.

— Zna pan ten pomnik w stronę centrum, w Northwest? Ku Pamięci Obrońców Prawa?

— Tak, wiem, który to.

— Na tym monumencie wyryto nazwiska niemal piętnastu tysięcy policjantów z całego kraju, którzy polegli na służbie, od kiedy zaczęto to rejestrować. I wie pan, że nasz wydział policji odrzucił moją prośbę, by umieścić na tym murze nazwisko Chrisa? Słyszał pan o tym, panie Strange?

— Owszem, słyszałem.

— Jedyne, co mi pozostało, to pamięć o synu. Chcę, aby i inni ludzie zapamiętali go takim, jakim był. Jakim naprawdę był. Bo ja znam własnego syna, i Christopher był *dobrym* chłopcem.

— Nie mam podstaw, by w to wątpić.

— A więc pomoże mi pan — pochyliła się ku niemu. Czuł jej oddech. I mocno tego żałował.

— To nie moja branża. Badam przeszłość różnych osób. Namierzam oszustwa ubezpieczeniowe. Potwierdzam albo wykluczam niewierność małżeńską. W imieniu adwokatów przesłuchuję świadków w sprawach cywilnych, płacą mi też za pojawianie się w sądzie w roli świadka. Odnajduję dłużników, mam także młodszego wspólnika, który czasem ściga tych, co dali nogę po założeniu kaucji. Od czasu do czasu zdarzy mi się odnaleźć zaginione dziecko albo dowiedzieć się, kim są biologiczni rodzice adoptowanego dziecka. Nie zajmuję się odnajdywaniem sprawców morderstw ani podważaniem spraw rozwiązanych już przez policję. To nie moja działka. W tej branży nie działa nikt poza policją, jeśli chce pani znać prawdę bez ozdobników.

— A ten biały policjant, który zabił mojego syna... Czy ktoś wywłócił jego przeszłość, podobnie jak to zrobiono z moim synem?

— Cóż, o ile ja dobrze... hm, to znaczy, zapewne przypomina pani sobie, że całkiem sporo o nim pisano. Że od ponad dwóch lat nie udało mu się zaliczyć strzelania, choć zgodnie z regulaminem gliniarze powinni co sześć miesięcy dostawać zaliczenie ze strzelnicy. Że przyjęto go do policji w czasie wielkiego naboru pod koniec lat osiemdziesiątych, razem z całą hordą nieprzygotowanych chętnych. Że sam miał listę oskarżeń o brutalność... Proszę mnie źle nie zrozumieć,

ale nie wydaje mi się, żeby zbyt wiele pominęli przy wywlekaniu jego przeszłości.

— W końcu zwalili winę na jego broń.

— Owszem, mówili o minusach akurat tego typu pistoletu. Glock ma delikatny spust i nie posiada odrębnego bezpiecznika.

— Chcę, żeby pan zbadał sprawę dokładniej. Proszę dowiedzieć się więcej o policjancie, który zastrzelił mojego syna. Jestem przekonana, że to on jest kluczem do tej sprawy.

— Pani Wilson...

— Christopher był dumny z tego, że służył w policji. Bez pytania oddałby życie... oddał życie, *bez pytania*, na służbie. Ale w gazetach opisano to tak, jakby to była jego wina. Że trzymał pod bronią niewinnego człowieka, i że nie przedstawił się jako policjant, kiedy zjawił się tamten biały gliniarz. Wspomnieli, że miał alkohol we krwi... Christopher *nie był* pijakiem, panie Strange.

„Ani aniołem”, pomyślał detektyw. Nie znał żadnego gliniarza, ba, żadnego człowieka, który byłby tak nieskalany, jak Christopher Wilson we wspomnieniach matki.

— Tak, proszę pani — powiedział.

Obserwował dłoń Leony Wilson, drżącą w pierwszym stadium parkinsonizmu, kiedy unosiła filiżankę do ust. Pomyślał zaraz o swojej matce w domu opieki i wstał z kanapy.

Podszedł do kominka, gdzie za plastikowymi kłodami ospale migotało światelko — podrabiany ogień potrzaskiwał rytmicznie. Zza kłód do gniazdka w ścianie ciągnął się przewód zasilający.

Spojrzał na stojące na kominku oprawione fotografie. Zobaczył Leone za młodu i Christophera stojącego przy niej, potem kolejne zdjęcie Leony z mężem — wiedział, że ten już nie żył. Było tam jeszcze kilka zdjęć Christophera, z rozdania świadectw dojrzałości, w mundurze, na boisku futbolowym z drużyną — za plecami mieli tablicę wyników, a Christopher twardo, bez humoru w oczach patrzył prosto w obiektyw aparatu. Licealista, a już miał twarz gliny.

Było tam również zdjęcie nastoletniej dziewczyny, spłowieła ze starości. Strange wiedział, że Chris Wilson miał niegdyś siostrę. Widział ją w wiadomościach telewizyjnych, ładną, chudą jak patyk, jasnoskórą dziewczynę o niezdrowej, płamistej cerze. Pamiętał, że ze zdziwieniem obserwował, jak udawała ocieranie łez z suchych oczu. Może po wielu dniach żaloby już odruchowo unosiła rękaw do oczu. Może wciąż jeszcze chciała płakać, ale już zabrakło łez.

Strange zastanawiał się nad tym wszystkim, stojąc tyłem do Leony. Szykowała się łatwa robota — przesłuchać uczestników, odtworzyć zdarzenia. Musiał jakoś utrzymać firmę. Odrzucanie zleceń nie wchodziło w grę.

— Jeszcze moja stawka — odezwał się.

— Słucham?

Odwrócił się do Leony. — Nie pytała pani o moją stawkę.

— Nie wątpię, że będzie rozsądna.

— Biorę trzydzieści dolarów za godzinę plus wydatki. Taka sprawa może jednak potrwać...

— Mam pieniądze. Jak pan wie, otrzymałam odszkodowanie. Do tego ubezpieczenie Chrisa, na życie, rozumie pan, i emerytalne. Nie wątpię, że chciałby, abym użyła tych pieniędzy w tej sprawie.

Strange wrócił na kanapę. Leona Wilson wstała i potarła wewnątrz dłoni przykurczonymi palcami drugiej ręki. Patrzyli sobie teraz w oczy — niemal dorównywała mu wzrostem.

— Będę musiał przyjrzeć się jego rzeczom — stwierdził.

— Może pan rozejrzeć się w jego pokoju.

— Mieszkał z panią?

— Tak.

— A córka?

— Moja córka już tu nie mieszka.

— Jak mógłbym się z nią skontaktować?

— Nie widziałam Sondry ani z nią nie rozmawiałam od dnia, kiedy pochowałam syna.

Zapisał pager, wiszący u paska Strange'a. Detektyw odpiął go i spojrzął na wyświetlacz. — Pozwoli pani, że skorzystam z telefonu?

— Jest tutaj.

Strange zadzwonił gdzieś i odłożył słuchawkę. Przy telefonie zostawił wizytówkę. — Muszę teraz lecieć.

Leona Wilson wyprostowała się i odgarnęła za ucho kosmyk siwych włosów. — Będzie pan w kościele w niedzielę?

— Jeśli tylko dam radę.

— Będę się za pana modlić, panie Strange.

— Dziękuję. — Zdjął kurtkę z oparcia krzesła. — Będę szczerze zobowiązany.

Strange pojechał aleją South Dakota do skrzyżowania z Rhode Island Avenue i skręcił w lewo. Po dobrym nastroju nie zostało nawet

wspomnienie, więc wyjął z magnetofonu taśmę Blackbyrds i ustawił radio na pasmo 1450 na falach średnich. W WOL mieli czysto gadaną audycję — w studiu siedział „Czarny Orzeł”, Joe Madison, i przyjmował telefony od słuchaczy. Strange wiernie słuchał WOL od połowy lat sześćdziesiątych, kiedy dokonali zmiany formatu i zaczęli grać to, co w gazetach nazywano „rhythm and bluesem”. W tamtych czasach pracowali tam tacy didżeje, jak „Potężny Palnik” Bobby Bennett i „Pogodny” Jim Kelsey, Duchowi Bracia, jak się sami nazywali. Strange słuchał więc WOL już od trzydziestu pięciu lat. Jasny gwint, czasem zdarzało mu się zastanawiać, gdzie się podział cały ten szmat czasu.

W Northeast znów skręcił w lewo, w Dwudziestą.

Postura Leony Wilson zmieniła się, kiedy jej powiedział, że weźmie to zlecenie. Nie uroił sobie tego — naprawdę miał wrażenie, że odmłodziła na jego oczach. Jakby ten cień nadziei był dla niej zastrzykiem młodości.

— Jesteś spoko, Derek — powiedział sobie, jakby wymówienie tego na głos miało obrócić słowa w prawdę.

Kiedy rozmawiał z Leona w jej domu, był z nią szczery, przynajmniej o tyle, o ile to możliwe w obliczu kogoś tak zdeterminowanego. Jej chwilowe nadzieje były uczciwą nagrodą za trwałe, dojmujące rozczarowanie, które niechybnie przyjdzie później. Tak przynajmniej wmawiał sobie Strange.

W każdym razie jednak potrzebował jej pieniędzy. Wyglądało na to, że na sprawie Chrisa Wilsona da się zarobić z tysiąc albo i dwa.

Kiedy jechał wzdłuż parku Langdon, zobaczył acurę Rona Lattimera stojącą przy krawężniku z włączonym silnikiem — z rury wydechowej były siwe spaliny. Zaparkował za nią swojego caprice'a, złapał lornetkę i narzędzie wielofunkcyjne, wygramolił się z auta i wszedł do czerwonej sportówki od strony pasażera.

Lattimer dobijał już do trzydziestki. Był wysoki i szczupły, zbudowany jak sportowiec. Miał na sobie drogi, markowy garnitur, skrojoną na miarę koszulę i ręcznie malowany krawat. W jednej dłoni trzymał zabezpieczony wieczkiem kubek kawy ze Starbucks, a drugą wybijał na kierownicy jakiś rytm. Dmuchała ogrzewania była rozkręcona na maksimum. Z robionego na zamówienie systemu grającego w desce rozdzielczej rozbrzmiewał zatrącający jazzem hip-hop.

— Ciepło ci, Ron?

— Owszem, całkiem nieźle.

— Ile razy ci mówiłem: stoisz na dozorze zimą, musisz wyłączyć silnik, bo wiesz, naprawdę widać *dym* z rury. Mało ci, że jeździsz czerwonym autem? Jakbyś mówił: Patrzcie na mnie. Widzicie? Tu jestem.

— Za zimno, żeby wyłączyć grzanie — odparł Lattimer.

— Załóż ten płaszcz, który leży na tylnym siedzeniu, i nie będziesz marzył.

— Derek, to *kaszmir*. Nie będę siedział w tym płaszczu w samochodzie. Cały mi się wymiętoli w pizdu i będzie wyglądał, jakbym go sobie kupił w jakimś sklepie dla ubogich, pieprzę taki układ.

Strange wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. — A co ci mówiłem o picciu kawy? Wiesz, co powinieneś robić? Weź sobie do bryki butelkę wody i popijaj, małymi łydkami, kiedy naprawdę zechce ci się pić. Kawa przechodzi przez nerki jak strzała, dobrze wiesz. A co będzie, jeśli przyprze cię na szczenie tak, że nie wytrzymasz, wysiądziesz z wozu, żeby znaleźć jakieś ustronne miejsce, schować się za drzewkiem, a koleś, którego namierzasz, da nogę tylnymi drzwiami domu? No? Co wtedy zrobisz?

— Derek, jeśli nadejdzie dzień, kiedy ktoś mnie zgubi, bo sobie piłem *Americano*...

— A, to jest *Americano*? No popatrz, zdziażdżałem już do ostatka, nawet nie wiedziałem, że ty wcale nie piłeś kawy.

Lattimer nie opanował chichotu. — Ty wiecznie próbujesz mnie tresować.

— Żebyś wiedział. Masz możliwości, żeby do czegoś dojść w tym zawodzie. Jeśli dopnę swego, przestaniesz mieć obsesję na punkcie *stylu życia*, a skupisz się na robocie. I wtedy już będzie ekstra. — Strange skinął na konsolę sprzętu grającego. — Wyłącz ten szrot, myśleć nie mogę.

— Tribe Called Quest, facet, szacunek.

— Wyłącz, nie marudź, i mów, co masz.

Lattimer wyłączył muzykę. — Leon siedzi w tym tam domu, widzisz? Drugi od końca po prawej na Mills?

Strange wyjrzał przez lornetkę. — Dobra. Jak go znalazłeś?

— Tej babinie, co ją obrobił, podał adres. Tylko że tam nie mieszkał już chyba od roku. Ale jak rozmawiałem z jego sąsiadami, jeden znał jego rodzinę. Wychowywali się w tej samej okolicy. Więc ten sąsiad mówi mi, że ojciec i matka Leona już nie żyją, od ładnych paru lat. Ala zgonu jego matki wydostałem z tego urzędu stanu cywilnego w Chinatown, na ulicy H. Po dacie na akcie znalazłem w rocznikach gazet jej nekrolog, a tam była lista żyjących krewnych. Z bliskiej rodziny żyła jeszcze tylko babcia.

Leon nie ma rodzeństwa, więc jest jedynym spadkobiercą pani starszej. I zaraz sobie wycyrklowałem, że Leon, stary kanciarz, obstawia, że babka zostawi mu wszystko w spadku, no to musi ją regularnie odwiedzać, żeby nie przestała go lubić.

— Więc ten tam dom, to jego babci?

— Aha. Obstawiam go już cały tydzień. Dziś Leon w końcu się pokazał. O, tam jest jego bryka, ten żółty pontiac astra ze śladami rdzy, co stoi przed domem. A brzydki jak gówno.

— To bliźniak chevroleta vega.

— Więc ludzie płacili ekstra za ten złom, bo miał znaczek pontiaca?

— Zdarzało się... No, niezła robota.

— Dzięki, szefie. Jaki plan?

Strange zastanowił się przez chwilę. — Myślę, że powinniśmy na niego wsiąść przy babci.

— Też mi się tak wydawało.

— No, to ruchy.

Wysiedli z acury — Lattimer najpierw wyciągnął swój płaszcz z tylnego siedzenia i delikatnie zarzucił go na siebie, kiedy szli wzdłuż parku Langdon ku Mills Avenue. Paru młodych chłopców, w wieku szkolnym, ubranych w przyduże zimowe kurtki, siedziało na ławce i wpatrywało się w Strange'a i Lattimera spode łba. Nie przerwali nawet, kiedy Strange spojrział w ich stronę.

— Przyhamuj nieco, Derek — Lattimer zaczął leciutko podskakiwać i zezować na Strange'a. — Muszę se znaleźć jakiś krzaczek...

— Ale śmieszne — rzucił Strange. Minęli już park i skręcili w aleję.

— Ty chcesz, żebym zaszedł od tyłu? — zapytał Lattimer.

— Aha, będzie dobrze. Wolałbym dzisiaj nie biegać, jeśli nie będę musiał. Moje kolana jakoś nie przepadają za mrozem.

— Mnie tam też się nie chce biegać. Wiesz, że jak tylko zacznę poginać, zaraz się pocę, nawet przy tej pogodzie.

— Nie sądzę, żeby Leon gdzieś się wybierał, ale nigdy nie wiadomo. No, to tak przy okazji...

Lattimer zauważył, że Strange wygrzebał Leathermana z kieszeni i otworzył ostrze noża, kiedy zbliżali się do żółtej astry Leona. Nie zwalniając kroku, wydobył też z kieszeni kilka monet i upuścił je na chodnik przy drzwiach auta. Przyklęknął na jedno kolano, żeby je pozbierać, a przy okazji przebił oponę od strony kierowcy. Wyzbierał drobne i wstał, składając narzędzie i chowając je do kieszeni.

— Do rychłego — powiedział.

Ruszył schodkami na werandę, gdy tymczasem Lattimer skreślił, by podejść do tylnych drzwi. Strange odczekał pół minuty, by dać partnerowi czas na zajęcie miejsca, po czym zapukał do drzwi.

Spostrzegł, że zza koronkowej firanki wyjrzała ku niemu malutka twarz, a potem usłyszał szcęk kilku otwieranych zamków. Otworzyły się drzwi i stanęła w nich bardzo niska kobieta o skórze pomarszczonej jak suszona śliwka i gęstych, siwych włosach niczym końcówka wacika. Staruszka zlustrowała detektywa wzrokiem od stóp do głów.

Spojrzała przez ramię na przytulnie urządzonej salon, do którego wchodziło się z korytarza. Potem podniosła głos: — Leon! Pan z policji do ciebie!

— Pięknie pani dziękuję — powiedział Strange. — Może mu też pani powiedzieć, żeby nie uciekał, co? Pod tylnymi drzwiami czeka mój partner i strasznie się wścieknie, jeśli się napoci. Ma potem od tego plamy na swoich ślicznych ciuchach.

Strange wyprowadził Leona Jeffriesa przez kuchenne drzwi na małą, zabudowaną werandę. Mieli z niej widok na kawałek zarośniętego chaszczami podwórka i alejkę na tyłach domu. Kiedy Strange wyciągnął już Leona na werandę, machnięciem przywołał Lattimera. Leon zaraz potem przyznał, że naciągnął starszą panią z Petworth na inwestycję w jego finansowej „piramidzie”.

— I co mi teraz zrobicie, a? — zapytał na koniec. Był niedużym, kąśliwym mężczyzną w średnim wieku. Białka oczu miał lekko podbarwione żółcią. Miał na sobie prążkowaną marynarkę i czarne spodnie, nie od kompletu, oraz rozpiętą pod szyją koszulę w kolorze lawendy.

— Musisz oddać naszej klientce jej forszę, Leon — odparł Strange. — I wtedy wszystko będzie w porządku.

— *Naprawdę* chciałem jej oddać kasę, jeszcze z procentem. Tylko że to trochę trwa. Bo widzicie, tak to ustawiłem, że inwestycja kolejnej klientki idzie na pokrycie, no, inwestycji poprzedniej, ratami. Trochę tak, jak ludzie płacą kartami kredytowymi rachunki z innych kart.

— Tyle że tamto jest *legalne*, Leon. A nam tutaj chodzi o to, że obrabiasz starsze panie, które ci zaufały. Jak myślisz, spodoba się to przysięgłym?

— Taki proces w sprawie o niskiej szkodliwości?

— A nie jesteś w rejestrze skazanych, Leon? — zapytał Lattimer.

— Nigdy nie byłem w więzieniu.

— A więc jesteś — uśmiechnął się Lattimer. — No, to jak twoją sprawę dostanie sędzia, to możesz nawet zapomnieć o ławie przysięgłych. Jeśli miał zły dzień, zjadł jakieś trefne wędliny na śniadanie czy coś, to wsadzi cię do pierdła i cześć.

— A tych pieniędzy dla naszej klientki potrzebujemy natychmiast — powiedział Strange. — Na niczym więcej jej nie zależy. To dobra kobieta. Pewnie uznałeś to za jej słabostkę, ale o tym też zapomnimy, jeśli zaraz wyłożysz te dwie paczki, które od niej dostałeś.

— Muszę najpierw znaleźć robotę — odparł Leon. — Bo, widzicie, akurat teraz nie dysponuję takimi środkami.

— I w takich łachach pójdziesz na rozmowę kwalifikacyjną? — rzucił Lattimer.

Urażony Leon uniósł na niego wzrok, dotykając kołnierzyka swojej lawendowej koszuli. — To jest markowy ciuch. Od samego Yvesa Saint Laurenta!

— Jasne, pewnie z fabryki w Singapurze. Facet w twoim wieku powinien też raczej nosić bawełnę, a nie jakieś kijowe mieszanki, sześćdziesiąt procent tego, czterdzieści tamtego, jak te tutaj...

— No, to jak załatwiamy sprawy z kasą, Leon? — zagadnął Strange.

— Jasna cholera, facet, nie mam forsy! Przecież ci mówiłem!

Leon zapłuł się nieco, kiedy krzyczał, i kropelka śliny wylądowała na klapie płaszcza Lattimera. Ten złapał Leona za wyłogi marynarki i szarpnął go do siebie.

— Napluleś mi na kaszmir, łosiu!

— Wyluzuj, Ron — rzucił Strange i Lattimer puścił Leona.

— Ej, wy tam, wszystko w porządku? — zawołał jakiś starszy pan z podwórka domu po lewej. Obok werandy rosło drzewo iglaste, więc tylko słyszeli głos, ale nie widzieli człowieka.

— Sytuacja jest pod kontrolą — odparł Strange w tamtym kierunku. — Jesteśmy z organów ścigania.

— Akurat! — wydarł się Leon. — Wcale nie!

— Proszę wracać do domu — krzyknął Strange. — Sami zajmujemy się tym.

Potem napiął mięśnie i stanął bliżej Leona. Ten cofnął się o krok i podrapał po złamanym niegdyś nosie.

— No i co? — zapytał wyniośle.

— No i *wio* — odparł Lattimer.

— Słuchaj, Leon — podjął Strange. — Wiesz co, teraz wejść do moim partnerem do domu i pogadamy z twoją babcią. Wyjaśnimy jej

to drobne nieporozumienie, w które się zaplątałaś. Myślę, że zrozumie, że musi nam dać to, czego potrzebujemy. Na pewno spłaciła już ten dom, a sądząc po wyposażeniu, wypisanie czeku na dwa tysiące jej nie zaboli. Wiem, że nie chciałyby zobaczyć cię w więzieniu. Aż wstyd, że to ona będzie musiała zapłacić za twoje błędy, ale tak to już bywa...

— Zresztą założę się, że to nie pierwszy raz — dodał Lattimer.

— Wiecie, jak się coś takiego nazywa? To wymuszenie. I to nie jest legalne! — Leon spojrzął na Strange'a, potem na Lattimera, i wyprostował się na całą, jakkolwiek nędzną, wysokość. — Co więcej, najpierw żeście sponiewierali moje lachy, a teraz jeszcze chcecie mi narobić siary przed babunią!

— Prędzej czy później wszyscy płacimy za swoje grzechy — odparł Strange.

Potem Strange rozstał się z Lattimerem, pojechał do biblioteki imienia Martina Luthera Kinga juniora na Dziewiątej i poszedł do Sali Waszyngtońskiej na drugim piętrze. Wyciągnął kilka rolek mikrofilmów ze stalowej szuflady, gdzie znajdowały się chronologicznie ułożone kopie starych wydań gazet. Założył kliszę w czytniku i zaczął przeglądać artykuły na podświetlonym ekranie, czasem wrzucając w szczelinę parę monet, żeby zrobić odbitki materiałów, które uznał za przydatne. Minęło półtorej godziny, nim wyłączył czytnik — zaczęły go piec oczy, a kiedy wyszedł z biblioteki, na dworze była już noc.

Z automatu pod biblioteką zadzwonił na pocztę głosową Janine i zostawił jej wiadomość. Potrzebował aktualnego adresu pewnego mężczyzny. Podał jej nazwisko poszukiwanego.

— Hej, Strange, jak leci? — zagadnął facet przechodzący obok szeregu automatów.

— O, cześć, a co u ciebie?

— Ostatnio niezbyt często cię widywałem.

— Nigdzie jakoś nie wyjeżdżałem — odparł Strange.

Potem wyjechał z centrum. Wpadł na piwo do „Kruka”, małego baru na ulicy Mount Pleasant. Potem podszedł ulicą kawałek dalej do sklepu monopolowego Sportsman's i kupił sobie jeszcze sześciopak, po czym pojechał do domu, jednego z ciągu połączonych budynków przy ulicy Buchanan niedaleko skrzyżowania z Georgia Avenue.

W domu wypił kolejne piwo i nieco odsapnął. Zadzwonił do znajomej, ale nie było jej w domu.

Poszedł na piętro, do biura — zaadaptowanej sypialni przez ścianę od pokoju, w którym sam spał. Zaczął czytać przyniesione z biblioteki odbitki artykułów, jednego z „Washington City Paper” i większego cyklu z „Washington Post”. Kiedy je przeglądał, jego pies, płowy bokser wabiący się Greco, drzemał z pyskiem złożonym na nosku buta detektywa.

Kiedy Strange już skończył lekturę, zalogował się na komputerze i sprawdził, jak tego dnia radził sobie jego portfel inwestycji. Na biurku stało pudełko z kolekcją płyt: „Ennio Morricone. Garść muzyki filmowej”. Wyjął zeń jeden kompakt i włożył go do odtwarzacza w komputerze. W pokoju rozbrzmiały pierwsze dźwięki z „Per Qualche Dollaro in Più”. Strange odrobinkę podkreślił głośniki yamaha i usadowił się wygodnie w fotelu, z dłońmi złożonymi na brzuchu. Zamknął oczy i uśmiechnął się.

Uwielbiał westerny, już od dzieciaka.

3.

Zamknął drzwi wejściowe do sklepu, po czym sprawdził, czy zamek zaskoczył, nim ruszył ulicą Bonifant w stronę Georgia Avenue. Postawił kołnierz swojej czarnej skórzanej kurtki, żeby chronić szyję przed zimnem. Przeszedł obok sklepu z bronią, gdzie biali szczawie z przedmieść, którym śniło się, że zostaną gangsterami, i czarni kolesie zza torów gromadzili się w sobotnie popołudnia, żeby ważyć pistolety w dłoniach, sprawdzać czułość spustu broni, którą mogli sobie kupić na czarnym rynku jeszcze tego samego wieczora. Za dnia pod sklepem stały tuningowane integry i hondy accord ze spoilerami i alufelgami, ale teraz zapadła noc, ruch zmalął i tylko z rzadka coś jeszcze stało przy krawężniku. Minął restaurację z kuchnią afrykańską i drugą — tajską, oraz sklep muzyczny Vinyl Ink, gdzie wciąż jeszcze sprzedawano czarne płyty gramofonowe. Potem zakład jubilersko-zegarmistrzowski nastawiony na latynoską klientelę, oraz po jednym z mrowia zakładników fryzjersko-kosmetycznych i pralni chemicznych, jakie rozpleniły się w niskich budynkach handlowej dzielnicy Silver Spring.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, zamiast podejść do Quarry House, jednego z paru niedużych barów, które często odwiedzał. Już teraz niemal czuł smak pierwszego piwa; na myśl o tym do ust napłynęła mu ślinka, aż zaczął się zastanawiać, czy aby nie ma problemu z piciem. Kiedy jeszcze nosił mundur, był raz na takim szkoleniu, gdzie

powiedziano im, że ci, co wyczekują pierwszego drinka z zegarkiem w rękę bądź liczą poszczególne kolejki, to pijacy albo faktyczni, albo potencjalni, ale sam był spokojny o własne powody, dla których czekał na tego pierwszego browara, nie miał więc czym się przejmować. Lubił bary, przyjazną atmosferę, jaka go w nich otaczała, i to było wszystko, nic bardziej skomplikowanego. Poza tym w życiu nie pozwoliłby sobie na popadnięcie w alkoholizm — i bez tego miał aż za wiele problemów.

Poszedł na skróty, przez parking pod bankiem, mijając nową irlandzką knajpę na piętrze budynku na rogu Thayer i Georgia, ale nawet nie zwolnił kroku. Z naprzeciwka nadchodził jakiś czarny mężczyzna — żaden z nich nie ustąpił, choć obaj mogliby to zrobić, więc trącili się ramionami i poszli dalej, każdy w swoją stronę, bez przeprosin czy groźnych słów.

Po wschodniej stronie Georgia Avenue minął restaurację o nazwie U Rosity, gdzie pracowała młoda dziewczyna o imieniu Juana. Starannie ominął wzrokiem okno, udekorowane świątecznie i rozświetlone neonowymi reklamami Tecate oraz innych piw — nie chciał się jeszcze zatrzymywać, miał ochotę na spacer. Minął więc lombard, kolejną tajską restaurację, knajpę z daniami z drobiu dla Latynosów, sklep dla plastików, kwaciarnię... po czym przeszedł na drugą stronę Silver Spring Avenue i maszerował dalej, obok budynku straży pożarnej, wieżowca World Building, następnie mijając dawną lodziarnię Gifforda, w której teraz mieściło się przedszkole, aż wreszcie przeszedł przez Sligo Avenue do ulicy Selim, gdzie warsztaty samochodowe i sale prowadzące kursy aikido przylegały do torów kolejowych.

Wrzucił trzydzieści pięć centów do automatu między wietnamską knajpą *pho* a autoryzowanym sklepem z częściami do samochodów. Wybrał numer U Rosity, gdzie podniósł słuchawkę jego kumpel Raphael, właściciel lokalu.

- Cześć, *amigo*, mówi...
- Wiem, kto mówi. Niewielu *gringos* dzwoni o tak późnej porze, a ty masz taki głos, że go łatwo rozpoznać. I wiem, o kogo ci chodzi.
- Pracuję teraz?
- Aha.
- Czy przy jej nazwisku na grafiku masz literkę „z”?
- Tak, dziś będzie zamykała. Więc masz dużo czasu. Jesteś na mieście? Słyszę jakieś samochody.
- Owszem. Wyszedłem na spacer.
- To sobie spaceruj, a ja wstawię ci coś do lodówki, przyjacielu.

— Do zobaczenia za chwilę.

Odwiesił słuchawkę na zaczep i przeszedł na drugą stronę ulicy, do kładki nad Georgia Avenue. Stał nad środkiem ulicy i spojrzał na samochody, wyjeżdżające z tunelu w drodze na północ i znikające w paszczy tego samego tunelu, jeśli jechały na południe. Wpatrywał się w wymalowane na asfalcie przerywane żółte linie i rzędy mknących między nimi aut. Uniósł wzrok ku północnemu końcowi Georgia Avenue, widząc aureole otaczające latarnie na mrozie, i patrzył, jak kłęбки pary z jego ust uciekają w noc. Wychował się tutaj, to było jego miasto i osobiście uważał je za piękne.

Po jakimś czasie dotarł na drugi koniec kładki i podszedł do płotu z siatki, który postawiono tam rok wcześniej, żeby uniemożliwić pieszym przechodzenie kładką w rejon dworca. Spokojnie rozejrzał się dokoła i wspiał się na siatkę, po czym zeskoczył po drugiej stronie ogrodzenia. Znalazł się w pobliżu niedużej stacji kolei podmiejskiej, przysadzistego budynku z cegły, w którym mieściła się kasa i ławki dla oczekujących. Zszedł po nieoświetlonych schodach obok budynku stacji, wiodących do oświetlonego jarzeniówkami tunelu dla pieszych pod torami prowadzących tędy linii: miejskiej i dalekobieżnej. W tunelu śmierdziało nikotyną, moczem i wyrzyganim piwskim, ale nikogo innego tam teraz nie było. Przeszedł więc pod torami, schodami wy dostał się na powierzchnię i był już na chodniku po zachodniej stronie torowiska.

Szedł wzdłuż płotu dawnej rozlewni napojów gazowanych Canada Dry, obrócił się, wetknął dłonie w kieszenie džinsów i patrzył, jak z centrum miasta nadciągał pociąg Linii Czerwonej. Ostatnio zaczął mieć problemy ze wzrokiem na większych dystansach, więc światła wzdłuż Georgia Avenue widział dość niewyraźnie, jak białe gwiazdki czasem przetykane czerwienią czy zielenią.

Spojrzał na drugą stronę torowiska, gdzie podmuch przejeżdżającego składu poderwał tuman kurzu. Zamknął oczy.

Wspomniał swój ulubiony western, „Dawno temu na Dzikim Zachodzie”. Kiedy wyświetlane są początkowe napisy, trzech rewolwerowcy czekają na peronie opustoszałej stacji. Scena trwa bardzo długo, a napięcie narasta dodatkowo dzięki pokazywanemu w czasie rzeczywistym zbliżaniu się pociągu oraz realizacji dźwięku, tak przesadzonej, że niemal komicznej. W końcu pociąg zatrzymuje się na stacji, a typ zwany Harmonica wysiada z wagonu i staje przed tymi, którzy przyszli tu go zabić. Ich cienie są wydłużone, bo słońce chyli się ku zachodowi. Harmonica i trzech rewolwerowcy odbywają zwiędłą,

dobitną rozmowę. Następujący po niej akt przemocy jest krótki i jednoznaczny.

Kiedy tak nocą stawał na peronie stacji w Silver Spring, miał uczucie, że on także czekał na ten pociąg. Często czuł, że oczekiwał nań przez całe życie.

Teraz spędził tak parę minut, po czym zawrócił i ruszył w stronę U Rosity. Był już gotów na piwo, i na rozmowę z Juaną też. Intrygowała go już od jakiegoś czasu.

Juana Burkett stała przy barze, przy okienku do kuchni, i czekała, aż Enrique dostarczy jej z kuchni margaritę z lodem i bez soli, kiedy do restauracji wszedł biały mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce. Obserwowała go, jak szedł przez salę, zygając między stolikami — był średniego wzrostu, miał płaski brzuch i falujące kasztanowe włosy, opadające niemal do ramion. Był czysto ogolony, tylko z cieniem zarostu, a w sposobie, w jaki się poruszał, widać było naturalną energię.

Zajął miejsce przy krótkim, prostym barze i z początku nie spoglądał w jej stronę, choć wiedziała, że to dla niej tu przyszedł. Spotkali się przelotnie w miejscu, gdzie pracował — księżkowo-płytkowym antykwaracie przy ulicy Bonifant, kiedy poszukiwała „Gabrieli” Amado. Raphael powiedział jej potem, że facet regularnie się o nią dopytywał i że zajdzie do restauracji. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, miała wrażenie, że już gdzieś go widziała, i dziś znów doświadczyła tego uczucia. Teraz rozglądał się po restauracji, udając zainteresowanie wystrojem, aż wreszcie jego wzrok spoczął na niej, tam gdzie od początku zmierzał, i gość uniósł brodę i uśmiechnął się do Juany, swobodnie, przyjemnie.

Enrique postawił margaritę na jej tacy do drinków, więc przybrała ją plasterkiem limony, dołożyła mieszadelko i poszła do stolika dla czterech pod oknem. Tam podała klientom drinka i ciemne piwa oraz przyjęła zamówienie na przekąski od dwóch siedzących przy stole par. Kiedy notowała, raz zerknęła przez ramię w stronę baru. Raphael stał obok mężczyzny w czarnej kurtce, podali sobie dłonie.

Juana wróciła pod okienko serwisowe i położyła na brzegu parapetu kwitek zamówienia, zapisaną stroną do góry. Zabrała go stamtąd dłoń podającego, który nadział zamówienie na bolec kółka. Juana usłyszała, jak Raphael zawołał ją po imieniu, więc podeszła do baru, gdzie stał szef i siedział tamten mężczyzna, trzymając butelkę piwa Dos Equis w dłoni — bez obrączki.

— Pamiętasz tego faceta? — zapytał Raphael.

— No pewnie — odparła, a wtedy Raphael odszedł, ot tak, zostawił ją sam na sam z tym gościem, zabrał się do dwuosobowego stolika pod ścianą, żeby powitać siedzących tam klientów. Kiedy znów zdarzy jej się być z Raphaelem sam na sam, będzie musiała zrobić mu lekcję dobrych manier.

— Hm — mruknął tamten, powoli, ochryple. — Znalazłaś tę książkę Jorge Amado?*

* Pisarz i poeta brazylijski, zm. 2001.

— Owszem, znalazłam. Dziękuję bardzo.

— W zeszłym tygodniu trafiła do nas „Tereza Batista”, z tej kieszonkowej serii, którą parę lat temu wypuścił Avon...

— Już to czytałam — wtrąciła, zbyt pospiesznie. Była podenerwowana i dawała to odczuć, a przecież normalnie nie zachowywała się tak, gdy rozmawiała z facetem. Rzuciła okiem za siebie. Pod opieką pozostał jej już tylko jeden stolik. Klienci niespiesznie popijali swoje drinki, nie wyglądali na niezadowolonych.

Odchrząknęła i spróbowała inaczej: — Ale ja właściwie to...

— Nie ma sprawy — obrócił się na stolku, żeby patrzeć jej prosto w oczy. Miał szerokie usta, ujęte jakby w nawias przez zmarszczki opadające ku podbródkowi. Jego zielone oczy patrzyły bezpośrednio, choć był w nich ból, ale i jakaś potrzeba, i właściwie już to jej wystarczyło, choć trochę się też przestraszyła.

— Z czym nie ma sprawy? — zapytała.

— Nie musisz tu stać, jeśli nie chcesz. Jeśli wolisz, wracaj do pracy.

— Nie, to nie problem. Znaczący, jest w porządku. Po prostu...

— Juana, prawda? — pochylił się w jej stronę i zadarł głowę.

Strasznie szybki gość. Juana zaczęła myśleć, że mogła pomylić pewność siebie z zadufaniem, kiedy patrzyła przedtem na jego ruchy.

— Nie pamiętam, żebym ci się przedstawiała, kiedy się poznaliśmy.

— Raphael mi powiedział.

— I pewnie teraz mi powiesz, że podoba ci się dźwięk mojego imienia. Że śpiewa, co?

— Kiedy faktycznie śpiewa. Ale to nie to miałem na myśli.

— Więc co takiego?

— Chciałem zapytać, czy lubisz ostrygi.

— Tak. Lubię ostrygi.

— A miałabyś ochotę zjeść ze mną nieco u Crisfielda, kiedy skończysz zmianę?

— Tak normalnie? Nawet nie wiem...

— Posłuchaj. — Uniósł ku niej otwartą prawą dłoń. — Przypominałem cię sobie co jakiś czas, od kiedy pojawiłaś się w księgarni. Dzisiaj myślałem o tobie *bez przerwy*. A że wierzę w zwięzłość, zapytam jeszcze raz: Chciałabyś może wybrać się ze mną po pracy na coś na ząb?

— Juana! — podający wystawił głowę z okienka serwisowego. — Gotowe jest!

— Przepraszam — rzuciła.

Stała przy parapecie okienka i wyjęła małą czarkę *chili con queso*, załadowała chipsy do czerwonego, plastikowego koszyczka, i zaniósła przekąskę do czworga gości czekających przy stole. Kiedy stawiała koszyczek i miseczkę sosu na blacie, zerknęła w stronę baru i zaraz tego pożałowała — tamten patrzył na nią, szeroko uśmiechnięty. Rozmyślnie odrzuciła z ramienia swoje długie włosy, ale i tego zaczęła żałować. Pospiesznie wróciła do kontuaru.

— Zgrywasz pewniaka, co? — zapytała, kiedy już do niego podeszła. Ze zdziwieniem spostrzegła, że skrzyżowała ramiona na piersiach.

— Jestem pewny siebie, jeśli o to ci chodzi.

— Może zbyt pewny.

Wzruszył ramionami. — Podoba ci się to, co widzisz, bo inaczej nie spędziłabyś ze mną tyle czasu. A już na pewno nie przyszłabyś jeszcze raz. Mnie tam podoba się, co widzę, i owszem. I to dlatego jestem tutaj. Aha, słuchaj, Raphael może za mnie poręczyć. To nie tak, że ledwie wyjdziemy za drzwi, a mnie wyrosną kły i pazury. Więc może jednak spróbujemy?

— Chyba jesteś pijany — rzuciła, skinieniem głowy wskazując piwo w jego dłoni.

— Raczej upojony winem i miłością.

Zrobiła zdziwioną minę, więc dodał: — To tekst z jednego westernu.

— Dobra.

Rzucił okiem na jej skrzyżowane ramiona. — Powygniatasz sobie uniform, jak będziesz się tak dalej ścisłała.

Powoli rozprostowała ręce i opuściła je wzdłuż tułowia. Zaczęła się uśmiechać, próbowała to powstrzymać, ale poczuła, że i tak zadrżała jej warga.

— To nie uniform — ściszyła głos, nie była już tak obcesowa. — Po prostu stara bawelniana bluzka.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Dźwięki *marachi* z głośników wypełniały salę barową i jadalnię.

- Zanim mi przerwał, chciałam ci powiedzieć, że... że nawet nie wiem, jak masz na imię.
 - Terry Quinn — odparł.
 - Terry Quinn — powtórzyła, żeby sprawdzić, jak to brzmi.
 - Irlandczyk i katolik, jeśli robisz tabelki.
- A Juana odparła na to: — To imię samo się śpiewa.

4.

Gdzie twój samochód? — zapytała Juana.

- Lepiej ty prowadź dziś wieczorem — odparł Quinn.
- Mam auto na parking. Tędy będzie szybciej...

Przećcisnęli się między budynkiem, w którym mieściło się U Rosity, a lombardem. Przed nimi było odlane z brązu popiersie Normana Lane'a, zwanego „Burmistrzem Silver Spring”, dzieło Freda Folsoma. Kiedy przechodzili obok, Quinn, nie zwalniając kroku, poklepał kask na głowie posągu.

- Zawsze to robisz? — zagadnęła.
- Aha — przytaknął. — Na szczęście. Paru gości z tych tutaj warsztatów praktycznie go adoptowało, opiekowali się nim, kiedy jeszcze żył. Widzisz? — Wskazał na szyld nad jednymi z wychodzących na uliczkę drzwi, karykaturę Lane'a z przypiętym do piersi znaczkiem z napisem „Nie ma się czego bać”. — Teraz mówią, że to Zaulek Burmistrza — rzucił, kiedy wchodzili w uliczkę.

- Znałeś go?
- Wiedziałem, kim był. Raz postawiłem mu drinka w Captain White's. Kolejna knajpa, którą wciął. Lane był zwykłym chlorem. Ale wszystkie te ozdóbki tu, w alejce, mają nam chyba przypominać, że mimo wszystko wciąż też był człowiekiem...

— Boże, jak zimno — Juana zebrała pod szyją kłapy płaszcza i zerknęła na Quinna. — Wiesz, ja cię już kiedyś widziałam. I to nie w tej księgarni. Jakoś wcześniej, tylko wiem, że nigdy przedtem się nie spotkaliśmy.

- W zeszłym roku było o mnie w wiadomościach. I w telewizji, i w gazetach.
- Może to i tak.
- Prawie na pewno.

- A to już mój wóz.
- Ten stary garbus?
- A co, jasnie pan rękami nie jeździ?
- Nie, podoba mi się.
- A czym sam jeździsz?
- Akurat jestem między poprzednim a nowym autem.
- To coś jak odejście z jednej pracy i szukanie drugiej?
- Dokładnie tak samo.
- Zaprosiłeś mnie na kolację i nawet nie masz bryki? !
- No dobra, więc ty płacisz za paliwo. — Quinn zapiał kurtkę. — Ale to ja stawiam browar i ostrygi.

Siedzieli przy barze u Crisfielda, w oryginalnej knajpie o tej nazwie, na zakręcie Georgia Avenue, a nie w odpicowanej restauracji przy Colesville. Jedli ostrygi z sałatką coleslaw i popijali Heinekenem. Quinn podkreślił sobie sos odrobiną chrzanu, zauważył, że Juana użyła w tym celu tabasco.

— Mniam. — Juana przelknęła i sięgnęła do miseczki z krakersami po przekąskę.

— Tuzin surowych ostryg i talerz coleslaw — mruknął Quinn. — Nie ma nic lepszego. Dobre małże, nie?

— Oj, dobre.

Wzdłuż baru w kształcie litery U nie było ani jednego wolnego miejsca, podobnie jak w sali jadalni po prawej. Klimat? Tu nie było żadnego klimatu: ściany wykafelkowane na biało, nad linią glazury oprawione fotografie miejscowych sław, na drewnianych stołach papierowe obrusy, kupiony w supermarkecie sos do sałatek dumnie stał na półeczce... a jednak niemal co noc nie dałoby się tu wetknąć nawet szpilki, choć właściciele nie rozdawali żadnych gratisów. U Crisfielda — stały punkt na mapie Waszyngtonu. Całe pokolenia przychodziły tu cieszyć się wspólnym jedzeniem i rozmową.

— Zarobiłaś coś dzisiaj? — zagadnął Quinn.

— Kiedy odpaliłam już działkę barmanowi... właściwie nie. Zostało mi czterdzieści pięć dolców.

— Jak będziesz zarabiać czterdzieści pięć za wieczór, nie wystarczy ci na dokończenie studiów.

— Studia opłacam z kredytu. Kelneruję, żeby wyżyć. Raphael ci powiedział, że studiuję prawo?

— Powiedział mi wszystko, co o tobie wie. Nie bój nic, dużo tego nie było. Podaj no to tabasco, he?

Dotknął jej dłoni, kiedy podała mu buteleczkę. Miała ciepłą skórę. Podobał mu się kształt jej palców, zwięzających się, kobiecych, ale silnych.

— Dzięki.

Po drugiej stronie podkowiastego baru siedzieli dwaj czarni kolesie, zaraz po trzydziestce na oko Quinna, i bez skrępowania wpatrywali się w niego i Juaneę. Kiedy Terry wchodził z nią do knajpy, niejeden klient obrócił głowę w ich stronę, chyba przeważnie po to, żeby napatrzeć się na dziewczynę. Większość z tych ludzi patrzyła na nich tylko przez chwilę, ale ci dwaj nie mogli przestać. „W dupie z tym”, pomyślał. Jeśli miało mu coś z tego wyjść — a już czuł, że miałby na to wielką ochotę — po prostu będzie musiał nauczyć się znosić takie spojrzenia. A jednak wciąż nie podobało mu się to, że tamci dwaj pozwalali sobie na to tak otwarcie.

— To nieuczciwe — stwierdziła Juana.

— Co znowu?

— Żeś się o mnie wypytywał, to i owo już wiesz, ale ja nie wiem o tobie za czorta nic.

„Żeś”. Spodobało mu się, jak to powiedziała.

— Ten twój akcent... — zaczął.

— Co znowu za akcent?

— Kiedy mówisz, twój głos wznosi się i opada, niczym muzyka. To z Brooklynu?

— Z Bronxu — strzepnęła ostrygę z widelca i zostawiła ją w sosie.

— A twój? Północna czy Południowa Karolina?

— Maryland, Dystrykt Columbia.

— Jak dla mnie mówisz jak południowiec. Zaciągasz i w ogóle.

— Jesteśmy na południu. A przynajmniej na południe od linii Masona i Dixona.

Obrócił się do niej. Juana miała czarne, kręcone i bardzo długie włosy, których kaskada załamywała się na jej szczupłych ramionach i wznosiła na nieznacznych wypukłościach piersi. Miała też fenomenalną dupcię — Quinn przyjrzał się jej bacznie U Rosity, kiedy pochylała się, żeby podać klientom drinki. Kragła, wypięta pupa, dokładnie taka, jaką lubił. Kiedy zobaczył tyłek Juany, wręcz zaparło mu dech w piersi, a to już dawno mu się nie zdarzyło. Miała niemal czarne oczy, dużo ciemniejsze od jej brązowej skóry, oraz pełne wargi uszmińkowane na ciemny kolor z jeszcze bardziej nasyconą obwódką. Juana miała też pieprzyk na policzku, nad górną wargą, nieco po prawej.

Wpatrywał się w nią teraz, a ona w niego, po czym jej wargi uniosły się nieco w jednym kąciku — taki powstrzymany półuśmiech. Dokładnie tak samo jej usta ułożyły się w pewnym momencie U Rosity i Quinn zaraz zachichotał pod nosem.

— No co?

— Hm, nic. Tylko ta twoja taka minka... jakby prawie, prawie uśmiech. Po prostu mi się podoba.

Juana wyłowiła swoją ostrygę z sosu, przeżuła ją, połknęła i zapila piwem.

— Skąd znasz Raphaela? — zapytała.

— Przyszedł kiedyś do sklepu, szukał „School Days” Stanleya Clarke’a na winylu. Kręcą go takie jazzowo-funkowe kawałki, prawie orkiestralne rzeczy z lat siedemdziesiątych. Dexter Wansel, George Duke, te klimaty. Albo Lonnie Liston Smith. Guzik o tym wiedziałem, ale chętnie mnie oświecił. Dlatego jak czasami kupujemy starsze płyty, dzwonię do niego.

— Zawsze pracowałeś w antykwariacie?

— Nie, nie zawsze. Wiem, o co pytasz: czy mam wykształcenie, a jeśli tak, to czemu tam kwitnę. Więc tak: skończyłem uniwersytet Maryland i mam dyplom z kryminologii. Potem przez jakieś osiem lat byłem w Dystrykcie gliną. Kiedy odszedłem z mundurówki, pomyślałem sobie, że czas na jakąś spokojną fuchę. Zawsze lubiłem książki, przynajmniej pewne rodzaje...

— Westerny.

— Aha. No i nie ma spokojniejszej roboty niż w antykwariacie z książkami i płytami... To już wszystko.

Wciąż wpatrywała się w jego twarz. — Już wiem, skąd cię kojarzę.

— Zgadza się. Jestem tym gliniarzem, który w zeszłym roku zabił innego policjanta.

— I zmieniłeś fryzurę.

— Aha. Zapuściłem dłuższe włosy.

Quinn czekał na tradycyjne kolejne pytania, ale na próżno. Zauważył, że Juana odepchnęła łokciem swój talerz ze skorupami ostryg. Kiedy tak na nią patrzył, popijał Heinekena — powierzchnia płynu w szklance opadła o cal.

— A co do mnie? — zapytała. — Chciałbyś dowiedzieć się czegoś jeszcze?

— Szczerze, to nie. Póki co podoba mi się wszystko, co wiem.

— Więc nie?

- No, jakoś nic mi teraz nie przychodzi do głowy.
- Więc pozwól, że sama załatwię parę kwestii, dobrze? Moja matka to Portorykanka, ojciec był czarny. Dobrze się czuję w kilku różnych środowiskach, ale czasami nie pasuję do żadnego z nich.
- Nie pytałem cię o to.
- *Jeszcze* mnie o to nie zapytałeś.
- Mówię ci, że mnie to nie obchodzi.
- Dziś wieczorem może cię to nie obchodzić. Dziś chodzi tylko o atrakcyjność, o to, czy nam razem dobrze. Ale poza nami jest cały świat pełen ludzi i oni zaraz nie pozwolą nam się tym nie przejmować. Jak ci dwaj po drugiej stronie baru, ci, co nas obcinają przez cały wieczór.
- Może zabierzemy się za to, kiedy przyjdzie pora? — odparł Quinn i zwrócił się do obsługującego klientów barmana z piersią jak antał i posiwiałym wąsem: — Szefie, zarzucić nam pan tutaj jeszcze z tuzin, co?
- Dzięki, Terry — powiedziała Juana.
- „Terry”. Cholernie mu się podobało, jak wymawiała jego imię.
- Kiedy potem wychodzili, zauważyła, że Quinn obrócił się do tych dwóch typów, którzy wciąż się na nich gapili, i spojrzął na nich — krótko, ale wymownie.

Gdy wyszli na ulicę, Juana przełożyła dłoń przez jego ramię i tak przeszli do jej czarnego garbusa, zaparkowanego pod sklepem z ogumieniem. Było jej zimno, ale kiedy szła blisko niego, czuła, że się rozgrzewa. Miała też wrażenie, że dotykanie go było czymś naturalnym, jakby przeszli już jakiś etap i zabrali się za coś innego. Łatwo było z nim rozmawiać, uważnie słuchał i nie wydawał się należeć do tych mężczyzn, którzy wiecznie obmyślają kolejny gambit w konwersacji. Do tego również nie przechwalał się, nie mówił o swoich fenomenalnych planach, nie wyłaził także ze skóry, żeby zrobić na niej wrażenie — co, prawdę mówiąc, samo w sobie robiło wrażenie.

- Gdzie mieszkasz? — zapytała.
- Mam melinę przy Sligo Avenue.
- Ja przy Dziesiątej Ulicy, w dzielnicy Northeast, no, wiesz, koło katolickiego uniwerku...
- Miałabyś coś przeciwko temu, żeby podrzucić mnie do domu?
- Zgrywasz się chyba.
- Nie. No, mogę się przejść.
- Taak, słyszałam, że lubisz nocne spacerować.
- Raphael ci powiedział, co?

— I że lubisz westerny. Powiedział, że czytałeś western, gdy pierwszy raz przyszedł do tej waszej księgarni, i za każdym razem później też.

— Więc skąd ta gadka, że „To nieuczciwe, bo ja, cholera, nic o tobie nie wiem”? — roześmiał się Quinn. — Kłamczucha!

— Przyszynaję, kłamałam — powiedziała. — Masz jednak moje słowo, że już nigdy więcej ciebie nie okłamię.

Zatrzymała volkswagena pod jego domem, niedużym blokiem z cegły, ale zostawiła silnik na jałowym biegu. Po drugiej stronie ulicy stał ciemny, zamknięty sklep — market spożywczy i monopolowy. Pod jego drzwiami stała grupka chłopaków w zimowych kurtkach. W oknach bloku również nie paliły się światła.

— No, to jesteśmy na miejscu — stwierdził.

— Dzięki za wszystko. Było bardzo miło.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Zobaczymy się jeszcze, co?

— Dobra.

Uściskał jej dłoń, a poczuła to prawie jak pocałunek. A potem wysiadł z garbusa i ruszył przez ciemną ulicę. Jego kurtka matowiała, rozpląwała się w mroku.

Juana pojechała do domu, słuchając kasyty Cassandry Wilson. Nie przestawała o nim myśleć.

Quinn umył się i schował pod kołdrę. Próbował czytać powieść Maxa Evansa, którą miał na szafce nocnej, ale ciężko mu było skupić się na fabule. Wyłączył światło, wciąż myśląc o Juanie, próbując nie oczekiwać zbyt wiele i mając nadzieję, że wszystko się ułoży.

Tuż przed świtem przyśniło mu się, że wdał się w klubie w gwałtowny spór z jakimś czarnym. W ruch poszły pięści, potem pojawił się pistolet. A później krzyki, krew i śmierć.

Kiedy się obudził, nie był wystraszony ani nawet zaniepokojony. Już od dłuższego czasu miewał takie sny.

5.

Ray Boone dostał szczękocisku po tym, jak wciągnął grubą ścieżkę amfy. Powoli jednak odkleił język od podniebienia i oblizał wyschnięte wargi. Potem poszedł za długi, mahoniowy kontuar, który zbudował razem z tatkiem — chciał sobie zrobić drinka.

— Tata, gdzie jest ten Daniels? — wrzasnął.

Nawet nie usłyszał własnego głosu, bo z szafy grającej marki Wurlitzer, kupionej na aukcji sprzętów bankrutującej restauracji, leciał stary kawałek Randy'ego Trávisa. To Edna podkręciła dźwięk do oporu.

Earl Boone siedział przed ekranem i przycinał w elektronicznego pokera. Pociągnął łyk z puszki piwa Busch i sztacha z papierosa. Strzepnął papierosa do popielniczki, nie odrywając wzroku od wyświetlacza. — Dokładnie tam, gdzie go zostawiłeś, Paskud, kiedy to ostatnio robiłeś sobie drinka.

— Już widzę — odparł Ray. Butelka Jacka Danielsa stała na niskiej półeczce obok stalowego zlewu, przed półautomatycznym coltem, którego tata powiesił tam na dwóch gwoździach wbitych w drewno za kontuarem. Ray złapał opatrzoną czarną etykietką flaszkę, wziął szklankę, nabrał do niej lodu z pojemnika obok zlewu i chlusnął bourbona, wypełniając naczynie do połowy. Uzupełnił zawartość colą, po czym wymieszał drinka brudnym paluchem.

— Dla mnie nie zrobisz, słonko? — zagadnęła Edna Loomis, nie wstając zza obitego zielonym filcem stolika do pokera. Edna była już nafazowana amfą, jak zwykle po południu. Teraz jedną ręką ustawiała białe sztony w stosy, a drugą bawiła się przystrzyżoną w pióra fryzurą.

— E, nie chciałbym, żebyś mi zaraz padła na nos — odparł Ray, zwracając się do niej jak do małego dziecka.

— Ale nie padnę. Chcę po prostu mieć coś do popijania, kiedy już wrócę do domu na seriale.

Ray zrobił jej słabego drinka i zaniósł do stolika. Edna wstała, żeby wziąć szklankę z jego dłoni. Wyciągnęła rękę i przeciągnęła opuszkami wysmukłych palców po zaciśniętych na szkle palcach Raya, po czym niezręcznie oblizwała wargi. Ray poczuł, że coś zapulsowało mu w górze dzinsów.

— Mamy chwilkę? — zerknęła ponad ramieniem Raya na jego tatę.

— E, nie — przyznał Ray. — Zaraz jedziemy z tatem do Dystryktu.

— No, to jak wrócisz — rzuciła, strząsając z ramienia fałę spalonych farbą pomarańczowych włosów. Pociągnęła lyczek drinka i mrugnęła. Bez większego powodzenia usiłowała poruszać biodrami do muzyki rozbrzmiewającej z grajszafy. Patrzyła na niego ze szklanką wciąż przy ustach i śpiewała refren wraz z chórkim: „Na wieki wieków, amen”.

Ray obrzucił ją spojrzeniem. Kurde, chyba się jej wydawało, że jest strasznie seksowna. Ciekawe, co właściwie widziała w lustrze. Dobijała już do trzydziestki i zmarszczki dokoła ust wyraźnie to pokazywały.

Zacęły się jej także robić dołączki pod pośladkami, a oczu to nigdy nie miała młodych. Tyle że cycki wciąż były fajne, zawsze na baczność, ze szpiczastymi, różowymi guziczkami sutków. Ray doszedł do wniosku, że jeśli Edna zapuści cyce tak samo, jak resztę ciała, trzeba ją będzie wymienić na nowszy model.

— No? — odezwała się. — Pytałam cię o coś, *Paskud*. To jak, będziemy się dymać jak króliczki, kiedy wrócisz? Zrobimy to i owo, czy jak?

No i jeszcze ta cholerna jadaczka. Cyce jak donice, okej, ale jeśli się baba nie nauczy trzymać mordy na kłódkę, Ray wymieni ją nawet szybciej, niżby się jej wydawało.

— Nie mów na mnie *Paskud* — powiedział. — Tylko tata może tak na mnie mówić.

— Ale jak będzie?

— Może — odparł. Tyle że zanim wrócą z miasta, Edna będzie już nawalona amfą i schlana jak marynarz na przepustce. Nie cierpiać jej dymać, kiedy była naprana.

— Ray?

— No?

— Nie będzie was przez parę godzin, co?

— Aha.

— Więc może zostawisz mi trochę towaru?

— Dobrze wiesz, że za bardzo lubisz te prochy.

— Bardzo proszę, misiu...

— No dobra, odrobinę. Niech ci będzie. — Spojrzał za nią i zawołał: — Hej, tata, już jesteś gotowy?

— No — odparł Earl Boone i strącił popiół z papierosa.

Ray podszedł do sporych drzwi w tylnej ścianie stodoły. Obite stałą skrzydło osadzono we wzmocnionym, ognioodpornym murze. Ray odpiął od pasa pęk kluczy i otworzył drzwi, zawsze zamykane na wszystkie spusty. Przesząpił próg, zamknął za sobą drzwi i zaciągnął zasuwę.

Z jednej strony pomieszczenia znajdowała się ławeczka do podnoszenia ciężarów, zestaw hantli i ciężary do sztangi. Ze ścian zwieszały się lustra nachylone ku ławeczce. Po drugiej stronie stała robocza lada, a nad nią wisiały półki i tablica z hakami, na których powieszono narzędzia. Pod stołem znajdowało się kilka sejfów, zawierających pieniądze, heroinę i broń. Obok stała blaszana skrzynka, a dalej witryna z politurowanej dębiny z czterema śrutówkami w stojaku.

Przy trzeciej ścianie stał mały kuchenny kombajn: dwupłytkowa kuchenka elektryczna, zlew i lodówka załadowana wodą mineralną i

piwem. Ray używał tej kuchenki, żeby produkować spida na własny użytek — w małym garnku robił amfę zarówno w postaci krystalicznej, jak i w proszku. Na stalowym ociekaczu stały butelki syropu od kaszlu Sudafed i płynu do czyszczenia gaźników, jak też inne chemikalia potrzebne do wyrobu metamfetaminy.

Ray i jego ojciec podciągnęli tu rury i zainstalowali także toaletę. Była duża, a solidne dębowe drzwi dawały prywatność. Ray mógł siedzieć na sraczu i kartkować swoje ulubione pornole, a jeśli naszła go chęć, kiedy już się podtarł, po prostu robił w tył zwrot i spuszczał się do klopa, po czym splukiwał cały ten syf.

Strzęp dywanu, leżący obok ławeczki do ciężarów, krył pokrywę zapadni. Zapadnia prowadziła do tunelu, który wykopali z ojcem poprzedniego lata. Dzięki niemu mieli szansę ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba — ciągnął się jakieś pięćdziesiąt-sześćdziesiąt jardów za stodołę, w las za zabudowaniami fermy.

Ray Boone kochał ten pokój. Zasada była taka, że tylko on i tatko mogli tu wchodzić. Nikt, ani żaden z kumpli taty, ani kolesie Raya, ani nawet Edna, nie odważyłyby się tu zapuścić, nawet gdyby miał klucz. Edna wiedziała, że właśnie tutaj są jej ukochane prochy. Choć jednak była durna, głupia jak puszcza gwoździ, albo i bardziej, miała dość rozumu, żeby nawet nie próbować tu wejść.

Ray podniósł parę hantli i stanął przed jednym z luster. Zrobił serię dwudziestu naprzemiennych podniesień. Upuścił hantle i spojrzął na swoje odbicie. Spod rękawów białego T-shirta wychodziły więzienne dziary — na jednym ramieniu ociekający krwią sztylet, na drugim wąż opasany wokół drzewca konfederackiego sztandaru. Standardy. Te naprawdę fajne, swastykę między dwoma błyskawicami i powieszzonego na drzewie czarnucha miał na barku i plecach, zakryte.

Ray zrobił do lustra kilka poważnych min, uniósł najpierw jedną brew, potem drugą. Nie był taki śliczny, żeby go ktoś wziął za parówkę, ale też niezbyt brzydki. Miał na twarzy trochę blizn po trądziku, ale jakoś nie odstraszały dziewczyn — no, przynajmniej nie na tyle, żeby zauważył. Niektórym kobietom podobało się, że oczy miał osadzone głęboko pod twardym, masywnym wałem brwi. Parę razy, w szkolnych czasach, jacyś chłopcy mówili, że miał zeza, więc po prostu musiał się sprężyć i im przyłożyć, prosto w nos, bez laski. Jeśli faktycznie miał zeza, jakoś tego nie widział. Edna mówiła mu, że wyglądał jak ten koles^{*}, [* Robert Davi] który grał w serialu „Profilery”, a w filmach zawsze

robił za handlarza narkotyków. Ray lubił tego gościa. Z niego na bank nie był pedał.

Kiedy już skończył się podziwiał, capnął fiolkę z kilkoma kryształkami amfy i wsunął ją do kieszeni dzinsów. Zdjął adidasy i założył kowbojki marki Dingo, z robionymi na zamówienie czterocalowymi obcasami. Otworzył sejf i wyjął plecak zawierający opakowane w folię cegły heroiny, które odważył parę godzin wcześniej. Znalazł swoją berettę kaliber dziewięć milimetrów, sprawdził magazynek i wetknął pistolet za pasek spodni. Ze skrzynki wyjął koszulę z grubej flaneli oraz kurtkę i ubrał się w nie, nie wtykając koszuli w dzinsy, żeby ukryć kolbę pistoletu. Zarzucił plecak na ramię, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Edna czekała na niego przy barze. Cmoknęła go soczyście, kiedy wsunął fiolkę w jej dłoń, po czym z drinkiem w dłoni wyszła ze stodoły.

- Jak, tata, gotowy?
- Pewnie.

Earl nienawidził tego miasta. Tylko jedno go tam kręciło, coś, co znajdowało się w magazynie zwanym Prochownią. Jak dla niego, dla tego warto było jechać.

Zduślił papierosa w popielniczce. Dopił piwo i zgniótł w dłoni puszkę, po czym wyrzucił ją do kosza przy konsoli elektronicznego pokera. Do kieszeni koszuli wsunął paczkę czerwonych marlboro, patrząc, jak jego syn zrobił to samo z paczką wziętą z baru.

Wstał, kiedy Ray ruszył w jego stronę. Earl był podobny do młodego, tylko ogorzały. W głębokich zmarszczkach na policzkach częściowo ginęły blizny po trądziku. Miał głęboko osadzone, obojętne oczy. Był wyższy od Raya o głowę i masywniejszy w ramionach i plecach. W odróżnieniu od młodego nie podnosił żadnych ciężarów, jeśli mu za to nie płacili, i nie kumał takich, którzy się w to bawili. Sylwetka została mu od służby w piechocie morskiej i późniejszej ciężkiej roboty.

- To jedziemy — rzucił Ray.

Earl uśmiechnął się leciutko, widząc, że syn założył te buty na wysokim obcasie. Ray zdecydowanie miał problem ze swoim wzrostem.

- Żart ci się jakiś przypomniał? — zapytał młody.
- Nie — uciął Earl.

Podniósł chłodziarkę zawierającą sześć piw i rozejrzył się po barze i automatach, zanim zgasił światła. Naprawdę mu się podobało to, co tu sobie z młodym urządzili. Porobili wszystko tak, że wyglądało jak w tych saloonach z dawnych lat. Jak na Dzikim Zachodzie, normalnie.

Edna Loomis załadowała wodną fajkę trawką i na sam wierzch ziela upuściła kryształek amfy. Stała przy oknie sypialni, którą zajmowała w domu z Rayem, i patrzyła, jak obaj mężczyźni wyszli ze stodoły i ruszyli do samochodu, tuningowanego fordą stojącego między pickupem F-150 i harleyem Raya, model Shovelhead.

Edna potarła kółko jednorazowej zapalniczki — strzelił płomyk. Przytrzymała płomień nad cybuchem fajki i wciągnęła chmurę ziela z amfą. Wstrzymując oddech, obserwowała, jak Ray zdemontował wierzch tylnego zderzaka samochodu, po czym wyjął z plecaka heroinę i upchnął pakiety między zderzakiem a ścianą bagażnika wozu.

Kaszłąc, wypuściła dym — siwy, grzybiasty kłęb rozbił się na szybie okna.

Ray zakrył heroinę paskiem gumy czy czegoś podobnego, a następnie znów założył górną listwę zderzaka, przybijając ją na miejsce wnętrzem dłoni. Earl stał twarzą do szerokiej żwirówki wychodzącej na drogę stanową, gotów przywitać wszelkich niezapowiedzianych gości. Zdaniem Edny obaj byli totalnymi paranoikami. Tutaj nikt nigdy nie przyjeżdżał. Zresztą zamykali wiodącą na żwirówkę drewnianą bramę.

Edna wciąż kaszłała, myśląc o interesach Raya i Earla. Zaczęło ją łupać w głowie, aż się trochę przestraszyła. Wiedziała jednak, że to łupanie to uderzenie amfy do mózgu, więc wyluzowała, a kiedy przestała kaszleć, poczuła się dobrze. Zaraz potem było jej już świetnie, od razu wszystko się poustawiało jak trzeba. Ze skórzanej papierośnicy wyciągnęła wąskiego virginia slim i zapaliła. Podniosła szklankę z drinkiem i zaczęła popijać drobne łyeczki, żeby wystarczyć na dłużej.

Podeszła do telewizora na biurczku i podkręciła dźwięk. Na scenie jakaś biała laska z pomarańczowymi włosami siedziała koło przypakowanego czarnego kolesia. Panienska była tłusta i brzydka jak skurwysyn, normalka, ale zaraz na scenę wylazła jakaś czarna laska, z tyłkiem jak balon, i ta wyglądała na kawał wrednej dziry. Wyglądało na to, że spuści białej ciężkie manto za sypianie z jej facetem. No, pięknie, właśnie pięści poszły w ruch... Edna widziała już ten odcinek, a przynajmniej tak się jej wydawało.

Wróciła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Earl i Ray zrobili nawrót na trzy razy, po czym ruszyli żwirówką w las.

Edna spojrzała na poziom płynu w szklance. Nieźle jej dziś wchodziło. Nie ma to jak bourbon i deko nikotyny, żeby podkręcić

amfę. Ray oczywiście się wkurwi, kiedy wróci do domu i zastanie ją schlaną, ale było jeszcze za wcześnie, żeby się tym przejmować.

Pociągnęła kolejny łyceczek, a potem trafił ją szlag i duszkiem wypila całą resztę. Może zejdzie do stodoły i zrobi sobie jeszcze jednego, słabego drinka, prawie samą colę, bourbona tylko tyle, żeby zmienić kolor. Przecież Ray wróci dopiero za dobrych kilka godzin, a potem i tak będzie nakręcony i przez całą noc będzie przy czymś dłuwał. Lubił przeliczać gotówkę, którą przywoził z kursów.

Farma Raya i Earla leżała kawalek od drogi stanowej numer 28, między Dickerson a Comus, kawalek na południe od Frederick, przy środku wschodniej granicy hrabstwa Montgomery. Wciąż jeszcze były tu lasy i nieco otwartej przestrzeni, ale ich dni były policzone. Boone'owie od lat obserwowali, jak osiedla mieszkaniowe rozpełzały się coraz dalej i dalej od Dystryktu Columbia. Przeważnie z miasta wynosili się biali, twierdząc, że chcą „więcej ziemi”, „większych domów za te same pieniądze”. Ray wiedział, że tak naprawdę chcieli zabrać się gdzieś, gdzie nie było czarnuchów i żyło się bezpieczniej. Żaden z nich nie zdzierzyłby myśli, że mogliby zobaczyć córuchną paradującą po ulicy pod rękę z jakimś asfaltem. To był największy koszmar białych, więc uciekali przed nim jak stado przerażonych zwierząt, aż tutaj, w te okolice. Ray potrafił zrozumieć ich motywację, ale i tak wolałby, żeby deweloperzy wynieśli się stąd i zaczęli stawiać swoje nowe domy gdzie indziej.

Ray wyjechał na stanową numer 270 i skręcił na południe.

— Weź — podał ojcu swój pistolet, kolbą naprzód. Earl wziął broń, otworzył schowek na rękawiczki, wcisnął guzik i odczekał chwilę, aż opadnie fałszywa tylna ścianka. Schował beretkę w skrytce za ścianką.

Ray kupił ten wóz w specjalnym sklepie na Bronksie. Był to pozornie zwyczajny taunus, ale pod maską miał tyle koni, że prawo tego zabraniało — dużo więcej, niż Ford pakował niegdyś w swój oficjalny model wysokiej mocy, oznaczony symbolem SHO. Zderzak był tylko atrapą, co oznaczało, że oparłby się zderzeniu przy umiarkowanej prędkości, a do tego między profilem zderzaka a ścianą bagażnika można było ukryć znaczne ilości heroiny. Za schowkiem na rękawiczki, z lewej strony kolumny kierownicy i w kilku innych miejscach znajdowały się skrytki, w których Ray przechowywał broń i zapas prochów na własny użytek.

Ray odpalił papierosa od zapalniczki w desce rozdzielczej, po czym podał ją tacie, żeby i on mógł sobie zapalić. — Gdyby to był film, od razu byłoby wiadomo, że my jesteśmy ci źli — stwierdził.

- A to czemu?
- No bo obaj palimy.
- E tam — zdziwił się Earl.
- Słyszałem na mieście, że chcą zakazać palenia w knajpach.
- Nie gadaj.
- Moje fajki to dostaną, kiedy je wyciągną spomiędzy stygnących palców — rzucił Ray, zachwycony własną błyskotliwością.

Earl nie odpowiedział. W ogóle rzadko mówił, a przy synu nawet mniej niż zwykle. Ray przegapił kolejkę, kiedy Bóg rozdawał rozum, więc kiedy się odzywał, przeważnie przechwalał się, jaki to nie jest twardy albo sprytny. Earl był od niego starszy o dwadzieścia lat, a i tak spuściłby synowi baty, nawet gdyby był ciężko chory. Paskud zresztą dobrze o tym wiedział. Earl podejrzewał, że między innymi to dlatego chłopak przez cały czas chodził taki podminowany.

Otworzył sobie puszkę buscha.

Ray zaciągnął się fajką. Szlag go trafił, że ojciec nawet nie chciał z nim pogadać. Przecież to właśnie on, Ray, rozkręcił ten interes, który teraz mieli. To Ray podjął wszystkie słuszne decyzje. Gdyby pozostawił to ojcu, który nie zdołał się dłużej utrzymać w żadnej robocie, byłiby teraz zupełnymi gołodupcami.

Fakt, że po drodze nie obeszło się bez odsiadki w Hagerstown, gdzie Ray wyłudował z wyrokiem dziesięciu lat za zabójstwo i gdzie nawiązał kontakty, które doprowadziły go do tego interesu. Dostał kasę, żeby zabić jednego ćpuna, który podpierdolił towar dilerowi w hrabstwie Frederick. Od czasu liceum Ray stuknął za forszę paru koleś i wyrobił sobie w pewnych kręgach opinię gościa, który w tej części stanu załatwiał takie sprawy. Nigdy nie planował, że zostanie płatnym mordercą — nie, żeby miał potem problemy z zasypianiem czy coś — w końcu akurat tym ludziom należała się szybsza śmierć. Po pierwszej robocie, kiedy facet błagał i jakoś wolno zdychał, następne poszły już gładko.

Więc przy tamtym zleceniu Ray wymyślił sobie, że załatwi sprawę w kiblu knajpy, w której regularnie przesiadywał ten ćpun, a potem wyjdzie przez olmo i w długą. Akurat kiedy wypruł temu złodziejowi bebechy wojskowym nożem, wszedł bramkarz tej budy, żeby się odlać, i rozbroił Raya, a potem przytrzymał go tam, póki nie przyjechały gliny. Ray powinien był zabić także tego typu, wiele razy wyświetlał to sobie w głowie jak film, ale koleś był wielki jak jaskiniowiec, raz-dwa złamał rękę Rayowi w nadgarstku, a wtedy to już niewiele dało mu się zrobić.

Ray poradził sobie, jak mógł najlepiej: w żywe oczy twierdził, że to ten kokainista się na niego rzucił, i akurat miał farta, bo w kieszeni kurtki denata znaleziono jakiś bładziwy pistolecik kalibru .22. Więc nie dali rady przypuścić mu morderstwa i wyładował w Hagerstown za nieumyślne zabójstwo.

W pierdlu dało się wytrzymać, jeśli nie dał się człowiek spedać. Żeby tego uniknąć, trzeba było robić za regularnego twardziela, ale najlepiej było mieć sojuszników, plecy w jakimś gangu. Biali wchodzili do Wartości Chrześcijańskich i innych takich grup. Czarni trzymali się w grupie, tak samo Latynosi, ale i biali, i Latynosi nienawidzili czarnych bardziej niż siebie nawzajem, więc czasami zdarzyło się, że Ray zagadał z jakimś śniadym typem.

Wśród tych rozmówców był Roberto Mantilla. Kuzyn Roberta, Nestor Rodriguez, mieszkał w okolicy Orlando i pracował dla kartelu Vargas, którego bazą była dolina Cauca w północnej Kolumbii. Nestor i jego brat Lizardo robili kursy na Wschodnie Wybrzeże, sprzedając towar dilerom w Dystrykcie, w Baltimore, Wilmington, Filadelfii i Nowym Jorku. Oferowali heroinę wyższej jakości za niższą cenę, więc ich rynek rósł, konkurencja odpadała z gry, a biznes kręcił się coraz lepiej. Roberto mówił, że jego kuzyni nie radzili już sobie sami z dystrybucją, więc chętnie sprzedawaliby herę pośrednikowi, który mógłby zamiast nich kursować do Dystryktu i na bieżąco zaspokajać popyt dilerów. Roberto twierdził, że pośrednik od każdej transakcji dostawałby działkę, dziesięć tysięcy dolarów.

Więc Ray powiedział mu: „Fajnie, jak tylko wyjdę, chętnie bym spróbował”. Rok później przekonał komisję od zwolnień warunkowych, że dobre zachowanie, jakie cechowało jego pobyt w więzieniu, nie było chwilowym wybrykiem, i opuścił mury Hagerstown. A po kolejnych dwóch latach, kiedy już skończył mu się warunek i pożegnał się z kuratorem, mógł faktycznie zabrać się do roboty.

Cóż, pewnie powinien podziękować za swój sukces Robertowi Mantilli, ale to było niewykonalne, bo ten został zgwałcony i zatłuczony na śmierć kawałkiem ołowianej rurki przez jakiegoś niewyżytego pedała niedługo po tym, jak Ray wyszedł na warunkowe.

— Wiesz, tata, ten towar, co go mamy, jest czysty na osiemdziesiąt pięć procent — powiedział, myśląc o heroinie ukrytej pod atrapą zderzaka.

— Lizardo ci to powiedział? — Earl podpuszczał syna, wiedząc, że ten z braci Rodriguez nigdy nie okazywał Rayowi choćby cienia szacunku, za co ten odpłacał mu szczerą nienawiścią.

— *Nestor* mi powiedział. A na Florydzie mają brązową heroinę, ta to jest czysta na dziewięćdziesiąt pięć procent, kiedy ją sprzedają na ulicy.

— No i co z tego?

— Dla Kolumbijczyków to wymiatanie konkurentów. Bo tak: Azjaci dają towar siedmio-, może dziesięcioprocentowy. Meksykanie tak samo. Kolumbijczycy podbili jakość i obniżyli cenę, więc teraz będą rządzić praktycznie na całym rynku w Stanach. A taki czysty towar robi jeszcze jedno. Przyciąga zupełnie nowych klientów: studentów, dzieci z dobrych domów, te rzeczy. To już nie szajs dla kolorowych, tata. Bo już nie trzeba dawać w żyłę, żeby złapać haj. Teraz możesz go palić, wciągać, co tylko chcesz.

— No, to dobrze.

— Nie interesuje cię nawet, co właściwie robimy?

— Nie, niespecjalnie. Przywieźć, sprzedać, spierdalać, i tyle mnie obchodzi. Gdyby nie kasa, najchętniej wcale bym już nie wracał do tego miasta. Niech się tam zarzynają o ten szajs, gównu mnie to obchodzi.

— Tego byś nie chciał, tata — *Ray* uśmiechnął się do ojca zza kierownicy. — Zabrakłoby nam klientów, gdyby tak wszyscy wzięli i się wykończyli...

— Ale wiesz co, *Paskud*?

— No?

— Przyjdzie taki dzień, że się obudzimy i pomyślimy sobie, że mamy już dość pieniędzy. Myślałeś o tym kiedyś?

— Właśnie zaczynam — *Ray* dodał gazu i zjechał na lewy pas, do wyprzedzania.

Prawdę mówiąc, zastanawiał się nad tym już od dłuższego czasu. Brakowało tylko jakiegoś sposobu na wyjście z tego interesu. Tylko tego z ojcem potrzebowali — planu. Jaki by nie był.

6.

Nim *Earl* dopił kolejne piwo, *Ray* zdążył już zjechać z *Beltway* — waszyngtońskiej obwodnicy — i jechał na południe wzdłuż *New Hampshire Avenue*, prosto w serce *Dystryktu*. Kawalek dalej, na *North Capitol Street* niedaleko *Florida Avenue*, zadzwonił ze swojej komórki do chłopaków *Cherokee Colemana*, żeby dać im znać o przyjeździe *Boone'ów* z towarem.

Skręcił w lewo we Florida Avenue, gdzie okolica zaczęła wyglądać naprawdę nieprzyjemnie, i jechał dalej obok kompleksu magazynów i zatok rozładunkowych, niegdysiejszego centrum przemysłu w mieście, które bynajmniej nie przemysłem stało. Obecnie te budynki przeważnie zostały opuszczone — ta dzielnica powoli, ale nieustannie podupadała od zamieszek 1968 roku.

Ray przejechał obok miejsca, z którego prowadził swoje interesy Cherokee Coleman — jednej z kilku wchodzących w skład kompleksu niedużych murowanych kamienic, niczym się z zewnątrz niewyróżniającej. Po drugiej stronie ulicy stał magazyn, nazywany przez miejscowych Prochownią — wałaca się rudera, w której mniej więcej od roku zagnieździły się ćpyny wszelkiej maści, ofiary cracku, śniegu czy hery. Przybyli tutaj, do Colemana — do źródelka.

Ray zwolnił, jadąc ku następnej przecznicy. Armia Colemana — naganiacze, towarowi, kasjerzy, czujki i bossowie — obstawiała chodniki po obu stronach i wszystkie narożniki. Wzdłuż krawężników parkowały całkiem fajne bryki: bmw M3, acura legend, lexus z dodatkowymi spojlerami, dwuosobowy mercedes z chromowanymi felgami i jeszcze kilka terenówek.

Z naprzeciwka w ich stronę jechał radiowóz. Ray ominął spojrzeniem mundurowego kierowcę, za to przyjrzał się numerom bocznym, kiedy policyjny buick crown victoria przejeżdżał obok.

- Ray — rzucił Earl.
- Jest dobrze — odparł młody. Numery radiowozu odpowiadały tym, które pamiętał.

W lusterku zobaczył, jak radiowóz waszyngtońskiej policji miejskiej skręcił w prawo w najbliższą przecznicę, żeby zacząć kolejne kółko wokół kwartału. Ray docisnął gaz i w parę chwil był już pod szerokimi drzwiami warsztatu na rogu ulicy. Nacisnął klakson — dwa razy krótko, raz długo. Drzwi uniosły się i Ray wjechał do budynku, gdzie czekało już kilku młodych mężczyzn i paru bardzo młodych.

Drzwi zamknęły się za nimi. Ray wyjął pistolet ze skrytki za schowkiem na rękawiczki i przesunął się w fotelu, żeby móc zatknąć beretkę za pasek spodni. Wiedział, że ojciec schował swoją trzydziestkę ósemkę do kieszeni kurtki jeszcze przed wyjściem ze stodoły. Miał to gdzieś, czy młodziaki w warsztacie zauważą broń. Wręcz *chciał*, żeby ją widzieli.

Ray i Earl wysiedli z auta. Ludzie Colemana nie witali ich, nie dali po sobie poznać, że ich znają. Ray wiedział jeszcze z więzienia, że tu nie było miejsca na uśmiechy ani na żaden inny ludzki gest, bo zobaczono

by w tym słabość, szczelinę w pancerzu, miejsce otwarte na pchnięcie nożem. Earl widział tu tylko twarde, czarnoskóre twarze, wszystkie takie same. I niczego więcej nie chciał wiedzieć.

— Szmal, szmaty, wózki — rapował martwy, wypruty z emocji głos rozbrzmiewający ze stojącej na półce miniwieży. — Stukam kasę, stukam gości...

— Towar jest za zderzakiem — odezwał się Ray do najstarszego typu w tym towarzystwie, którego kojarzył z poprzedniego wypadu.

— To go wyjmij, wodzu — odparł młody boss, powoli przechylając głowę.

— Sam go wyjmij — odpalił Ray.

„A teraz będziecie się na siebie przez chwilę gapić — pomyślał Earl — jakbyście nie mogli się zdecydować, czy narobić tu dymu, czy się w sobie zakochać...”

I tak właśnie zrobili. Ray nie spuszczał z nich wzroku, a oni z niego, paru ze starszych zaczęło się śmiać, Ray też się pośmiał, i znów hardo na siebie patrzyli.

Aż w końcu boss powiedział do jednego z małoletnich: — Zabieraj towar.

Chłopiec skinał głową na kolejnego, stojącego obok, i we dwóch rozmontowali zderzak i wyjęli z za niego paczki heroiny.

Pracownicy Colemana szybko zważyli narkotyki na elektronicznej wadze, stojącej na ławie pod ścianą. Ray i Earl przyglądali się im, paląc papierosy. Czarni nie testowali towaru, nie próbowali go, nie dlatego, żeby ufali białym dostawcom — po prostu Coleman rozkazał im, żeby nie dobierali się do hery. Cherokee wiedział, że Ray i Earl w życiu nie spróbowałiby go przerobić. Za dobrze im było razem.

— Waga się zgadza — rzucił boss.

— Wiem, że się zgadza. Zadzwon do Cherokee i powiedz mu, że idę do niego. Wrócimy po wóz.

Kiedy Boone'owie wychodzili z garażu, jeden z młodych zaczął pobrzękiwać niczym banjo, i wszyscy czarni parsknęli śmiechem. Ray miał ich gdzieś — nie minie wiele czasu, nim wszyscy dostaną w czapę albo zgniją w pierdlu. Dobrze było stąd wyjść, nawet nie oglądając się przez ramię, jakby miał w dupie to, czy się z niego śmieją, czy w ogóle dożyją do następnego dnia. Czuł się silny, wysoki. Cieszył się, że założył te specjalne kowbojki.

Ray i Earl żwawo szli wzdłuż ulicy. Zimny wiatr rozwiewał po asfalcie stare gazety. Ray zobaczył, że przyglądał mu się młody facet rozmawiający z kimś przez komórkę — wiedział, że ten gość był na linii z którymś z przybocznych Colemana. Boone'owie poszli prosto do siedziby Colemana. Gdy byli już blisko, drzwi domu otworzyły się, by mogli wejść do środka.

Znaleźli się w przedpokoju, gdzie czekało na nich czterech młodzieńców. Jeden z nich obszukał Raya i Earla, zabierając im znaną broń. Ray pozwolił mu na to, bo tutaj nic im nie groziło — gdyby miał być dym, akcja rozegrałaby się już w warsztacie. Coleman nie trzymał w biurze prochów ani większych sum pieniędzy, nie życzył też sobie trupów pod własnym dachem. Wyrzebał się z nizin, jak wszyscy, ale był na tyle mądry, że teraz już nie bawił się w te rzeczy.

Typ, który ich obszukał, skinął głową, więc weszli do biura Colemana.

Cherokee siedział za biurkiem w obitym skórą, odchylanym fotelu. Na blacie znajdował się bibularz, złoty zestaw z piórem i ołówkiem oraz taka lampa z zielonym abażurem, jakie kiedyś mieli kasjerzy w bankach. Obok lampy grzecznie stał telefon komórkowy. Zdaniem Raya w tych dekoracjach Coleman czuł się sztywno, jak regularny biznesmen, jakby sam pracował w banku albo co. Ray często rzucał w żartach do taty, że pióro i ołówek z zestawu były jeszcze kompletnie nieużywane.

Coleman miał na sobie czarny garnitur z marynarką zapinaną na trzy guziki, pod którą założył grafitowy golf. Jego gładka, czerwobrunatna skóra odcinała się nieco od czerni marynarki. Miał drobne, kanciaste rysy. Nie był postawnym mężczyzną, ale miał grube nadgarstki, a grzbiety jego dłoni były mocno pożyłkowane, co podpowiadało Earlowi, że facet miał krzepę.

Za Colemanem, oparty o wnękę zakratowanego okienka, stał wysoki, łysy i gruby facet w okularach przeciwsłonecznych w złotej oprawie. Był to główny przyboczny Colemana, Angelo Lincoln, którego wszyscy w tej okolicy nazywali Angelo Gruba Dupa.

— Siemano — Coleman leniwie machnął wymanikiowaną dłoń, proponując gościom, by usiedli przed biurkiem.

Ray i Earl usadowili się w fotelach, niższych od tego, w którym siedział Coleman.

— Jak leci, Ray? Earl?

— Ano — odparł Earl.

— Ano co?

Ramiona Angela zadygotały, a spomiędzy warg wyrwał mu się cichy odgłos: Ś...Ś...Ś.

— Wygląda na to, że wszystko się zgadza — stwierdził Coleman.

— Nie wątpię — odpowiedział Ray. — Waga jest, a towar, jak Boga kocham, trzyma moc. Osiemdziesiątka piątka.

— No, tak słyszałem.

Coleman nie czuł potrzeby, by klarować Rayowi, że to gadanie o procentach czystości było totalnie gówno warte. Gdyby ten towar miał osiemdziesiąt pięć czy dziewięćdziesiąt procent, ćpuny padałyby jak muchy po całym mieście, bo tak czystą herę dałoby się bezpiecznie zażywać tylko w dawkach wielkości główki od zapalki. Tak się porobiło, że już nawet dilerzy zaczęli wierzyć w policyjne materiały dla prasy.

— Tak ci powiedzieli bracia Rodriguez?

— Mhm. Zadzwonili do mnie, bo mieli inne interesy do obgadania.

— Zahaczało to może o mnie i mojego ojca?

— Mogłoby... — Coleman zwrócił się do przybocznego: — Angelo, coś mi się widzi, że dostaliśmy zajebisty stuff. Jak to nazwiemy?

Coleman lubił znakować woskowane pakieciki heroiny, które sprzedawał, nadając im nazwy handlowe. Mówił, że to darmowa reklama, że dzięki temu klienci wiedzieli, że dostają najlepszy towar od Cherokee, że na ulicy jest coś nowego i mocnego. Lubił sobie roić, że te nazwy to jak jego podpis, niczym te bajeranckie dania, które wymyślają szefowie kuchni z renomowanych restauracji.

Ray obserwował, jak Angelo zagapił się na podłogę z rozdziawionymi ustami, marszcząc pulchną twarz i obmyślając propozycje nazw. Gruba Dupa uniósł w końcu wzrok, kiwając głową, dumny z tego, co sobie wydumał.

— Zabij i Dobij — powiedział z szerokim uśmiechem.

— Nie podoba mi się. Tak to się może nazywać film z Chuckiem Norrisem, Angie, a wiesz, co sędzę o tym typie.

— Życzenie Śmierci?

— Nie, Murzyn, to już mieliśmy.

— No, to co powiesz na Łowcę Skalpów?

Angelo wiedział, że jego szef lubił takie nazwy. Coleman uważał, że jest spokrewniony z Indianami.

Cherokee wydał wargi. — Łowca Skalpów dobrze brzmi.

Earl zaczął się wiercić w krześle. W pokoju było gorąco, czuć było jakieś olejki czy inne perfumy, masakra po prostu. Ech, kolorowi —

kartonowe choinki wiszące pod lusterkami samochodów, perfumowane fryzury, szpanerskie wody kolońskie, kurwa jego mać.

— A co do braci Rodriguez... — zaczął Ray.

— Nestor właśnie dodał kokainę do swojego katalogu produktów — stwierdził Coleman. — Musiałem mu wytłumaczyć, że ja się nie piszę na ten towar. Nie zrozum mnie źle, ci co palą i wciągają, też bulą w porządnym zielonym, ale teraz duża kasa jest tylko w brązowym proszku, i widzi mi się, że w przyszłości będzie dokładnie tak samo. A jak już kupuję kokainę, to od Cripsów, z Los Angeles. Chodzi mi generalnie o to, że nie chcę ograniczać się tylko do jednego dostawcy. W ten sposób uzyskaliby zbyt dużą władzę, jeśli chodzi o strukturę cenową i element negocjacji, jarzysz?

„Jezus Maria — pomyślał Earl. — Ograniczać się... struktura cenowa i element negocjacji... Kurwa mać, ten czarnuch myśli, że jest na giełdzie?”

— I co na to Nestor? — zapytał Ray.

— Dał mi do zrozumienia, że jeśli nie będę się zaopatrywał wyłącznie u niego, może to mieć negatywne konsekwencje dla naszej współpracy w interesach. A ja nie przepadam za takim gadaniem. Prawie jakby mi groził, czaisz, co mówię?

— Kumam, ziom — odparł Ray. — Jarzę, co mówisz.

„Kumasz jak nadmuchana żaba, skurwysynu — pomyślał Coleman. — I pewnie, że jarzysz, co mówię. Bo jakbyś, kurwa, *nie* jarzył, to wciąż jeszcze byś, kurwa, siedział na jakimś polu, z chomątem na karku i słomą wiszącą z ryja, ty skurwysynu z kiepskiej kreskówki...”

— Czyli załatwione? — odezwał się Earl.

— Spiesz ci się gdzieś? — uśmiechnął się Coleman. — Panna czeka?

— A jeśli tak, to co? — odparł Earl.

Kąciki ust tamtego opadły. Teraz Cherokee mówił cicho, niemal delikatnie: — Co, stary, chcesz mi skoczyć? Tak kombinujesz?

— Daj spokój, Cherokee — wtrącił Ray. — Tata tylko żartował.

Coleman nawet na niego nie spojrzał. Nie spuszczał wzroku z Earla.

Po chwili jednak uśmiechnął się, klasnął w dłonie. — Ożesz kurna, Earl, akurat ta mała dupeczka już nic dla mnie nie znaczy. Zaliczyłem tę cipkę, kiedy jeszcze była świeżutka. Leć do tej starej ćpunka, nie ma sprawy, poopowiadaj jej słodkie kawałki...

— Już chyba wystarczy — Ray wstał i spojrzał na ojca, który wciąż nie ruszył się z fotela i patrzył na Colemana, lekko unosząc brew.

— Śmiało, Earl — rzucił Coleman. — Ona tam na ciebie czeka. Zarezerwowała na pewno swój boks tylko dla ciebie. Pewnie skądś się dowiedziała, że przyjeżdżasz dziś do stolicy.

Earl wstał.

— Słuchaj, Ray — ciągnął Coleman. — Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem o Rodriguezach. Lubię moich śniadych przyjaciół, ale może kiedy następnym razem przyjadą podrzucić towar, pogadaj z nimi i wyjaśnij im jak chłop krowie na miedzy, co o tym myślę.

— Kumam — odparł Ray.

— To dobrze. A pieniądze będą na was czekać w warsztacie. Po drodze możecie też odebrać broń.

— Do następnego — rzucił Ray i odwrócił się do drzwi.

— Hej, Ray — odezwał się Coleman. Gdy Ray obejrzał się w jego stronę, zobaczył, że Cherokee wstał i patrzył teraz na jego stopy. — Wiesz, Lizardo Rodriguez chciał, żebym sprawdził, czy założysz dzisiaj te swoje szpanerskie buty...

— No i?

— Założyłeś, przecież widzę.

Po minie Raya widać było, że nie wie, co myśleć.

— Na razie — powiedział i wraz z ojcem wyszli z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Coleman i Angelo Gruba Dupa ryknęli śmiechem. Zanosili się rechotem tak potężnym, że Cherokee musiał się oprzeć o blat biurka. Miał łzy w oczach, kiedy przybili sobie z Angelem piątkę.

— Kurwa jego gajowego — sapnął. — Ray Boone, no, chłop jak dąb. Regularny Waligóra, stary.

— Kumam, ziom — zacytował Angelo i Coleman zgiął się wpół w nowym paroksyzmie, tupiąc w podłogę.

— No, przynajmniej dałem mu do myślenia, nie, co do Rodriguezów — powiedział, kiedy już nieco ochłonął.

— Ale kiedy już nie będzie braci Rodrigueza...

— Znajdziemy sobie jakiegoś innego dostawcę, Murzynie. Akurat teraz w tym biznesie mamy wojnę na czystość i cenę. Może kiedyś słyszałeś: zdarza się, że rynek faworyzuje kupców.

— Ale to znaczy, że nie będziemy już oglądali Raya i Earla. Aż żal tracić tyle rozrywki. No bo z kogo będziemy się wtedy śmiali?

— Od tego też się ktoś znajdzie — Coleman spojrzał na swojego przybocznego. — Wiesz, Angie?

— No?

- Weź uchyl okno, Murzynie. Wali tu papierochami, piwem i tanią kolońską.
- Sie robi.
- Za każdym razem, kiedy tu przychodzą Boone'owie, przypomina mi się, że nie cierpię smrodu białych.

Ray i Earl odebrali w poczekalni swoje pistolety, w drzwiach budynku Colemana zapalili po papierosie i przeszli na drugą stronę ulicy. Sforsowali wyrwę w płocie z siatki, otaczającym stary magazyn. W oka siatki wpleciono żółtą taśmę klejącą, używaną przez policję do odgradzania miejsc przestępstw. Luźny koniec taśmy łopotał na wietrze jak latawiec.

Ostrożnie szli po zaśmieconym gruncie, pamiętając o walających się igłach. Wspięli się na pryzmę cegieł, które niegdyś składały się na mur magazynu, a teraz dawały do niego dostęp, i znaleźli się na parterze budynku. Podłogę pokrywały kałuże wody ciekącej z rur i deszczówki z niedawnej burzy, przed którą ściany magazynu już nie chroniły. Z wszystkich czterech stron ziały liczne dziury, po części rezultat naturalnego starzenia się murów, ale resztę wybito dla ułatwienia wejścia czy ucieczki. Po budynku latały gołębie, których odchody poznały betonową posadzkę.

Do mrocznego pokoju przy korytarzu uciekł jeden szczurek. Ray zobaczył niknącą w mroku, wyniszczoną twarz czarnego kolesia. Był nim ćpun nazwiskiem Tonio Morris. Jeden z tych na samym dole piramidy, o krok od śmierci, zbyt słaby, by wywalczyć sobie miejsce na piętrze. Kiedy zacznie się rozprowadzanie pakietów towaru tym, którzy mieli gotówkę, tacy jak Tonio przehandlują wszystko, co mają, cokolwiek udało im się tego dnia ukraść, czy dowolne usługi seksualne, w zamian za odrobinę kryształków czy proszku.

Ray i Earl minęli jednego z ludzi Colemana, z pagerem i komórką przy pasku oraz pistoletem w opuszczonej dłoni. Mężczyzna nie spojrział na nich, oni również nie dali po sobie znać, że go widzieli. Ruszyli w górę po odsłoniętych schodach.

Dotarli na podest piętra, gdzie stał kolejny uzbrojony mężczyzna, okazujący równie mało emocji, co ten na dole. W ścianach na tym poziomie znajdowały się szeregi łukowatych okien — w żadnym nie było całej szyby. Ray i Earl ruszyli korytarzem, mijając pokoje, w których płomyki świec pozwalały dojrzeć niewyraźne postacie spoczywające na materacach. W końcu znaleźli się w czymś na podobieństwo toalety pozbawionej ścianek działowych — Ray przypuszczał, że były to dawne męskie i damskie toalety dla pracowników,

ale teraz została z nich jedna wielka sala, pełna wymazanych gównem pisuarów i boksów. Boone'owie oddychali przez usta, by zdzierzyć smród ekskrementów i wymiocin, które ciekły z przepełnionych klozetów, rozlewając się w kałuże na podłodze.

W pozbawionych drzwi boksach koczowali ludzie. Cuchnęli potem i uryną, a ich niedobrane ubrania kleiły się od brudu. Uśmiechali się na widok Boone'ow, witali ich — jedni sarkastycznie, inni z gryzącą kpina, ale niektórzy z autentyczną ulgą i radością. Ray i Earl mijali kolejne kabiny, w których do ścianek przyklejono wycięte z gazet ilustracje z Jezusem, Malcolmem X i Muhammadem Ali oraz plakaty z koncertów w Globe, teraz wymazane krwią i odchodami. W końcu dotarli do ostatniego boksu. Tam się zatrzymali.

— Dałbyś mi trochę prywatności, Paskud — rzucił Earl. — Spotkamy się przy schodach.

Ray przytaknął i poczekał, aż ojciec wejdzie do boksu. Wtedy obrócił się i ruszył z powrotem.

— Witaj, młoda damo — Earl wszedł do kabiny i z podziwem spojrzął na zamieszkującą ją zniszczoną piękność.

— Witaj, Earl.

Dziewczyna była wysoka, miała jasną, poznaczoną przebarwieniami skórę i rozprostowane czarne włosy, które przy końcach zaczynały się już kręcić. Oczy miała podmalowane zielenią, rzęsy podkreślone, na powieki nałożony cień. Uśmiechnęła się do Earla — na zębach miała szarawy nalot. Miała na sobie wybrudzoną białą bluzkę, do połowy rozpiętą, by odsłonić koronkowy biustonosz, tu i ówdzie wystrzępiony i luźno opinający jej wychudzoną pierś.

W boksie płonęły wotywny świeczki, a nad muszlą klozetową przyklejono zdjęcie jakiejś modelki, wyrwane z *Vanity Fair*. Miska muszli była pełna papieru toaletowego, rozpadających się gówien i zapalek. Brązowa woda sięgała brzegu porcelany.

— Masz coś dla mnie, Earl? — mówiła jak mechaniczna lalka, której sprężyna już prawie całkiem się rozkręciła.

Earl przyjrzał się jej uważnie. Jasny szlag, naprawdę była śliczna mimo tego brudu. Żadna inna z takich dziewczyn nigdy nie obdarzyła go choćby cieniem uwagi, nawet kiedy jeszcze był piękny i młody.

— Wiesz, że tak, skarbie — wyjął zapieczętowany woskiem pakiecik brązowej heroiny, odebrany z transportu.

Wyrwała mu paczuszkę z dłoni, starannie utrzymując na twarzy figlarny uśmieszek.

— Dziękuję, najdroższy — powiedziała, rozrywając torebeczkę i wysypując jej zawartość na szklany przycisk do papieru, który postawiła w chwiejnej równowadze na rdzewiejącym podajniku do papieru toaletowego. Podzieliła herę żyletką i błyskawicznie wciągnęła solidną kreskę. Niemal natychmiast jej głowa lekko opadła, powieki zadygotały i opadły do połowy.

— Uważaj, nie przesadzaj no z tym — rzucił Earl, ale ona już przygotowywała sobie kolejną kreskę.

Kiedy wreszcie skończyła, Earl łagodnie napał na jej ramiona. Uklękała na mokrych kafelkach. Sam rozpiął rozporek, bo jakoś powoli się do tego zabierała, i wplótł palce we włosy na jej potylicy.

Kiedy poczuł wilgoć jej ust i języka, oparł drugą dłoń o stalową ściankę boks i zamknął oczy.

— Laleczko — jęknął. A potem dodał: — O Boże.

Ray spojrzął na zegarek. Minał już kwadrans, a stary wciąż jeszcze nie przyszedł. Ray był już gotów, żeby się stąd zabierać, wynieść się z Prochowni, z tego miasta, zostawić za sobą te śmieci, które tu mieszkaly. Pstryknięciem posłał niedopałek marlboro w ściankę z pustaków i patrzył, jak ogieniek rozjarzył się mocniej, a potem zgasł.

Rzygać mu się chciało, jak pomyślał o tym, co jego ojciec tam wyprawiał z tą jasną Mulatką. Miała białe rysy, ale była równie czarna, jak cała reszta tych małp, na sto procent. Zdarzało mu się nie zgadzać z ojcem w różnych sprawach, ale tutaj to już było na noże. Co się w ogóle roiło w głowie Earla? Co on, nie wiedział, co ta laska musiała robić, żeby zachować dla siebie tę kabinę na końcu rzędu? Nie wiedział, że to był teren pierwszej klasy i że utrzymanie się tam pociągało za sobą koszty? Ray dobrze o tym wiedział. Facet musiałby walczyć o to miejsce, a kobieta... Laska pewnie dawała ciała albo chociaż obciążała z dziesięć razy dziennie, żeby tylko utrzymać prawo do kiblowania w tym gnoju. Czy jego ojciec zupełnie o tym nie myślał?

Ray miał już dosyć przypominania mu o tym. Raz wyrwało mu się, że ta dziewczyna to zwykły czarny śmieć, i ojciec zerwał się i zażądał, żeby młody nazywał dziewczynę po imieniu. A on, cholera, nawet nie mógł sobie *przypomnieć*, jak ona się nazywała. Sandy Williams? Jakoś tak.

Ray Boone otworzył pudełko i wytrząsnął sobie kolejnego szluga. Sondra Wilson. O właśnie, tak się nazywała.

7.

Terry Quinn siedział przy kasie za gablotką i czytał książkę, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi samochodu. Wyrzwał na ulicę przez duże okno sklepu. Czarny mężczyzna w średnim wieku zamykał właśnie drzwi swojego białego chevroleta. Zaraz potem przeszedł na drugą stronę ulicy Bonifant i ruszył w stronę księgarni.

Samochód wyglądał na model policyjny, a ten siwowłosy i siwobrody Murzyn mógłby być gliniarzem w cywilu. Pod czarną skórzaną kurtką miał czarny golf, a do tego luźne granatowe dżinsy i czarne głany na połysk. Ten strój nie był jednak jak neon z napisem „policjant”. Zdradzała go raczej postawa: szedł z uniesioną głową i ściągniętymi łopatkami, czujny, świadom wszystkiego, co się działo na ulicy. Facet zadzwonił jakiś czas temu, powiedział, że pracował prywatnie dla matki Chrisa Wilsona i zapytał, czy Quinn zgodziłby się poświęcić mu mniej więcej godzinę swojego czasu. Terry był przyjemnie zaskoczony bezpośrednią formą pytania, spodobało mu się także doświadczenie pobrzmiwające w głosie dzwoniącego, powiedział więc, że nie ma sprawy, zaprasza do firmy.

Kiedy facet wszedł do księgarni, nad drzwiami zabrzączał dzwonek. Quinn oszacował go na niemal sześć stóp wzrostu i jakieś sto dziewięćdziesiąt funtów wagi. Może sto dziewięćdziesiąt pięć — te czarne ciuchy mogłyby zmylić oko o te pięć funtów. Jeśli to on dzwonił, nazywał się Derek Strange.

— Jestem Derek Strange.

Quinn wstał z krzesła i uściśnął podaną dłoń.

— Terry Quinn.

Strange mógł patrzeć na białego młodzieńca z przydługimi brązowymi włosami nieco z góry. Pięć stóp i dziewięć cali, plus minus pół cala, sto sześćdziesiąt pięć funtów. Średnia postura, zielone oczy, nieco białych piegów obsiało szeroki grzbiet nosa.

— Dzięki, że zgodził się pan na spotkanie. — Strange wyjął portfel, otworzył go i pokazał Terry'emu licencję.

— Nie ma problemu.

W dowód zaufania Quinn nie spojrzął na licencję. Chciał też w ten sposób okazać Strange'owi, że był spokojny, nie miał nic do ukrycia. Strange schował portfel z powrotem do tylnej kieszeni dżinsów.

— Jak mnie pan tu znalazł?

— Pański adres jest w książce telefonicznej. Porozmawiałem więc z właścicielem budynku. A kiedy występował pan o kredyt na mieszkanie, podał pan adres miejsca pracy.

— Zdaje się, że właściciel budynku nie powinien udostępniać takich danych?

— Kiedy zobaczył dwadzieścia dolarów, nie było już „powinien — nie powinien”.

— Rozumiem, ale gdyby pan dostał kopię moich zeznań ze śledztwa, oszczędziłby pan sobie mnóstwo czasu — stwierdził Quinn.
— I może też parę dwudziestek.

— Zamierzam się do tego zabrać. Na razie przeczytałem, co o tej sprawie pisała prasa. Nie zaszkodzi jednak posłuchać tego jeszcze raz.

— Mówił pan, że pracuje dla matki Chrisa Wilsona?

— Zgadza się. Moje usługi opłaca Leona Wilson.

— Myśli pan, że znajdzie coś, co przeoczyła komisja dyscyplinarna?

— Nie chodzi o to, żeby stwierdzić, czy jest pan jednak winien zarzutów, z których już pana oczyszczono. Po przeczytaniu tego, co miałem, jestem w zupełności pewien, że to był po prostu wypadek. Coś takiego musiało się zdarzyć, prędzej czy później. Bo weźmy dwóch młodych mężczyzn, obu z bronią palną, dołożmy z jednej strony alkohol, silne emocje i okoliczności, a z drugiej uprzedzenia...

— Uprzedzenia? — Chcesz powiedzieć: rasizm, pomyślał Quinn.
Czemu zwyczajnie nie powiesz tego wprost?

— No tak, wie pan, uprzedzenia. Jeśli połączymy to wszystko razem, katastrofa gwarantowana. Od czasu do czasu musi się przydarzyć.

Quinn powoli kiwnął głową, przyglądając się Strange'owi przez przymrużone oczy.

Derek odchrząknął. — Chodzi tu bardziej o oczyszczenie imienia Wilsona niż cokolwiek innego. Zmazanie cienia, który padł na jego osobę w tym wszystkim, co o sprawie napisano i nadano w mediach.

— Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Ani razu nie rozmawiałem z dziennikarzami.

— Wiem.

— Nawet jego matka powinna to zauważyć.

Quinn mówił powoli, chrapliwie, przeciągając samogłoski aż do oporu. Zamiejscowi przypuszczaliby, że wywodził się z jakiegoś stanu na południe od Wirginii, ale rodowici waszyngtończycy jak Strange wiedzieli, że to klasyczny akcent z Dystryktu.

— Rozmawiał pan z jego matką? — zapytał Derek.
— Próbowałem.
— Trudno jej coś wyperswadować. Pewnie nie ułatwiła panu rozmowy.
— Ano nie. Ale mogę to zrozumieć.
— Oczywiście.
— Bo to ja zabiłem jej syna.
— To fakt, a ona ma problem, bo nie potrafi ruszyć dalej ze swoim życiem.

— Dla niej te wszystkie detale są nieistotne, wszystkie te teorie, o których pan czytał: czy aby na pewno robiłem, co do mnie należało, czy decyzja, którą musiałem podjąć w ułamku sekundy, była słuszna, czy problemem było niewystarczające wykształcenie, a może Glock... Dla niej to nie ma znaczenia, a ja to świetnie rozumiem. Kiedy na mnie patrzy, widzi tylko faceta, który zabił jej syna.

— Może uda się nam trochę tę sprawę rozjaśnić — podsunął Strange. — Może być?

— Niczego bardziej nie pragnę.

Quinn odłożył czytana książkę na szybę gabloty. Strange zerknął na okładkę. A pod książką, w zamkniętej gablocie, zobaczył kilka starych popularnych wydań, ułożonych na czerwonym aksamicie: coś Harlana Ellisona z obrazkiem na okładce przedstawiającym typa z poprawczaka, powieść Chestera Himesa, przerobiony z serialu „Ironside” Jima Thompsona i rzecz pod tytułem „Włamywacz”, co popełnił niejaki David Goodis.

— Właściciela sklepu kręcą kryminały? — zapytał.

— *Ja* kręci sprzedaż pierwszych wydań. Oryginalne tanie wydania. To nie dla mnie. Ani zbieractwo, ani takie książki. Ja tam wolę westerny.

— Właśnie widzę. — Strange skinął na książkę Quinna. — Dobra chociaż?

— „Valdez nadchodzi”. No, powiedziałbym, że trudno o lepszą.

— Widziałem film, jeśli mnie pamięć nie myli. Trochę się zawiodłem. No, ale grał tam Burt Lancaster, więc obejrzałem do samego końca. No, to był gość. Mało znany z westernów, ale grał w naprawdę niezłych. „Vera Cruz”, „Zawodowcy”...

— „Ucieczka Ulzany”.

— Jasny gwint, pan to pamiętał? Burt jako zwiadowca na wyprawie z jakimś mlekowąszym oficerkiem kawalerii... tego grał ten

chłopak, co był potem w tym filmie ze szczurami...* O tak, „Ucieczka Ulzany” to był fajny film...

* Bruce Davison, a film to „Szczury” (*Willard*) – z 1971 roku, remake w 2003 roku.

– Też wielbiciel westernów, co?

– Nie czytam książek, jeśli o to pytasz, przyjacielu. Ale lubię filmy, o tak. I muzykę. Muzyka w westernach jest naprawdę niezła... – Strange przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę. Przez chwilę zapomniał, po co tu przyszedł. – O czym to myśmy...

– Właśnie, o czym. I gdzie mielibyśmy pogadać?

Strange zerknął ponad ramieniem Quinna. Wnętrze sklepu składało się z trzech wąskich przejść między sięgającymi sufitu drewnianymi regałami, ciągnącymi się aż po zaplecze. W przejściu po prawej chudy chłopak w koszuli o kilku odcieniach bieli stał na podnóżku i układał książki na wysokiej półce.

– On też tu pracuje?

– To Lewis.

– Więc ten Lewis... tak sobie myślałem: skoro masz czas, może ten Lewis mógłby zastąpić cię w sklepie, a my podjechalibyśmy tam, gdzie wszystko się stało. Byłoby mi łatwiej to sobie wyobrazić, gdybyś mi tam towarzyszył.

Quinn zastanowił się nad tym przez chwilę, po czym obrócił się na pięcie i zawołał: – Hej, Lewis!

Ten zszedł z podnóżka i przyszedł pod kasę, poprawiając okulary w czarnych oprawkach, żeby siedziały na właściwym miejscu. Za grubymi soczewkami jego oczy nabierały olbrzymich rozmiarów. Włosy Lewisa były czarne, przetłuszczone i posplatane w paru miejscach. Jego biała koszula miała żółte plamy pod pachami. Strange czuł jego odór, jeszcze zanim chłopak do nich podszedł.

– Lewis, przywitaj się z *detektywem* Strange'em – rzucił Quinn.

Strange zignorował jego sarkastyczny ton i wyciągnął dłoń. – Jak leci, Lewis?

– Dzień dobry panu. – Lewis nie spojrział na Strange'a. Przynajmniej tak się Derekowi wydawało: za soczewkami oczu Lewisa były wielkie jak kule do *bocce*, a rozproszony wzrok chłopaka wędrował po całym sklepie. Lewis miętosił swoje dłonie i znów poprawił okulary. Strange przez to wszystko zaczął się robić nerwowy, a w dodatku młodziak śmierdział jak psie gówno.

— Lewis, jeśli nie masz nic przeciwko, wybiorę się na przejażdżkę z panem detektywem Strange'em. A jak zadzwoni Syreeta, powiedz jej, że wybyłem na chwilę. Pasuje?

— Jasne.

— Miło było cię poznać, Lewis — dodał Strange.

— I wzajemnie, panie detektywie.

Quinn ściągnął swój skórzany płaszcz z wieszaka za ladą. Wyszedł ze sklepu razem ze Strange'em.

Kiedy przechodzili przez ulicę, Strange zapytał: — Co on, ślepy?

— Według prawa właściwie tak. Na pewno nie dostanie prawa jazdy. Mówi, że załatwił sobie oczy, czytając pod kołdrą przy latarce, kiedy był mały. Jego ojciec uważał, że Lewis zachowywał się po dziewczyńsku, czy coś, bo czytał książki.

— No popatrz pan, tak sądził?

— Ale Lewis to spoko facet.

— Jak tak się z nim kumplujesz, weź mu powiedz, że weszły na rynek takie dwa nowe produkty, jeden się nazywa mydło, a drugi to szampon. I jest jeszcze taki epokowy wynalazek: dezodorant.

— Już mu mówiłem. Syreeta też. Ale Lewis to solidny sprzedawca. Ani ona, ani ja nie lubimy za długo siedzieć za ladą. A on jest z tych, co to mogliby zasuwać od śniadania do kolacji. Teraz ciężko znaleźć takiego pracownika.

— A co, jest u was szefem działu z romansami, czy jak? Wygląda na to, że w te klocki jest autentycznym ekspertem.

Quinn spojrzał na Strange'a. — Zdziwiłbyś się.

— Bez jaj!

— Nie mówię, że to lowelas czy coś. On jest z tych, co są wierni jednej kobiecie. Tak naprawdę przez ostatnie dwadzieścia lat dochował wierności jednej panience, imieniem Rąsia.

— Mówią, że od tego też można oślepnąć.

— Ja tam dobrze widzę.

— Ja też. Tyle że ty i ja zapewne uderzamy do Rąsi w granicach rozsądku. Założę się, że nasz zwierzak Lewis zajeżdżają na śmierć!

Wsiedli do caprice'a Dereka. Strange przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zagrał pod maską. Derek spojrzał przez przednią szybę na sklep z bronią po drugiej stronie ulicy.

— Naprawdę mili goście, uruchomili lokal pół mili za granicą Dystryktu. To wielka wygoda dla szczawi z centrum, nie muszą jechać kawał drogi, żeby sobie kupić gnata.

— I tak ich tu nie kupują. Za dużo ograniczeń, a poza tym na cholerę komu zarejestrowana broń? Tutaj tylko robią sobie suche testy tego, co na składzie.

— Jakby mnie kto pytał, na jedno wychodzi.

— Myślisz jak stary gliniarz — stwierdził Quinn.

— Aż tak?

— I jeździsz radiowozem. Model z dziewięćdziesiątego, nie?

— Nie, rok starszy. Trzy i pół litra, wzmocnione zawieszenie. Grubsze stabilizatory, gaźnik odporny prawie na wszystko. Może nie taki szybki, jak te LTI, no wiesz, model z dziewięćdziesiątego szóstego z silnikiem od corvetty. Ale jak się rozbuja...

— A nie zdarza ci się, że kogoś śledzisz i spalisz robotę, bo rozpoznają wózek?

— Czasami. Kiedy muszę śledzić z bliska, wynajmuję sobie jakąś brykę.

— Szczerze mówiąc, kiedy podjechałeś pod księgarnię, myślałem, że *jestes* gliną. Nawet nie tylko przez auto. Postawa cię zdradza.

— No tak, nawet wczoraj rozgryzła mnie jedna babcia w Langdon Park. Kiedy człowiek pochodzi trochę z odznaką, nie da się już chyba zgubić tego wyglądu.

— Znaczy, że...

— Aha — przytaknął Strange. — Byłem gliniarzem, aż przestałem.

Jak ty.

— Jak dawno to się stało?

— Już chyba ze trzydzieści lat, od kiedy nie chodzę w mundurze.

Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego.

Strange pociągnął za dźwignię zmiany biegów i ruszył z miejsca.

Pojechali na południe wzdłuż Georgia Avenue, słuchając muzyki z magnetofonu. Tuż za skrzyżowaniem z Kansas Avenue Strange pokazał siedzibę swojej firmy, pośrodku wąskiego pasa budynków nieco odsuniętych od ruchliwej ulicy.

— To moje miejsce — powiedział. — Moje biuro.

— Fajne logo.

— Aha, mnie też się podoba.

— Co, sprzedajesz też lupy?

— Facet, tu pracuje detektyw. Dziecko zobaczy ten znak i kuma, o co chodzi. Ba, nawet twój kumpel Lewis by zajarzył, gdyby stanął bardzo blisko i uważnie się przyjrzał...

— Dobra, już łapię — Quinn spojrział na bar o nazwie Figle i Zbytki po drugiej stronie ulicy. — A to co, twoja melina?

Strange nie odpowiedział. Podkreślił głośność muzyki i śpiewał pod nosem: — Oboje wiemy, że to nie w porządku, lecz zbyt dobrze było nam już od początku, by teraz zerwać...

— Już gdzieś to słyszałem — rzucił Quinn. — Koleś posuwa zameżną kobitkę, nie?

— No, to trochę bardziej subtelna sprawa. Otóż pan Billy Paul tym jednym singlem usprawiedliwił całą swoją muzyczną karierę. Cieszę się, że nagrałem go na taśmę, zanim przepadła moja kolekcja winyli. Musiałem wszystkie wyrzucić, kiedy parę lat temu pieprznęły mi rury w domu.

— Założę się, że dałoby się to dostać na kompakcie.

— Mam nawet odtwarzacz. Ale wolę winyle. Wczoraj słuchałem takiej taśmy Blackbyrds, „Flying Start”. I przypomniały mi się napisy na koszulce oryginalnej płyty. Cholera, chciałbym ją dziś mieć! — Strange uśmiechnął się lekko, zasłuchany w muzykę. — To nawet piękne, nie?

— Dla tych, co wtedy żyli... czemu nie.

— Co, nie lubisz muzyki?

— Lubię, kiedy mówi o moim świecie. A ty? Słuchasz czasem jakichś świeższych rzeczy?

— Niespecjalnie. Jak dla mnie muzyka kończy się na starych pościelówkach. Po siedemdziesiątym szóstym czy siódmym nie mam już czego słuchać.

— W siedemdziesiątym siódmym to ja miałem osiem lat.

— I od razu wiadomo, czemu nie podoba ci się ten kawałek — Strange spojrział na swojego pasażera. — Jesteś chłopak z Dystryktu, nie?

— Z Silver Spring.

— Poznałem po głosie.

— Ja skończyłem stary ogólniak Blair. A ty?

— Imienia Roosevelta. Wychowałem się właśnie w tej dzielnicy. Wciąż tu mieszkam.

Quinn rozejrzał się po rojowisku sklepików z piwem, wodą czy towarami za dolara, zakładów fryzjerskich, pralni i knajpek, gdzie serwowano chińszczyznę albo smażone kurczaki. — Moi dziadkowie mieszkali jeszcze kawałek dalej — powiedział. — Odwiedzaliśmy ich co niedzielę, po mszy. Na rogu Trzynastej i Crittenden.

— No, mieszkam po drugiej stronie tego kwartału!

— Kiedy byłem mały, często bawiłem się w uliczce przy ich domu. Zawsze mi się wydawało, że było tam, bo ja wiem, jakoś *ciemno*.

- „Bo było tam tylu ciemnoskórych *ludzi*” — pomyślał Strange.
- To dlatego, że byłeś na obcym terenie — powiedział.
 - Aha. Trochę się tego bałem. Bałem się, ale jednocześnie kręciło mnie to, rozumiesz?
 - Jasne.
 - Pewnego dnia, jak się tak sam bawiłem, podeszło do mnie paru chłopaków.
 - Czarne dzieciaki, nie?
 - Aha. Czemu pytasz?
 - Tak tylko, wspomagam wyobraźnię.
 - No więc podeszli, i najmniejszy z nich zaczął mnie zaczepiać. Był niższy ode mnie i lżejszy.
 - W grupie to zawsze ten najmniejszy rwie się do bójki. Kurduple muszą to i owo udowodnić. I co, biliście się?
 - Aha. Bo trochę wcześniej, tamtego roku wycofałem się z bójki w podstawówce i nie mogłem sobie tego wybaczyć. Szczerze mówiąc, wciąż nie lubię tego wspominać. Śmieszna sprawa, nie?
 - Niespecjalnie. A z tym dzieciakiem w uliczce... pobiłeś go?
 - Przegrałem. Walnąłem go raz czy dwa, trochę się zdziwił, ale on wiedział, jak się bić, a ja nie, więc wylądowałem na asfalcie. Wróciłem do domu, roztrzęsiony, chociaż dumny, bo nie uciekłem. Spotkałem potem tego chłopaka, parę lat później, w dniu stypy po dziadku. Przechodził obok ich domu i zatrzymał się, żeby ze mną pogadać. Zapytał, czy nie chciałbym pograć w piłkę na boisku przy szkole.
 - I czego cię to nauczyło?
 - Skąd się bierze szacunek. Żeby nie uciekać przed walką. Jak się przegra, to trudno, ale łatwiej żyć z siniakami niż ze wstydem, że się uciekło...
 - Widzisz, młodość przez ciebie przemawia — stwierdził Strange.
 - Przyjdzie dzień, że się nauczysz, że ucieczka to żaden wstyd.

8.

Za Uniwersytetem Howarda, od skrzyżowania z Florida Avenue, Georgia Avenue stała się Siódmą Ulicą. Trzymali się jej i wkrótce wjechali do Chinatown, mijając nocne kluby, bary dla kibiców i Centrum MCI, które stanowiło punkt zaczepienia dla nowego centrum Dystryktu. Jadąc dalej, mijali kolejne kluby i restauracje, króciutki

rewir galerii i sklepów dla artystów, aż w końcu kierowany przez Quinna Strange skrzyknął w lewo, w Ulicę D, dwie przecznice na północ od Pennsylvania Avenue. Zatrzymał chevroleta w strefie zakazu parkowania, wyznaczonej przez malowane na żółto krawężniki, i wyłączył silnik. Wtedy sięgnął do schowka na rękawiczki i wyjął uruchamiany głosem dyktafon, po czym położył go na siedzeniu między sobą i Quinnem.

— Więc jesteśmy na miejscu — stwierdził. — Byliście gdzieś tutaj, tak?

— Tyle że stanęliśmy wtedy pośrodku ulicy. Wjechaliśmy dokładnie tak jak teraz, od Siódmej. Prowadził mój partner.

— Czyli Eugene Franklin.

— Zgadza się, Gene Franklin.

— A czemu żeście się tu zatrzymali?

— Byliśmy w pracy. Dopiero co rutynowo spisaliśmy faceta za złamanie przepisów — jechał maximą i olał czerwone światło na placu Mount Vernon. Jeśli chcesz dokładną lokalizację, spisaliśmy go gdzieś koło skrzyżowania Siódmej i N.

— I potem jechaliście Siódmą na południe, aż Franklin skrzyknął w lewo, w D... Coś zauważył, czy tak mieliście ustawioną trasę?

— Nie, niczego nie widzieliśmy, zanim nie skrzyknął. W nocy ten odcinek D nie jest oświetlony, mało co się tam dzieje. Zero pieszych. Kiedy zajdzie słońce, po asfalcie spacerują szczury, jakby to była ich dzielnica.

— A tamtej nocy? Co zobaczyliście, kiedy zjechaliście w D?

Quinn przymrużył oczy. — To była sytuacja konfliktowa. Przy krawężniku stał czerwony jeep, wrangler, a przed nim jakaś syfiasta toyota. Zaraz przy toyocie klęczał facet, dociskając kolanem klatkę piersiową innego, przyduszając go do asfaltu. W dłoni napastnika pistolet. Samopowtarzalny. Wylot lufy wbity w twarz tego przyciśniętego gościa.

— Opisz tego napastnika.

— Czarny, dwadzieścia pięć do trzydziestu lat, średnia sylwetka, ubranie takie codzienne.

— A ten facet, którego przyciskał do ziemi?

— Biały... — Quinn spojrział na Strange'a, po czym odwrócił wzrok. — Około trzydziestki, ubranie też codzienne, chuderlawy.

— Więc wraz z partnerem przypadkiem natknęliście się na tę scenę *konfliktu*. I co dalej?

Quinn odetchnął powoli. — Gene mówi: „Patrz!”. Ale ja już wcześniej zauważyłem sprawę, już miałem w garści mikrofon. Wcisnąłem guzik i wzywam wsparcie, a Gene włącza koguty i ciśnię na klakson. Napastnik spogląda na nas, kiedy słyszy syrenę, a Gene zatrzymuje radiowóz pośrodku ulicy. Tyle, że ta nasza obecność wcale nie zmienia zamiarów napastnika...

— Masz dar czytania w myślach?

— Ujmę to inaczej. Napastnik wciąż celuje do faceta, którego przyduł do ziemi. Wie, że jesteśmy glinami, ale to nie zmienia jego nastawienia. Z mojego punktu widzenia wciąż ma te same zamiary.

— A te zamiary, znaczy, tego czarnego napastnika, to chęć zadania bólu temu białemu facetowi, którego przyciska do asfaltu.

— Widziałem tylko, że jeden mężczyzna celuje do drugiego na ulicy.

— Dobra, Quinn. Dawaj dalej. Więc gdzie teraz jesteś? Znaczy, ty i twój partner.

— Powiedziałbym, że tak ze dwadzieścia pięć jardów od tamtych dwóch...

— Okej — mruknął Strange.

Quinn potarł kciukiem dolną wargę. — Natychmiast wysiadam z wozu i słyszę, jak Gene otwiera swoje drzwi, kiedy wyciągam broń z kabury. Więc wiem, że stoi za drzwiczkami od strony kierowcy, wiem też, że Gene również wyciągnął już pistolet.

— I co robisz dalej?

— Celuję w napastnika. Wrzeszczę do niego, żeby rzucił broń i położył się twarzą do ziemi. On krzyczy coś do mnie. Nie słyszę zbyt dobrze, co do mnie mówi, bo przekrzykuje go Eugene, powtarza mu to samo co ja: żeby rzucił broń. Światła... czerwone i niebieskie światła kogutów omiatają scenę jak stroboskopy, zza pleców słyszę też trzaski z naszego radia.

— To mi brzmi jak wielkie zamieszanie.

— Owszem. Obaj z Gene'em wrzeszczymy, do tego te światła i radio, a napastnik krzyczy coś do nas, ale wciąż celuje prosto w twarz tego drugiego.

— Co krzychał Wilson... to znaczy, *napastnik*?

— Nazwisko — odparł Quinn. — Swoje nazwisko i jakiś numer. Nie dotarło do mnie... dopiero później uświadomiłem sobie, że ten numer, który wykrzykiwał, to był numer jego odznaki. Wciąż jednak trzymał swój pistolet przy twarzy tamtego gościa. Znaczy, do chwili, kiedy na nas spojrzał.

Strange wbił wzrok w przednią szybę, usiłując wyobrazić sobie obraz przedstawiany przez jego młodego pasażera.

— Co takiego się stało, kiedy spojrział na was, Quinn?

— To była tylko chwila. Spojrział na mnie, potem na Gene'a, i przez jego twarz przeszło coś paskudnego. Nigdy tego nie zapomnę. Był na nas wściekły, na mnie i na Gene'a. Więcej niż wściekły: w tej chwili miał minę zabójcy. Uniósł broń w naszą stronę, a wtedy...

— Wycelował w ciebie?

— Niedokładnie — Quinn nieco ściszył głos. — Jak mówiłem, ruszył ręką. Omiótł mnie lufą, a miał taki wyraz twarzy... W moim umyśle nie było cienia wątpliwości... Wiedziałem... Naprawdę *wiedziałem*, że on zaraz pociągnie za spust. Eugene wykrzyknął moje imię, a ja zacząłem strzelać.

— Ile razy?

— Oddałem trzy strzały.

— Z miejsca, w którym stałeś?

— Mówią, że podchodziłem do niego, strzelając. Tego nie pamiętam.

— Według artykułów prasowych trajektorie ran wlotowych i rozrzut łusek dla tego typu broni potwierdzają twoje zeznania. Tyle że łusek nie znaleziono w jednej grupie. Wydaje się, że podszedłeś bliżej i oddałeś do niego trzeci strzał, kiedy Wilson już leżał. Trzecią łuskę znaleziono około dziesięciu stóp od ciała.

— Nie pamiętam, żebym podchodził bliżej — odparł Quinn. — Wiem, co pisali, wiem, gdzie znaleziono łuski, ale nie pamiętam. I nie uwierzę, że strzeliłem do niego, kiedy już leżał. Może już *upadał*, wciąż celując do nas...

— Nie obawiałeś się, że trafisz tego drugiego?

— W tamtej chwili obchodziło mnie przede wszystkim bezpieczeństwo moje i mojego partnera. Już wcześniej się do tego przyznałem — Quinn spojrział wściekle na Strange'a. — Jeszcze coś?

— Dobra, Quinn, odetchnij głęboko, uspokój się.

Zapisał pager Strange'a, który odpiął go od paska i spojrział na wyświetlacz.

— Wybacz, stary — powiedział do Quinna i pochylił się przed nim, żeby otworzyć schowek na rękawiczki i wyjąć telefon komórkowy.

Wybrał numer na klawiaturze.

— Co jest, Ron? — odezwał się do mikrofonu. — Aha — zmarszczył brwi. — I co, chcesz mnie prosić, żebym to za ciebie załatwił, bo pojechałeś na ulicę K po odbiór garnituru? ...Jasne, wiem, że nie możesz go tak po prostu odebrać, musisz go jeszcze przymierzyć.

...Aha. ...Nie, to nie tak, że cię nie rozumiem, bo kupuję sobie denne ciuchy z masówki. ...Ja cię świetnie rozumiem. ...Uwierz mi, to nic z tych rzeczy. To nie problem, Ron. Co, tak to brzmi? Dawaj te namiary, facet.

Strange zapisał dane, posługując się długopisem na sznurku i notatnikiem przymocowanym do deski rozdzielczej. Bez słowa rozłączył się i wrzucił telefon do schowka, nieco za mocno zatraskując klapę.

— Mam coś do załatwienia. Facet był oskarżony o kradzież z włamaniem, wyszedł za kaucją i dał nogę. Mamy takiego kapusia, czasem go używamy, siedzi sobie właśnie w knajpie, do której ponoć lubi zachodzić nasz gość. No i podobno pan uciekinier właśnie tam wszedł.

— Az kim rozmawiałeś?

— To mój pracownik, młody chłopak, nazywa się Ron Lattimer.

— Więc ścigacie też tych, co nawiali na kaucji?

— Ron to załatwia. Nie lubię uganiać się za ludźmi. Tyle że Ron jest zajęty, widzisz, bo musi odebrać garniak. Więc sprawa spada na mnie. Nie powinno być problemów, widziałem akta tego typu, koleś waży góra sto dwadzieścia funtów, słowo. Nie będzie mi po drodze, ale jak chcesz, to cię podwożę z powrotem.

— Przejadę się z tobą — odparł Quinn. — Możesz mnie odstawić, jak już będzie po wszystkim.

— Jak sobie chcesz.

— I jedna sprawa... — Quinn oparł dłoń na ramieniu Strange'a. — Nie myśl, że nie zauważyłem, jak to sobie ustawiałeś tymi pytaniami. Wszystkie te pierdoły: czarny napastnik, biały facet, czarny to, biały tamto. To, co się stało tamtej nocy, możesz sobie malować w dowolnych barwach, jeśli od tego poczujesz się lepiej. Ale to nie miało żadnego związku z moją czyjego rasą.

— Ty mnie nie ucz — odparł Strange. — Ty mnie nie ucz, bo jestem *czarny*, starszy od ciebie o dwadzieścia pięć lat, i swoje *wiem*. Po prostu próbuję ustalić prawdę, a jeśli po drodze nadepnąłem ci na odcisk czy uraziłem dumę, pech, stało się. Nie odwiedziłem cię dzisiaj, żeby sobie znaleźć kumpla, Quinn. Mam wielu przyjaciół i nie potrzebuję kolejnego. Po prostu robię swoje.

Odpalił silnik caprice'a, wrzucił bieg i zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni pośrodku ulicy.

— Jeszcze jedno — odezwał się Quinn. — Od tej pory przestań, cholera, mówić do mnie „Quinn”. Wolę po imieniu. Jestem Terry, jasne?

Strange skrzył w prawo w Siódmą i dodał gazu. Chichocząc pod nosem, sięgnął do daszka po okulary przeciwsłoneczne.

— Co cię tak bawi?

— Narwany z ciebie gość — odparł Derek.

Quinn wyrzwał przez okno, rozluźniając nieco mięśnie żuchwy. — Nie ty pierwszy mi to mówisz.

— Ta historia o bójce w uliczce. Że cię telepało, że jednocześnie byłeś przestraszony i podekscytowany. Od małego lubiłeś ostrą akcję, co?

— No, chyba tak.

— To nic dziwnego, że wylądowałeś w tym zawodzie. Jesteś jaki jesteś, załóż się, że zawsze chciałeś być gliniarzem.

— Zgadza się — przytaknął Quinn. — I byłem dobrym gliną.

9.

Bar znajdował się przy ulicy M w dzielnicy Południowo-Wschodniej, na końcu pasa knajp otoczonego przez ogrodzone parkingi, warsztaty samochodowe i kępy zeschłej trawy. Strange zaparkował i skinął głową ku lokalowi na rogu, piętrowemu murowańcowi bez okien. Szyld nad drzwiami głosił: „Toot Sweet: Piękne Dziewczyny”.

— Piszą, że tam w środku są piękne dziewczyny — rzucił Quinn.

— To dlatego, żeby faceci, co gustują w brzydkich, nie rozczarowali się po wejściu — wyjaśnił Strange. — Jak Ron dał mi adres, powinienem był się domyślić, że to będzie knajpa ze striptizem.

— Jak się nie mylę, w tej okolicy mają też łaźnie.

— Tu każdy znalazłby coś dla siebie. Akurat tutaj faceci przychodzą gapić się na babki. Jak chcesz, poczekaj w wozie.

— Ja też lubię gapić się na babki.

— Wedle woli — Strange z powrotem włożył okulary za daszek przeciwsłoneczny. — Tylko daj mi robić swoje i nie wchodź mi w drogę.

Strange wyjął z bagażnika jakieś papiery. Kiedy się odwrócił, Quinn zauważył zwisające z jego paska narzędzie wielofunkcyjne, nóż myśliwski i pager.

— Dali ci chociaż do tego całego złomu jakiś ekstra bonus? — zapytał.

— Ale śmieszne — odpalił Strange.

W drzwiach klubu Strange zapłacił za wejście i poprosił o rachunek. Bramkarz, czarny typ, który zdaniem Quinna miał w sobie nieco hawajskiej albo samoańskiej krwi, odparł: — Nie mamy pokwitowań.

— To weź jakieś dla mnie zrób — powiedział Strange.

— Jak „zrób”?

— No wiesz, posłuż się wyobraźnią. Będziemy przy barze. Jak już skończysz, przynieś.

Przeciskali się przez tłum. Z początku Quinn myślał, że to sami Murzyni, ale przyjrzał się klientom bliżej i zauważył, że poza Afroamerykanami byli tam również inni ciemnoskórzy: Arabowie i Pakistańce, typowi kierowcy taksówek. Kiedy jeszcze był gliną, jego partner Gene mawiał na nich „Kaszmiry” albo „taksi-kolory”.

Na kilku rozrzuconych po sali podestach dziewczyny, również czarne lub mieszanej krwi, gładziły stalowe rurki biegnące od sufitu do podłogi, ich jedyne sceniczne rekwizyty. Panienki nie były piękne, ale gołe od pasa w górę, i tylko to się liczyło. Wokół podestów stali faceci, każdy z piwem w jednej garści i plikiem dolarów w drugiej. Inni siedzieli przy stolikach, popijając i wciskając napiwki kelnerkom, które wkrótce również miały wskoczyć na rurki. Byli też tacy, co spali z opuszczonymi głowami, zalani w pestkę.

Strange i Quinn dotarli w końcu do zaniedbanego kontuaru, wilgotnego i usianego mokrymi serwetkami oraz brudnymi popielniczkami. Z jednej, stojącej przed nimi wciąż kopał niedogaszony papieros — Strange zdusił żar. Lokal nie był wentylowany, śmierdziało w nim nikotyną i rozlanym piwem.

— Syf — mruknął Strange, wziął serwetkę ze stosika i wytarł sobie dłonie. — Pewnie mają w tej budzie kuchnię, ale w życiu niczego bym tu nie zjadł.

Zerknął przez ramię. Quinn wiedział, że Derek szukał teraz tylko jednej twarzy.

Paru stojących przy barze Murzynów przyglądało się im, nie odwracając wzroku, nawet kiedy Quinn hardo na nich spoglądał. Terry wiedział, że widok białego i czarnego mężczyzny wchodzących razem do takiego lokalu był rzeczą niezwykłą — i podejrzaną. Dla klientów przy barze wyglądali albo na gliny, albo na kumpli, może nawet na pedałów, z tych przyjaciół, co „grają w przeciwnej drużynie”. Dla tych, którzy ich obserwowali, czarno-biała para była sprzeczna z naturą i z kulturą.

Zbliżał się barman, więc Strange zagadnęła Quinna: — Chcesz piwo?

— Dla mnie za wcześniej — odparł Quinn.

— Daj mi ginger ale — polecił Strange barmanowi, który miał wilgotną wykałaczkę zatknietą za uchem. — Z butelki.

— Dla mnie coca-cola, tak samo.

Quinn odwrócił się i oparł plecami o kontuar. Wypatrzył tancerkę, której mógł się przyglądać bez bólu. Obserwował jej piersi, ich barwę i kształt, zastanawiając się, czy biust Juany będzie wyglądać tak samo. Podrywał już czarne kobiety, ale jeszcze nie był z żadną w łóżku, nie na całość. Miał się spotkać z Juaną dziś wieczorem, u niej. Będzie miał czas, żeby ochłonąć — niech Bóg ma ją w swojej opiece, gdyby w tej chwili wpadli na siebie...

— Masz swoją colę — rzucił Strange. — Wzrok sobie popsujesz, jak się będziesz tak gapił. Skończysz jak ten twój kumpel Lewis, też będziesz nosił takie bryle. I co, znajdzie się wtedy dziewczyna, która na ciebie spojrzy?

Quinn obrócił się z powrotem twarzą do baru. Pociągnął duży łyk ze swojej szklanki. Z głośników dudniła piosenka Prince'a z lat osiemdziesiątych i Terry zaczął bębnić palcami po szkle.

— Pamiętasz ten kawałek? — zapytał.

— Pewnie. Z tą szkocką laską z kosmosu w wideoklipie. Fenomenalna panienska, facet.

— Lubisz Prince'a? Tak z ciekawości pytam, w końcu to nie twoja era i w ogóle.

— Da się znieść. Tylko, prawdę mówiąc, za dużo w nim baby.

— Może ci serce nie pęknie, jak ci powiem, że ten kurdupel ma bankowo świetne branie u panienek.

— Może i tak, ale słucham jego muzyki, wyobrażam sobie, jak koleś liże palce, żeby przyglądać sobie brwi, jak się czołga po podłodze, robi sobie makijaż i cholera wie, co jeszcze... Dla mnie nie do przejścia.

— Czyli rasizm jest be, ale takie uprzedzenia są cacy.

— Po prostu mówię ci, jak jest. Jak się lepiej poznamy, sam zobaczysz: walę prosto z mostu, czy ci się podoba, co mówię, czy nie. Chodzi mi tylko o to, że wy, no, twoje pokolenie, radzicie sobie z tymi gejowskimi klimatami lepiej niż moi rówieśnicy.

— Jakbyś mnie pytał, to generalnie czarni mężczyźni raczej kiepsko sobie radzą z kwestią homoseksualizmu. Gdybyś był naprawdę szczery, sam byś to przyznał.

— I dlatego teraz będziesz mi *generalnie* opowiadał, z czym to czarni mężczyźni sobie radzą, a z czym nie. — Strange znów zerknął

przez ramię, zrobił zdziwioną minę i rzucił: — O, jest mój kolo. Wracam za minutkę.

Strange odszukał swojego informatora w korytarzu wiodącym do kuchni i toalet, i po dziesięciu minutach wrócił pod kontuar. Powiedział Quinnowi, że uciekinier, niejaki Sherman Coles, godzinę temu poszedł na piętro.

- A co jest na piętrze?
- Prywatne sesje taneczne, te rzeczy.
- kłę z tobą. Nie bój nic, nie będę ci się płątał pod nogami.
- Ale ja chcę tylko sprawdzić, jak się mają sprawy. Może jednak to nie jest dobre miejsce ani czas, żeby zwinąć tego typu.
- Jasne — Quinn podniósł z baru kawałek tekturki i podał go Derekowi.

- A to co?
- Twój rachunek.

Strange przyjrzał się kartonikowi: była to karta do gry ze zdjęciem półnagiej kobiety na koszulce. Na piersiach modelki napisano: „Kwituję odbiór siedmiu dolarów opłaty za wejście do baru ze striptizem Toot Sweet”.

- Wesoły facet — rzucił.
- Sam mu powiedziałeś, żeby się wykazał kreatywnością.
- Mojemu księgowemu się spodoba, to na pewno — Strange schował kartę w kurtce. — Jak przyjdzie czas rozliczania podatków, będzie zasuwał tyle godzin, że przyda mu się coś dla podniesienia morale.

Poszli na górę schodami okrytymi czerwoną wykładziną. Minął ich facet schodzący na parter — usunął się pod ścianę, żeby obu przepuścić, i nie chciał im spojrzeć w oczy. Miał owalną, wilgotną plamę wysoko na dżinsach, tuż poniżej krocza.

- Widziałeś gościa? — zagadnął Strange, kiedy weszli już na piętro. — Facet coś chyba na siebie wylał.
- Aha — mruknął Quinn. — Nasienie marnował.
- A w Biblii piszą, że tego się nie powinno robić.
- I pewnie właśnie pędzi do spowiedzi.
- Ja na jego miejscu to zmieniłbym przedtem spodnie.

Piętro oświetlały przyćmione żarówki w stożkowatych abażurach, a w powietrzu wisiał dym. Pod ścianą ciągnął się kolejny kontuar, zaś większość sali była zastawiona stolikami, po części pograżonymi w mroku, czasem tylko ledwie oświetlonymi. Przy stolikach paru gości

podziwiał kontaktowe tańce w wykonaniu panienek ubranych tylko i wyłącznie w stringi. Dziewczyny ocierały się o leniwie uśmiechniętych klientów rozpartych w niskich fotelach o chromowanych poręczach, napierając biustami, kroczeniem czy pośladkami, by uzyskać zamierzony efekt. Tutaj z głośników rozbrzmiewał powolny funk — gitarzysta nie oszczędzał pedału wah-wah, a basowy, męski wokół był jak jedwab.

Strange i Quinn usiedli przy wolnym dwuosobowym stoliku niedaleko kontuaru. Derek usadowił się wygodniej w fotelu i zaczął wybijać na stole rytm melodii.

— No, tak już lepiej — stwierdził. — „Joy”, śpiewa Isaac Hayes. To też miałem na winylu. Na dobrym sprzęcie dało się usłyszeć, jak pękają bąbelki szampana. Na kompaktach to już nie ta jakość dźwięku.

Skinął głową w stronę jasnoskórej dziewczyny, raczej chudej, ubranej w majtki i rozpiętą męską koszulę. Panienska zbliżała się ku nim, balansując trzymaną na dłoni tacą.

— Skoro już mowa o szampanie, spójrz no na to. Panna chce nas naciągnąć na parę kolejek.

— Życzą sobie panowie coś do picia? — zapytała dziewczyna, kiedy już dotarła do ich stolika.

— Czekamy, aż dołączy do nas ktoś jeszcze. — Strange z przymrużonymi oczami nie patrzył wprost na kelnerkę, lecz rozglądał się po sali. Z kieszeni kurtki wyjął papiery Colesa, które wyciągnął ze skrzynki na akta w bagażniku, a wśród nich fotografię ściganego. Wpatrywał się w nią uważnie, póki dziewczyna znów się nie odezwała.

— A może prywatny taniec?

— Może potem, mała.

— Mamy szampana w promocji.

— Potem, dotarło?

Spojrzała na niego gniewnie, potem dla porządku tak samo potraktowała Quinna i poszła sobie.

— Tym nieszczęsnym frajerom, którzy tu przychodzą, wciska się jakiś syf, szampan z garażu, o krok od gazowanego soku, a bulą pięćdziesiąt baksów za butelkę. Faceci na minimalnej pensji zarabiają tygodniowo sto sześćdziesiąt papieru, przychodzą tu w piątek wieczorem i przepuszczają wszystko w godzinę. Po tygodniu harówki wychodzą stąd i mogą się pochwalić tylko ciężkim łbem i wielką plamą na galotach.

— A ty co, ekspert?

Strange spojrzał na salę ponad ramieniem Quinna. — Słuchaj no, jak już chcesz płacić kobiecie za czas, jaki z nią spędzasz, zabiorę cię w

takie miejsce, że cię nie orzną. To tutaj, to zwykły przewal, i to w dodatku tandetny — zerwał się z fotela. — Wybacz, zostawię cię na chwilę, ale muszę się zająć pracą. Chyba właśnie namierzyłem Colesa.

— Potrzebujesz wsparcia?

— Robię w tym biznesie już od dawna. Chyba po prostu załatwię to sam.

— W porządku. Jakby co, to idę do kibla, muszę się odlać.

Quinn odprowadził wzrokiem Strange'a, gdy ten szedł w głąb sali, lawirując między stolikami i zbliżając się do niemal pogrążonego w mroku stołu dla czterech osób. Siedział tam nieduży facet w garniturze i rozchełstanej koszuli. W jednej dłoni miał długiego papierosa, drugą tulił duży kieliszek jakiegoś brązowego płynu.

„Jak facet chce załatwić to sam, proszę bardzo” — pomyślał Quinn. Wstał i ruszył w stronę ciemnego korytarza, standardowej lokalizacji toalet w takich knajpach.

Strange szedł w stronę stolika, przy którym siedział Sherman Coles. Pozostało mu już tylko kilka kroków, gdy z mroku wyłonił się inny mężczyzna. Wielki gość, szeroki w barach, o twardych, jakby ciosanych rysach twarzy. Pod lśniącą koszulą wyraźnie przeżyły się bicepsy.

Strange zatrzymał się w chwili, gdy nieznajomy stanął obok Colesa. Mógłby odwrócić wzrok, minąć ich stolik bez przystawiania, ale ci dwaj obserwowali go przez całą drogę i gdyby teraz próbował uników, na pewno zaczepiliby go, słowem albo i czynem. Derek zdawał sobie sprawę, że dziś nie ma już szansy ruszyć Colesa. Jak by na to nie patrzeć, był spalony. Tyle że nie było sensu odwracać się teraz plecami do tych dwóch, przechodzić obok ani próbować czegokolwiek innego. Pozostało tylko stanąć i czekać na rozwój wydarzeń. Poza tym Strange był ciekaw, co mu powie Coles.

— Szukasz kogoś, gościu?

— Owszem, szukałem — Derek zmusił się do przyjacielskiego uśmiechu. — Z drugiego końca sali wydawało mi się, że pan to facet, którego znam, jeden taki typ z okolicy, gdzie się wychowałem.

— Poważnie? — Coles mówił piskliwie, teatralnie. — Wiesz, jesteś ode mnie ze dwadzieścia lat starszy. Więc jak mogliśmy się kumpłować w dzieciństwie? Co?

Faktycznie, to niemożliwe. — Strange pokręcił głową. — Kiedy już mogę przyjrzeć się panu z bliska... Cały problem w tym, że przy tak

słabym świetle fatalnie widzę. Nawet nie ma co tu opowiadać o moich problemach z oczami.

Coles pociągnął łyczek ze swojego kieliszka i strącił popiół z papierosa. Zerknął przez ramię na stojącego za nim typa i rzucił: — Słyszałeś, Richard?

Lewe oko Richarda było do połowy obwiedzione blizną. — No, facet kiepsko widzi w tym świetle.

— Albo może wydaje mu się, że to my mamy problemy ze wzrokiem — podjął Coles. — Bo wiesz, my cię widzieliśmy, jak tam siedziałeś ze swoim partnerem rasy białej, wpatrując się w coś, co potem schowałeś z powrotem do kieszeni, i zaraz próbowałeś mnie namierzyć.

— Jak namierzyć? Radarem? — Strange parsknął śmiechem i rozłożył ramiona. — Przyjacielu, przecież mówię, że pana z kimś pomyliłem.

— No faktycznie, to twoja *pomyłka* — Coles uśmiechnął się, a potem zaciągnął papierosem.

— Nie wiem, o czym pan myśli, ale nie ma pan racji — Strange wciąż mówił spokojnie.

— Wiesz co, ja po prostu spytam twojego białego koleśka — odparł Coles, patrząc gdzieś za plecy Dereka. — Właśnie tu idzie.

Quinn zawrócił, bo wywieszka na drzwiach męskiej toalety oznajmiała, że zamknięto ją z powodów technicznych. Ruszył korytarzem z powrotem, ale zatrzymał się na moment przy leciutko uchylonych drzwiach. W oświetlonym świecą pokoju kelnerka, która parę minut temu próbowała wtrzyąć im drinki, robiła orala młodemu, rozpartemu w fotelu mężczyźnie. Jej głowa kryła się między jego udami, jej kolana grzęzły w grubym, pomarańczowym dywanie, a na stoliku obok stała taca z butelką kiepskiego szampana i dwoma kieliszkami. Strange miał rację, przewał. Obok kieliszków na blacie stała płonąca świeca, wyrzeźbiona w kształt czarnej pary splecionej w seksualnym akcie. Quinn ruszył dalej.

Wyszedł z korytarza na salę i idąc wzdłuż kontuaru, zauważył, że Strange stał w ciemnym kącie sali przed stołem, za którym siedział Coles. A z Shermanem Colesem stał wielki facet i uciskał jedną dłońią knykcie drugiej. Quinn skrzył w ich kierunku.

Wiedział, że Strange polecił mu, żeby się nie wtrącał, i myślał o tym, kiedy szedł, a zaraz potem stał obok Dereka i pomyślał: „Ale już tu jestem, i nic na to nie poradzę”. Podszedł więc bliżej do stolika, spojrzął na Colesa z góry i przybrał swoją policyjną pozę. W ten sposób

niegdyś zaznaczał, że to on tu rządzi, kiedy podchodził do okna kierowcy samochodu, który zatrzymał na ulicy.

— O, przyszło twoje wsparcie — rzucił Coles. — Jak myślisz, Richard? Ten zestaw „pieprz z solą”, co tu stoi, to gliny?

— Mnie się raczej wydaje, że kanary — odparł Richard. — E, wy dwaj, te kurtki to co, wasze mundury, czy jak?

Po raz pierwszy Strange uświadomił sobie, że także Quinn miał na sobie czarną skórzaną kurtkę. Kolejny temat do żartów dla tych ciec, ale miał to gdzieś. Skoro już Quinn popełnił błąd i podszedł do nich, Strange musiał się skupić na tym, jak obaj mogliby się stąd wydostać. Potem jednak przypomniał sobie, jak wybuchowy temperament miał Quinn. „Może jednak powinniśmy tu zostać” — pomyślał.

— Coś mi się widzi, że to nie gliny — stwierdził Coles.

— Ten biały łepiek jest za niski na gliniarza — przytaknął Richard. „Akurat” — pomyślał Quinn.

— Już prędzej łowcy nagród — mruknął Richard. Mówił niebezpiecznie cicho, aż trudno było go usłyszeć przez bas i wah-wah gitary, płynące z głośników klubu.

— W sumie też mi się tak wydawało — Coles spojrzał na Strange'a. — Co, dziadku, w tym pracujesz? Jesteś łowcą nagród?

— Jak już powiedziałem, wydawało mi się, że jest pan kimś innym — Derek wciąż jeszcze mówił dość przyjaźnie. — Pomyliłem się.

— I po co kłamać? — naciskał Coles.

— Bo się boi? — podsunął Richard. — Mnie tam wygląda na nieco splekanego. *Białasek* za to ma taką minę, jakby zaraz miał zasadzić kloca w gacie. Co, błady, nie jest tak?

— Nie jest jak? — zapytał Quinn.

— Upaskudzisz sobie gacie czy zmyjesz się stąd, zanim dojdzie do kompromitacji?

— Co powiedziałaś?

— A co, jakąm się? — Richard patrzył twardo, jego oczy błyszczały.

— Chodźmy już — rzucił Strange.

— No popatrz pan, biały gość po prostu *boi się* czarnego luda — Richard uśmiechnął się do Quinna.

— Ten biały gość? W życiu — odparł Terry.

— Ohoho, teraz wielki mały człowiek zapoda nam, jaki to ma w sobie ogień. Co, mam rację, *cipo*?

Strange pociągnął Quinna za rękaw. Ten nie ruszył się z miejsca, mierząc Richarda wzrokiem. Richard parsknął śmiechem.

— Wychodzimy — stwierdził Derek.

— No co jest? — Coles wysunął przed siebie ręce, trzymając nadgarstki przy sobie, jakby czekał na kajdanki. — Nie zabierzecie mnie ze sobą?

— Może następnym razem — żartobliwie odparł Quinn. — Do zobaczenia kiedy indziej, co?

Coles zerwał wyimaginowany łańcuch skuwający jego ręce i uniósł kieliszek w kpiarskim toaście. Upił łyk i odstawił balon na stół.

— Kiedy wasz boss czy kto tam jeszcze spyta was, dlaczego wróciliście z pustymi rękami, powiedzcie im, że wpadliście na Shermana Colesa i jego małego braciszka — oznajmił. — Że to oni was przeruchali.

Strange przytaknął. Blask jego oczu przygasł.

— Przedstawiliśmy się wam, białasie — Richard nie spuszczał wzroku z Quinna. — A wy co, nie macie się czym przedstawić?

Strange mocniej szarpnął kurtkę towarzysza.

— No chodź, stary, idziemy stąd.

Tym razem Quinn posłuchał go. Ruszyli w stronę schodów, ale śmiech braci Coles był jak dźgnięcia nożem w plecy Terry'ego.

W barze na parterze Strange dał znać barmanowi, że chce zapłacić za napoje, i przekrzykując muzykę, zażądał od kasjera, żeby mu wystawił pokwitowanie. Potem obrócił się do Quinna, który oparł się plecami o bar i patrzył na tłum klientów.

— Głupio podziałeś, gościu. Mówiłem ci, żebyś mi się nie wpierdalał w robotę?

— Nie pomyślałem — Quinn odezwał się po raz pierwszy od konfrontacji z braćmi Coles na piętrze. — I co teraz zrobisz? Masz w ogóle szansę go zgarnąć?

— Oj, pewnie, że go zwinę. Nie myślałem tylko, że ten piskliwy kurdupel ma małego braciszka, który wygląda jak mały Tyson. Trzeba po prostu podejść do tego bez dramatów, wyczekać na odpowiedni moment. To tylko praca, emocji tu nie potrzeba. Miałem sytuację pod kontrolą, póki się nie pojawiłeś i nie zachciało ci się pokazać tym ćwokom, kto tu rządzi. Musisz się nauczyć, że od czasu do czasu trzeba przelknąć nawet gorzką pigułkę.

— No tak — mruknął Quinn, przyglądając się, jak Richard Coles zszedł na parter i dyskretnie podszedł do jednej z kelnerek. Pochylił się i szeptał coś dziewczynie do ucha. — Chyba faktycznie muszę nad tym popracować.

— Żebyś, cholera, wiedział... — Strange zerknął za siebie, ciekaw, co tak przykuło uwagę Terry'ego.

Zobaczył, jak jego towarzysz odprowadzał wzrokiem Richarda Colesa, który zapuścił się w korytarz za końcem kontuaru.

— Twoja kasa, mistrzu — odezwał się po chwili do barmana. Wręczył mu pieniądze i otrzymał kwit.

— Dzięki wielkie — odparł barman, a Quinn obrócił się akurat do niego i odczytał imię wydrukowane na plakietce przypiętej do jego białej koszuli: Dante.

— Gotów? — zagadnął go Strange.

— Muszę się tylko odlać.

— Znowu? Przecież lałeś ledwie pięć minut temu.

— Sracz na górze był zamknięty. Spotkamy się przy wozie.

— W porządku — rzucił Strange i wyszedł z baru. A Quinn poczekał, aż Derek zniknie za drzwiami, po czym ruszył korytarzem.

Wychodząc, Strange uprzedził bramkarza, że zaraz będzie wracał. Podszedł szybko do auta i wyciągnął z bagażnika kajdanki oraz małą palkę, którą schował do wewnętrznej kieszeni kurtki, po czym wrócił do klubu. Wbiegł schodami na górę, biorąc po dwa naraz, i przemknął między stolikami aż do tego czteroosobowego, przy którym wciąż siedział Sherman Coles.

Coles zrobił wielkie oczy, widząc, jak Strange, nie kryjąc swoich zamiarów, zmierzał w jego stronę. Głowa włamywacza szarpała się na szyi jak ptasi łebek, kiedy rozglądał się on gorączkowo po sali, szukając znajomej twarzy.

— Tu jestem, Sherman — Strange kopnął stół, przewracając go na Colesa i posyłając niewyrośniętego opryszka na podłogę w deszczu alkoholu i popiołu z papierosów. Zaraz potem poderwał go na nogi, obrócił i szarpnął ramiona włamywacza do góry, zmuszając go, by ukląkł.

Strange zaparł się kolanem o plecy Colesa, kiedy zakładał mu kajdanki, po czym znów podniósł go na nogi.

Wtedy wyjął portfel, otworzył go i machnął licencją w stronę pozostałych klientów.

— Detektyw! — wrzasnął. — Nikt się nie będzie wtrącał, to nikomu nic się nie stanie!

Z reguły tak robił w podobnych sytuacjach, i prawie zawsze działało. Właściwie nie kłamał, a ludzie w większości przyjmowali, że „detektyw” to policjant. Kelnerki, klienci, nawet faceci, nad którymi

tańczyły dziewczyny — wszyscy zamarli, ale nikt nie podszedł do Strange'a, nikt się nie wtrącał.

Strange wciąż trzymał otwarty portfel, pokazując go wszystkim dokoła, kiedy popychał Colesa w stronę schodów.

— Zaraz, facet, a gdzie jest mój brat? — zapytał Coles.

— Pamiętasz tego białego, z którym byłem? Chyba właśnie sobie z nim rozmawia.

— Richard zrobi z niego klej.

— Wiesz co? Idź.

Na schodach Coles potknął się, ale Strange postawił go z powrotem na nogi szybkim szarpnięciem za rękę.

Coles spojrział przez ramię i rzucił: — Tak myślałem, łowca nagród.

— Teraz mówią na nas „agenci kaucyjni”, Sherman.

— Wiedziałem, że wrócisz — mruknął Coles. — Szło poznać po oczach.

— Jasne — przytaknął Strange. — Nie wiedziałeś tylko, że tak szybko, co?

Quinn szedł korytarzem, nierówno podśpiewując pod nosem kolejną piosenkę Prince'a, dudniącą z głośników głównej sali klubu. W korytarzu też wisiały głośniczki, ale te miały podbite wysokie tony, nie basy, jak tamte w pobliżu podestów, i przez ich piskliwy, przesywający dźwięk serce waliło mu jak opętane, podobnie jak na myśl o tym, co miał zamiar zrobić lada moment.

— Szykuje się piękna noc, szykuje się piękna noc...

Quinn poszedł aż na koniec korytarza, pchnął wahadłowe drzwi i przeszedł do brudnej, oświetlonej jarzeniówkami kuchni. Jaskrawe światło odbijało się od porozstawianych po pomieszczeniu stalowych blatów roboczych.

— Hej, amigo — rzucił Terry w stronę knypłowatego Salvadorczyka z cienkim wąsikiem, opasanego poplamionym białym fartuchem i opartego o stół w głębi kuchni, z papierosem w ustach.

Tamten nic nie powiedział, jego oczy również były bez wyrazu. Radio grało na cały regulator.

— Dante mnie tu przysłał — krzyknął Quinn, żeby tamten go usłyszał. Pospiesznie też rozejrzał się po kuchni i podszedł do wielkiej kuchenki mikrofalowej, na której leżał stalowy tłuczek do mięsa. Podniósł go, zważył w dłoni, machnął nim jak idiota i dodał: — Dante potrzebuje takiego w barze.

Salwadorczyk wzruszył ramionami, zaciągnął się papierosem i upuścił niedopałek na płytki podłogi, po czym zmiażdżył go obcasem znoszonego, czarnego buta.

— Zaraz ci go odniosę — obiecał Quinn, choć wiedział, że tamtego wcale to nie obchodzi. Mówił tylko po to, by słyszeć własny głos, by doładować się adrenaliną. Wypadł z kuchni równie szybko, jak do niej wszedł.

Znów był w korytarzu, teraz jednak kierował się do męskiej toalety. Zaraz pchnął jej drzwi, wszedł do środka i ujrzał Richarda Colesa, odlewającego się do jednego z pisuarów przy ścianie.

Quinn nawet nie zwolnił. Rzucił: — Hej, Richard! — a kiedy Coles obrócił się doń profilem, Terry błyskawicznie zawiął tłuczkiem i trzasnął żłobkowaną powierzchnią obucha w grzbiet jego nosa. Nos Richarda złożył się w prawo, w tę samą stronę chlusnął strumień krwi. Bryznęła też struga uryny, rozpryskując się u stóp Quinna. Pod Richardem ugięły się nogi i ledwie osunął się on na kafelki, Terry wpakował mu kopniaka w krocze. Potem kolejnego w kość policzkową, aż krew zachlapała porcelaną pisuaru. Usłyszał też własne sapanie, kiedy kopnął Richarda w zębra. Właśnie przymierzał się do jeszcze jednego kopniaka, gdy zobaczył, że z oczu czarnego mężczyzny było widać tylko białka.

Wtedy to jemu samemu zatrzęsły się ręce. Odczekał, aż zauważył, że pierś Colesa poruszała się w oddechu.

— Terry Quinn — przedstawił się i upuścił tłuczek na podłogę.

W barze aż huczało, widać było, że właśnie do czegoś doszło. Tancerki wciąż wiły się na swoich podestach, ale klienci nie patrzyli na nie, tylko zbici w grupki rozmawiali między sobą.

Kiedy Quinn szedł przez salę, inni schodzili mu z drogi. Czuł moc — znał to uczucie, choć od jakiegoś czasu go nie doświadczał. Jakby znów nosił mundur. Teraz wiedział, że właśnie tego od dawna mu brakowało. Czuł się *świetnie*.

Quinn wsiadł do auta Strange'a od strony pasażera i zajrzał do tyłu ponad zagłówkiem. Sherman Coles leżał na tylnym siedzeniu, zakuty w kajdanki.

Strange skinął głową na zakrwawione buty Quinna. — Nic ci nie jest?

— Luz.

— Gdzie mój brachol? — odezwał się Sherman z tyłu.

Ani Quinn, ani Strange nie zaszczycili go odpowiedzią.

— Skąd wiedziałeś, że dam radę stamtąd wyjść? — zapytał Quinn.

— Nie wiedziałem — odparł Strange. — Wiedziałem tylko, że dasz mi dosyć czasu.

— Gdzie mój brat?! — wydarł się Sherman.

— Zawsze wybierasz lżejszą robotę? — Quinn zapytał Strange'a.

— Kiedy tylko mogę. — Strange odpalił silnik. — Teraz muszę odstawić małego Shermana na Piątą i odwalić papierkową robotę. Wiem, że wcale nie marzysz, by być przy tym.

— Wysadź mnie przy pierwszej stacji metra, jaką zobaczysz — odparł Quinn. — Muszę już wrócić do domu. Dziś wieczorem mam spotkanie z pewną panią.

— Aha — mruknął Strange, myśląc o własnej matce. — To tak jak ja.

Derek wyjechał na ulicę i skierował samochód w stronę ulicy M.

Zerknął na Quinna, który, wciąż spięty, siedział wyprężony i bębnił knykciami w okno.

— Wiesz, Terry, podzielę się z tobą prowidzą za tę robotę. Co ty na to?

— A co ty na to, żebyśmy razem zabrali się za tę drugą sprawę?

— Razem? Nie zapomniałeś aby czasem, że to śledztwo dotyczy właśnie ciebie?

— Nie zapomniałem.

— Ale ty nie masz się czym przejmować. Komisja weryfikacyjna stwierdziła, że w sprawie tej strzelaniny byłeś czysty jak łąza. Nie mam podstaw, by w to wątpić.

— Czysty jak łąza. Taak, pamiętam, dokładnie tak to ujęli.

— Zresztą i tak nie mógłbyś pracować nad tym razem ze mną. Nie masz uprawnień do robienia takich rzeczy, które mi wolno.

— Ale skoro masz dalej to drążyć, nie chcę być poza sprawą. Strange dodał gazu i wyprowadził auto z zakrętu.

— Nie bój nic. Jeszcze z tobą nie skończyłem.

10.

Matka Dereka, Alethea Strange, przebywała w Rejonowym Zakładzie Opiekuńczym w Trzeciej Dzielnicy, rejonie Dystryktu, którego mieszkańcy byli przeważnie biali i zamożni. Zakład, łączący funkcje hospicjum i domu starców, był instytucją pochodzącą jeszcze z dziewiętnastego wieku.

Strange nie lubił domów opieki, z tego samego prostego powodu, który był źródłem jego niechęci do szpitali i zakładów pogrzebowych. Kiedy jego matka przeszła wylew kilka lat temu, zabrał ją do siebie do domu i opłacił całodobową pielęgniarkę, lecz Alethea wkrótce trafiła do szpitala z zakrzepem, po którym trzeba było amputować jej prawą nogę. Dotąd poruszała się przy pomocy chodzika, ale teraz była już przykuta do wózka, miała paraliż prawej strony ciała, a już przedtem niemal całkowicie postradała mowę, jak też umiejętność czytania i pisania. Alethea Strange zdołała wytłumaczyć jakoś jej ostatniemu żyjącemu dziecku, że chce spędzić resztę swych dni gdzieś indziej, wśród innych chorych. Przypuszczał, że poprosiła go o to tylko dlatego, że nie chciała być dla niego brzemieniem. Mimo to jednak spełnił jej życzenie i ulokował ją w Rejonowym Zakładzie Opiekuńczym, w skrzydle dla pacjentów długoterminowych, bo przyjmowano tam także pacjentów z ubezpieczalni, a nie przychodziło mu do głowy żadne inne wyjście.

Tego wieczora w holu Zakładu odbywała się jakaś zorganizowana impreza — młodzi ludzie w zielonych koszulach, chyba z jakiegoś kościoła, usiłowali wciągnąć starszków do wspólnego śpiewania. Tu na parterze była również stołówka i biblioteka, wyposażona także w akwarium. Alethea Strange nigdy nie uczestniczyła w tutejszych imprezach ani nie korzystała ze stołówki czy biblioteki, w ogóle na parter zjeżdżała tylko wtedy, kiedy pomagał jej Derek. Wiosną i wczesnym latem pozwalała synowi, by wytoczył jej wózek na ładnie urządzonej dziedziniec, gdzie czarna wiewiórka, regularny gość Zakładu, piła wodę z fontanny, stojąc na jej kamiennym obrzeżu. Alethea siedziała wtedy na nasłonecznionym kwadracie, a Derek obok niej, na kamiennej ławce, i masował jej plecy, czasami też trzymał matkę za rękę. Wydawało się, że nastrój Alethei zmieniał się na lepsze, jeśli udało się jej zobaczyć wiewiórkę.

Strange doszedł długim korytarzem aż do końca hospicjum i wjechał windą na drugie piętro. Tam kolejny korytarz, pomalowany na brudny beż, doprowadził go do skrzydła dla pacjentów długoterminowych, gdzie przebywała jego matka. Poczł też zaraz mieszanekę odorów choroby, kiepskiego pożywienia i problemów ze zwieraczami, znaną mu już do obrzydzenia.

Alethea siedziała w swoim wózku przy jednym z trzech okrągłych stolików w sali telewizyjnej, gdzie lokatorzy mogli także jeść posiłki. Obok niej siedział inny pacjent po udarze, Ormianin, którego nazwiska Strange za nic nie mógł zapamiętać, a dalej chuda jak szkielet kobieta w czymś jak skrzyżowanie leżaka z fotelem na kółkach, która nigdy się

nie odzywała ani nie uśmiechała, wpatrywała się tylko w sufit swoimi wpadniętymi, obwiedzionymi czerwienią oczyma. Przy następnym stoliku mężczyzna w śliniaczku był karmiony przez swoją żonę, zaś obok inny pacjent spał przy nietkniętej tacy z obiadem. Podbródek opadł mu na pierś. Chyba nikt nie oglądał meczu koszykówki, który pokazywano w telewizji, nikt też nie słuchał wrzaskliwego komentatora. Strange poklepał Ormianina po ramieniu, wziął sobie krzesło spod przeciwległej ściany i ustawił je przy fotelu mamy.

— Mamusiu — pocałował ją w policzek i ujął za dłoń, lekką i delikatną jak bibułka.

Uśmiechnęła się doń krzywo i powoli zamrugowała. Na krawędzi wargi zawisła jej kropla sosu jabłkowego, więc Derek starł ją serwetką, którą Alethea upuściła sobie na podolek.

— Chcesz może trochę tej herbatki, mamó?

Alethea drżącą dłonią wskazała dwa pakieciki cukru. Strange rozerwał torebeczki i wysypał cukier do plastikowego kubka z herbatą. Wymieszał płyn i włożył kubeczek w dłoń matki.

— Gorąca — powiedziała, zlewając ostatnie głoski w sykliwy szept.

— Tak, mamó. Chcesz jeszcze trochę tego mięsa?

Powiedział „tego mięsa”, bo nie potrafił określić, co właściwie tonęło w szarawym, krzepnącym sosie — drób, czy może wołowina.

Matka pokręciła głową.

Strange zauważył, że sąsiedni stolik kołysał się za każdym razem, kiedy siedząca przy nim kobieta pochylała się, by podać mężowi kolejny kęs. Wstał i poszedł do magazynka, bo wiedział, że tam składowano papierowe ręczniki. Wziął kilka sztuk, złożył je na czworo i wetknął kwadrat papieru pod nogę stołu, która nie dotykała podłogi. Kobieta podziękowała mu za to.

— Zrobiłem porządek z tym stołem — powiedział Derek do rozłożystej pielęgniarki, kiedy mijał ją w drodze powrotnej do stolika mamy.

Tamta tylko kiwnęła głową i wróciła do pogawędki z innym pracownikiem Zakładu.

Znał tę pielęgniarkę — znał z widzenia wszystkich tu zatrudnionych, byli to sami kolorowi imigranci. Ta akurat była dość wredna, choć przy nim zawsze zachowywała się przyzwoicie. Matka opowiadała mu, że ta pielęgniarka potrafiła na nią nakrzyczeć, a kiedy były sam na sam, pokpiwała sobie z niej bezlitośnie. Personel Zakładu był w większości kompetentny, nierzadko uprzejmy, ale Strange wiedział, że dwoje czy troje pielęgniarzy źle traktowało jego mamę.

Jedna taka ukradła nawet z nocnej szafki w pokoju Alethei buteleczkę perfum, otrzymaną od syna w prezencie.

Wiedział, którzy to pracownicy, nienawidził ich za to, ale cóż mógł zrobić? Już dawno zdecydował, że nie doniesie na nich zarządowi Zakładu. Nie mógł zbyt często odwiedzać mamy, a mściwa pielęgniarka mogłaby się pod jego nieobecność posunąć do Bóg wie czego. Wobec tego próbował tylko dać im do zrozumienia, że ma ich na oku. Modlił się, żeby spojrzenia, jakimi ich obrzucał, powstrzymały ich, nim następnym razem spróbują ubliżyć jego matce jak ostatni tchórze.

— Miałem dzisiaj w pracy trochę przygód, mam — zaczął jej opowiadać historię Shermana Colesa, jego brata i tego młodego eksgliny, który też się w to wplątał. Zrobił z tego wesołą i niegroźną anegdotkę, bo wiedział, że mama martwiła się o niego i niepokoił ją sposób, w jaki jej syn zarabiał na życie. „A może już przestała się zamartwiać?” — pomyślał. Może już nie myślała o tym, jak to się żyło poza Zakładem, nie potrafiła już tego sobie wyobrazić, podobnie jak jej rodzinnego miasta i ludzi w nim mieszkających.

Kiedy skończył, mama uśmiechnęła się krzywo, tak jak teraz mogła, odsłaniając bezzębne dziąsła. Strange odpowiedział jej uśmiechem, nie patrząc na przebarwienia skóry, ramiona jak patyki, uwiędłą nogę i zwiotczałe piersi, które opadały jej niemal do pasa. Widział tylko jej oczy, bo one się nie zmieniły. Były ciemnobrązowe, pełne miłości — i piękne, jak zawsze, jak wtedy, kiedy był małym chłopcem, kiedy Alethea Strange była młoda, tętniąca życiem i silna.

— Do pokoju — powiedziała.

— Jasne, mam.

Zawiózł ją z powrotem do pokoju, z którego miała widok na parking poczty. W szafce nocnej znalazł grzebień i zaczął rozczesywać jej przerzedzone, siwe włosy. Alethea była już niemal łysa. Na skórze jej głowy Derek widział brodawki i inne oznaki wieku.

— Ładnie wyglądasz — stwierdził, kiedy już skończył.

— Synu — uniosła na niego te swoje oczy i zachichotała. Jej wychudzone ramiona unosiły się i opadały w parkosyzmach rozbawienia.

Alethea wskazała okno pokoju. Strange podszedł do parapetu i wyjrzał na gzyms. Mama uwielbiała ptaki, zawsze kochała obserwować, jak budują gniazda.

— Jeszcze żaden nie zaczął roboty, mam — powiedział. — Musisz poczekać do wiosny.

Po drodze do wyjścia z oddziału zatrzymał się przy tej wielkiej pielęgniarce i uśmiechnął się do niej drapieżnie, na pograniczu grymasu.

— Opiekuj się moją mamą jak trzeba, jasne?

Ruszył do windy, próbując rozluźnić szczękoscisk i oddychać powoli. Jak zwykle kiedy stąd wychodził, zaczął się zastanawiać, do kogo by tu zadzwonić tego wieczora. Każda wizyta w Zakładzie sprawiała, że potrzebował kobiety. Starość, choroba, samotność i ból... żadnego cierpienia nie da się uniknąć, ale kochając się z kimś, można było zaprzeczyć jego istnieniu, choćby na chwilę. O tak, będąc w łóżku z kobietą, szczytując w tym ciepłym, ssącym uścisku, dało się nawet rzucić wyzwanie śmierci.

Chcesz jeszcze odrobinę?

— Pewnie.

Terry Quinn wyciągnął rękę nad stołem i uzupełnił zawartość kieliszka Juany Burkett. Juana pociągnęła łyk hiszpańskiego czerwonego wina i poprawiła się na krześle.

— Naprawdę dobre.

— Kupiłem u Morrisa Millera. Na etykietce napisali, że jest z nerwem i satysfakcjonujące, z nutką ziemi.

— Cale szczęście, że dowiozłeś je w całości!

— Kiedy tu jechałem metrem, tuliłem butelkę jak małe dziecko.

— Naprawdę powinieneś kupić sobie samochód, Terry.

— Kiedy nie był mi potrzebny, aż do niedawna. Pracę mam blisko domu, do centrum mogę sobie jeździć metrem, jeśli już muszę. Dopiero teraz zacząłem myśleć, że może przydałoby mi się jakieś auto.

— Czemu właśnie teraz?

— Bo z twojego domu do stacji metra przy uniwerku jest jednak niezły spacer.

— Cóż za pewność siebie — oczy Juany rozjarzyły się rozbawieniem. — Myślisz, że jeszcze kiedyś cię zaproszę?

— Nie wiem. Ale jak dalej będziesz robiła takie kolacje, nie będę czekał na zaproszenie. Będę skamlał jak pies, żebyś mnie wpuściła, drapał we frontowe drzwi. Fenomenalnie gotujesz, powaga.

— Poszczęściło mi się. To danie robiłam naprawdę pierwszy raz. Linguali z młodziutkimi kaparami i krewetkami... kiedy zobaczyłam przepis w „Washington Post”, wyglądało obłędnie.

— I było takie. — Quinn odsunął wymieciony talerz. — Następnym razem to ja zabieram cię na kolację. Mała włoska knajpka na Sligo

Avenue, nazywa się Vicino's... dają papryczki z anchois, takie, że aż popłakać się można.

— Przecież ty mieszkasz przy tej ulicy.

— Dlatego możemy się tam przejść — odparł. — Póki nie kupię samochodu, ograniczymy się do najbliższego sąsiedztwa.

Juana poszła do kuchni po kawę i koniak. Quinn wstał i podszedł do kominka, gdzie paliła się „kłoda” ze sprasowanego papieru — kolorowe płomienie zataczały idealny łuk. Terry zdjął pudełko płyty ze stosu leżącego na wieży: Luscious Jackson. Muzyka dla lasek, jak cały ten rock i soul z żeńskimi wokalami, który puszczała tego wieczora.

Stacja, na której mieszkała Juana, zdecydowanie korzystnie odcinała się od reszty. Dom wynajmowało młode małżeństwo na studiach magisterskich, Linda i James. Quinn spotkał ich zaraz po przyjeździe — ładna para, mili ludzie, a i wyrozumieli jak nie wiadomo co, bo praktycznie natychmiast zmyli się na piętro. Juana powiedziała mu, że James i Linda mieli całe piętro dla siebie, a ona mieszkała w przystosowanej do tego suterenie, w zamian pokrywając ćwierć czynszu. Meble kupiła używane, ale znośne. W całym domu wisiały oprawione, małego formatu reprodukcje obrazów Edwarda Hoppera, Degasa, Cézanne'a i Picassa.

Juana wyszła z kuchni, balansując tacą na jednej dłoni. Miała na sobie białą, zapinaną bluzkę, czarne dzwony i buty na grubych koturnach tej samej barwy. Czarne jak noc oczy podkreśliła jeszcze smolistą kredką. Postawiła tacę na stoliku i zaczęła przechodzić od jednego okienka do drugiego, opuszczając wiszące we wnękach rolety.

— Chcesz sięść na kanapie?

— Spoko — odparł Quinn.

Przysunął kanapę bliżej kominka. Pili czarną kawę i sączyli Napoleona.

— Ściągnęłam z internetu wszystkie zeszloroczne artykuły o twojej sprawie — powiedziała.

— Poważnie?

— Aha. Dziś wszystko sobie przeczytałam — spojrzała w płomienie. — Wygląda na to, że w policji jest straszny burdel.

— Bo nie jest dobrze.

— Wszystkie te oskarżenia o brutalność. A gliniarze oddają więcej strzałów w przeliczeniu na jednego mieszkańca, niż w jakimkolwiek innym mieście w tym kraju.

— Bo „w przeliczeniu na jednego mieszkańca” mamy tu więcej niebezpiecznych przestępców, niż jakiegokolwiek inne miasto.

— A niedostatki wykszolenia? Ten wielki nabór z końca lat osiemdziesiątych. W gazetach pisali, że wielu z nich było zupełnie pozbawionych... no, umysłowych kwalifikacji niezbędnych do pracy w policji.

— Mnóstwo z nich naprawdę się *nie* nadawało. Ale nie wszyscy. Wśród nich byłem także ja, a miałem już dyplom z kryminologii. Nie trzeba było natychmiast przyjmować do pracy aż tylu ludzi, ale władze spanikowały. Federalni żądali jakichś środków zaradczych przeciwko epidemii cracku, a najprostszym rozwiązaniem było zwiększenie obecności policji na ulicach. Co z tego, że rekruci się nie nadawali, że niewystarczająco ich przeszkolono. Co z tego, że nasz poprzedni porąbany burmistrz praktycznie rozwiązał miejską policję i systematycznie obcinał jej fundusze przez cały okres swoich „wybitnych” rządów...

— Nie chcesz do tego wracać, co?

— Niespecjalnie.

— A co z bronią, w jaką wyposażono policję? — zapytała. — Mówią, że te pistolety...

— To nie z bronią był problem. Nie można dać policjantowi do ręki pięciopalcowej trzydziestki ósemki i posłać go przeciwko ludowi uzbrojonemu w miniaturowe peemy TEC-9 czy pistolety zmodyfikowane, żeby strzelały seriami. Glock siedemnastka to dobra broń. Jak dla mnie wygodna w obsłudze, i dobrze z niej strzelałem. Nie zaliczyłem strzelniczy tyle razy, ile powinienem zgodnie z regulaminem, ale regularnie wyjeżdżałem postrzelać za miasto... Słuchaj, uwierz mi: umiałem się posługiwać tym pistoletem, na sto procent. Nie z nim był problem.

— Przepraszam.

— Nie ma sprawy.

— Teraz to pewnie sobie myślisz: „Baba gada o rzeczach, o których nie ma zielonego pojęcia. Zaraz sama mi powie, jacy są gliniarze i jak to jest na mieście”.

— Ależ skąd — skłamał. — Tak czy inaczej, policja ma nowego szefa. Z tej strony sytuacja na pewno się poprawi, zobaczysz. Jeśli mam jakieś wątpliwości, to chodzi o reakcję przestępców.

Juana pogładziła dłoń Quinna. — Nie chciałam cię denerwować.

— Nie jestem zdenerwowany.

— Nigdy nie byłam z kimś, kto by pracował w tej branży. Chyba próbuję, bo ja wiem, wmówić sobie samej, że umawianie się z tobą to nic złego. Myślę, że po prostu próbuję cię rozgryźć.

— To jest nas dwoje — odrzekł Quinn.

Przysunęła się bliżej, ramieniem opierając się o jego pierś. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

A potem Quinn powiedział: — Poznałem dziś jednego faceta. Starszy gość, prywatny detektyw. Murzyn, kiedyś, dawno służył w policji. Mogę mówić „Murzyn”, co?

— Och, daj spokój. Chyba nie zaczniesz zgrywać jednego z tych, co mówią, że nie widzą koloru skóry?

— No, ślepy nie jestem.

— Dzięki. Kiedyś byłam na takim przyjęciu. Biała dziewczyna mówiła o jakimś facecie, i jej kumpel wtrącił: „Chodzi ci o tego czarnego gościa?”, a ona na to: „Nie wiem, nie pamiętam, jakiego koloru jest jego skóra”. Mówiła to przez wzgląd na mnie, rozumiesz, chciała mi dać do zrozumienia, że „ona nie jest taka”. Nie zdawała sobie tylko sprawy z tego, że czarni leją z takich gości i gardzą nimi równie mocno jak otwartymi rasistami. Z rasistą człowiek przynajmniej wie, na czym stoi. Później dowiedziałam się, że ta dziewczyna mieszka w takiej dzielnicy, gdzie czynsze są dużo wyższe, żeby lokatorzy i ich dzieci nie doświadczali dyskomfortu spotkania kolorowych na spacerach.

— Znam ten ból — odrzekł. — Kiedyś mieszkałem w suterenie u takiego jednego gościa w takiej okolicy, milę, może dwie od mojego obecnego mieszkania.

— Wiem, te antyatomowe bastiony liberalnej myśli?

— Otóż to... Więc masa moich sąsiadów, mieszkających na tej ulicy, naklejała na zderzaki samochodów rzeczy typu: „Uczmy pokoju”, „Celebryjmy różnorodność”, takie tam. Widziałem ich córeczki, które bawiły się, wożąc czarne lalki w swoich zabawkowych wózekkach. Kiedy jednak miały urodziny, ani razu na imprezie dla takiego białego dziecka nie widziałem *żadnego* czarnego malca. Żadnych dzieci z „tamtych mieszkań” niedaleko. Ludzie stamtąd naprawdę wierzyli, że wystarczy nakleić znaczek na swoje volvo i dać dziecku do ręki czarną lalę, i sprawa załatwiona.

— Zaraz się zapocisz, Terry.

— Przepraszam. — Potarł brzeg wargi. — No więc tak czy inaczej, spotkałem dziś tego starszawego *Murzyna-detektywa*.

— No i? Czego chciał?

Quinn opowiedział jej, jak mu minął dzień. Kiedy doszedł do akcji z Richardem Colesem, powiedział, jak to „zajął się nim” w toalecie, gdy tymczasem Strange, ów starszawy detektyw, dokonał aresztowania.

— Uśmiechnąłeś się teraz, wiesz? — zauważyła. — No, kiedy opowiadałeś tę historię.

— Poważnie?

— Dobrze się czuleś, kiedy mogłeś do tego wrócić, nie?

Quinn wspomniał cios tłuczkiem, bryzgającą krew. — No, chyba tak.

— Lubisz, gdy się coś dzieje — stwierdziła. — Więc czemu odszedłeś z policji?

— Masz rację — przytaknął. — Fajnie jest być gliniarzem. I ja nie byłem winny tej strzelaniny. Dałbym wszystko za to, żeby cofnęły się te strzały do Chrisa Wilsona, żebym nie był sprawcą jego śmierci. Ale to nie był mój błąd. Zostałem *oczyszczony* z zarzutów, Juana. Zważywszy jednak na cały ten rozgłos i gadanie o rasizmie w policji, no, wszystkie oskarżenia, które się potem ukazały... uznałem, że odejście do cywila było jedynym słusznym wyjściem.

— Już wystarczy — Juana widziała, że Quinn znów zaczął marszczyć brwi. — Nie chciałam...

— Nic się nie stało.

Juana obróciła się ku niemu i oparła dłoń na jego piersi. Quinn objął ją ramieniem.

— O, tak to już lepiej — stwierdził.

Juana roześmiała się. Jej czarne oczy lśniły życiem. — Tak leciutko drżysz, wiesz?

— To tylko dlatego, że jesteś tak cholernie piękna...

— Dziękuję — pogładziła go po włosach za uchem. — No i co zamierzasz z tym teraz robić?

— Hm, chyba będę dalej pracował w księgarni, póki czegoś nie wymyślę.

— Chodziło mi o *tu* i teraz.

— Może pocałować cię w usta?

— Jak na kształconego faceta, strasznie powoli odczytujesz sugestie — stwierdziła.

— Myślałem, że przez grzeczność powinienem najpierw zapytać — odparł.

— Zapytać? — Pochyliła się, nadstawiając wargi. — Cholera, a ja omal nie zaczęłam cię błagać...

11.

Po wejściu do domu Derek odsłuchał wiadomość z automatycznej sekretarki: Janine zapraszała go na kolację w towarzystwie jej i Lionela. Jak powiedziała, wyszło jej „trochę za dużo” kurczaka i byłoby szkoda, żeby „tyle jedzenia się zmarnowało”.

Strange zadzwonił do kobiety imieniem Shirley, z którą czasami się umawiał, ale albo nie było jej w domu, albo nie podnosiła słuchawki. Potem nakarmił Greco i wyprowadził go na spacer dokoła kwartału.

Kiedy wrócił, sprawdził w internecie, jak sobie radziły jego inwestycje giełdowe, słuchając wznowienia ścieżki dźwiękowej Elmera Bernsteina do „Powrotu Siedmiu Wspaniałych”. Później wziął prysznic i założył sportową marynarkę do rozpinanej koszuli. Zadzwonił do innej kobiety i ucieszył się, słysząc zajęty sygnał — nie spieszyło mu się do kolejnego spotkania akurat z nią. Zaburczało mu w brzuchu. Wybrał numer Janine.

- Baker, słucham?
- Tu Derek.
- Cześć.
- Zostało ci jeszcze trochę tego kurczaka?
- Twoja porcja czeka w piekarniku.
- A mogę przywieźć Greco? — zapytał.
- Dla niego też mam małe co nieco — odparła.

Długo się całowali, aż w końcu Quinn zdjął koszulę, a Juana bluzkę. Zaczęła rozpinąć swój czarny biustonosz.

- Mogę ja? — zapytał.
- Pewnie.

Miał trochę problemów z haftkami. — Cierpliwości.

Przeciągnęła palcami po jego oplecionym żyłami bicepsie. — Myślałam, że pytasz, czy możesz mi rozpiąć biustonosz, a nie, czy sobie z tym poradzisz.

- No nie, dam radę. O proszę, już, poszło.

Zdjął stanik z jej ramion. Pozwoliła mu oglądać jej ciało, dotykać go. Pocałował jej łopatkę i jeden ciemny sutek, delikatne ciało piersi. Poczul słony smak jej skóry.

- Jak przyjemnie — mruknęła.
- Chryste— jęknął Quinn.

Zrzucił džinsy, a kiedy obrócił się z powrotem do niej, zobaczył, że również była już naga. Zaczęli się obejmować na kocu, którym nakryła kanapę. Pocałował ją w usta, zaczął masować złączenie ud, a ona pojękiwała pod nim, zachichotała cicho, gdy jego palce natrafiły na nabrzmiały guzek. W porównaniu z jego bladym, leciutko piegowatym ciałem jej skóra była bardzo ciemna. Przeplótł swoje palce z jej czekoladowymi palcami i ucałował jej dłoń.

- Wiesz, co teraz robimy? — zapytał.
- Celebруем różnorodność?
- I ja, póki co, jestem za.
- W głębi wszyscy jesteśmy tacy sami — powiedziała.

Strange był właścicielem cadillaca brougham model 91, z osmiocylinrowym silnikiem, czarnego z czarnymi skórami i fajnie chromowaną atrapą chłodnicy. Używał go, kiedy nie pracował, na krótkie wypadki po mieście. Jechał teraz Georgia Avenue, słuchając z magnetofonu „World Is a Ghetto”. Po prawej siedział Greco, na czerwonej poduszce, którą Strange trzymał w wozie specjalnie dla niego, i wtykał nos w szybę bocznego okna.

Janine i Lionel Bakerowie mieszkali w dzielnicy Brightwood na rogu Siódmej i Quintana, w skromnym domu krytym czerwoną dachówką. Strange wysiadł z wozu, wyciągnął Greco, wraz ze smyczą i kolczatką, i podeszli razem do frontowych drzwi.

Janine, Lionel i Derek zjedli potem wspólnie kolację w małej jadalni, gdzie na ścianie wisiał obrazek z Ostatnią Wieczerzą. Janine miała dla Greco kość z pieczonej szynki z zeszłego tygodnia, więc bokser wyniósł ją sobie do piwnicy, żeby nikt mu nie przeszkadzał w ogryzaniu.

- Podaj mi to purée, młodzieńcze — zagadnął Strange.

Lionel był równie wysoki jak jego matka i zanosilo się, że wkrótce wyprzystojnieje, ale póki co, jeszcze nie dorósł do swoich rozmiarów. Podał Derekowi miskę z ziemniakami.

— Dziękuję. — Strange nałożył sobie kopiastrą porcję kartofli i sięgnął po sosjerkę.

- Gdzie to się dziś wybierasz, Lionel? — zapytała wtedy Janine.
- Mam randkę z taką jedną dziewczyną.
- Ma jakieś imię?
- Taka znajoma, Sienna.
- Jak chcesz zabrać dziewczynę na randkę, skoro nie masz wozu?
- Pożyczysz mi swój?

- Lionel...
- Jedziemy razem z Jimmym i jego panną. Wujko Jimmy'ego pożyczył mu lexusa, odpicowanego, z super felgami.
- A skąd wujko Jimmy'ego znalazł forszę na lexusa? — Janine spojrzała w oczy Strange'a po drugiej stronie stołu.
- Nie wiem, ale to zajefajna bryka. — Lionel zerknął na Dereka z ukosa i dodał: — Choć zero porównania do cadillaca, nic a nic.
- Nie podoba ci się mój wóz? — zapytał Strange.
- Lubię go — odrzekł Lionel i zaczął nucić: — A najlepsze jest to, że to cad-i-llac!
- Parsknęli z Janine śmiechem. Strange też się zaśmiał, przez chwilę.
- Niezły ma głos — stwierdziła Janine. — Prawda, Derek?
- Niezgorszy — odrzekł. — Gdyby nie to, że w muzyce nie potrzeba już śpiewaków, miałby szansę na karierę.
- I tak chcę być prawnikiem z pierwszej ligi. — Lionel sięgnął po półmisek z pieczonym kurczakiem i zwinął udko.
- Jasne, tylko najpierw popracuj nad stopniami — powiedziała Janine.
- Ogólniak imienia Coolidge'a, mam rację? — zagadnął Derek.
- Aha. Jeszcze przez rok.
- To na jaki film idziecie? — zapytała Janine.
- Ten nowy z Chow Yun Fatem, grają w multipleksie na City Place.
- Że kto ciął ją batem? — zapytał Strange.
- Ale śmieszne — odciął się Lionel.
- Strange przyjrzał się koszulce, którą miał na sobie Lionel — obrazek przedstawiał Tupaca Shakura z jointem. — Nie moja sprawa, ale gdybym to ja miał randkę z dziewczyną, nie ubrałbym się w koszulkę ze zdjęciem innego kolesia.
- No nie, przebiorę się w coś innego, psze pana. Wiadomo. — Lionel zerknął na zegarek, opinający kościsty nadgarstek. — Swoją drogą, muszę lecieć. Jimmy będzie tu po mnie lada chwila.
- Odłożył ogryzione udko i zabrał talerz oraz szklankę do kuchni.
- Widzisz, z czym ja tu muszę żyć? — mruknęła Janine.
- To fajny chłopak.
- Dlatego go kocham.
- Wiem.
- Janine poklepała go po dłoni. — Dzięki, że przyszedłeś dziś wieczorem.
- Cała przyjemność po mojej stronie — odparł.

Po dziesięciu minutach pod domem zabrzmiał klakson, a Derek i Janine usłyszeli ciężkie kroki zbiegającego po schodach Lionela. Strange wstał od stołu, wyszedł do holu i przeciął drogę pędzącemu do drzwi chłopcu.

— Na razie, psze pana.

— Jeden moment, Lionel.

Chłopiec spojrzął po sobie. Miał odprasowane dzinsy, koszulę od Hilfigera i buty Timberland. — Coś nie tak z ciuchami?

— Wyglądasz świetnie.

— Buty są nówka.

— U Searsa kupisz lepsze za pół ceny.

— Ale są bez tego fajowego drzewka...

— Słuchaj, Lionel — Strange odetchnął. W takich rozmowach nie radził sobie najlepiej, ale wiedział, że musi spróbować. — Żebyście mi nie palili zioła w tej bajeranckiej bryczce, jasne?

— Zioła? — kpiąco zapytał Lionel i Derek poczuł, że krew nabiegła mu do twarzy.

— Mówię ci tylko, że jak policjanci przyuwają szykowny wóz, a w nim czarnych młodziaków, szczególnie jeśli to złocony lexus z bajerami, co wygląda na brykę dilerka, nawet nie będą specjalnie szukali powodu, żeby was zatrzymać. A jeśli znajdą w samochodzie blanty, skuna, czy jak to tam nazywacie, w życiu nie uda się wam tego wymazać z kartoteki. Równie dobrze możesz zapomnieć o studiowaniu prawa. Zrozumiano?

— Jasne, psze pana.

— I dobrze — Strange sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z portfela dwadzieścia dolarów. — Bierz. Chyba nie chcesz zabrać fajnej dziewczyny na miasto bez rezerw finansowych? Zabierz ją po kinie do tej knajpy TGI Friday's, kup jej lody czy coś.

— Dzięki — Lionel wziął banknot i puścił oko. — Może po tych lodach da mi się dobrać do swoich słodczy.

Strange zmarszczył brwi, przysunął się do chłopca i ściszył głos: — Nie podoba mi się, że tak mówisz, Lionel. Masz dziewczynę, to ją szanuj. Dokładnie tak samo, jak byś chciał, żeby faceci szanowali twoją matkę. Jasne?

— Tak jest.

Derek wciąż jeszcze nie schował portfela, więc wyjął kondoma, którego trzymał za wizytówkami na sytuacje awaryjne. Podał prezerwatywę chłopcu.

— No, na wypadek, gdyby jednak do czegoś doszło...

— Dzięki wielkie. — Lionel z osłupiałym uśmiechem schował gumkę. Pod domem znów zaskrzeczał klakson. — To ja znikam.

— Baw się dobrze.

Lionel wyszedł, a Strange zamknął za nim drzwi. Wracając do salonu, zastanawiał się, jak bardzo spieprzył tę rozmowę.

W pokoju czekała na niego Janine. Włączyła muzykę, „Songs in the Key of Life”, a na ławie przy kanapie postawiła butelkę schłodzonego heinekena i dwie szklanki. Sama usiadła na kanapie, kładąc osłonięte pończochami nogi na blacie ławy. Strange przysiadł się do niej.

— Pogadaliście sobie z Lionelem jak mężczyzna z mężczyzną?

— E, no, tak.

— Sama naprawdę nie wszystko mogę mu dać.

— Wiesz, ja jestem zwykłym facetem, nie jakimś ekspertem.

— Ale mężczyzną. Od czasu do czasu Lionelowi przydałby się mocny wzorzec, żeby wiedział, jak się zachować.

Strange uśmiechnął się i napiął biceps. — Wydaje ci się, że jestem silny?

— No, śmiało, Derek.

— Szczerze mówiąc, dziś wieczorem nie czuję w sobie zbyt wiele siły.

— Tak się wymęczyłeś z tym Shermanem Colesem?

— Całe szczęście, że pojechał ze mną tamten młodziak.

Janine podłożyła mu poduszkę pod głowę. — To opowiedz, jak ci minął dzień.

Porozmawiali o pracy. Opisał jej aresztowanie Colesa, ona opowiedziała, jak zamknęła sprawy w biurze. Kiedy skończyli rozmowę, a w butelce pokazało się dno, poszli na piętro, do jej sypialni.

Miała świeżą pościel — wiedział, że to dla niego. Radiobudzik, zawsze nastawiony na stację HUR, był włączony, cicho grało Quiet Storm. W pokoju unosił się mocny zapach jej perfum, a kiedy Derek zaczął ją rozbierać, bez pośpiechu, nasiliła się także woń jej kobiecości.

Zrzucił z siebie wierzchnie ubranie, ściągnął bieliznę. Oboje byli teraz nadzy i całowali się, stojąc. Derek opuścił dłoń na jej pupę i zaczął pieścić jędrne, obfite ciało.

— Jasssny gwint, Janine.

— Co takiego?

— Ależ masz tylek, dziewczyno.

— Co, nie podoba ci się?

— Wiesz, że *bardzo* mi się podoba.

Zebrał razem jej bujne piersi i pocałował je, po czym ucałował jej usta.

- No już — jęknęła, niemal bez tchu.
- Spiesz ci się gdzieś? — zachichotał, lekko ssąc jej chłodne wargi.
- Siadaj, i to już — odparła Janine.
- Tutaj? — wskazał brzeg łóżka.
- Mówiłeś, że jesteś zmęczony — powiedziała. — Teraz ja popracuję...

Co teraz gra? — zapytał Quinn.

- Lauryn Hill. Podoba ci się?
- Aha, całkiem niezłe. Tylko... masz może coś z facetem na woku?
- Czarny Album. No wiesz, Prince'a. Może być?
- Cholerny świat — roześmiał się Quinn.
- Co cię tak bawi?
- Już raz dzisiaj o tym koleśiu rozmawiałem.

Quinn ułożył się wygodnie. Czuł, że wraca erekcja, więc przywarł do Juany biodrami, kilkoma krótkimi posunięciami dając jej do zrozumienia, że wciąż jeszcze był gotów do akcji.

- A ty co, zostajesz czy wychodzisz?
- Sprawdzam raczej, czy woda nie wystygła.
- Jest bardzo ciepła.
- I głęboka.
- Daj spokój — uśmiechnęła się. — Znam facetów, którzy w tej chwili potykałoby się o własne gacie, wiejąc do drzwi.
- Gdybym chciał teraz wyjść, potknąłbym się o coś zupełnie innego.
- Ale chwalipięta.
- Poza tym podoba mi się, gdzie jestem.
- Więc co, ty nie z tych, co to rach-ciach i chodu?
- Nie będę kłamał, zdarzało się i tak. Ale tobie nie chciałbym tego zrobić.

Wciąż leżeli na kanapie. Quinn okrył ją i siebie niedużym wełnianym kołdry. Ogień w kominku przygasł i do pokoju zakradł się chłód. Terry spojrzał na siebie — blada skóra, pod nim brzą Juany.

- Myślisz, że się nam ułoży? — zapytał.
- A chcesz?
- Tak.

Strange leżał pod kołdrą u boku Janine, kiedy do sypialni wszedł Greco. Pies upuścił swoją kość u stóp łózka, po czym wziął ją między przednie łapy, kiedy ułożył się na dywanie.

— Mówi mi, że pora do domu.

— Szkoda, że musisz wracać — mruknęła Janine. — Pod kołdrą jest tak miło, ciepło.

— To by nie było w porządku, gdyby Lionel wrócił do domu i wiedział, że wciąż tu jestem.

— I tak wie, Derek.

— Tak czy inaczej, to by nie było w porządku.

Janine podniosła się na łokciu i przeczesła palcami krótkie włoski na torsie Strange'a.

— Jak się nazywa ten prawnik, który czasami coś nam zleca? — zapytał nagle Derek. — Ten z Piątej Ulicy, w tandetnym garniaku?

— Markowitz? — podsunęła Janine.

— Właśnie. Ma u nas dług, nie?

— O ile dobrze pamiętam, ma zaległości.

— Zadzwoń jutro do niego i dowiedz się, czy da radę skrócić protokoły posiedzeń komisji weryfikacyjnej w sprawie Quinna.

— To w ramach wymazania długu?

— Zobacz, ile gość nam wisi, i targuj, jak uważasz.

— A jak ci się widzi ten cały Quinn?

Strange myślał o nim przez całą noc. Quinn był gwałtowny, nieustraszony, wrażliwy i niezrównoważony... wszystko naraz. Koktajl tarapatów, facet niezastąpiony w sytuacjach takich jak ta w klubie, ale niezupełnie ktoś, kto powinien reprezentować prawo pod osłoną munduru.

— Za mało jeszcze o nim wiem — odparł. — Przeczytam te protokoły. Potem spróbuję się przejść, pogadać z innymi zawodnikami.

— Myślisz, że Quinn popełnił błąd?

— Myślę, że to biały facet, który zobaczył, jak czarny gość trzyma na ulicy pod bronią innego białego. Zareagował tak, jak to społeczeństwo go zaprogramowało, począwszy od urodzenia.

— Czyli on już po prostu taki jest?

— Jest jak większość białych. Przecież wiesz, większość z nich powie ci, że nie mają w sobie ani krzty rasisty.

— O tak. Czyste dusze, czyste umysły.

— Quinn myśli, że z nim jest inaczej — dodał Strange. — Ale się myli.

12.

Nestor Rodriguez zerknął w lusterko — tam, gdzie był zielony ford, trzymając się na jakieś dziesięć długości wozu. Nestor wybrał numer na klawiaturze komórki, tkwiącej w uchwycie przy kierownicy, po czym przyłożył telefon do ucha, gdy odbiorca dostał pierwszy sygnał.

— Lizardo.

— Tak, bracie?

— Już prawie jesteśmy na miejscu. Właśnie dzwoniłem do Boone'a, żeby po nas przyjechał.

— Musimy to robić za każdym razem dla tego krasnala?

— Ten buc nie chce, żebyśmy wiedzieli, gdzie z ojcem mieszkają. Uparł się.

— A czemu nie możemy wymienić towaru na kasę na parkingu?

— Bo mały lubi na naszych oczach rozstawiać wagę i sprawdzać, czy *manteca* waży tyle, ile powinna. Boi się, że go wyruchamy.

— Kurwa mać — warknął Lizardo.

Bracia Rodriguez nie musieli się przejmować tym, że prowadzili swe rozmowy na falach radiowych. Nestor zapłacił młodemu informatykowi z Florydy, który zmienił elektroniczne numery seryjne i identyfikatory komórek jego i Lizarda. Na dodatek każdy z nich miał też podłączone do telefonu urządzenie zniekształcające głos mówiącego.

Nestor jechał na północ drogą numer 270 granatowym fordem contour SVT. Lizardo Rodriguez podążał za nim w aucie tego samego modelu, tylko zielonym. W bagażniku forda Nestora było pięć kilo brązowej kolumbijskiej heroiny, tyle samo, co w aucie jego brata.

Ford contour wygląda jak samochód rodzinny, ale mając dwieście koni pod maską, zdecydowanie od nich odstaje. Do setki przyspieszał w 6.9 sekundy, a jego prędkość maksymalna wynosiła 140 mil na godzinę. Banalna stylistyka nadwozi forda idealnie pasowała braciom Rodriguez do rozwożenia narkotyków, ale kiedy jeździli po ulicach Orlando, swojego przybranego miasta, woleli coś bardziej rzucającego się w oczy. Szczególnie Nestor, ten niezamężny z braci Rodriguez, kochał ładne wózki. Miał nowego mustanga cobra, także w odmianie SVT. Do setki przyspieszał w pięć i pół. Z dumą podkreślał, że nie robił w wozie żadnych kosmetycznych zmian, jak to czyniło wielu Latynosów, zostawił go w stanie takim, w jakim go kupił. No, prawie: z tyłu wozu przykleił dwie kalkomanie, sylwetki nagich długowłosych

białych panienek, a między nimi napis „Witam Panie” mocno jaskrawymi literami. Ale na tym kończyły się jego ingerencje w wygląd wozu.

— Z kim rozmawiałeś te parę minut temu? — zapytał Nestor.

— Z kobitą — odrzekł Lizardo. — Jej ojciec nie chce przejść na inne zasiewy. Tłumaczyłem mu, że kartel dostarczy ziarno i nawozy, da mu też gwarancję zakupu plonów. Z maku będzie miał dwa zbiory rocznie, dwa razy tyle, co z jednego plonu kawy. A parobkom zapłacimy za zbiory cztery razy tyle, co do tej pory.

— Więc w czym problem?

— To kmieć — odparł Lizardo. — W tym problem. Widzi amerykańskie helikoptery, te czarne belle z kaemami w drzwiach, i wali w gacie. Widzi mnie, własnego zięcia, i wali w gacie. Bracie, on wali w gacie na widok własnego cienia.

— Farmerzy — mruknął wzgardliwie Nestor.

— No tak. Ja tylko próbuję mu pomóc, żeby baba przestała mi włązić na głowę. Może wtedy dla odmiany ja na nią wlezę.

Nestor wiedział, dlaczego żona Lizarda nie chciała chodzić z nim do łóżka. Lizardo często zalewał pałę, a wtedy nie był dżentelmenem w sypialni. Kiedy schlał się tak, że mu nie stawał, okładał żonę pięściami. Nestor był święcie przekonany, że czasami należało kobietę uderzyć, one wręcz tego oczekiwały, ale jeśli biło się je bez przerwy, podupadały na duchu.

— Przywieź go na Florydę, niech zamieszka z tobą — poradził bratu. — Przecież cię stać.

— Ale on nie chce. A ja nie zamierzam trzymać tego parszywca w moim domu. Może się kąpać, a i tak śmierdzi wsią.

— Może by ci pomógł brat twojej starej? Niech to on pogada z teściem.

— Ksiądz? Ha! Najpierw musiałby sam sobie pomóc.

— Co, szarpie się z celibatem?

— On nigdy nie żył w celibacie. Tam w wiosce jest o nim przysłowie: Wszystkie dzieci mówią do księdza „ojcze”, tylko te jego własne „wujku”.

Nestor i Lizardo wybuchnęli serdecznym śmiechem. Potem Nestor włączył kierunkowskaz i zjechał na prawy pas, sprawdzając, czy brat zrobił to samo.

Przejrzał się w lusterku. Krucze włosy miał zaczesane do tyłu i utrwalone żelem, bródkę przyciętą po hiszpańsku, zgrabnie. Nestor wygolił sobie włoski od dziecka łączące jego brwi, więc teraz miał parę brwi, a nie jedną. Nosił złote kolczyki, po kółeczku w każdym uchu.

Ubiarał się szykownie, ale bez ostentacji. Przyglądał się zdjęciom z magazynów takich jak „Esquire” czy „GQ”, żeby poznać ostatnie mody i sposoby noszenia ciuchów. Potem kupował sobie ubrania zupełnie takie same jak na fotografiach, ale bez markowych metek, które tylko nabijały cenę. Zakupy robił w trochę tańszych sieciach sklepów.

O milę dalej przy drodze międzystanowej ciągnął się pas pawilonów handlowych, przy których w otwartym polu budowano osiedle domków. Na parkingu połowa miejsc była wolna. Nestor znalazł rząd, w którym dwa wolne miejsca znajdowały się obok siebie. Zaparkował i poczekał, aż brat postawi swój samochód obok, na samym końcu rzędu. Potem Nestor sięgnął pod siedzenie i wydobył swój pistolet, SIG Sauera kaliber 9 milimetrów z magazynkiem na osiem naboji. Wsunął broń do skórzanej kabury pod marynarką.

— Rozmawiałeś z Colemanem? — zapytał Lizardo, wciąż trzymając telefon.

— Od ostatniego razu nie. Dziś wieczorem zadzwonię do niego z Baltimore.

— Następnym razem weźmie też kokainę?

— Powiedział, że kokę kupuje od dostawcy z Los Angeles, i nie chce żadnych zmian. Ja mu na to, że skoro potrzebna mu *manteca*, musi też brać kokainę. Mówię, że nie możemy już sprzedawać towaru oddzielnie. Boone'owie kupują od nas *manteca* po bardzo niskiej cenie. Coleman dobrze wie, że nawet z ich narzutem nigdzie nie dostanie tańszego towaru.

— A jeśli odmówi?

— Każemy Boone'om, żeby znaleźli innego klienta.

Lizardo sięgnął nad siedzeniem pasażera, otworzył schowek na rękawiczki i wyjął swojego davisa kaliber 32, mały pistolet, dobry na krótki dystans. Do tego świetnie się mieścił w kieszeni jego czarnych sztruksów. Lizardo schował broń i przez chwilę zastanawiał się nad sytuacją. Nestor nigdy nie prosił go o pomoc w interesach, ale czasami jego brat miewał dobre pomysły. Teraz też tak mu się wydawało.

— Słuchaj — zaczął. — A jakby tak znowu sprzedawać bezpośrednio Colemanowi? Wyjdzie mu taniej, nie? Może to go przekona, żeby brał od nas i kokę.

— Zapomniałeś, czemu w ogóle zaczęliśmy z Boone'ami?

— Nie my. To kuzyn Roberto zaczął, kiedy siedział w pudle z kurduplem.

— A pamiętasz, że to *my* poprosiliśmy Roberto, żeby nam znalazł kurierów?

— Hm, no tak.

Nestor odetchnął przeciągle. Musiał się upominać, żeby zachować cierpliwość do brata, którego mózg pracował na bardzo wolnych obrotach.

— Pomyśl, Lizardo. Chce ci się jeździć do tego parszywego miasta, handlować bezpośrednio z czarnuchami?

— Nie.

— Czyli potrzebujemy Boone'ów. Przynajmniej póki co. Więc zostaw małego Raya w spokoju, co? Zawsze próbujesz się z nim drażnić.

— Chujówka — stwierdził Lizardo.

Edna Loomis rozpędziła pickupa na leśnej drodze, poniewierając resory fordą wręcz makabrycznie, ale nie miała do tego głowy, bo strasznie spieszyła się do domu. W kabinie wydierał się Travis Tritt. Edna podkreśliła dźwięk z radia, żeby podbić sobie adrenalinę.

Poprzedniej nocy odcisnęła klucz Raya w bryłce takiego specjalnego kitu, kupionego w sklepie żelaznym. Tak jej poradziła jedna kumpela, która też lubiła sobie przypalić amfę. Ta dziewczyna, taka długowłosa, Johanna, przekonała ją, że Ray nigdy nawet nie zauważy, jeśli Edna troszkę mu podbierze, a poza tym skoro dawała mu gratis tyle dobrego, miała pełne prawo do regularnych przydziałów z zapasów Boone'a. W końcu była jego kobietą, prawie że żoną, a czemu żona ma prosić męża o towar za każdym razem, kiedy chce się nawalić? Po paru kolejkach whisky z colą Edna zaczęła doceniać rozumowanie Johanny.

I tak poprzedniej nocy, kiedy Ray już zasnął, Edna zdjęła klucz z kółka na końcu łańcucha. A gdy się rano obudził, kluczyk był już w tym samym miejscu, na którym wylądował wieczorem, kiedy Ray powiesił dzinsy na krześle w sypialni, więc się facet nie połapał. Edna zawiozła bryłkę kitu do jednego faceta, znajomka Johanny, a on zrobił dla niej, co trzeba. Teraz miała w kieszeni lśniący nowością klucz.

Zaparkowała pickupa na podwórku między taurusem i harleyem Raya. Nogi Raya wystawały z otwartych drzwi taurusa, a u jego stóp leżała stalowa skrzynka na narzędzia. On zawsze coś robił przy tym aucie, a jak nie, to przy harleyu. Teraz wycofał się z samochodu i wstał, otrzepując się, kiedy Edna wysiadała z soferki.

— Chyba ci mówiłem, żebyś poszła se do kina albo co — rzucił. — Wiesz, że dziś załatwiamy tu z tatem interes.

— Zapomniałam pudełka z kasetami — odparła. — Nie dam rady jeździć przez cały dzień bez mojej muzyki.

- No to biegaj, zabierz to pudło i spadaj.
- A gdzie Earl?
- W domu. Czemu pytasz?
- Tak tylko, chciałam wiedzieć, gdzie jest. Słuchaj, o mnie się nie martw, skończ tylko swoją robotę.

Ray wrócił do forda i ułożył się między ławą siedzenia a pedałami gazu i hamulca, zastanawiając się, czemu kobiety tyle gadają o niczym. Składał do kupy skrytkę przy kolumnie kierownicy po tym, jak ją przedtem rozłożył i naoliwił wszystkie ruchome części. Ostatnio kłapa coś powoli opadała, a tego nie tolerował. Teraz tylko odrobina WD-40 i założyć wszystko na miejsce. A wtedy będą już z tatą gotowi na spotkanie z braćmi Rodriguez tam na parkingu.

Edna naprawdę szybko przeszła od drzwi stodoły do jej tylnej ściany, gnała ją adrenalina. Dziewczyna włożyła nowo dorobiony klucz do zamka w stalowych drzwiach i z uśmiechem obróciła go, kiedy zaskoczył. Nawet nie spojrzała przez ramię, gdy wchodziła do pokoju z narkotykami. Johanna miała rację: trzeba zacisnąć póldupki i wszystko pójdzie dobrze.

Edna nie zamknęła drzwi na zasuwkę, bo to by tylko pogorszyło sprawę — jak wytłumaczyłaby Rayowi fakt, że zamknęła za sobą drzwi. A tak, nawet gdyby ją tu przyłapał, nie wyglądałoby to aż tak źle, zawsze mogła się powołać na tradycyjną wymówkę o babskiej wścibskości.

Dobra jest, Edna, nie czas na mędrkowanie.

Od razu zauważyła blat, na którym Ray robił amfę. Wyżej wisiała półka, zastawiona starymi fiolkami po lekach, tymi z bursztynowego plastiku z białymi zakrętkami. Edna otworzyła jedną fiolkę i zobaczyła składane kapsułki, osobiste zapasy Raya. Nie tego szukała. Sprawdziła kolejną fiolkę — ta była pełna kryształów spida. Edna wysypała połowę zawartości na dłoń, po czym przesyłała amfę do pudełeczka na klisze, które miała w kieszeni. Co, Ray miałby liczyć co do sztuki, ile miał towaru? Jak to mówiła Johanna: no nie sądzę, normalnie.

Nim Edna opuściła pokój, rzuciła jeszcze okiem na narzędzia Raya i jego sprzęt do ćwiczeń. Zabawki dla dużych chłopców. Nie, żeby narzekała na pakerskie upodobania Raya — może facet nie był zbyt wyrośnięty, ale kiedy w nocy ściągał koszulkę, od razu robiło jej się mokro między udami. Kręcił ją ten wygląd buldoga.

Gdzieś tutaj było też wejście do tego ich niby-tunelu. Nieźle się z tego obśmiały z Johanną, kiedy już raz konkretnie przesadziły z

drinkami w takiej jednej knajpie koło Poolesville, gdzie w szafie grającej były kawalki tych wszystkich kapel, które jarały Johannę — Whitesnake, Warrant i takie tam. Ray lubił ją straszyć, opowiadał o węzach w tunelu, ale jej to wcale nie ruszało. Żadnych węży się nie bała, węże to tylko przzerośnięte robale. Zresztą po co w ogóle miałyby się pchać do tego zasyfiałego tunelu?

Wyszła z pokoju równie swobodnie, jak do niego wchodziła. W części stodoły zaaranżowanej na saloon własnoręcznie przez Earla i Raya nie było nikogo. Nikt niczego nie zauważył.

Edna zamknęła za sobą drzwi, straciła włosy z ramion. Dokonała tego i była z siebie dumna.

Earl Boone siedział na krawędzi łóżka i dopijał piwo. Zgniółł puszkę w dłoni i wrzucił ją do kosza na śmieci — brzęknęła o poprzedniczki. Earl wstał i podszedł do okna sypialni. Odchylił wieczko paczki marlboro i wytrząsnął sobie fajkę, wyciągając ją z paczki wargami. Skrzeszał ognia zapalniczką Zippo z mapą Wietnamu wytłoczoną na jednym boku i odznaką Korpusu Piechoty Morskiej na drugim. Pod mapą była jeszcze dewiza: „Płacą Nam za Zabijanie”. Za każdym razem, kiedy patrzył na tę zapalniczkę, z pewnym rozrzewnieniem wspominał czasy, kiedy był piękny i młody.

Edna wypadła ze stodoły, jakby się paliło; naprawdę szybko przebierała nogami i zarzucała tym swoim tyłkiem, zamiatała włosami, kierując się w stronę pickupa. Ona zawsze się spieszyła, tylko rano wyglądała tak, że nawet pies by jej chyba nie wywlócił ze śmietnika. Teraz rozmawiała o czymś z Rayem, może się kłócili, Earl nigdy nie potrafił tego odróżnić. Nie mógł zrozumieć, czemu Ray po prostu nie walił jej w pysk, kiedy mu zaczynała pyskować, a często jej się to zdarzało. Przy innych facetach Ray nie potrafił zapanować nad sobą, ale jak tylko w okolicy był jakiś wycierach, Paskud robił się potulniejszy niż obity kundel.

Tak to już jest z niektórymi mężczyznami, ale Earl był inny. Kiedy jeszcze był żonaty z matką Raya, Margo, niech Bóg ma ją w swojej opiece, często dawał jej posmakować otwartej dłoni albo i pięści, raz czy drugi, kiedy gin dodał jej za dużo odwagi. Lubiła gin, ale w końcu straciła przez to wątrobę. Pod koniec, gdy leżała podłączona do tych wszystkich maszyn z rurkami wychodzącymi z nosa, czekając na przeszczep, mało brakowało, a przeprosiłby ją za te wszystkie okazje, kiedy podniósł na nią rękę. Nie było to jednak w jego naturze, i ten moment minął. Do diabła, Earl od początku wiedział, że Margo nie miała szans na nową wątrobę. Przeszczepy szły dla bogaczy, nawet

gdyby Margo była wyżej od nich na liście oczekujących. Tak to już jest na świecie. Earl wiedział o tym od czasu, kiedy wypadł z kołyski i zaczął biegać na własnych dwóch nogach...

Edna wyjeżdżała właśnie pickupem z podwórza na żwirówkę.

Earl założył zimową kurtkę. Do jednej kieszeni włożył fajki i zapalniczkę, do drugiej swoją trzydziestkę ósemkę. Podniósł chłodziarkę na sześć piw i zgasił światło w pokoju. Wyglądało na to, że Ray przestał już się bawić przy samochodzie, więc zaraz będzie chciał jechać, podenerwowany i gotów do akcji. Podenerwowany jak to Ray potrafił, kiedy coś się szykowało.

13.

Nestor Rodriguez zobaczył, jak taurus wjechał na parking i zaczął zygzakować między rzędami stojących aut. Kiedy Ray Boone zajeżdżał na parking, zawsze sprawdzał, czy nie czekali tam gliniarze i federalni z DEA w nieoznakowanych samochodach. Nestor rozejrzał się zawczasu i wiedział, że nie było problemów, bo takie auta łatwo zauważyć, ale Ray był z tych, co zawsze muszą takie rzeczy sprawdzić sami.

— Przyjechali — rzucił Nestor do telefonu, po czym, wciąż obserwując taurusa w tylnym i bocznych lusterkach, dodał: — Czekaj, aż ci powiem, a potem zamknij wóz i podejdź do mnie.

Ray Boone zaparkował obok forda Nestora. Ten ominął wzrokiem starszego Boone'a, jak zwykle nieogolonego i wyglądającego jak po dwudniowym ochlaju, i spojrzął na siedzącego za kółkiem Raya. Kiwnął do niego głową i powiedział do telefonu:

— Dobra, Lizardo, chodź tutaj.

— Jak tam dzisiaj nasi przyjaciele? — zapytał jego brat.

— Nie rób sobie jaj. — Nestor uśmiechnął się lekko do Raya przez szybę wozu. — Ten mały wypierdek nie lubi twoich żartów. Chcemy tylko załatwić interesy i zabieramy się stąd. I nie gadaj czasem po hiszpańsku, Lizardo. Tego też nie lubi.

— Dobra. Już idę — odparł Lizardo.

Nestor umieścił telefon z powrotem w uchwycie. Nie podobał mu się kpiarski ton w głosie brata. Już od dzieciństwa Lizardo zawsze miał upodobanie do figli.

Lizardo wysiadł z wozu, zamknął drzwi, sprawdził zamki i schował kluczyki, idąc wzdłuż rzędu aut. Włosy cesał tak samo jak jego brat, ale nie wygolił sobie miejsca nad nasadą nosa, więc wzdłuż podstawy czoła ciągnęła mu się jedna, długa brew, niczym czarna, włochata gaśienica. Nosił mały wąsik, ale golił brodę, i nie przykładał takiej wagi do stylu ciuchów jak jego brat. Ubrania kupował sobie w popularnych, tanich sieciach. Lizardo nie lubił tkanin, które się mięły, nie rozumiał też idiotów, gotowych zapłacić dodatkowo za coś takiego. W domu nierzadko sypiał w ubraniu, kiedy zapiał.

Nestor wysiadł z forda, zamknął drzwi i podszedł do brata przy bagażniku. Otworzył klapę i odchylił dywanik, normalnie zasłaniający wnękę z kołem zapasowym, ale tym razem pod spodem znajdowało się pięć identycznych, sportowych toreb z nadrukowanym logo firmy Adidas. Nestor wyjął dwie z nich, ułożył dywanik z powrotem i zamknął bagażnik. Poruszał się płynnie, obaj z bratem byli zupełnie spokojni.

Nestor i Lizardo rozdzielili się, obchodząc taurusa z obu stron, i wsiedli do auta tylnymi drzwiami.

— Cześć, Ray — powiedział Nestor. — Cześć, Earl.

— Hola, amigos — odrzekł Ray.

— Jak leci, Earl — Lizardo klepnął starszego Boone'a w ramię.

— Jakoś — Earl pociągnął za zawleczkę puszki buscha i upił długi łyk.

— Połóżcie się tam — rzucił Ray. — Nie będzie daleko.

Nie protestowali. Ten drobiazg najwyraźniej uspokajał Raya. Bracia Rodriguez ułożyli się jak wiele razy przedtem — Nestor opuścił nogi z siedzenia i położył się na brzuchu, Lizardo tak samo, tylko w drugą stronę. Nos Nestora znajdował się raptem o kilka cali od tyłka jego brata.

— Jedziemy — Ray zaczął wycofywać się z parkingu.

Zdążyli może ujechać milę na międzystanowej, kiedy Nestor usłyszał coś jakby donośny pisk. Potem z tyłu spodni Lizarda rozszedł się koszmarny, porażający smród.

— Lizardo — jęknął. — Błagam.

— Nic nie poradzę, Nestor. To te *huevos rancheros*, co je zjadłem rano w barze przy międzystanowej...

— Nieprawda! Wyciskasz to z siebie, przecież słyszę!

— Przykro mi — mruknął Lizardo.

Jednak wcale mu nie było przykro, a kiedy słyszał, jak jego brat z trudem łapie powietrze, nie mógł się powstrzymać od chichotu.

Nestor poczuł, że samochód przyhamował, a po nagłym ostrym zakręcie pod kołami zachrzącił żwir — zjechali na drogę do farmy Boone'ów. Ford przejechał jeszcze kawalek, ze zmniejszoną prędkością, po czym w końcu się zatrzymał.

— Możecie się już podnieść — rzucił Ray, wyłączając silnik.

Wszyscy czterej wysiedli z auta. Na podwórzu wałały się opony, beczki po oleju, stare klocki hamulcowe, pustaki, powywracane belki, wśród tego wszystkiego stała przerdzewiała koparka. Pruska pikielhauba zwieszała się na pasku z poprzeczki kierownicy starego harleya, a nad drzwiami do stodoły ktoś przybił plastikową głowę jelenia. Pod daszkiem ganku wisiała doniczka z suchym badylem, a sam ganek stał koślawo.

„Białe buraki” — pomyślał Nestor. Można im dać pieniądze, ale buractwa nic nie zmieni.

— Chodźmy do środka — zaprosił Ray. — Rozgrzejemy się nieco przy robocie.

Ruszyli do stodoły. Ray rzucił okiem na Nestora, który swobodnie niósł swoje dwie torby. Błyszczący garnitur, wielkie poduchy w ramionach, a do tego te spiczaste buty, które tak lubili Latynosi, plecione po bokach, jak koszyki z wikliny. Dzień zimny jak jajca Eskimosa, a ten tu paraduje w butach z dziurami. Ray wiedział, że Nestor lubił panienki, pewnie mu się wydawało, że jest atrakcyjny jak Bóg wie co, brązowy koleś odstawiony jak stróż na Boże Ciało. Kiedyś Nestor zwierzył się Rayowi, że na Florydzie laski nazywały go „Nestor Molester”, i jeszcze się z tego cieszył. No, może tam babki leciały na takich gości, ale tu, w Maryland, na wiosce? Zdaniem Raya facet wyglądał jak ostatni idiota.

— Hej, Nestor — zagadnął. — Ile żeś dał za ten garniak, stówę?

— Półtorej — odparł tamten, jakby się bronił.

— I co ty na to, tata? Dobrze bym wyglądał w takim gajerze? Jak myślisz?

— E — mruknął Earl.

W stodole było gorąco. Wszyscy wypili po parę drinków — Ray uparł się, że do piw zaserwuje także tequile, z butelki ze złotą naklejką, którą miał na najwyższej półce za barem. Earl siadł z braćmi Rodriguez przy jednym z tych pokrytych zielonym sukniem stołów, jakich używa się do gry w karty, a Ray poszedł do tego swojego tajnego pokoju, żeby odważyć towar i upewnić się, czy dostali całe dwa kilo. Ray twierdził też, że ma tam zestaw chemiczny do sprawdzania czystości heroiny, ale Nestor nigdy tego nie widział na własne oczy.

Kiedy Nestor i Lizardo sęczyli piwo i tequile, Earl niemal się nie odzywał. Zapalił papierosa, potem następnego, a gdy Nestor spróbował wciągnąć go w rozmowę, pokiwał głową, ale jego partia konwersacji ograniczała się do skinień i okazjonalnych „no” albo „aha”.

— Pomalu, bracie — rzucił Nestor, widząc, że Lizardo złapał stojącą na stole butelkę Cuervo i unióśł ją nad swoją szklanką.

— Tylko dla spróbowania — odrzekł Lizardo, nalał sobie na trzy palce i odstawił tequile na obciążony sukrem blat.

Nestor nie lubił być świadkiem tego, jak jego brat pił. Lizardo głupiał od alkoholu, myślał jeszcze wolniej i bardziej pajacował.

W pokoju na zapleczu Ray rozerwał kapsułkę z amfą, wysypał migoczącą zawartość u nasady kciuka i wciągnął całość nosem. Zaczął krążyć wokół pokoju, serce biło mu w wariackim tempie i miał wściekłą ochotę na papierosa. Siadł na ławeczce i zrobił serię z małą sztangą, po czym otworzył drzwi do części barowej i wystawił głowę do saloonu:

— Nestor, Lizardo! Chodźcie tu po pieniądze!

Nestor spojrział na brata i wzruszył ramionami. Wstali od stołu i poszli do tajnego pokoju. Earl zdusił papierosa i ruszył za nimi. Kiedy wszyscy byli już w pokoju, Ray zamknął drzwi.

Nestor był ciekaw, jak wygląda to tajemnicze pomieszczenie. Nigdy przedtem nie zaproszono go tutaj, ale kiedy wreszcie miał okazję zobaczyć pokój na własne oczy, trochę się rozczarował. Był tu stół roboczy, parę strzelb w szafce, zestaw do produkcji amfy, parę sejfów, ławeczka do podnoszenia ciężarów, wszędzie wałały się hantle, a na stoliku koło toalety leżał stos pornosów. Nestor bardzo podobnie urządził sobie taki pokój we własnej piwnicy.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Absolutnie, wszystko gra — odrzekł Ray.

— No, to bierzemy forszę i jedziemy.

— Musicie obsłużyć resztę odbiorców, co?

— To nasz pierwszy przystanek, Ray, jak zawsze.

— Pewnie się martwicie o resztę towaru, czy czeka tam na was w bagażnikach waszych aut.

— Gdybym się nawet martwił, to już *mój* problem — Nestor uśmiechnął się promiennie.

Nagle też Lizardo zaśmiał się krótko. Nestor widział zaszkłone oczy brata i z doświadczenia wiedział, że jego brat już poczuł efekt tequili i piwa.

- Coś cię bawi? — zapytał Ray.
- No, te buty, *menino* — Lizardo opuścił wzrok do robionych na zamówienie kowbojek na stopach Raya.
- A co to za słowo, to „menino”?
- Nestor opanował grymas irytacji. *Menino* znaczy „mały mężczyzna”. Tak można się zwracać do chłopca.
- To inne słowo na „amigo”, Ray — powiedział. — To tak, jakby nazwał cię przyjacielem.
- Kiedy te buty są *fajne* — ciągnął Lizardo. — Poważnie, Ray. A te obcasy! Powiedz mi, gdzie mógłbym takie kupić?
- A po co ci? — Ray zrobił się podejrzliwy.
- Chciałbym przywieźć parę dla mojej starej — Lizardo uśmiechnął się szeroko.
- Ray zrobił krok w jego stronę. Earl poskromił wesołość.
- On nie miał na myśli nic złego, Paskud — powiedział. — Tak sobie tylko z tobą żartuje. No, już, dawaj chłopakom ich kasę.
- Ray podszedł do stołu z narzędziami, wziął torby, które przywieźli bracia Rodriguez, i podał je Nestorowi. Ten rozpiął suwak jednej z nich i zajrzał do środka.
- Przelicz — zaproponował Ray.
- Nie muszę liczyć — odparł Nestor. — Jeszcze długo będziemy robić wspólne interesy...
- Hej, Ray — Lizardo skinął w stronę ławeczki. — Naprawdę sam to podnosisz?
- Żebyś, kurna, wiedział. Dwieście pięćdziesiąt funtów na sztandze. Mógłbym tak napierdalać cały dzień...
- Chodźmy, bracie — wtrącił Nestor.
- Co, myślisz, że nie dałbym rady? — zapytał Ray.
- No, nie wiem — Lizardo puścił oczko do Nestora. — Wyglądasz na silnego gościa, ale...
- To ci pokażę — odrzekł Ray. — I to nie tak tylko raz. Zrobię serię, dziesięć razy. Dobra?
- Lizardo rozłożył ręce. — Jak chcesz mi coś pokazać, facet, phi, to pokazuj śmiało.
- Ech, pajace — Nestor stanął pomiędzy Earlem a ławeczką.
- Ray zrzucił flanelową koszulę, pod nią miał tylko biały podkoszulek. Położył się na ławeczce — na obiciu widniał napis „Brutus”. Ray złapał gryf sztangi, kilka razy odetchnął głęboko i pchnął gryf, unosząc go ponad widełki, na których spoczywał. Wycisnął sztangę raz, drugi,

trzeci, głośno odliczając każdy raz. Na czoło i kark wystąpiły mu żyły. Po dziesiątym wyciśnięciu Ray delikatnie odłożył sztangę z powrotem na widełki. Potem usiadł, szybko sprawdził spęczniałe bicepsy i uśmiechnął się do Lizarda. — Twoja kolej.

— Myślisz, że nie dam rady?

— Twoja kolej.

— *Vamonos*, Lizardo — rzucił Nestor.

— Nigdzie mi stąd nie *vamonos*, łosie, póki on nie pokaże, jak sobie radzi ze sztangą — odparł Ray. — Ja to zrobiłem, teraz kolej na niego. No jak, Lizardo, nie dźwigniesz?

— Już dźwigam. Tak myślę tylko, czy naprawdę muszę zdjąć koszulę?

Lizardo zaśmiał się krótko i położył na ławeczce. Złapał gryf, puścił, poprawił uchwyt. Wziął głęboki wdech i zatrzymał go w płucach. Ray ustawił się za ławeczką, żeby mu pomóc w razie potrzeby.

— Raz! — krzyknął Lizardo, unosząc gryf. Od razu zorientował się, że da radę zrobić tylko dwa, góra trzy powtórzenia. Sztanga ważyła dużo więcej, niż mu się wydawało.

— Dwa! — głos miał już dużo słabszy. Ledwie zdołał unieść sztangę na tyle wysoko, żeby zablokować łokcie. Opuścił ją sobie powoli na klatkę piersiową, wziął wdech i pchnął z całej siły.

Tym razem już nie liczył. Miał problem, żeby w ogóle ruszyć gryf z miejsca. Mięśnie ramion paliły żywym ogniem, ręce drżały. Zdołał unieść sztangę do połowy i nie mógł, fizycznie nie był zdolny pchnąć jej wyżej. Lizardo spojrzał błagalnie na Raya.

— Biorę — Ray sięgnął nad widełkami i złapał gryf, ciągnąc go do siebie.

— Trzymasz? — sapnął Lizardo.

— Trzymam — odparł Ray.

Lizardo wypuścił gryf i bezwładnie opuścił ręce. Ray uniósł sztangę na wysokość widełek. Wtedy też zerknął na Earla i uśmiechnął się idiotycznie.

— Patrz, tato — rzucił, puszczając gryf.

Lizardo wrzasnął, widząc spadającą sztangę. Gryf zmiażdżył mu grdykę i tchawicę, momentalnie złamał kark. Przez chwilę, bardzo krótką chwilę, Lizardo widział rozbryzg krwi, którą kaszlnął w powietrze.

Nestor upuścił torby. Roztrzęsionymi dłońmi szukał pod marynarką swojego pistoletu.

Earl wyciągnął trzydziestkę ósemkę i strzelił mu w potylicę. Czarne włosy Nestora poderwały się w falde, nad nimi popłynęła karmazynowa fala. Gdy mężczyzna padał na twarz, Earl wpakował mu kolejną kulę między łopatki. Nestor upadł na ziemię, wierzgając, a wtedy Earl wyciągnął dłoń ponad kurkiem rewolweru i strzelił jeszcze raz, trafiając za ucho.

Ray roześmiał się nerwowo, popatrując na ojca przez prochowy dym. Przez chwilę słychać było tylko ten śmiech i dzwonienie w uszach.

Earl schował trzydziestkę ósemkę z powrotem do kurtki. Sprawdził, czy nie zachlapało mu ubrania, i nie zobaczył żadnych plam. Ucieszył się, że osłonił się dłonią. Umył dłonie nad zlewem.

— Masz fajkę, tata?

— No.

Earl wytrząsnął z paczki dwa papierosy, dla siebie i dla syna. Odchylił kapturek Zippo, kciukiem pokręcił kółko, aż strzelił płomień. Zaciągnął się, dmuchnął dymem.

— Tak to zaplanowałeś?

— Samo przyszło, tak naprawdę — odparł Ray. — Kiedy siedzieliśmy tam w saloonie przy drinkach.

— Jak zaplanowałeś, to trzeba było mi coś powiedzieć.

— Pomyślałem, że mamy okazję. Coleman miał problem z tymi kolesiami...

— Poprosił cię, żebyś z nimi pogadał, i tyle — Earl znów się sztachnął. — No, Paskud, chyba musisz się kopnąć po szpadel.

— Ziemia jeszcze za twarda. Wymyśliłem inny sposób, przynajmniej dopóki mróz nie puści. Dlatego muszę jeszcze podjechać do tego centrum handlowego, póki się ludzie nie porozjeżdżają. Wyczyszczę im bagażniki i wracam.

Earl skinął głową, dmuchnął dymem.

— No, tata, sam mówiłeś, że chcesz się wycofać — dodał, uśmiechając się Ray.

— Aha.

— No to się wycofaliśmy, nie? I będziemy bogaci. Na wszystko będzie nas stać.

— I przydałby mi się ktoś do towarzystwa... — Earl wspomniął tę śliczną, młodą, kolorową ćpunkę z Dystryktu.

— Znaczy, kobieta?

— Jak nie masz się z kim dzielić, to całe szczęście na świecie nic nie znaczy — stwierdził Earl.

14.

Strange siedział w swoim gabinecie i czytał protokoły komisji ze sprawy Quinna. Greco spał u jego stóp, trzymając między łapami czerwoną kolczastą piłkę z gumy.

Strange przywoził swojego boksera do pracy góra dwa razy w tygodniu, kiedy pies nachalnie żebrał. Tego dnia rano, gdy Derek ruszył do drzwi wyjściowych, trzymając w dłoni kluczyki od samochodu, Greco spojrział na niego tymi swoimi piwnymi ślepiami i zaczął skomleć, aż serce pękało. Strange nie mógłby znieść myśli, że pies przez cały ranek kręciłby się w przedpokoju, szczekając za każdym razem, gdy na ulicy zatrzymał się czy choćby przyhamował jakiś samochód.

Teraz podniósł słuchawkę i wybrał wewnętrzny do Janine.

- Tak, Derek?
- Masz już jakieś namiary na Kane'a?
- Znalazłam adres. Najwyraźniej facet wciąż mieszka u mamy.
- A numer telefonu?
- Też już mam. Ale to kosztowało nas dwadzieścia dolarów.

Poszło na twoją kartę kredytową.

- Cholera.
- W internecie wszystko da się znaleźć, za odpowiednią kwotę.
- Jest tam Ron?
- Mhm.
- I co robi?
- Na moje oko, czyta gazetę.
- Ach, to za to też mu płacę?
- Derek, przecież wiesz, że ja ci nie mówię, jak masz prowadzić firmę.

— Zdrukuj tę stronę, gdzie podałaś gościom numer mojej karty.

Będę musiał ją dopiąć do raportu o wydatkach.

- Już zrobione.
- Doskonale. I zadzwoń do Lydella Blue na Czwartym Komisariacie, dowiedz się, czy sprawdził już Ricky'ego Kane'a w kartotekach.
- Się zrobi.
- Za parę chwil wyjdę tam do was.

Strange skończył lekturę protokołów. Spora część informacji powtarzała się w relacjach telewizyj i gazet. Derek szczególnie uważnie przeczytał zeznanie Quinna, uzupełnione zeznaniem jego partnera,

Eugene'a Franklina. Potem dwa razy przestudiował zapis zeznania Ricky'ego Kane'a.

W nocy, kiedy doszło do zabójstwa, Kane wracał z pracy w modnej knajpie Purple Cactus na rogu Czternastej i F. Jako zawód podał „pracownik restauracyjny i barowy”. Zatrzymał się na Ulicy D, by oddać mocz. Jak wyjaśnił, po pracy wypił „jedno piwo”, zaczął mu doskwierać słaby pęcherz, a jadąc na wschód, zauważył, że na D nikogo nie było. „Wydostałem penisa i zacząłem oddawać mocz”, jak zeznał. Stał wtedy przy otwartych drzwiach swojej toyoty. Nagle zza rogu wyjechał jeep, „taki o wojskowym wyglądzie”, włączył długie i zatrzymał się za samochodem Kane'a.

Kane zeznał, że kiedy „doprowadzał się do porządku” i zapinał rozpięty pasek, światło reflektorów jeepa raziło go w oczy, oślepiało. Z blasku wyłonił się „postawny czarny mężczyzna”, który natychmiast się na niego rzucił, wrzeszcząc wyjątkowo nerwowym głosem, żądając, by Kane wylegitymował się prawem jazdy i dowodem rejestracyjnym.

— Co ja takiego zrobiłem? — zapytał Kane Murzyna.

— Sikałeś na ulicy — odparł czarny mężczyzna. — I nawet nie próbuj ściemniać, bo jak w biały dzień widziałem, jak ściskałeś tego swojego wacka.

Mężczyzna był barczysty, „jak kulturysta”, i o głowę wyższy od Kane'a. Ten dopiero potem dowiedział się, że nieznajomy nazywał się Chris Wilson i był nieumundurowanym funkcjonariuszem policji.

Kane powiedział w tym momencie zeznań, że wyczuł w oddechu Chrisa Wilsona silny odór alkoholu.

„Jeśli facet wypił choćby jedno piwo, trudno byłoby mu zwęszyć alkohol w oddechu innego człowieka” — pomyślał Strange i podkreślił ten fragment zeznań żółtym markerem.

— Kim pan jest? — zapytał Kane. — Po co panu moje prawo jazdy?

— Jestem gliną — odparł Wilson.

„Znam swoje prawa”, zeznał Kane, choć przyznał, że był przerażony. Zażądał, żeby Wilson pokazał mu odznakę albo jakiś inny dowód tożsamości, na co ten „wpadł we wściekłość”, złapał Kane'a za poły koszuli i cisnął nim o samochód. Kane stwierdził, że natychmiast poczuł silny ból pleców...

— O skurwiel — syknął Strange pod nosem. Facet już robił sobie podkładkę na przyszły pozew o odszkodowanie. Greco otworzył oczy, uniósł łeb i spojrzał na swojego pana.

Kane twierdził, że wtedy „na chwilę czy dwie” zrobiło mu się ciemno przed oczami. Pamiętał, że zaraz potem leżał na plecach na

asfalcie, a Wilson przysiadł nad nim, przyciskając kolanem klatkę piersiową zatrzymanego. Miał w dłoni broń, „chyba półautomat”, i trzymał ją „o włos” od twarzy Kane'a.

Kane twierdził, że nigdy w życiu nie czuł się równie przerażony. W kącikach ust Wilsona zbierała się ślina, jego twarz była „całkiem wykrzywiona wściekłością”. Wilson powtarzał raz za razem: „Zabiję cię, skurwysynu”. Kane nie miał najmniejszych wątpliwości, że mówił szczerze. „Ze wstydem” przyznał, że kiedy Chris Wilson przyłożył lufę pistoletu do jego policzka i obrócił ją kilka razy, „bezwiednie” puściły mu zwieracze.

Strange przeczytał raport policji z miejsca strzelaniny. Według zeznania jednego z policjantów, od Kane'a czuć było silny odór kału. Derek doszedł do wniosku, że Kane faktycznie tamtej nocy zerznął się w gacie.

Kane zeznał, że kiedy Wilson przycisnął go do asfaltu, na miejscu zajścia pojawił się oznakowany radiowóz policyjny. Z wozu wysiedli dwaj umundurowani policjanci, jeden czarny, drugi biały, i rozkazali Wilsonowi, by odłożył broń. Przedstawiony przez Kane'a opis wydarzeń, które potem nastąpiły, był mniej więcej zbieżny z zeznaniami Franklina i Quinna.

Strange otworzył swoją teczkę z wycinkami z gazet. Znalazł jeden, który sobie wcześniej zaznaczył, wywiad z dziewczyną Chrisa Wilsona, z którą spędził on wieczór tego feralnego dnia. Dziewczyna potwierdziła, że Wilson pił alkohol tego dnia, dodała, że „chyba coś go denerwowało”. Nie wiedziała, co było powodem jego podenerwowania, a on „nie powiedział”. Strange zakarbował sobie w pamięci nazwisko tej dziewczyny.

Potem sięgnął do telefonu, wykrecił numer, doprosił się o właściwego rozmówcę. Po krótkich negocjacjach udało mu się z nim umówić na to popołudnie, kilka godzin później.

- Dziękuję — powiedział i odłożył słuchawkę.
- Wybacz, staruszkule — mruknął, delikatnie wyciągając stopy spod łba Greco. — Muszę się wziąć do roboty.

Strange założył skórzaną kurtkę. Pies wyszedł z gabinetu w ślad za nim.

Derek zatrzymał się w recepcji, żeby pogadać z Janine. Tymczasem Greco znalazł sobie miejsce do leżenia pod jej biurkiem.

- Rozmawiałaś z Lydellem Blue?
- Janine podała mu wyrwaną z bloczka, różową kartkę z notatką.
- Lydell sprawdził Kane'a w miejscowej i narodowej kartotece przestępców. Facet nigdy nie był skazany ani aresztowany. Nigdy nie

przyłapano go z blantem w garści. Nigdy nie wyprawiał żadnych bezeceństw w męskiej toalecie pod okiem ludzi z obyczajówki. Nawet żadnych rozmów i pouczeń z dzieciństwa. Zupełnie nic.

— Dobra. Przypomnij mi, żebym potem zadzwonił do Lydella z podziękowaniem.

— Mówił, że to on jest ci coś winien. Że to jeszcze z czasów, kiedy dopiero zaczynaliście w policji. Całe szczęście, że wciąż masz jeszcze paru znajomych w mundurze.

— Jeśli tylko żyją i nie odeszli na emeryturę... No tak, paru mam.

— Posłuchaj, szefie — z drugiego końca pokoju odezwał się Ron Lattimer. Dziś miał na sobie koszulę z wykładanym kołnierzykiem, a do tego gładki, złocisty krawat i ciemnoszare spodnie. Buty od Kennetha Cole'a oparł na blacie biurka, a w dłoniach trzymał otwartą gazetę.

— No?

— Piszą tu, że ta twoja skóra wyszła z mody. Znaczy, generalnie takie kurtki na suwak. Jak chcesz wyglądać na mieście jak gość na czasie, musisz zainwestować w taki półplaszcz, rozumiesz, może nawet z paskiem.

— Rozumiem, że czytasz ten artykuł, co go dziś dali, recenzję książki o czarnych mężczyznach i ich stylu?

— Aha. Nazywa się „Kolorowi mężczyźni”, czy jakoś tak.

— Też to czytałem, tylko rano. Dziwna jest ta baba, która tam u nich pisze o modzie. Śmiesznie jej to wychodzi. Pisze, że czarni mężczyźni wykształcili dynamiczne wyczucie mody, ich „narzędzie w walce z niewidzialnością”.

— Mhm. Ona tu pisze, że my, czarni, „posługujemy się stylem niczym tarczą i mieczem” — Lattimer przeczytał z gazety.

— *My wszyscy?*

— No nie, Derek, znowu zaczynasz.

— Raczej się tylko zastanawiam... kojarzysz tego dziadka, który praktycznie mieszka na Upshur? Tego, co ma całe spodnie z przodu zaszczone? Co na obiad idzie do kosza na śmieci? I co, on też używa stylu jako narzędzia w walce z niewidzialnością? Wczoraj widziałem takiego młodego zioma, jak wysiadał z autobusu na Georgia Avenue. Miał na sobie pomarańczowe dresy z zielonymi paskami po bokach. Czegoś takiego nie użyłbym nawet, żeby zebrać kupy Greco. Albo spójrz na mnie, normalnie zapomniałem dziś rano przed robotą wyczyścić sobie buty...

— Ja to kumam, facet.

— Po prostu nie lubię, jak ktokolwiek, nieważne kto, zaczyna mi mówić, co czarni robią, a czego nie. Bo takie myślenie jest równie

niebezpieczne, jak ten drugi rodzaj myślenia, łapiesz, o co mi chodzi. I dobrze wiesz, że jakiś biały koleś przeczyta ten artykuł i pomyśli sobie: „Aha, oni faktycznie wydają kupę szmalu na ciuchy, i na samochody, kurde, też, ale czy odkładają sobie na emeryturę? Na kształcenie dzieci? Na to czy tamto?” Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Mówiłem, że kumam.

— Facet, to po prostu kolejny stereotyp. Może powierzchownie wydaje ci się pozytywny, ale tak naprawdę to jeszcze jedna rzecz, z którą musimy żyć i z którą musimy walczyć.

— Jasny szlag, Derek — Lattimer cisnął gazetę na biurko. — Ty naprawdę łapiesz ciśnienie przez takie rzeczy, wiesz? W tym artykule chodzi tylko o to, że my lubimy dobrze wyglądać. Nie ma tu żadnych ukrytych motywów i podtekstów...

— Derek? — wtrąciła Janine.

— O co chodzi?

— Gdzie ty się tak w ogóle wybierasz?

— Do tej sprawy Chrisa Wilsona. Jakbyś mnie potrzebowała, mam pager — Derek obrócił się z powrotem do Lattimera. — Jesteś wolny?

— Obrabiam paru alimenciarzy. Zalegają z kasą na dzieci, takie tam.

— A teraz?

— Chciałem tak powoli zacząć dzień, Derek.

— A może przejedziesz się gdzieś ze mną?

— Ta sprawa Chrisa Wilsona to żaden pieniądz. Jak zwinę paru koleśi, wszystkim nam będzie lepiej.

— Mogę posłuchać, co ty o tym sądzisz, już po drodze.

— Dobra, ale po południu muszę się zająć prawdziwą robotą.

— Zadzwoń do Terry'ego Quinna — polecił Strange Janine. — Facet pracuje w księgarni Silver Spring na ulicy Bonifant. Powiedz mu, że będę tam za godzinę, jeśli musi sobie załatwić wolne.

— Chcesz zabrać na przejażdżkę faceta, w sprawie którego prowadzisz śledztwo? — zdziwił się Lattimer.

— W ten sposób mogę go poznać — odparł Strange. — Poza tym powiedziałem mu, że nie będę niczego przed nim ukrywał.

Lattimer wstał, delikatnie założył kaszmirowy płaszcz i umieścił na głowie gangsterski kapelusz, z idealnie zrobionym dolkiem.

— Nie dawaj już Greco nic do jedzenia — Strange ostrzegł jeszcze Janine. — Rano dostał ode mnie całą puszkę.

— A mogę mu dać jedną z tych „kości” z surowej skóry? Mam kilka w szufladzie.

— Jeśli musisz.

Wychodząc z biura, Strange spojrzął w oczy Janine i uśmiechnął się do niej samym wzrokiem. Kolejna rzecz, za którą ją lubił — była dobra dla jego psa.

Kiedy już wyszli na ulicę, Strange spojrzął na nakrycie głowy Lattimera.

— Niezły kapelusz.

— Dzięki.

— Służy ci jako tarcza czy jako miecz?

— Żeby mi uszy nie marzły, tak zupełnie szczerze — odparł Lattimer.

15.

Pojechali caprice'em Strange'a do dzielnicy Southeast. Derek włożył do magnetofonu kasetę z „3+3”, jego zdaniem najlepszym albumem w dorobku braci Isley. Ronald Isley śpiewał tę piękną balladę „The Highways of My Life”, a Strange'a aż skręcało, żeby nucić wraz z nim, ale wiedział, że gdyby uległ pokusie, Lattimer na pewno by to skomentował.

— No, masz tu kawałek pięknej muzyki — powiedział w końcu. — Nie mów, że nie, bo temu nie możesz zaprzeczyć.

— Faktycznie, całkiem niezłe. Ale ja tam wołam więcej dynamiki w muzyce.

— Tu masz jeszcze pozytywny tekst, facet. Żadnych przechwałek o tym, jak to się spuściło kobiecie łomot, żadnego udawania, że śmierć jest romantyczna.

— Derek, przecież wiesz, że nie słucham takiego szajsu. Owszem, bujam się do hip-hopu, ale takiego więcej jazzowego. The Roots, Black Star, te klimaty. Te rzeczy, których się czepiasz, w ogóle mnie nie biorą. Chcesz wiedzieć, co o tym myślę? Białą przemysł muzyczny znów wyzyskuje naszych. Jakbym widział tych białasów w zarządach koncernów płytowych, którzy każą młodym raperom ładować do tekstów więcej przemocy, więcej chamstwa wobec naszych kobiet, tylko dlatego, że wtedy ich towar lepiej się sprzedaje. I dobrze wiesz, że ja na to nie idę.

— A soul z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych? — westchnął Strange. — Jeśli o mnie chodzi, tej muzyki nic nie zdoła zastąpić.

— To też mi nie wchodzi, Derek. Przecież urodziłem się dopiero w siedemdziesiątym.

- Dużo straciłeś, młodzieńcze. Dużo straciłeś.
Strange skrzył w Ósmą Ulicę, a potem w M.
 - Gdzie jedziemy? — zapytał Lattimer.
 - Do knajpy topless — odparł Derek.
 - No, dzięki, szefie. To jeden z tych bonusów, o których wspominałeś, kiedy zaczynałem robotę w tej firmie?
 - Ty zostajesz w wozie. To ten lokal, w którym zwinąłem Shermana Colesa, kiedy ty podziwiałeś własne odbicie w trzyczęściowym lustrze. Muszę po prostu zapytać bramkarza o parę spraw.
 - O Quinna?
 - Mhm.
 - Słyszałem, jak Janine mówiła, że ten facet, którego Wilson trzymał pod lufą, był zupełnie czysty.
 - Może i był. Jedno jest pewne, nieźle na tym wyszedł. Według gazet departament policji osłodził mu życie na osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Za „cierpienie emocjonalne”, jakiego doznał, jak też uraz kręgosłupa wywołany tym, że Wilson rzucił go na auto.
 - A ile dostała matka Wilsona?
 - Z tego co wiem, sto paczek.
 - Czyli departament trochę się wykosztował, żeby ludzie odczepili się od tej sprawy.
 - Tyle że jego matki nigdy nie da się uspokoić pieniędzmi.
 - Znasz ten ból, nie?
- Strange wspomniał swojego brata, martwego już od trzydziestu lat, i kobietę, którą na początku lat siedemdziesiątych kochał namiętnie i szczerze.
- Kiedy przemoc odbierze ci ukochaną osobę, nie ma takich pieniędzy na świecie, które mogłyby to naprawić — powiedział w końcu.
 - A zemsta? To pomoże? Jak sądzisz?
 - Nie — Strange wciąż myślał o bracie i ukochanej dziewczynie.
 - Nie da się zapłacić złym życiem za dobre.

Strange zaparkował na ulicy, obok jednej z wygrodzonych parcel wychodzących na rewir barów topless i łaźni.

- Zaczekaj tutaj — polecił Lattimerowi.

Na wejściu do Toot Sweet znów stał ten sam bramkarz, który miał służbę tego dnia, gdy Strange aresztował Colesa. Miał lekko podcieniowane włosy i nosił workowate dresy, ale nawet to nie pomagało mu ukryć znacznych gabarytów. Chłopak wyglądał jak jakiś mieszaniec Afrykanina i Azjaty, ale zdaniem Strange'a z przewagą

murzyńskiej krwi — on sam jeszcze nigdy nie widział tak wielkiego Chińczyka.

— Jak tam leci — zagadnął.

— Wciąż siedem papiera za wjazd. Od ostatniego razu cennik się nie zmienił.

— Co, pamiętasz mnie?

— I ciebie, i twojego kumpla. Mały biały trochę napaskudził w kiblu.

Strange wsunął w dłoń bramkarza złożony banknot dziesięciodolarowy. — To nie za wjazd, dziś nie wchodzę. To dla ciebie.

Bramkarz dyskretnie zerknął za siebie, po czym wsunął banknot do kieszeni spodni. — Coś cię interesuje?

— Tak się zastanawiałem, co właściwie się stało tam w kiblu.

— Co się stało? Twój partner *rozjebał* tamtego pakera. Poszedł do kuchni, wziął tłuczek do mięsa, z nim prosto do kibla i raz dwa złamał facetowi nos. Jak już go miał w parterze, wsadził mu jeszcze parę kopów. Sam musiałem wycierać krew. I mało to jej nie było.

— Co zrobiliście z tym mięśniakiem?

— Jeden z kumpli z pracy zawiózł go do szpitala ogólnego i zostawił pod wejściem. Mają tam jednego lekarza, Sanders się nazywa, już widzieliśmy, jak poskładał paru gości, którzy dostali tu wpierdol. Więc mnie się widzi, że gość trafił w dobre ręce.

— Czemu nie zadzwoniliście po gliny?

— Paker nie chciał. Od razu pomyślałem, że mogą mieć na niego nakaz, nie? Poza tym szefostwo nie życzy sobie, żeby gliny zbliżały się do tego lokalu. No i oczywiście jasna sprawa, że ani ty, ani twój kolo nie jesteście z mendowni, cholera wie, co właściwie robicie, ale znacie pewnie dość glin, żeby narobić szefowi syfu w interesach, kumasz? No, nie jesteśmy idiotami.

— Tak też mi się wydawało.

— Tylko wiesz, kiedy następnym razem przyjedziesz tu z tym białym...

— Jasne. Będzie na smyczy.

Bramkarz uśmiechnął się i poklepał po kieszeni. — Chcesz kolejne pokwitowanie?

— Kusząca propozycja — odparł Strange. — Nie, dzięki.

Wracając do samochodu, zastanawiał się, czy aby nie stosował wobec Terry'ego Quinna niezasłużonej taryfy ulgowej. Pewnie, strzelanina, w której zginął Wilson, mogła mieć dokładnie taki przebieg, jak to opisał Quinn. Może też jednak po prostu coś w nim

pękło, jakby znieca w mózgu zapaliła się czerwona lampka. Młody facet ma w sobie tyle gwałtowności... kto wie?

Quinn potrzasał za ramię typa, który sam na siebie mówił „Księżycowy”, a teraz właśnie spał przy elektrycznym grzejniku w pokoiku w głębi księgarni. Księżycowy zaopatrywał się w odzież w organizacji charytatywnej Stół Pański, a wikt i opierunek znajdował w nowej noclegowni opodal Georgia Avenue, za klubem bilardowym i lombardami, koło torów kolejki podmiejskiej, prowadzonej przez organizację Progress Place. Za dnia włóczył się po ulicach. Dziś było naprawdę zimno, a w takie dni Quinn pozwalała Księżycowemu sypiać w pokoju z książkami science-fiction, niemal na zapleczu księgarni.

— Ej, Księżyc. Wstawaj, facet, czas się ruszać. Syreeta zaraz tu przyjdzie. Wiesz, że nie lubi, kiedy tu kimasz.

— Dobra, już.

Księżycowy wstał z podłogi. Nie za często korzystał z prysznic w noclegowni. Bił odeń ten typowy odór kloszarda, połączenie zastarzałego potu, papierosów, alkoholu i zgnilizny. Quinn cofnął się o krok, gdy Księżycowy otrząsał się ze snu. W pozlepianej żółtkiem brodzie włóczęgi tkwiły jakieś okruchy. Płaszcz, który ten miał na sobie, stary zimowy wyrób marki REI w kolorze grafitu z granatowym podbiciem, był darem Quinna. Najcieplejszy płaszcz, jaki Quinn w życiu posiadał.

— Masz to — podał Księżycowemu dolara, w sam raz na kawę, za mało na alkohol.

— Dukat — kloszard przyjrzał się banknotowi. — Wiesz, że to słowo oznacza szczerozłotą monetę, typ dawnej europejskiej waluty? W dwudziestym wieku Afroamerykanie przyjęli je jako część swojego slangu. Po latach stało się codziennym elementem czarnego słownika...

— Ciekawostka — Quinn łagodnie prowadził Księżycowego do frontowych drzwi.

— Wydam go rozsądnie.

Idąc za kloszardem, Quinn zauważył, że Księżycowy wetknął w tylną kieszeń swoich obszarpanych spodni jakąś książkę.

— Tylko przynieś mi to z powrotem, jak już przeczytasz.

— „Gwiazdy moje przeznaczenie” Bestera. To nie byle książka, Terry. To wyprawa, która olśniewa umysł, literackie osiągnięcie godne olimpijskich laurów...

— Ale przynieś, jak przeczytasz.

Quinn odprowadził Księżycowego wzrokiem aż za drzwi. Ludzie w okolicy lubili traktować tego włóczęgę jako „nadwornego intelektualistę”, dumając w głos, jak to się mogło stać, że tak „utalentowany umysł” wpadł w społeczną czarną dziurę. Quinn jednak nie miał ochoty słuchać wykładów włóczęgi. Pozwalał mu spać w księgarni, bo na dworze był mróz, a płaszcz oddał mu dlatego, że nie chciał, by człowiek umarł z zimna.

Quinn zatrzymał się przy sali z książkami o sztuce i rozrywkach i zajrzał do środka przez otwarte drzwi. Typ w średnim wieku o farbowanych włosach i wargach koloru wątroby przeglądał album zdjęć pod tytułem „Dzieci całego świata”. Stał twarzą do ściany i trzymał książkę bardzo blisko piersi. Miał podobną minę do grubasa o wilgotnych oczach, który wiecznie kręcił się w dziale sportowo-hobbistycznym, czy młodego białego mężczyzny o bardzo krótko ściętych włosach, który sterczał w pokoju z książkami o historii wojskowości i z półuśmieszkiem wpatrywał się w zdjęcia nazistowskich zbrodni wojennych. Quinn potrafił rozpoznać wszystkich takich ludzi: nieudaczników, obleśnych świrów, pedofilów, wszystkich tych pojebów, którzy nie mieli kumpli i nigdy nie chcieli sprawić komuś bólu, ale jakoś zawsze to robili. Syreeta mówiła, że powinien dawać im spokój, bo książki stanowiły zdrowsze ujęcie dla ich wypaczonych pokus — gdyby nie to, czailiby się na ulicach.

Quinn wiedział, że tacy ludzie i tak polowali na ulicach. Syreeta była w porządku, była dobrą kobietą i miała najlepsze intencje, ale Quinn widział życie na gorąco, a ona nie. Ci wszyscy pojebańcy byli po prostu chorzy, i tyle. Najchętniej wpakowałby ich do jednego pokoju i...

— Hm, Terry — stanął przed nim Lewis, trzymał karton pełen książek w twardych okładkach. — Skończyłem układać nowe winyle. Teraz muszę poukładać beletrystykę na półkach. Popilnujesz za mnie kasy?

— Pewnie.

Quinn podszedł do kontuaru. I zadzwonił zaraz do Juany, żeby potwierdzić godzinę spotkania tego wieczora. Zeszłej nocy długo rozmawiali przez telefon. Dostał wzrodu przez samą rozmowę, na dźwięk jej głosu. Mógłby oszaleć, myśląc o jej oczach, włosach, tych ciemnych sutkach, gorącej cipce, delikatnych dłoniach. Miewał to samo z innymi dziewczynami, które go podniecały, ale teraz było *inaczej*, naprawdę. Chciał pobrykać, ale pragnął także po prostu z nią *być*. Zostawił wiadomość na jej automatycznej sekretarce.

Siadł za kasą i sięgnął po książkę, „Straceńcy”, western Rona Hansena. Ta powieść była jedną z jego ulubionych i teraz ją sobie

przypominał, ale nie mógł się skupić na tekście, więc po paru stronach odłożył książkę. Wstał i zaczął przerzucać używane winyle w koszach przy kontuarze. Ktoś znów przyniósł Natalie Cole, do tego Brothers Johnson, Spooky Tooth, Haircut 100... Wyjął płytę, która na okładce miała grupę czarnych kolesi w strojach z lat siedemdziesiątych, trzy różne zdjęcia pokazujące, jak pajacowali na jakimś pasie startowym. Quinn przeczytał tytuł płyty i uśmiechnął się.

Zabrzmiał dzwonek nad drzwiami — do sklepu weszła Syreeta James. Dobijała już do pięćdziesiątki, była raczej korpulentna, miała miłą, brązową, piegowaną twarz, wysokie kości policzkowe i ciemnokasztanowe oczy. Połowę czasu spędzała w swojej księgarni, resztę na zjazdach bibliofilskich albo przy komputerze, prowadząc stronę internetową, gdzie kupowała i sprzedawała rzadkie książki w popularnych wydaniach. Ubrana była jak zwykle, kamizelka i koszula na długą, luźną suknię, do tego chodaki, a spod kolorowej, dzierganej czapeczki sterczały dredy. Kiedyś Lewis w rzadkim pokazie humoru opisał ją jako „kwiat Harlemu importowany do Takoma Park”.

— Terry?

— Tak, Syreeta?

— Ty wychodzisz?

— Jak tylko po mnie przyjadą. Może będę też musiał wziąć więcej wolnego.

— Nie ma problemu, jak długo Lewis może cię zastąpić — Syreeta położyła swoją płócienną torbę na szklanym blacie kontuaru. — Tylko... czy nie zależy ci na wysokości wypłaty?

— Mam policyjną rentę, głód mi nie grozi.

Quinn wyjrzał przez okno akurat w chwili, gdy przy krawężniku stanął biały caprice. Nabił cenę na kasie, włożył pieniądze do szuflady i tuląc do piersi znaleziony album, ściągnął kurtkę z wieszaka.

— To po ciebie?

— Aha.

— Wygląda jak policyjny.

— Bo jest.

— Terry...?

— Mhm?

— A co tutaj tak śmierdzi?

— Księżycowy. Pożyczył też książkę, „Gwiazdy moje przeznaczenie”, chyba możesz ją skreślić z inwentarza.

— To dobra rzecz.

- Godna olimpijskich laurów — przytaknął.
 - Jeśli znów pozwolisz mi tu spać, spryskaj sklep odświeżaczem, zanim wejść — powiedziała.
- Nie usłyszał — był już za drzwiami.

16.

To ja tu wypruвам sobie żyły, a teraz mi mówisz, że nie możesz iść? — zapytał Strange.

— Najmocniej przepraszam — odrzekł Lattimer. — Wiem, że kupiłeś bilety i w ogóle, ale Cheri powiedziała, że nie ma zamiaru siedzieć na jakiejś ciemnej sali i przez całą noc patrzeć, jak dwaj goście napierdalają się do upadłego.

— To musi być naprawdę rewelacyjna panna, skoro wolisz przepuścić bilety na walkę o mistrzostwo. A organizatorem jest Don King, to nie żadne nawalanki w piwnicy. Facet, było mi powiedzieć, że tak będzie, zanim kupiłem bilety.

— Kiedy nie wiedziałem.

Strange zauważył, że Quinn przeszedł na ich stronę ulicy. — O, idzie.

— Co to jest, że wszyscy biali kolesie noszą flanelowe koszule? — zauważył Lattimer. — Dostają piłę mechaniczną w zestawie, czy jak?

— Każdy ma swojego bzika.

— Mnie tam facet nie wygląda na brutala. Na glinę zresztą też nie.

— Taki już jest nieduży — odparł Strange. — Ale uwierz mi, jak się rozkręci...

Quinn otworzył drzwi od strony pasażera i wsiadł do tyłu wozu.

— Terry, poznaj Rona Lattimera, detektywa z mojego biura.

— Cześć, Ron.

— No cześć.

Quinn wyciągnął rękę ponad zagłówek i Lattimer uściśnął mu dłoń.

— A co tam masz, Terry? — zapytał Strange.

— Coś dla ciebie.

Quinn podał mu album „Flying Strange” zespołu The Blackbyrds. Strange uśmiechnął się na widok okładki. Rozłożył ją i spojrzął na zdjęcie pośrodku, fotografię grupy w lotniskowym hangarze.

— Jasny gwint, chłopie. I to z wytwórni Fantasy. Nawet nie marzyłem, że jeszcze kiedyś taki zobaczę!

— Właśnie dziś dostaliśmy.

Strange wczytał się w informacje o nagraniach. — Dokładnie tak, jak to zapamiętałem. Ci goście studiowali na Harvardzie, kiedy nagrali tę płytę. Studiowali u Davida Byrda, rozumiecie...

— Derek, wiesz, muszę jeszcze dziś po południu załatwić parę rzeczy — wtrącił Lattimer.

— No dobra, jasne — Strange odłożył płytę na siedzenie obok siebie.

— Głodni?

— Zaraz za rogiem jest taka wietnamska knajpa — zaproponował Quinn. — Mają czadową zupę.

— Dla mnie bomba — zgodził się Strange.

Wrzucił bieg i włączył się do ruchu. Wyjechał na Georgia Avenue, skręcił w lewo zgodnie ze wskazaniem Quinna i dalej na południe. Na światłach znów otworzył album i zachichotał pod nosem, patrząc na staroświeckie ciuchy i karykaturalnie wielkie czapy członków grupy.

— Naprawdę miły gest, Terry.

— Wiem, że nie robisz naboru na przyjaciela — Quinn zerknął w lusterko, spojrzął w odbicie oczu Strange'a. — Po prostu pomyślałem, że może ci się spodobać.

Dostali stolik przy oknie w „My-Le”, byłej kufloce, a obecnie jadłodajni *pho* przy ulicy Selim. Mieli stamtąd widok na samochody na Georgia Avenue i dalej, na tory kolejowe.

— Coś tam robią — Quinn skinieniem głowy wskazał stację kolejową. Dach budynku okrywała granatowa plandeka, a w okna wstawiono arkusze sklejki.

— Wygląda na to, że odnawiają — rzucił Lattimer.

— Albo to, albo ją wyburzą. Teraz w tej okolicy wciąż coś wyburzają.

— Przynajmniej się pozbędą tych wszystkich lombardów...

— No tak, ale to dotyczy także salonów manicure, fryzjerskich, szewca, ślusarza, warsztatów samochodowych i sklepów z częściami... takich firm, które codziennie świadczą usługi zwykłym robotom. Ale teraz japiszony, które kupiły sobie tutaj domy, mogą się chwalić, że mają super wielką księgarnię i sklep muzyczny, i butik spożywczy, i kawiarnię Starbucks dokładnie taką samą, jak ich rywale po drugiej stronie miasta.

— Rozumiem, że nie do końca popierasz kurs na rewitalizację Silver Springs — stwierdził Strange.

— Oni likwidują mi wspomnienia — odparł Quinn. — Zresztą, prawdę mówiąc, lubię takie zapuszczone okolice.

Samotny kelner, jowialny typ imieniem Daniel, który dorabiał sobie jako malarz pokojowy, podał im zupeę i świeżo zrobioną lemoniadę.

Lattimer zajął do swojej bulionówki i zmarszczył brwi. — Nie ma tu żadnych szokujących dodatków, na pewno nie dali nic z tych rzeczy?

— Może w rosole — odrzekł Quinn. — Pływające oka.

Zupa była gęsta, na bulionie wołowym, pełna makaronu ryżowego i mięsa, a do tego dostali sałatkę z fasolki szparagowej, pikantnych zielonych papryczek, limetek i świeżej mięty. Strange i Quinn przygotowali się do jedzenia, dodając jeszcze ostry sos czosnkowy z plastikowej buteleczki. Lattimer przerzucił sobie krawat przez ramię, przyjrzał się zachowaniu towarzyszy i poszedł w ich ślady.

— Też byłeś gliną? — zagadnął go Quinn. Aromatyczna para bijąca z zupy ogrzewała mu twarz.

— Ja? Nieee.

— Nie podobał mu się krój mundurów — wtrącił Strange.

— No jasne, Derek. Tak naprawdę to zawsze chciałem robić za prywatnego detektywa, jak teraz. Nigdy nie myślałem o innej robocie. Poza tym, bez urazy, ale w policji mają teraz tyle problemów, że nawet się cieszę, że się *nie* zapisałem.

— W policji jest od cholery więcej dobrych glin niż przeciętnych — odparł Quinn. — A tych rzeczywiście złych jest naprawdę niewielu. Trudno mieć pretensję do tych, których wysłano na ulice, zanim byli do tego przygotowani. Wtedy sytuacja była taka, że ryba śmierdziała od głowy.

— I to ma wyjaśniać te wszystkie strzelaniny? — zapytał Strange.

— Strzelanie do bezbronnych podejrzanych, do jadących samochodów... — podjął temat Lattimer.

— Kto może wiedzieć w środku akcji, czy facet ma broń, czy nie, jeśli sięga pod kurtkę, co? — odparł Quinn. — Weźcie pod uwagę to, co się teraz dzieje na ulicach. Skoro wszyscy przestępcy mają swobodny dostęp do broni, skoro takie jest nastawienie, gliniarzy zabija się z zimną krwią... nie trzeba wielkiego wysiłku umysłowego, by nabrać przekonania, że każdy, kto nosi mundur, ma wymalowaną na sobie tarczę strzelniczą. Posłuchajcie dobrze, po prostu usiłuję wam wytłumaczyć, że cała masa naszych po prostu się boi. Potraficie to zrozumieć?

Lattimer nie odpowiedział, ale i nie odwrócił wzroku.

Strange rozłamał swoje pałeczki i z ich pomocą wyłowił kawałek wołowiny z dna bulionówki. I wtedy rzekł: — Jak mówiłem, to nie tłumaczy wszystkiego.

— Bo to nie jest takie proste — odrzekł Quinn. — I ty to wiesz. Sam byłeś w tej sytuacji, Derek. *Wiesz, jak to jest.*

— No dobra — ustąpił Strange. — Ale miałeś na koncie parę oskarżeń o brutalność, nie?

Przełknął mięso i makaron, otarł usta serwetką.

— Owszem — przyznał Quinn. — Tak samo jak Chris Wilson. I cała masa innych policjantów. Czy skarga jest uzasadniona, czy nie, jeśli została złożona, nie da się jej wycofać z papierów.

— A o co cię oskarżano?

— Mnie? O pierdoły — skwitował Quinn. — Koleś walnął głową o dach radiowozu, kiedy go aresztowałem, inny narzekał, że za ciasno założyłem mu kajdanki... takie rzeczy. W raporcie nigdy nie ma ani słowa o tym, czego się człowiek musiał nasłuchać, ile razy to jego zwyzywano w ciągu patrolu.

Strange przytaknął. Świetnie to pamiętał. Pamiętał też jednak, że z czasem policjanci twardnieli, że w końcu w pewnych dzielnicach nie widzieli już obywateli, których przysięgali chronić, ale tylko potencjalnych przestępców, czy to mężczyzn, kobiety czy dzieci. A już zupełnie inną sprawą była reakcja białego policjanta na widok czarnej twarzy.

— Słuchajcie — podjął Quinn. — Pamiętacie, jak parę lat temu jeden czarny gliniarz zatrzymał białą kobietę za jazdę po pijanemu w środku nocy, chyba gdzieś w Georgetown?

— Tę, co ją przykuł do znaku stopu tak, że musiała siedzieć na dupie, na zimnym asfalcie? — odrzekł Lattimer. — Przypadkiem był tam jakiś fotograf i zrobił zdjęcie.

— No właśnie — ciągnął Quinn. — Więc powiedz mi, Derek, co sobie pomyślałeś o tym incydencie, kiedy przeczytałeś o tym po raz pierwszy.

— Wiem, do czego zmierzasz — powiedział Strange. — Że ten policjant nie potraktował tak tej kobiety bez powodu. Że musiała mu napyskować...

— Na przykład jak?

— Bo ja wiem, może „Zabieraj łapy, ty czarny sukinsynu”, coś w ten deseń.

— Może nawet nazwała go czarnuchem — podsunął Quinn.

Lattimer uniósł wzrok znad zupy. Nie podobało mu się, kiedy biały wypowiadał to słowo, niezależnie od kontekstu.

— Może i tak — przyznał Strange.

— Chodzi mi o to, że jak by nie było w tym akurat wypadku, na mieście takie pyskówki między gliniarzami a oprychami i cywilami zdarzają się codziennie. I nigdy nie upublicznia się tego, co zostaje wtedy powiedziane...

— Zmierzasz do jakichś wniosków? — zagadnął Strange.

— Właśnie — dodał Lattimer. — Też zacząłem się nad tym zastanawiać.

— No dobra — Quinn pochylił się, opierając przedramiona na blacie stolika. — Wiecie, co się stało tamtej nocy? Jeśli chodzi o moją rolę, wszystko macie w protokołach i w prasie. Niczego nie ukryto, niczego nie utajniono. Facet wycelował we mnie, a ja zareagowałem tak, jak mnie do tego wyszkolono jako policjanta. Z perspektywy czasu jasne jest, że postąpiłem źle, że życie stracił niewinny człowiek. Ale to tylko z perspektywy czasu. Nie wiedziałem wtedy, że Chris Wilson był gliną...

— No i? — zapytał Strange.

— Czemu ten Wilson trzymał Ricky'ego Kane'a pod łufą? Czemu na jego twarzy była ta naga wściekłość, którą widziałem tamtej nocy?

— Oficjalnie uznano, że to było rutynowe zatrzymanie — odparł Strange. — Sytuacja musiała się zmienić w coś zupełnie innego.

— Dajcie spokój, gliniarzowi po służbie chciałoby się tracić czas, żeby zatrzymać faceta za sikanie na ulicy?

— To faktycznie raczej nie ma sensu, przyznaję — odrzekł Strange. — Przypuśćmy jednak, że Wilson rzeczywiście zatrzymał się i postanowił spełnić swój obowiązek, nawet po godzinach pracy.

— Nie wiemy, do czego doszło między Wilsonem i Kane'em — naciskał Quinn. — Nie wiemy, co do siebie *mówili*.

— I nigdy się nie dowiemy. Wilson nie żyje, więc zostaje nam tylko wersja Kane'a. A on ma czyste konto. To nie *on* zabił Wilsona, więc nie było powodu, żeby prowadzić dochodzenie w jego sprawie.

— Wiecie, nie będę wam tłumaczyć, jak macie robić swoje — odparł Quinn. — Ale gdyby to mnie wynajęto do oczyszczenia pamięci Chrisa Wilsona, zacząłbym od rozmowy z Kane'em.

— Mam to w planie — odrzekł Strange.

— Tyle że Kane nie ma motywu, żeby o tym rozmawiać — zauważył Quinn.

— Wiem, nie będzie łatwo.

— A już na bank nie powie wam ani słowa, jeśli będę obecny przy rozmowie.

— Nie po to cię dziś zabieramy.

— Nie? To z kim będziemy rozmawiać?
— Z Eugene'em Franklinem, twoim byłym partnerem — odparł Strange. — Jesteśmy umówieni w jednej knajpie za mniej więcej godzinę.

Quinn skinął głową, po czym odłożył serwetkę na stół i poszedł do ciasnej toalety, mijając maszynę do karaoke.

Lattimer wypił z bulionówki resztę rosółu i poprawił się na krześle.

— Wyszadźcie mnie przy biurze, jak będziecie jechali do tej knajpy?

— Pewnie — odrzekł Strange. — I co o nim myślisz?

— Facet ma z czymś problem — stwierdził Lattimer. — Ale w tym, co mówi, jest sporo sensu.

Złożyli się na rachunek i wyszli do auta. Po drodze przejechali obok Czwartej Komendy Miejskiej przy Georgia Avenue, która otrzymała imię Briana T. Gibsona ku pamięci policjanta zastrzelonego przez uzbrojonego socjopatę, gdy siedział w radiowozie pod klubem nocnym Ibox. Brian Gibson pozostawił po sobie żonę i córeczkę.

17.

Przy Drugiej Ulicy, kilka przecznic od siedziby Sądu Dystryktu i baru FOP, mieści się bar o nazwie Na Piętrze u Eriki — faktycznie na pierwszym piętrze przebudowanej kamienicy naprzeciwko Departamentu Pracy. Ten lokal przyciągał stałe towarzystwo — gliniarzy, ich fanki, szeryfów federalnych i prokuratorów różnych szczebli. Zaraz obok znajdował się ten drugi bar z częścią restauracyjną, gdzie zbierali się gracze w rugby, studenci, pracownicy administracji i adwokaci, przeważnie biali. Ruch był taki, że obie knajpy mogły się utrzymać, tym bardziej że Na Piętrze u Eriki klientami byli niemal wyłącznie czarni.

Barmanka, młoda i piękna dziewczyna, która jeszcze zyskiwała w przyćmionym świetle, podała Derekowi dwa piwa. Ten zapłacił jej z napiwkiem i poprosił o pokwitowanie. Gdy przyszła z rachunkiem, miał jeszcze jedną prośbę — by włączyła płytę Frankiego Beverly z zespołem Maze. Kiedyś, niezbyt dawno temu, spotkał się tu z jedną panią na parę drinków, więc wiedział, że mają nagrania Maze w repertuarze. Zresztą ten zespół był lubiany w całym Dystrykcie — choć zakończyli działalność całe lata temu, wciąż jeszcze grano ich muzykę w klubach, na weselach czy piknikach w parku Rock Creek.

— A która płyta ma być? — zapytała barmanka.

— Ta z „Southern Girl”.

— Się robi.

Derek wziął dwie butelki piwa i zaniósł je do stojącego pod nieotynkowaną ścianą stolika, przy którym zostawił Quinna. Ten stał przy stole, ściskając się z czarnym mężczyzną w jego wieku. Poklepywali się nawzajem po plecach. Strange bez problemu domyślił się, że to Eugene Franklin.

— Co słyhać, panowie? — zagadnął Strange, podchodząc do stolika. — Jestem Derek Strange.

— Eugene Franklin.

Strange uściśnął podaną dłoń, ale Franklin specjalnie się do tego nie przyłożył, powoli też z jego twarzy zniknął uśmiech spowodowany spotkaniem z Quinnem.

Franklin był postury Strange'a, świeżo ostrzyżony i w świetnej kondycji, ale rysy jego twarzy jakby niezupełnie do siebie pasowały. Derek podejrzewał, że przede wszystkim wynikało to z niemal komicznie wyglądających, wielkich zębów i dużych, łzawych oczu, psujących aurę twardziela, jaką starał się emanować czarny policjant.

— Ma pan ochotę na piwo czy coś?

— Nie piję — uciał Franklin.

Usiedli razem i na moment zapadła niewygodna cisza. Obok stolika przeszło dwóch facetów, bez wątpienia policjantów — ich poza łączyła brawurę z czujnością. Jeden z nich przywitał się z Franklinem, po czym spojrzał na Quinna.

— Co u ciebie, łosiu?

— Niezgorzej.

— Nieźle wyglądasz, facet. Te długie włosy i w ogóle.

— No, się staram!

— I dobrze. Nie przemęczaj się!

Strange zauważył, że ten drugi obrzucił Quinna wyzywającym spojrzeniem, zanim zniknął ze swoim partnerem. Derek doszedł do wniosku, że Quinn wciąż jeszcze miał w policji przyjaciół i zwolenników, ale byli też policjanci, którzy nie podaliby mu ręki na ulicy.

— Wytrzymasz tu jakoś? — zapytał Quinn.

— Większość tych ludzi to znajomi — odparł Terry. — Będzie dobrze.

Strange rozejrzał się po barze. Zdążyła się już rozejść wieść, że przyszedł Terry Quinn, więc Derek zauważył kilku ludzi przyglądających im się z wrogością i innych, po prostu zaciekawionych. Może zresztą ponosiła go wyobraźnia. To nie był jego

problem, więc nie zamierzał się tym przejmować.

— Zadzwoił pan, więc jestem — stwierdził Franklin. — Nie, żeby pan pana poganiał, ale niedługo zaczynam zmianę, więc nie mam wiele czasu.

— Jasne — Strange pchnął wizytówkę po blacie. Kiedy Franklin czytał jej treść, Derek podjął: — Dzięki, że zgodził się pan na spotkanie.

— Wspomniał pan, że pracuje dla matki Chrisa Wilsona.

— Mhm. Martwi ją reputacja syna. Jej zdaniem po tym zajściu oczerniono go w mediach.

— Gazety i telewizja... — Franklin z goryczą wzruszył ramionami. — Wie pan, jacy oni są.

— Ja po prostu usiłuję wyjaśnić parę spraw. Gdyby udało mi się zdjąć z Wilsona przynajmniej część tego odium... to wszystko, co chciałbym osiągnąć.

— Wszystko znajdzie pan w protokołach. Jest pan prywatnym detektywem... — Strange wyczuł ziarnko wzgardy w głosie Franklina.

— Powinien pan znać jakiś sposób, żeby do nich dotrzeć.

— Już dotarłem. Pański kolega, Terry, również podał mi swoją wersję wydarzeń. Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, poprosiłbym pana o to samo.

Franklin spojrział na Quinna. Ten upił łyk piwa i powściągliwie skinął głową. Strange wyjął z pokrowca uruchamiany dźwiękiem dyktafon, włączył urządzenie i postawił je na stole.

Franklin leniwie wskazał dyktafon palcem. — O nie. Wyłącz pan to gównno albo idę stąd.

Strange demonstracyjnie nacisnął guzik zasilania, ale nie na tyle mocno, by wyłączyć dyktafon. Schował urządzenie do kurtki.

— No dobra — mruknął Franklin. — To od czego mam zacząć?

Strange powiedział mu, czym był zainteresowany, i usiadł wygodniej.

Nim Franklin skończył swoją historię, w butelkach zabrakło już piwa.

Strange musiał się lekko uśmiechnąć, bo patrzył, jak Franklin obserwuje *jego*, czekając na jakąś reakcję, odpowiedź. Bo też podobieństwo opowieści Franklina do wersji Quinna było niemal zabawne. To niemożliwe, żeby dwaj ludzie opowiadający o tym samym wydarzeniu zrobili to tak zgodnie, tak zbieżnie.

— Co jest? — zapytał Franklin.

— Nic takiego — odparł Strange. — W każdym razie nic istotnego, czy w ogóle... Tak się tylko zastanawiałem, skoro niebezpieczeństwo było tak bliskie, tak wyraźne, dlaczego i pan nie strzelał do Wilsona?

- Bo Terry strzelił pierwszy.
- Gdyby Terry tego nie zrobił, strzeliłby pan?
- Nie umiem powiedzieć, co *mógłbym* zrobić.
- Mówi pan jednak, że Terry postąpił słusznie.
- Na sto procent słusznie. Widziałem, gdzie celował Wilson. Widziałem w jego oczach, co zamierzał zrobić. Nie mam nawet cienia wątpliwości, że gdyby Terry do niego nie strzelił, on zacząłby strzelać do mnie. Rozumie pan, co mówię? Nawet cienia wątpliwości.

Strange pociągnął kciukiem po żuchwie. — Jest pan tak tego pewny, Eugene... i to właśnie mnie martwi. Bo widzi pan, poszedłem do biblioteki i wyciągnąłem wszystkie reportaże z gazet, te robione na bieżąco jak i trochę później, i zobaczyłem tam jedną rzecz, która mi się z tym wszystkim kłóci.

- Tak? A cóż takiego?

- Kiedy pański partner odszedł ze służby, wstąpił pan w szeregi stowarzyszenia pod nazwą Inicjatywa Czarnych Policjantów. Rozklejaliście ulotki wzywające naszych w mundurach do protestów. Jeśli się nie mylę, pan sam również podpisał tę petycję.

Franklin zerknął szybko na Quinna. — To prawda.

- Więc jeśli Quinn postąpił słusznie...

- Moment — wtrącił Franklin. — Terry *zrobił* słusznie... w tym szczególnym przypadku. Tyle że od dziewięćdziesiątego piątego roku już trzej afroamerykańscy policjanci po służbie zostali zastrzeleni przez białych gliniarzy. Mało tego, że codziennie narażam głowę, to jeszcze mam robić za ruchomy cel dla własnych kumpli? Owszem, uznałem, że pora podjąć inicjatywę. A poza tym, Strange, to wewnętrzna sprawa policji, jasne? Nie pańska. To sprawa między mną a moimi towarzyszami z pracy i moim partnerem.

- Pańskim byłym partnerem, jak rozumiem.

Między Franklinem a Quinnem przeszedł jakiś impuls. Strange widział, że wciąż istniała między nimi silna więź, może nawet na krawędzi uczucia. Jak silna by jednak nie była, skalało ją zajście w Ulicy D, a tego, co zostało zniszczone, już raczej nie dałoby się odbudować.

Franklin pokręcił głową i wbił wzrok w blat stolika. — Ależ z ciebie typ, Strange.

- Po prostu robię to, za co mi płacą.

- No to odbij sobie kartę zegarową. Praca skończona, bo ja ci już dziś nic więcej nie powiem.

— Taak, też mam wrażenie, że jak na razie temat jest zamknięty — Strange wstał z krzesła. — Zostawię was na parę minut. To piwo przeleciało mi jakoś przez nerki.

Kiedy Strange szedł wzdłuż kontuaru w stronę toalet, Franklin obserwował jego krok — zauważył cień buty, ściągnięte łopatki, proste plecy.

— Facet chodzi jak gliniarz — stwierdził.

— Bo był gliną, strasznie dawno temu — wyjaśnił Quinn.

— Dało się zauważyć dopiero wtedy, kiedy wstał — mruknął Franklin.

Strange zatrzymał się przy kontuarze na parę słów ze znajomym policjantem, obecnie emerytem, nazwiskiem Al Smith. Smith przez wiele lat był partnerem niejakiego Larry'ego Michaela. Posiwał już, a sądząc po rozmiarach brzucha, Strange podejrzewał, że spędzał całe dnie Na Piętrze u Eriki.

— Postawić ci browca? — zagadnął Smith.

— Za dnia ograniczam się do jednego, Al, i dziś już go zaliczyłem.

— No to następnym razem. A co się odwlecze, to nie uciecze!

Strange parsknął śmiechem. Al Smith od trzydziestu lat wciąż serwował odgrzewane przysłowia.

Siedzący przy barze, palący grube cygaro potężny facet o wysokim czole i spłaszczonym, zadartym nosie spojrzął bez wyrazu na Strange'a, gdy ten przechodził obok. Derek skinął mu głową, ale nie doczekał się odpowiedzi. Nieznajomy zajrzał do swojego kufla, uniósł go i pociągnął solidny łyk. Strange zauważył, że koszulka z logo Departamentu Policji ciasno opinała szeroki tors mężczyzny, którego muskularne ramiona rozciągały bawełnianą tkaninę rękawów.

W toalecie Derek odlał się do pisuaru, nucąc do „Joy and Pain”, której wysokie dźwięki przenikały cienką ściankę działową. Zapiął rozporek i obrócił się do wyjścia, gdy do pomieszczenia wszedł ów olbrzym w koszulce Departamentu. Wyglądał jak niedźwiedź na dwóch łapach, a gdy wchodził, pchnął drzwi tak mocno, że odbiły się od ściany.

„Okej, nawaliłeś się — pomyślał Strange. — Daj znać światu”.

— Wybacz, brachu — powiedział przyjaźnie, bo ten gigant blokował mu drogę do wyjścia. — Mogę przejść?

Tamten jednak ani drgnął, w ogóle nie zareagował. Jego lśniąca od potu twarz była pozbawiona wyrazu. Strange chciał ponowić pytanie, ale dał sobie spokój. Ominął mężczyznę, szorując plecami po ścianie w najwęższym miejscu, i wyszedł do baru.

Znał wielu takich mundurowych. Kiedy mieli wolne od codziennego gnoju, zamiast się odprężyć, przychodzili tutaj w koszulkach Departamentu, z piwa na piwo coraz bardziej agresywni i szukający pretekstu do bójk. Tacy zawsze ukrywali jakieś istotne słabości, wiecznie próbowali coś sobie udowodnić. Cóż, jeśli tamten typ chciał czegoś z kimś spróbować, będzie sobie musiał znaleźć inny obiekt uczuć. Strange już dawno dał sobie siana z takimi pierdołami.

Dajesz sobie radę? — zaczął Franklin.

— Bez problemu — odparł Quinn. — Pracuję w antykwariacie za torami. Naprawdę... cicha robota.

— Przynajmniej masz czas na czytanie tych twoich ulubionych historyjek o kowbojach i Indianach.

— Żebyś wiedział.

— A jakaś panna?

— Mam dziewczynę. Spodobałaby ci się, fajna jest.

— Może jeszcze ładna?

— Mhm.

— Facet, wyglądasz jak kundel, a w życiu nie widziałem cię z brzydką babą.

— No, o tobie nie dałoby się tego powiedzieć.

— Dalej, używaj sobie. Powiem ci jednak, że między innymi dlatego przestałem pić. Miałem już dość budzenia się u boku pasztetów, wrywanych po klubach.

— Ciekawe, ile z nich przestało pić, kiedy ci się dobrze przyjrzały...

— No, pewnie parę złożyło śluby przed cudownymi obrazami!

Franklin i Quinn parsknęli śmiechem. Eugene zawsze był czuły na punkcie swojej niestandardowej urody i niemożności umawiania się z atrakcyjnymi dziewczynami. Terry należał do nielicznych, którzy mogli rozmawiać i dowcipkować z nim na ten temat.

Rozejrzał się po barze. Rozpoznał Ala Smitha, okupującego swój tradycyjny stółek, posterunkowego nazwiskiem Efficers, z którym raz grał w karty, i paskudnego gliniarza, niejakiego Adonisa Delgado, którego znał tylko z widzenia — Delgado zresztą nie miał żadnych przyjaciół. Teraz właśnie wstawał od kontuaru.

— Brakuje ci tego, co? — zagadnął Franklin.

— Żebyś wiedział.

— Hm, słuchaj, Terry...

— No?

— Ta sprawa, o której wspomniał Strange... ta grupa, do której dołączyłem, no, wiesz, Inicjatywa Czarnych Policjantów...

— Już wcześniej o tym wiedziałem.

— To nie miało żadnego związku z tym, co myślę o tobie, ani z tym, czy wobec Wilsona postąpiłeś dobrze czy źle. Rozumiesz, nie?

— Jasne.

— Od lat dobijaliśmy się o krótkofalówki dla policjantów po służbie, żeby w razie sytuacji, kiedy któryś z nas jest w cywilu, i tak mógł wywołać centralę i zgłosić sprawę, żeby wiedzieli, że na miejscu zdarzenia jest już policjant.

— Wiem.

— Gdyby Chris Wilson miał tamtej nocy radio, a my wiedzielibyśmy, kim był, zanim tam zajechaliśmy, wciąż jeszcze by żył.

— I teraz już macie krótkofalówki. Czytałem, że w końcu sprawa została załatwiona.

— Ale gdyby nie ta sprawa i groźba strajku, nic byśmy nie dostali. A szef, Ramsey, to podniósł też wymagania strzeleckie i wprowadził powtórki szkoleń. Mamy projekty wielu nowych inicjatyw, szykują się nawet nowe kryteria naboru...

— Co jest, próbujesz mi wmówić, że dobrze się stało, że Wilson zginął? Nie ściemniaj, stary, za długo się znamy.

— Mówię ci, że *w skutek* tego stało się parę dobrych rzeczy. Moje zdanie na temat wydarzeń tamtej nocy jest nieistotne. Moim obowiązkiem było się zaangażować, działać na rzecz zapobieżenia podobnym sytuacjom w przyszłości.

— Musiało ci też odciążyć sumienie, nie?

— Też prawda.

— Nie przejmuj się, Gene. Nie mam do ciebie najmniejszych pretensji. Fajnie by było, gdybyś się czasem odezwał, ale ja do ciebie nic nie mam.

— Myślałem, czy by do ciebie nie zadzwonić — przyznał Franklin.

— Ale potem pomyślałem sobie: „Po fajrancie i tak nigdy nic razem nie robiliśmy”. Ile razy rozmawialiśmy przez telefon, kiedy jeszcze byłeś w policji? Może dwa.

— Masz rację. Nie imprezowaliśmy razem.

— Żyliśmy w różnych światach. Inny styl życia, inne zainteresowania, odrębne kręgi znajomych. Nawet o tym rozmawialiśmy, pamiętasz? To żaden grzech, że ludzie wolą spędzać czas wśród swoich.

— Trochę wstyd — stwierdził Quinn. — Ale żaden grzech.

- W każdym razie... muszę lecieć — powiedział Franklin.
- Nie ma sprawy. Fajnie było cię znów spotkać, Gene. I nie startuj już do pasztetów, co?

Franklin zarumienił się. — Spróbuję.

Wstali, znów się uściskali i niezgrabnie rozłączyli ramiona. Franklin unikał wzroku Quinna, kiedy odchodził. Po drodze minął wracającego z toalety Strange'a, ale w żaden sposób nie zareagował.

— Strasznie przyjazne miejsce — rzucił Strange, podchodząc do stolika. — Twój kumpel Eugene został moim dożywotnim fanem, a jakiś kafar w toalecie przymierzał się, żeby mi urwać łeb razem z płucami.

— Wiesz, jakie są gliny — odrzekł Quinn. — Wolą trzymać ze swojakami.

Muszę dziś wpaść jeszcze w parę miejsc — stwierdził Strange. — Podrzuciłbym cię pod dom, ale mi nie po drodze.

— Wysadź mnie przy stacji metra Union — odparł Quinn. — Pojadę dalej czerwoną linią.

Strange wyjechał caprice'em na jezdnię. — Dziś w telewizji na TNT będzie „Nevada Smith”. Kojarzysz?

— Mhm. Dobra rzecz. McQueen był wyrąbistym aktorem.

— I to ten film, gdzie na końcu ten starszy gość z „Posterunku na Hill Street”, ten z tym śmiesznym nosem...

— Karl Malden.

— Właśnie. McQueen trafił go kilka razy, ale nie zabił. Miał jazdę na zemstę, lecz w tym momencie mu przechodzi, facet odkrywa, że jednak jest człowiekiem, i zostawia Maldena w tym strumieniu. McQueen odjeżdża na koniu, a Malden drze się za nim, żeby go dobił, wrzeszczy bez przerwy: „Tchórz! Nie masz jaj!”. Aż mnie dreszcze przechodzą, jak sobie przypomnę.

— Będziesz oglądał?

— Niestety. Idę z kobietą na boks.

— Masz dziewczynę?

— Właściwie to raczej przyjaciółka, Janine Baker. Ona prowadzi mi biuro. Znamy się od dawna. Nic takiego poważnego.

— Taki układ jest najlepszy, jakby mnie kto pytał.

— No, chyba masz rację. A jak u ciebie?

— Też jestem umówiony. Spotykam się z taką jedną dziewczyną, ma na imię Juana.

Strange spojrział na niego. — A macie już jakieś konkretne plany na wieczór?

— Wyjść na spacer, pogadać, może się coś ułożyć.

— To może poszlibyście na galę ze mną i Janine? Wiesz, ja mam dwa dodatkowe bilety.

— Dla mnie super. Nie wiem tylko, czy Juana lubi takie rzeczy.

— Pogadaj z nią i zadzwoń do mnie. Numer pagera masz na mojej wizytówce.

— Jasna sprawa.

Strange skręcił w North Capitol.

— Może być tutaj — rzucił Quinn i otworzył drzwi, gdy Derek zahamował.

— Hej, Terry... Jeszcze raz dzięki za płytę!

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Quinn.

Uścisnęli sobie dłonie. Quinn ruszył w stronę stacji Union. Strange pojechał na północ.

18.

Derek stał w sypialni Chrisa Wilsona i przyglądał się rzeczom stojącym na komodzie. W pudełku po cygarach znajdowały się spinki do mankietów, łańcuszek z krzyżykiem, masoński sygnet z wprawionym czarnym onyksiem, odcinki biletów z multipleksów i kwit na odbiór zdjęć w drogerii sieci Safeway. Ceramiczny kufel związku zawodowego policjantów był pełen długopisów i łyżek do butów. Pod kufel wsunięto małą, barwną fotografię siostry Wilsona, ładnej i dobrze ubranej dziewczyny. Na komodzie były jeszcze czązki do paznokci, aparat fotograficzny z teleobiektywem, nóż z rękojeścią z macicy perłowej, flakon wody kolońskiej od Calvina Kleina i kryształowa czara zawierająca reklamowe pakieciki zapalek z przeróżnych barów i restauracji, jak również mocno zużyta piłeczka do palanta, ozdobiona czymś autografem, ale poobijana i wyplamiona od trawy i błota.

Obok stojącego na komodzie lustro powieszono na ścianie oprawione w ramki zdjęcie, przedstawiające młodzietkiego Chrisa Wilsona stojącego obok Larry'ego Browna*, opatrzone wielkim autografem trenera z dedykacją.

* Słynny trener koszykówki w NBA.

Na ścianach wisiały również zdjęcia składu Redskinsów sięgające piętnaście lat wstecz oraz plakaty akademickich i zawodowych koszykarzy, miejscowych bokserów i innych sportowców oraz wydarzeń sportowych, oprawione w tandetne ramki. Żadnych niespodzianek jak na pokój mężczyzny, który niedawno przestał być chłopcem.

— Zostawiłam tu wszystko bez zmian — Leona Wilson odezwała się zza pleców Strange'a. — Był taki dumny z tego zdjęcia, które mu zrobiliśmy z Larrym Brownem.

— Też mam zdjęcie Larry'ego z autografem — odrzekł Strange. — I też jestem z niego dumny.

— Pamiętam, jak kiedyś poprawiłam ten obrazek i akurat wszedł Chris. Strasznie się zdenerwował, powiedział mi, żebym zabierała ręce. Chociaż rzadko zdarzało, żeby podniósł na mnie głos.

— Bywa tak, że rzeczy nam bardzo bliskie innym wydają się trywialne. Ja mam na biurku taką figurkę gracza Redskinsów, z głową na sprężynce...

— Chris od dziecka mieszkał w tym pokoju. Nigdy się stąd nie wyprowadził. Może gdyby znalazł sobie własne mieszkanie, wyglądałoby inaczej. Tutaj jednak od dzieciństwa prawie nic nie zmienił.

— Tak to bywa, pani Wilson.

— Nigdy nie prosiłam go, by tu został, panie Strange. Po śmierci ojca Chris sam postanowił, że będzie w tym domu mężczyzną. Uważał, że to jego obowiązek, że powinien zadbać o mnie i o swoją siostrę. Ja nigdy go o to nie prosiłam. Sam wziął na siebie to brzemię.

Strange rozejrzał się po pokoju. — Czy Chris pisał może pamiętnik? Prowadził dziennik, czy coś w tym stylu?

— O ile wiem, to nie.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym wziąć te zapalki z misy. Zwrócę je później, jak wszystko inne, co zabiorę.

Leona Wilson skinęła głową, załamując ręce.

— Chris przed śmiercią chodził z jakąś dziewczyną, prawda? — zmienił temat Strange. — Znaczy, z tą, co złożyła oświadczenie dla prasy.

— Zgadza się.

— Myśli pani, że dałoby się z nią pogadać?

— To złote dziecko. Jemy razem kolację, raz albo dwa razy w miesiącu. Z nią i z jej córunią, śliczną dziewczynką, którą urodziła, zanim poznała Chrisa. Zadzwońię do niej, jeśli pan chce.

— I owszem. Prawdę mówiąc, chciałbym się z nią spotkać jak najszybciej. A także porozmawiać z pani córką.

Leona opuściła wzrok.

— Pani Wilson?

— Tak?

— Wie pani może, jak mógłbym się skontaktować z pani córką?

— Nie wiem — Leona pokręciła głową. — Zabrały nam ją narkotyki, panie Strange.

— Jak to się stało?

— Skąd można wiedzieć? Studiowała w stanowym college'u Bowie, dorabiała jako kelnerka w restauracji, w centrum. Była śliczna. Tak dobrze sobie radziła...

— Mieszkała wtedy z wami?

— Znalazła sobie własny lokal i wtedy zaczęliśmy tracić kontakt. Coraz rzadziej widywaliśmy ją, ja i Chris, a kiedy już się spotykaliśmy... zmieniała się, znaczy, nie tylko fizycznie, ale też zmienił się jej charakter. Nie do poznania. Nie mogłam już jej zaufać, jak przedtem. To Chris w końcu usiadł ze mną, wyjaśnił, co i jak. Z początku nie mogłam uwierzyć. Tak nad nią czuwaliśmy, gdy była w liceum, i przeszła ten czas bez problemów. Kiedy już wpakowała się w kłopoty, to jakby zupełnie zapomniała o wszystkim, czego się nauczyła w domu i w kościele. Nie potrafiłam tego pojąć. Wciąż nie potrafię... W dniu pogrzebu przyszła na cmentarz. Widziałam ją po raz pierwszy od miesiąca, jakoś tak. Odcięto jej telefon, zwolniono z pracy. Rzuciła też studia.

— Skoro nie miała pani z nią kontaktu, skąd pani wie, że doszło do wszystkich tych zmian?

— Chris wiedział.

— On się z nią kontaktował?

— Nie wiem, skąd wiedział. Byli bardzo zżyli... Chris był bardzo zbulwersowany, panie Strange. Z czasem jednak nawet on stracił ją z oczu. Nie wiedzieliśmy, czy Sondra miała dach nad głową, czy miała co jeść, gdzie żyła, gdzie spała. Nie wiedzieliśmy nawet, czy żyje, czy nie.

— Ale przyszła na pogrzeb...

— Tamtego dnia wyglądała na ledwie żywą. W jej oczach, nawet w ruchach, nie było życia. Nie widziałam jej od tak dawna. A od tamtego razu już nigdy.

— To bardzo mi przykro.

— Gdyby Chris wciąż był wśród nas, odnalazłby ją — w oczach Leony wezbrały łzy i pociekły po zapadniętych policzkach. — Proszę mi wybaczyć, panie Strange.

Obróciła się i pospiesznie opuściła pokój.

Strange nie wyszedł za nią. Po chwili usłyszał, że rozmawiała z kimś przez telefon w salonie. Podszedł do komody i opróżnił misę z zapalek, upychając je po kieszeniach kurtki. Wysunął spod kufla fotografię Sondry Wilson i przełożył ją do swojego portfela. Kilkakrotnie przemierzył pokój, aż w końcu siadł na łóżku Chrisa i zapatrzył się w okno.

Mógł sobie wyobrazić, jak mały Chris budził się w tym pokoju i słyszał śpiew ptaków, rozpoznawał co rano te same szczekające psy. Jak wyglądał przez to właśnie okno, marząc o złapaniu podania stanowiącego o zwycięstwie, o wybiciu piłeczki poza boisko, kiedy wszystkie bazy były zajęte, o ślicznej dziewczynce siedzącej nieopodal w czasie lekcji. Jak czuł zapachy szykowanego śniadania, może słyszał, jak mama nucila sobie coś, krzątając się w kuchni, i czekał, aż Leona zajrzy do pokoju i powie mu, że już czas wstać i szykować się do szkoły.

Strange usłyszał, że Leona Wilson zaczęła szlochać w salonie. Najpierw tłumila łzy, ale w końcu rozpląkała się w głos.

— Jesteś boski, Derek — mruknął pod nosem, z poczuciem własnej bezużyteczności, wściekły, że dał pani Wilson bezpodstawne nadzieje.

Wyszedł więc do salonu i stanął przy kanapie, na której siedziała, mnąc w dłoni bawełnianą chusteczkę. Strange położył dłoń na jej kościstym ramieniu.

— Tak mi ciężko — powiedziała niemal szeptem. — Tak ciężko.

— Niestety, wiem — odrzekł.

Otarła twarz i skierowała na niego spojrzenie zapuchniętych oczu.
— Zdołał pan poczynić jakieś postępy?

— Już niedługo będę miał dla pani raport.

Leona podniosła ze stolika zapisaną karteczkę i podała mu ją. — To adres Renee. Teraz musi odebrać córeczkę z przedszkola, ale niedługo będzie w domu. Powiedziała, że jeśli pan chce, możecie się spotkać.

— Dziękuję — rzucił.

Znów bezsilnie poklepał ją po ramieniu i ruszył do drzwi.

— Będzie pan w niedzielę na nabożeństwie, panie Strange?

— Mam nadzieję, że tak — odparł, nie zwalnając kroku.

Nie mógł się doczekać wyjścia z tego domu. Kiedy już znalazł się na chodniku, zatrzymał się na chwilę, oddychając świeżym powietrzem.

Renee Austin mieszkała w podmiejskiej okolicy stanu Maryland, w kompleksie domków z ogródkami na zapleczu centrum handlowego przy Cherry Hill Road, odchodzącej od drogi numer 29. Strange czekał na nią na parkingu, słuchając starej płyty Harolda Melvina z grupą

Blue Notes, bo powrót Renée z przedszkola nieco się opóźnił. Derek podśpiewywał sobie właśnie do „Pretty Flower”, przymykając oczy i próbując naśladować warczący głos Melvina, gdy na parking wjechała jej czerwona honda civic.

Zasiedli za stołem w jej kuchni przy kubkach rozpuszczalnej kawy. Córeczka Renee, przeurocza trzylatka imieniem Kia, siedziała na wyłożonej linoleum podłodze. W jednej dłoni trzymała ciemnoskórą lalkę, w drugiej białego bobaska o piegowatej twarzy i niemal karykaturalnych rysach. Dociskała twarze lalek do siebie, głośno mruczając: — Mmm, mmm, mmm.

— Kochanie, bądź trochę ciszej — poprosiła ją Renee. — Próbuujemy tu rozmawiać, a prawie własnych myśli nie słyszę, tyle robisz hałasu.

— Mamo, ale Bąbel całuje się z Super Panną! — oznajmiła Kia.

— Tak, malutka — odrzekła Renee. — Wiem.

Renee była ładną, ciemnoskórą kobietą o długich, malowanych paznokciach i pięknie rzeźbionej, pociągłej twarzy. Chemicznie rozprostowane, modnie przycięte włosy opadały jej do ramion. Pracowała jako referent w firmie księgowej na rogu Connecticut i L. Jak mówiła, trzymała się tej pracy nie ze względu na pieniądze czy szanse awansu, ale dlatego, że luźna struktura czasu pracy pozwalała jej dłużej być z córką.

Jak na dwadzieścia jeden lat, wyglądała na bardzo zmęczoną. Przyznała Strange'owi, że planowała zapisać się na zajęcia wieczorowe w college'u, ale kiedy pojawiła się Kia, a z kolei zniknął ojciec dziewczynki, te zamierzenia nieco się rozplynęły. Strange widział, że mieszkanie było zavalone zabawkami, wyposażone w dwa telewizory i sprzęt stereo, a honda Renee wyglądała na nowiutką. Zastanawiał się, jak bardzo ponad stan żyła ta dziewczyna, czy nie wpakowała się już czasem w kredytowy dół tak głęboki, że z jego dna nie widziała już nawet wyjścia.

— Może kiedy Kia będzie całymi dniami w szkole, znajdzie pani czas na studia — powiedział.

— Może — odrzekła Renee i zamilkła.

Oboje wiedzieli, że to się nigdy nie stanie.

Renee opowiedziała mu o Chrisie Wilsonie — jak się poznali, jakim był człowiekiem. Według niej był dla Kii „lepszym ojcem” niż ten prawdziwy.

— A kiedy pił? — zagadnął Strange. — Wtedy też był dla niej taki dobry?

— Bardzo rzadko się zdarzało, żeby Chris wypił więcej niż jedno, góra dwa piwa. Kiedy go poznałam, prawie w ogóle nie pił.

— A tej nocy, kiedy zginął?

Renee pokiwała głową, patrząc w swój kubek z kawą. — Tamtego wieczora faktycznie zdrowo sobie popił, właśnie tutaj. Bo ja wiem, poszło wtedy chyba z sześć piw.

— Nie pasowało to do niego, prawda?

— Owszem. Ale już kilka ostatnich tygodni przed śmiercią Chris pił coraz więcej.

— Wie pani, dlaczego?

— Coś go dręczyło.

— Także tej nocy, kiedy zginął, prawda?

— Tak.

— A cóż takiego?

— Nie wiem.

Renee pochyliła się na krzesło i podała Kii upuszczoną laleczkę Barbie. Potem wyprostowała się i upiła łyżeczek kawy.

— Renee...?

— Aha.

— Cóż tak dręczyło Chrisa? Dziennikarzom powiedziała pani, że nie wie. Ale to nieprawda, co?

— A zmieniłoby się coś, gdybym im powiedziała? To nie miało nic a *nic* wspólnego z jego śmiercią... Chodziło o sprawy rodzinne, panie Strange.

— A ja jestem tu właśnie po to, żeby pomóc rodzinie. Wynajęła mnie matka Chrisa. To ona mnie *tu przysłała*, Renee.

Ta odwróciła wzrok. Spojrzała na zegar na ścianie, pochyliła się do córeczki, zaczęła się rozglądać po pokoju.

— Czy chodziło o jego siostrę, Sondrę? — zapytał Strange.

Po chwili wahania przytaknęła.

— Miał z nią jakiś kontakt?

— Nie wiem — spojrzała mu w oczy. — Nie kłamię, naprawdę nie wiem.

— A co pani wie?

— Kiedy Sondra straciła pracę i mieszkanie, Chris zaczął się ode mnie oddalać. Próbował ją odszukać, a jednocześnie musiał ciągnąć robotę w policji, znaleźć czas dla matki, więc ja i Kia... chyba po prostu miał już za dużo spraw na głowie. Dlatego też nauczyłam się nie pytać go o siostrę. Wtedy tylko bardziej się dręczył.

— A gdzie pracowała Sondra, nim wszystko się jej rozsypało?

— To taki lokal na rogu Czternastej i K, „Sea DC”. Przez krótki czas była tam hostessą.

— Matka mówiła, że Sondra nie była zła, tylko wplątała się w kiepskie towarzystwo.

— No, aureoli nie ma jej co malować. Z tego, co mówił mi Chris, Sondra zawsze była rozrywkowa. Mam też znajomych, którzy pracowali w restauracjach i klubach w centrum, parę razy zdarzało mi się imprezować z nimi po zamknięciu lokalu. Więc wiem, co to za ekipa. W takich miejscach, kiedy wychodzą klienci, zawsze ktoś ma towar. W takim otoczeniu, panie Strange, łatwo wejść w ten styl życia, jeśli sobie człowiek na to pozwoli.

— Rozumiem.

— Sondra zaczęła z heroiną. Chris mówił, że zawsze bała się zastrzyków, więc podejrzewał, że na początku wciągała. Pewnie myślała, że w ten sposób będzie spoko, że tak wywinie się od nałogu. Tradycyjna pomyłka przyszłych épunów. Sama wiem, bo mój wujek siedział w tym bagnie. Cała różnica polega na tym, że w ten sposób na dno idzie się wolniej. Koniec jest zawsze taki sam.

— A tej nocy, kiedy zginął Chris... Proszę opowiedzieć, co się działo, nim stąd wyszedł.

Renee zaczęła jeździć kubkiem po stole. Mówiła spokojnie, bez emocji. — Ktoś zadzwonił do niego na komórkę. Odebrał w sypialni. Nie słyszałam, o czym rozmawiał, ani go nie pytałam. Ale był nakręcony, poważnie, kiedy wyszedł z sypialni. Powiedział, że musi stąd zaraz wyjść. Że idzie do baru, czy gdzieś tam, na piwo, bo musi wyjść z tych czterech ścian i mieć czas do namysłu. Nie wydawało mi się, żeby to był dobry pomysł, bo przecież już był wlany i w ogóle, i powiedziałam mu to, ale odparł, że mam się nie przejmować. Pocałował mnie, ucałował Kię w czubek głowy, i wyszedł. Dwie godziny później matka Chrisa zadzwoniła do mnie z wiadomością, że zginął.

Strange wyprostował się na krześle. — W aktach Chrisa było kilka skarg na brutalność. Wspominał o tym czasem?

— Owszem — odrzekła. — Mówił, że czasami musiał pokazać podejrzanemu, kto tu rządzi, ale że nigdy nie przyłożył komuś, komu się nie należało. I to prawda, że tej nocy, kiedy zginął, całkiem sporo wypił, tak jak pisali. Gazety, telewizja, nawet jego własny wydział policji mogą układać takie historie, jakie tylko sobie chcą. Ale to wszystko nie wyjaśnia, dlaczego Chris został zamordowany. Fakty są takie, że gdyby tam na scenie nie znalazł się ten biały policjant, Chris wciąż by żył...

— Ten biały gliniarz nie wiedział, że Chris także był policjantem — wtrącił Strange. — Zobaczył faceta z bronią...

— Zobaczył *czarnego* faceta z bronią — odparła Renee. — Oboje dobrze wiemy, że to właśnie dlatego zginął Chris.

Strange nie odpowiedział. Nie miał pewności, czy na jakimś najgłębszym poziomie Renee nie miała racji.

Pochylił się i dotknął policzka Kii. — Hej, śliczna dziewczynko, to twoje dziecko?

— *Moje* — potwierdziła Kia.

— Mam nadzieję, że panu pomogłam — powiedziała Renee.

— Bez wątpienia — odrzekł Strange. — Dziękuję, że poświęciła mi pani ten czas.

Strange siedział przy barze na dolnym poziomie restauracji Purple Cactus. Popijał ginger ale i obserwował gości. Przeważnie młodzi, biali i bogaci, nie tylko nowobogacy, ale też ci żyjący z odsetek od starego kapitału. Kelnerki i barmani byli młodzi i ładni. Pracowali z rosnącą intensywnością, obsługując amatorów wczesnej kolacji przed wizytą w kinie czy teatrze, którzy tłumnie wchodzili przez frontowe drzwi. Krzesła w sali jadalnej były twarde, ściany ozdobiono trójkątami i innymi motywami geometrycznymi. Przyćmione punktowe lampki sprawiały, że każdy stół był jak miniaturowa scena, tak że klienci byli „widoczni”, kiedy spożywali przesadnie wycenione potrawy.

Purple Cactus zaraz po otwarciu zebrała świetne recenzje w przewodniku po restauracjach „Washington Post”, jak również w „Washingtonian”, i stała się topowym miejscem owego roku. Strange zawitał tu już raz wcześniej, kiedy na pierwszej randce próbował zaimponować partnerce. Kosztowny błąd. Sto dwadzieścia pięć dolarów poszło na trzy przekąski, porcje takie, że mały piesek by się nie najadł, i parę drinków. Potem kelner, kolejny bystrooki chłopiec o tlenionych włosach, miał czelność podejść z wózkiem z deserami i zaproponował, by skosztowali „dekadenckiego” ciasta czekoladowego po dwanaście dolarów za porcję. Jak oświadczył z wystudowanym uśmiechem, było „architektonicznie genialne”. Strange poczuł się tak wykorzystywany, że stracił wszelką przyjemność z tego wieczora. A co gorsza, jego partnerka, jak się okazało, zupełnie nie miała ochoty na figle.

Kelner z bródką wystrzyżoną w wąski paseczek podszedł właśnie do serwisowego rejonu baru.

— Absolut z tonikiem i skórką cytryny — powiedział do barmana, po czym dodał: — Widziałeś tę turystkę z *kudłami* przy mojej czwórce? Mój Boże, co ona, po chemioterapii, czy jak?

— Charlie, nie tak głośno, bo klienci usłyszą — rzuciła stojąca obok niego kelnerka, która porządkowała swoje rachunki w oczekiwaniu na drinka.

— A w dupie z klientami — odparł Charlie, odebrał zamówionego drinka i dołożył mieszaadelko.

Strange zastanawiał się, jakim cudem ten lokal w ogóle jeszcze się utrzymywał. Tyle że znał powód: ludzie przychodzili tu, bo tak im powiedziano, nawet jeśli świetnie wiedzieli, że to przewał. Dlatego również czytali te same książki, co ich przyjaciele, i chodzili na filmy o skazańcach porywających samoloty czy asteroidach zmierzających ku Ziemi. Nieważne, że to samo barachło. Nikt nie chciał, żeby na następnym przyjęciu zabrakło mu tematów do rozmowy. Wszyscy desperacko pragnęli być trendy, nie zostawać z tyłu.

— Coś dla pana? — zagadnęła go barmanka, przejrzystooka dziewczyna z piękną cerą.

— Nie, dzięki — odparł. — Mam tylko jedno pytanie. Pamięta może pani takiego faceta, który tu pracował? Nazywał się Ricky Kane. Próbuję go znaleźć, przyjaciel mnie prosił.

— Jestem tu nowa — powiedziała barmanka.

— Ale ja go kojarzę — wtrącił Charlie. Wciąż stał przy kontuarze.

„No tak, cały Charlie” — pomyślał Strange. Przysłuchiwać się cudzym rozmowom i odzywać się, kiedy nikt go o nic nie pytał.

— Już tu nie pracuje, co? — rzucił głośno, zmuszając się do przyjaznego uśmiechu.

— Już nie musi — odparł kelner. — Nie z tym odszkodowaniem, które zgarnął. — Zerknął z ukosa na kelnerkę o kasztanowych włosach, stojącą obok. — Zresztą tak naprawdę nigdy nie musiał tu pracować, nie?

„Bo kolega Ricky był zawsze ustawiony z kasą, ponieważ handlował prochami” — uświadomił sobie nagle Strange.

— Charlie...! — skarciła kolegę kelnerka.

Ten zachichotał i oddalił się z drinkiem na tacy.

— Dla twoich klientów, Lenna — barmanka podała kelnerce zamówione drinki.

Kiedy już Lenna jej podziękowała, barmanka podeszła z powrotem do Strange'a.

- Jeszcze jedno ginger ale?
- Nie, już płacę — odparł. — I poproszę rachunek.

Strange skreślił na rogu i przeszedł cztery przecznice wzdłuż Vermont Avenue, po czym zszedł po schodkach do baru U Stana, ulokowanego w suterenie, który zdarzało mu się odwiedzać. W środku było gęsto od dymu i klientów, wielorasowej mieszanki tubylców z centrum Dystryktu, przeważnie w średnim wieku. Lawirując między kilkoma hałaśliwymi stolikami, Strange usłyszał, jak ktoś zawołał go po imieniu.

- Derek! Jak tam leci?
- Cześć, Ernest — odparł Strange.

Ernest Jones, sąsiad, siedział przy stoliku z kobietą. Miał na sobie garnitur.

- Słyszałem, że firma ci kwitnie, brachu.
- Nie jest źle.
- Widziałeś może Donalda Lindseya? — zapytał James.
- Słyszałem, że odszedł.
- A skąd, facet, wciąż bywa tu i tam.

— Cóż, ja tam go nie widziałem — Strange uśmiechnął się i skinął głową partnerce Jonesa. — Przepraszam was bardzo, podejść do baru i zorganizuję sobie coś do picia.

- To na razie, Derek.
- Na razie.

Strange zamówił przy barze czerwonego Johnnie Walkera z wodą sodową. U Stana alkohol podawano w kieliszkach napełnionych aż po brzeg, z małą buteleczką popitki osobno, tak jak to kiedyś robiono w starym dobrym Royal Warrant i Round Table na drugim końcu miasta. Kiedy Strange miał ochotę na jednego, porządnego drinka w towarzystwie normalnych ludzi, przychodził właśnie tutaj.

Popijając szkocką, odczuł, że się odprężał. Wdał się w rozmowę z sąsiadem o nowym obrońcy Redskinsów i o tym, czego potrzebowali, by wygrać ligę. Rozmówca Dereka był w jego wieku. Pamiętał jeszcze, jak grał Bobby Mitchell, i tak pogawędka zesłała na innych zawodników i generalnie drużynę z czasów, gdy jej kapitanem był Jurgenson.

- To stare hasło, walcz o honor DC? — puścił oko tamten.
- Raczej „o honor Dixie”.
- Pamięta pan jeszcze i to?
- To i wiele innych rzeczy. Aż wstyd słuchać niektórych młodziaków, co to rzucają „czarnuchami” na prawo i lewo. Oni o tym nie pamiętają.

— Niektórzy z naszych łapią ciśnienie, bo mogą znaleźć to określenie w słowniku Webstera, ale nie reagują, kiedy je usłyszą z ust własnych dzieci i wnuków.

— Mhm. Skąd biali mają wiedzieć, że nie należy używać tego słowa, jeśli posługują się nim *nasi* młodzi, do jasnej cholery?

— Święte słowa.

Zapisał pager Strange'a. Ten odczytał numer, przeprosił swojego rozmówcę i poszedł do automatów przy toaletach, żeby zadzwonić. Odebrał Quinn.

— Już się nie mogę doczekać — powiedział Derek, kiedy Quinn skończył mówić.

— My też — odparł Terry. — To gdzie się spotkamy?

Strange podał mu miejsce zbiórki i odwiesił słuchawkę. Zerknął na zegarek. Zapłacił rachunek i postawił jeszcze kolejkę swojemu towarzyszeni przy barze, po czym wyszedł z lokalu.

Po powrocie do domu wysypał w gabinecie na blat biurka wszystkie pakieciki zapalek i fotografię Sondry Wilson. Sprawdził pocztę, po czym przebrał się w dres. Zszedł do piwnicy, gdzie ze stalowych belek stropu zwieszał się ciężki wór treningowy, i do wtóru rozbrzmiewającej z magnetofonu ścieżki dźwiękowej do „Strzelb dla San Sebastian” okładał go przez dwadzieścia minut. Potem nakarmił Greco, zrzucił przepocone ciuchy i poszedł pod prysznic. Musiał się sprężyć, jeśli chciał odwiedzić mamę w zakładzie, nim odbierze Janine i pojedą na galę.

19.

Ray i Earl Boone'owie zatrzymali się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu Michigan i North Capitol. Ray sztachnął się papierosem, Earl popijał buscha z puszki. Na rogu do słupa telefonicznego przypięto zszywkami plakat w jarzeniowych barwach, zapowiadający jakąś galę bokserką, która miała się odbyć tego wieczora.

— Miałbyś ochotę na trochę boksu, tata? — Ray zadał to pytanie, choć świetnie wiedział, że jego ojciec nie lubił nawet wysiadać z samochodu na terenie Dystryktu. — Tam w centrum konferencyjnym robią naprawdę niezłe gale. Wygląda na to, że będzie nawet Don King.

— Don King? Już prędzej chyba wysmarowałbym se dupę masłem orzechowym i dał psu do wylizania — odparł Earl.

— Znaczą „nie”?

— Masz zielone, Paskud. I się nie wygłupiaj.

Ray zadzwonił wcześniej do biura Colemana i powiedział jednemu z pomagierów dilera, że wybierali się do niego z ojcem. Wjechali teraz do starej dzielnicy magazynowej przy Florida Avenue.

Ray zauważył, że na ulicy niedaleko biura Colemana stał radiowóz policji miejskiej, z włączonym silnikiem. Rozpoznał znajome numery zapisane drobnymi cyframi na zderzaku buicka crown victoria i większymi na boku samochodu. Kiedy mijali radiowóz po prawej, Ray zerknął na jego kierowcę — wielkiego brzydala, czarnego, który gapił się prosto przed siebie. Coleman powiedział mu kiedyś, jak się nazywał ten gliniarz, którego mieli w kieszeni. Śmieszne miał imię jak na faceta, a już zupełnie beznadziejne dla takiego giganta, ale jakoś wyleciało Rayowi z głowy. Coś jak Madonna, czy jakoś tak.

W warsztacie oddali zapakowany kilogram towaru. Czekają na nich znajome towarzystwo oraz paru nowych, młodych gości, którzy na głowach nosili czapeczki z pończochy. Patrzyli martwo na przyjezdnych, z uśmiechami, które pewnie nie zniknęłyby im z twarzy nawet wtedy, gdyby właśnie kogoś zabijali. Kiedy Ray i Earl wysiedli z auta, trwała właśnie sprzeczka między północą a południem Dystryktu, jeden dzieciak półzartem przepychał się z drugim i poszturchiwał go, gdy tymczasem pozostali kiwali głowami do jakiegoś czarnuchowego kawałka walącego z magnetofonu. Ray miał ich wszystkich w dupie. Kiedy sobie z ojcem palili i obserwowali, jak gangsterzy ważyli heroinę, myślał tylko o jednym: Jeśli wszystko pójdzie dobrze, już nigdy więcej nie będzie musiał postawić nogi w tym zasranym mieście.

Tonio Morris wyłonił się z ciemnego pokoju na parterze Prochowni, gdzie przemieszkiwał z innymi ćpunami w ostatnim stadium nałogu, wśród robactwa i szczurów, sypiając na pleśniejącym materacu wśród własnych odchodów. Jeśli stamtąd wychodził, to na ulicę, żeby kraść lub żebrać, zbierać niedopalki walające się przy krawężnikach czy szperać po kubłach na śmieci za domami przy ulicy Trinidad i parku LeDroit.

Tu, w Prochowni, przeważnie się nudził, z przerwami na ryzyko dramatycznych wydarzeń, okazjonalne błyskawiczne akty przemocy czy chwile, gdy jakiś dowcip trafiał mu do gustu i sprawiał, że Tonio parsknął rżącym, płytkim śmiechem. Sypiał niespokojnie, prawie nic

nie jadł, co najwyżej wysepione od innych kawałki czekolady. Jego życie składało się głównie z odcinków dzielących od siebie kolejne działki. Przeważnie po prostu czekał. Zdarzało mu się mieć świadomość, że tak naprawdę czeka na śmierć, ale miał to gdzieś.

Przeszedł przez wielką salę, rozgniatając stopami gołębie odchody. Brązowe skarpetki chłoneły wodę z kałuż, przesiąkającą przez buty w miejscach, gdzie odklejały się zelówki. Zatrzymał się pod murem, przy wykutej dziurze, i obserwował przejeżdżającego taurusa, jak mijał stojący na wolnym biegu radiowóz. Przyjechali zgodnie z rozkładem. Tonio odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

Minął jednego z ludzi Colemana i wszedł na piętro, do toalety z otwartymi kabinami, gdzie swoich miejsc strzegli ci, którzy wciąż jeszcze mieli na to siłę lub mogli coś przehandlować. W ostatniej kabynie niegdyś piękna dziewczyna, Sondra, opierała się o ścianę i tarła dłonią ramię, jakby chciała zmazać jakąś plamę.

Tonio wszedł do kabiny i stanął blisko Sondry, żeby ujrzyć jej twarz. Zaczynał ślepnąć — nałóg zadał mu ostatni, prześmiewczy cios.

— Cześć, Tonio.

— Cześć, mała. Przyjechali twoi znajomi.

Sondra uśmiechnęła się, odsłaniając brudne zęby — przez brak pokarmu pokryły się szarawym nalotem. Od zimna miała spierzchnięte, popękane do krwi usta. Na swój zwykły strój, białą bluzkę i czarne spodnie, założyła grubą kurtkę. Jakaś starszuszka niedaleko college'u Gallaudet zauważyła Sondrę tydzień temu na ulicy i podała jej tę kurtkę zza drzwi swojego domu.

— Lepiej się przygotuj dla swojego gościa — poradził Tonio.

— Mam tu trochę wody.

W kontenerze na śmieci znalazła pustą butelkę po soku wieloowocowym i napełniła ją wodą z komunalnej pompy.

— Wyczyść sobie tym twarz — Tonio podał jej wyciągniętą z tylnej kieszeni spodni brudną szmatę z warsztatu. — Śmiało, mała.

Wzięła gałgan, obejrzała go i polala lodowato zimną wodą z butelki. Zaczęła trzeć policzki, rozmazując sobie po twarzy smar i brudy ze ścierki.

— Jesteś dla mnie taki dobry — powiedziała.

— Tylko pamiętaj, żebyś i ty była dla mnie dobra, nie?

— Nie zapomnę o tobie, Tonio. Zawsze coś dla ciebie załatwię.

Spojrzał na nią. W jego oczach był głód, ale całkowicie aseksualny. Nie tego od niej chciał. Zresztą Tonio nie mógłby już współżyć z

kobietą, nawet gdyby chciał. Teraz jednak ani tego nie pragnął, ani nawet o tym nie myślał.

— Lepiej pójdę już z powrotem na dół — stwierdził.

— Na razie — odparła, odprowadzając go wzrokiem.

Podciągnął sobie opadające z tyłka spodnie.

Sondra lubiła Tonia. On nigdy nie próbował jej wyrolować, jak inni. Był jej przyjacielem.

Coś nie tak, Cherokee? — zagadnął Ray. — Myślałem, że się ucieszysz. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, myślałem, że chcesz się uwolnić od nacisków braci Rodriguez.

— Nie prosiłem cię, żebyś postawił na nich krzyżyk, Ray — odparł Coleman.

— Sami się o to prosili.

— Co, popełnili samobójstwo?

— Praktycznie tak, żebyś wiedział. Tak czy inaczej, teraz już żadnego z nich nie postawię na nogi, więc po co ta mowa? Sprawa jest załatwiona, i to bankowo.

Cherokee Coleman siedział za swoim biurkiem, wpatrzony w Raya. Złożone w piramidkę dłonie oparł na bibularzu. Za nim stał przyboczny, Angelo Gruba Dupa, którego pyzata twarz była jak maska. Earl Boone miał ubaw z okularów Angela, takich gwiazdorskich, z grubymi, złotymi oprawkami. W pokoju i tak było ciemno, jedynym źródłem światła była ta lampka z zielonym kloszem, i Earl zachodził w głowę, czy ten grubas w ogóle cokolwiek widział.

— Może tak powiesz nam jeszcze, jak sobie poradziłeś z konsekwencjami? — podsunął Coleman.

— Dzień po ich wizycie zadzwoniłem do żony Lizarda i zapytałem, gdzie do czorta są jej mąż i szwagier. Powiedziałem, że byliśmy umówieni, ale nie przyjechali ani nie zadzwonili. Ledwie skończyłem, na komórę dzwoni jeden z tych Vargasów z Florydy. Mówię mu to samo, co żonie Lizarda. Coś tam pomamrotał po hiszpańsku i się rozłączył. Zaraz potem zrobiliśmy z tatą dwa kursy tymi ich contourami, wyjechaliśmy nimi do Wirginii i porzuciliśmy koło Richmond, przy drodze numer 95 na południe. Na siedzeniach rozsmarowaliśmy trochę krwi Nestora i Lizarda. Wyrwaliśmy im też z głów po garści włosów i rozrzučiliśmy w samochodach. Kiedy gliniarze włamią się do tych aut i ustalą właścicieli, będzie wyglądało tak, jakby braciszczkowie zginęli w drodze do nas na północ.

— A co z ciałami?

— Ciała będą na mojej posesji, póki nie przyjdą roztopy. Wtedy i z nimi coś zrobimy.

— A co, jeśli rodzinka Vargas zadzwoni do mnie? — zapytał Coleman.

— Cholera, Cherokee, po prostu powiesz im to samo. Że dowiedziałeś się ode mnie, że Nestor i Lizardo nie przyjechali.

— A czemu miałbym tak zrobić?

— Bo partnerzy trzymają ze sobą — odparł Ray.

— To my teraz jesteśmy partnerami... Słyszałeś, Angie?

— Słuchaj no — Ray pochylił się w fotelu. — W tej chwili mam łapę na dziewięciu kilo czystej brązowej.

— Przywiozłeś to dzisiaj? — zapytał Coleman.

— No co ty — odparł Ray. — Ja nie jestem głupi.

Parsknął śmiechem. Coleman i Angelo również się roześmiali i rechotali jeszcze długo po tym, jak on przestał. Ray popatrzył na nich, marszcząc brwi. Robili se z niego jaja? Nie miał pojęcia.

Coleman wyciągnął chusteczkę z kieszonki na piersi swojej szpanerskiej marynarki i otarł oczy.

— Tak czy inaczej, już od jakiegoś czasu chcieliśmy się z tatem wycofać z tego interesu — stwierdził Ray. — Więc myślę sobie, że opchniemy bezpośrednio tobie resztę tego towaru, po naprawdę przyjemnej cenie, i zamykamy sklepik.

— Poważnie? I jaka by to była cena?

— Płaciłeś sto paczek za kilo, nie?

— Wliczając waszą działkę. Teraz cała cena idzie dla was, więc nie musicie tego dodawać, biorąc pod uwagę, że jak to mówią, z waszej strony obeszło się bez kosztów.

— Zgadza się. Więc chciałem powiedzieć tak: bierzesz całość, płacisz sześćdziesiąt kół za kilo. Dziewięć kilo razy sześć dych...

— Pięćset czterdzieści paczek.

— Ano, pięćset czterdzieści. Ale że cię lubię, Cherokee...

— No, nie gadaj, Ray.

— Kiedy naprawdę. I właśnie dlatego jeszcze ci to osłodzę.

— Jak chcesz mi to osłodzić?

— Powiedzmy, jak dla ciebie, Cherokee, równe pięć stów za całość.

— Szczodry z ciebie gość, Ray.

— Też tak sądzę.

— Więc kiedy dostawa?

Ray zerknął na tatę i wrócił spojrzeniem do Colemana. — Tak sobie myśleliśmy, znaczy, ja z tatą, że nie chce się nam więcej wracać do miasta, nawet na ten ostatni kurs.

- Coś się wam nie podoba w Dystrykcie?
- Prawdę mówiąc, lepiej nam na wsi.
- Powaga?

Coleman i Angelo znów zaczęli rechotać. Ray i Earl z kamiennymi twarzami poczekali, aż im przejdzie wesołość.

— Wiesz, co ci powiem? — sapnął Coleman. — Idziemy na kompromis. Przywieźcie nam połowę towaru jak najszybciej, a po drugie pół wyślę potem kogoś do waszej meliny.

- Ale po co to dzielić na pół?
- Co ty, myślałeś, że mogę tak od razu uskładać pół bańki? Że pójdę do banku i wezmę sobie kredyt?
- No nie, ale...
- Najpierw musimy ruszyć z tym towarem, wygenerować trochę gotówki. Inaczej nie da się tego zrobić, Ray.
- No, nie wiem.
- Obaj gówno wiecie — odezwał się Earl, zaskakując tym Colemana. Od chwili, kiedy weszli do gabinetu, Earl siedział w milczeniu.

— Coś ci przyszło do głowy, *tatku*? — zapytał Coleman.

— Przywieziemy ci ten kolejny transport, skoro tak chcesz — powiedział Earl. — Ale ja też chcę coś z tego mieć.

— Niech zgadnę — mruknął Coleman. — To coś ma jasną skórę i zielone oczy?

— Właśnie. Chcę zabrać ze sobą do domu tę lalunię, co ją trzymacie tam naprzeciwko. I zabieram ją dzisiaj.

- Kurwa, tata...
- Ryj w kubel, Paskud. Teraz ja mówię.
- Ojej, zakochałeś się w niej — odkrył Coleman. — Jakie to mile.
- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że ją zabiorę, co?
- Nic a nic. W ogóle nic mi do tego. Inna sprawa, że w Prochowni może się znaleźć paru gości, którzy zaczną ci się stawiać, jeśli spróbujesz zabrać dziewczynę. Bo wiesz, oni mocno uderzali do niej, jeden po drugim, przez ten ostatni miesiąc, czy coś koło tego.

- Uderzali do niej?
- Zakochiwali się, Ray.

Angelo Gruba Dupa znów zaczął pokwikiwać, aż dygotały mu ramiona:— Śś... śś... śś...

Earl zignorował go. — No, to tak będzie w porządku — stwierdził. — Zabieramy się stąd.

— Ja zadzwonię do ciebie — Ray podniósł się z fotela. — I za parę dni wrócimy z tym pierwszym transportem. Potem możesz przyjechać do nas po resztę.

— No, nie wydaje mi się, żebym miał odwiedzić was osobiście, Ray. Wyślę eskortę, policajów, będzie oficjalnie i pokazowo.

— Co, wyślesz tego, no, Madonnę?

Coleman zachichotał.

— Pewnie, Ray. Pojedzie Madonna.

— No, to w porządku. Do następnego.

— Na razie, Ray, Earl — odparł Coleman.

Wraz z Angelem patrzył, jak goście wychodzili z gabinetu.

— Zadzwoni do naszych dilerów — odezwał się w końcu. — Powiedz im, że szykuje się nam duża dostawa porządnego towaru. Nie zapomnij o tym białym typie. On może opchnąć herę po drugiej stronie miasta, a my musimy ten towar szybko przehandlować, wypchnąć na ulicę, żeby przygotować grunt pod drugi rzut. Szykuje się nam świetna okazja. Kurwa jego mać, skrećimy na tym kupę szmalu, Angie.

— No, tylko trzeba będzie zapierdalać aż do Burakowa, żeby odebrać towar.

— Żaden ból. Prędzej czy później i tak trzeba będzie sprzedać tym Boone'om po kulce, równie dobrze możemy to zrobić przy tej okazji. Razem z braćmi Rodriguez zrobi się z tego ładna kupa zwłok. Będzie wyglądało jak jakaś sekciarska masakra, w pizdu. I Kolumbijczycy się uspokoją. No, bo chyba wiesz, że nie chciałbym, żeby rodzinka Vargas zwała się nam tutaj i rozkręciła wojnę.

— Ale ja tam do nich nie jadę.

— Spoko, duży. Wyślę Adonisa i jego cień.

— Znaczy, *Madonnę*, tak? — wyszczerzył się Angelo.

— Ray Boone... — westchnął Coleman. — Geniusz jak malowanie.

— Ja nie jestem *głupi!* — zacytował Gruba Dupa.

Coleman ryknął śmiechem i uniósł dłoń. Angelo przybił mu piątkę.

Earl Boone mijał kolejne pozbawione drzwi boksy, zatrzymując się w końcu przy ostatnim. Stała tam Sondra Wilson, a płomień samotnej świeczki rzucał blask na jej twarz. Jej biała bluzka była wyplamiona, a ona sama chyba niezbyt pewnie trzymała się na nogach.

— Hej, słoneczko — odezwał się Earl.

— Witaj.

Podszedł bliżej i spojrzął jej w oczy. Jedna tęczówka była piwna, druga zielona.

— Co ci się stało z oczami, młoda damo?

— Chyba gdzieś zapodziałam soczewkę — spróbowała uwodzicielsko wyduć wargi. — Masz coś dla mnie, Earl?

— Tak, ale nie tutaj. Zabieram cię stąd.

— Gdzie jedziemy? — zapytała.

— Na jakiś czas zamieszkas u mnie. Należy ci się prysznic, nowe ubrania i świeża pościel do spania co noc.

— A co z tym, co dla mnie masz? — drążyła, bo tylko to ją w tej chwili obchodziło.

— Tego też ci nie zabraknie.

Sondra obróciła się do ściany boksu, odkleiła zdjęcie modelki i złożyła je. Zabrała przycisk do papieru z podajnika papieru toaletowego i rozejrzała się w poszukiwaniu innego dobytku. Z posadzki podniosła wilgotny, na wpół zużyty pakiecik zapalek, i wtedy uświadomiła sobie, że nic więcej nie ma.

— No chodź, laleczko. Ray czeka na nas na korytarzu.

— Dostanę coś dla mojego przyjaciela, Tonia, zanim wyjedziemy?

— Daj sobie z nim spokój. Będzie lepiej, jeśli zabierzemy się stąd po cichu, ale szybko. Podobno paru tutejszych typów się w tobie podkochuje. Nie chciałbym, żeby zrobili się zazdrośni.

— Podkochują się? — Sondra potarła nos i zachichotała.

Poprowadzili ją schodami w dół i wyszli przez wielką dziurę, wybitą w ścianie. Tonio Morris śledził ich wzrokiem, ukryty głęboko w mroku bocznego pokoju. Zastanawiał się, czemu Sondra odchodziła ze starym białasem i jego synem, tak bez pożegnania. Przez chwilę było mu smutno, po czym przeszedł go dreszcz paniki, gdy Tonio uświadomił sobie, że mógł już na zawsze utracić źródło towaru.

Gliniarz siedzący za kierownicą stojącego na ulicy radiowozu też zauważył, że Boone'owie wyszli z Prochowni wraz z tą śliczną ćpunką z piętra. Cała trójka szła w stronę warsztatu, gdzie ziomale Colemana pilnowali ich samochodu. Policjant aż złamał ściskane w palcach cygaro i cisnął je na podłogę.

20.

Sharmba Mitchell — entuzjazmował się Strange. — Popatrz, jaki świetny bokser.

— Widzisz, jak bije lewą? — skomentował Quinn.

— Jakbym ja miał taki lewy, w ogóle nie używałbym prawej.

Strange i Quinn siedzieli na ławce na widowni waszyngtońskiego Centrum Konferencyjnego, popijając piwo beczkowe po cztery dolary. Wśród czterotysięcznego tłumu widzów Quinn należał do białych rodzynków — poza nim byli tu rodzice teksańskiego zawodnika wagi półciężkiej, czterech wyraźnie wystraszonych studenciaków z korporacji i parę kobiet, którym towarzyszyli czarni faceci. Centrum Konferencyjne było posępnym i przestarzałym koszmarkiem architektonicznym, który od samego początku źle służył miastu. Sporty walki jednak z reguły ciężą ku nieatrakcyjnym, spartańskim lokalizacjom. Jak na miejsce dla gali bokserskiej, tutaj było całkiem niezłe.

Ów biały teksańczyk z wagi półciężkiej, walczący pod nazwiskiem Joe Bill Jakes i ksywką „Rocky”, przechodził wzdłuż pierwszego rzędu widzów. Po tragicznej porażce w swojej walce przebrał się już w normalne ciuchy. Miał posiniaczoną, opuchniętą twarz, a jednego oka w ogóle nie mógł otworzyć.

— Hej, Rocky! — wrzasnął któryś z kibiców.

— Ej, bokser! — wydarł się kolejny.

— Następnym razem spuścisz im wtluki — warknął trzeci, zaciągając w westernowym stylu i wzbudzając ogólną wesołość wśród swoich sąsiadów.

— Wyzywają się na gościu, aż żal — stwierdził Quinn.

— A zauważyłeś kiedyś, ilu białych bokserów przyjmuje ksywę „Rocky”? — zapytał Strange.

— Był taki jeden, może wystarczyło.

— O, znów bije sierpem — Strange wskazał na ring.

Sharmba Mitchell, miejscowy chłopak z Takoma Park, bronił mistrzowskiego pasa federacji WBA w wadze superlekkiej przeciwko Pedro Saizowi z Brooklynu. Nikt nie oczekiwał, że Saiz, niemal w ostatniej chwili wyznaczony na zamiennika dla skreślonego Williama Joppy'ego, da dobry występ, ale tego wieczora chłopak miał serce do walki. Mitchell miał spodenki w czerwone, białe i niebieskie prążki, Saiz — białe.

Skończyła się czwarta runda. Gdy bokserzy wycofali się do narożników, dokoła ringu przeszła się blondynka o nogach do samej szyi, prezentując tablicę z numerem rundy.

- Widzisz gdzieś kobiety? — zagadnął Strange.
- Najbardziej podobała mi się pani Druga Runda.
- Żeby tylko nie ta twarz...
- Daj spokój, na pewno ma wielkie serce.
- Wielkie i odwrócone do góry nogami, hę?
- No, fakt, miała *spory* tyłek. Ale wydawało mi się, że lubicie takie kobitki.
- To ci się wydawało. A poza tym nie mówię o panienkach z ringu, tylko o naszych damach, Terry. Tych, z którymi tu przyszliliśmy.
- Poszły kupić sobie po piwie.
- Piętnaście minut temu.
- Nie bój nic. Pewnie są tam na dole, twarzą w twarz, i gadają jak wściekłe. Obrabiają nam tyłki.
- No, mam nadzieję. Jak przestaną nas obgadywać, to mamy poważny kłopot — Strange upił łyżeczek piwa i zerknął koso na Quinna.
- Nie mówiłeś mi, jak jest z Juaną, losiu.
- Że co, taka ładna?
- Że z naszych.
- W połowie to Portorykanka.
- Sranie w banię. Masz w sobie kroplę czarnej krwi, znaczy, jesteś czarny.
- Wadzi ci to? — zdziwił się Quinn.
- Skąd. Nie no, nie będę ci ściemniał, z początku mnie zatkało. Tego się nie spodziewałem.
- Tak już jesteśmy zaprogramowani, i tyle...
- Zaraz zaczniesz wykład, jak to jest na tym świecie.
- Parę dni temu byłem w tym centrum handlowym, Wheaton Plaza. Połowa młodych parok, jakie tam widziałem, była mieszana, a niektórzy przyszli z dziećmi w wózkach. Piętnaście lat temu, kiedy też się tam włóczyłem, coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Teraz dla tych dzieciaków to normalna sprawa. Więc zacząłem sobie myśleć: to, co siedzi w ludziach z mojego pokolenia, a już szczególnie z twojego, to *nasz* problem. Nasz. To *my* musimy sobie z tym jakoś poradzić, bo świat się zmienia, czy tego chcemy, czy nie.
- Może ty nie zauważyłeś, ale cała masa ludzi was tu obcinała. Niezależnie od pokolenia, do którego należeli.

— To Juana przyciąga spojrzenia, a ja nie mam pretensji do facetów, którzy na nią patrzą.

— Przynajmniej zrozum jedno, Terry: cała masa ludzi, i czarnych, i białych, uważa, że mieszanie ras to kijowy pomysł. To jeszcze nie znaczy, że są rasistami. Po prostu takie mają zdanie, i cześć.

— Jak długo nie wtrącają się w moje sprawy, mogą sobie mieć takie zdanie, jakie tylko chcą.

Zaczęła się piąta runda. Ktoś wszczął bijatykę przy męskich toaletach na prawo od miejsca, gdzie siedzieli, ale ochroniarze rzucili się na sprawców zamieszania i wynieśli jednego z nich, choć wciąż wierzgał i rzucał bluzgami, wykręcając głowę. Tego wieczora wśród widzów już kilka razy zaczynały się bójki, tym częściej, im więcej już wypito piwa i innych alkoholi.

— Od dawna widzujesz się z Juaną?

Quinn przewrócił oczami. — Kurwa, facet, ty wciąż swoje?

— Wiesz, przyznam ci się, że kiedy się dziś spotkaliśmy całą gromadą, najpierw pomyślałem sobie tak: aha, Terry znalazł sobie czarną babkę na jeden wieczór, i to przeze mnie. Że niby tak robi wrażenie na staruszkcu Dereku, nie? „Oto ja, Terry Quinn, przyjaciel wszystkich ludzi, widzicie, jak bardzo chciałbym, żebyśmy wszyscy byli przyjaciółmi?”

Quinn parsknął śmiechem. — Derek, już nie próbuję ci zaimponować. Chyba zauważyłeś. Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Daj spokój, nie możemy choć przez jeden wieczór dobrze się bawić i nie myśleć o sprawie?

— Więc jak, od dawna się spotykacie?

— No, aż tak długo to nie. Ale jeśli chcesz wiedzieć, to szaleję za nią.

— Mam oczy.

— A ty i Janine?

— Ha. Widujemy się, bo ja wiem, już chyba z dziesięć lat. Ale nie na wyłączność, to nie tak.

— Ona cię jednak kocha.

— Bez jaj, młody.

— Ja też mam oczy, wiesz?

— Moja matka zawsze opowiada mi taką starą bajkę o facecie, co wędrował po całym świecie w poszukiwaniu diamentów, ale nigdy nie wpadł na to, że piękny okaz leży na jego podwórku.

— Diament na własnym podwórku... Ile razy już się tego nasłuchałem.

— No cóż, nie zmyśliła sobie tej opowieści. Ale przynajmniej kiedy matka ci coś mówi, słuchasz jej uważnie. W każdym razie myślę sobie, że dobrze jest nam razem, pod różnymi względami.

Strange wiedział, że z Janine łączyła go dużo głębsza więź. Nie afiszował się jednak z uczuciami, więc nie mógłby nawet powiedzieć nic więcej.

Saiz bezczelnie przyłożył Mitchellowi poniżej pasa, posyłając przeciwnika na kolana. Coraz bardziej hałaśliwi widzowie wygwizdali Saiza, a sędzia kazał mu odejść do narożnika i odjął mu punkt. Kiedy Mitchell skinął głową, sędzia wznowił walkę. Sharmba rzucił się wściekle do boju, zasypując oponenta nawałnicą ciosów, tak szybkich i silnych, że wzrok za nimi nie nadążał.

— No, teraz zobaczysz niezłe widowisko — stwierdził Quínn.

— Aha — przytaknął Strange. — Sharmba go zmasakruje.

Mitchell bezdyskusyjnie wygrał na punkty. Wtedy na widownię wróciły Janine i Juana. Każda niosła po dwa piwa. Starsze małżeństwo siedzące na skraju ławki podniosło się z miejsca, żeby dać im przejść.

— Cholera, gdzie wy byliście? — zapytał Strange, kiedy siadały obok nich. Mówił z lekką irytacją, ale ulga wymalowana na jego twarzy dawała dobitnie do zrozumienia, że martwił się o Janine.

— Juana chciała zobaczyć Sugar Raya — odparła Janine. — Siedzi tutaj, przy samym ringu.

— I widziałyście go?

— Mhm — odparła Juana i obie z Janine zaczęły chichotać.

— Dona Kinga też — dodała Janine.

— Pewnie nabrałyście apetytu na watę cukrową — rzucił Strange.

— A jak tak się zastanawiałam, czemu mi burczy w brzuchu, kiedy patrzę na jego fryzurę — odparła Janine.

— I jak było? — Quinn dotknął dłoni Juany.

— Janine jest bardzo miła — odszepnęła.

— Dobrze się bawisz?

— O tak.

Ucałował ją w usta.

Na ring wyszedł facet w smokingu, przyciągnął sobie podwieszony mikrofon i zaczął kwiecicie opisywać uczestników głównej walki tego wieczoru.

— A to kto? — zdziwił się Quinn.

— Złotousty Jones — odparł Strange z uczuciem. — Najlepszy komentator bokserski w całym Dystrykcie.

— No, zaczyna się — mruknął Quinn. — Bernard Hopkins.

— Hopkins skasował Simona Browna — wtrącił Strange. — Wiedziałeś?

Główną walką miał być rewanżowy pojedynek z Robertem Allenem o mistrzowski pas wagi średniej federacji IBF. Pierwsze ich spotkanie w Las Vegas, wyszło nieładnie, bo Allen popychał Hopkinsa i klinczował a pojedynek nie przyniósł rozstrzygnięcia, gdyż Hopkins wypadł za liny i skrzył nogę w kostce.

— Allen znów zaczyna — stwierdził Strange, gdy upłynął już spory kawałek pierwszej rundy. — Łapie go za głowę, kurna. Nie chce walczyć.

Allen zaczął chyba udawać kontuzję, twierdził, że dostał poniżej pasa. Widzowie, coraz bardziej rozwścieczeni, wyzywali go od śmieci i cweli. Im głośniej krzyczeli, tym więcej z nich schodziło bliżej ringu. Walka trwała nadal, runda po rundzie bez zmian. Zaczepki z tłumu były coraz głośniejsze, coraz bardziej groźne.

— Ci ludzie chcą krwi — stwierdził Strange.

— Wynośmy się stąd — zaproponował Quinn. — Walka i tak jest do dupy, przecież wiadomo, że Hopkins wygra.

Całą czwórką zaczęli się przepychać przez zbity tłum. Młode kobiety na widowni były z reguły atrakcyjne, miały sięgające ramion włosy. Kolesie nosili ubrania optycznie powiększające sylwetkę — wielu miało kurtki drużyn baseballowych, ze skórzanymi rękawami i barwnymi sloganami wyhaftowanymi na plecach. Ktoś potracił Quinna barkiem, ale ten szedł dalej, niepewny, czy zrobiono to z rozmysłem. Próbował zlekceważyć sprawę, lecz i tak poczuł, że do twarzy napłynęła mu *rew*.

Kiedy już opuścili salę widowiskową i szli przez wyściełany wykładziną hol, jeden z trzech zbitych w gromadkę młodych chłopaków rzucił pod adresem Juany: — Chętnie bym toto przerznął.

Quinn poczuł gorąco w policzkach, czuł też jednak, że Juana pociągnęła go za kurtkę. Nie zatrzymał się więc, i w ruchu znalazł odrobinę spokoju.

Gdy wyszli z Centrum, ruszyli przed siebie Dziesiątą Ulicą. Strange i Quinn szli za Janine i Juana, które maszerowały szybkim krokiem, pogrążone w rozmowie. Pośrodku jezdni stał młody, czarny facet i wrzeszczał na przejeżdżające samochody.

— Nienawidzę tych białych skurwysynów! — darł się. — Jak Boga kocham, zajebię pierwszego, którego zobaczę!

— Wygląda mi na to, że gość ma jakiś *problem* — Strange miał figlarne ogniki w oczach. — Może nie wie, Terry, że świat się *zmienił*?

— Jak myślisz, mam tam podejść i mu powiedzieć? — odparł Quinn.

— Wal śmiało — Strange uśmiechnął się leciutko. — Ja już dopilnuje żeby twoja panna bezpiecznie dotarła do domu.

Juana i Quinn poszli wraz z Janine i Derekiem do baru U Stana, gdzie wszyscy zamówili sobie po drinku, a potem jeszcze po jednym. Gdy knajpę zamykano na noc, cała czwórka była już nieco wstawiona, wyglądało też na to, że panie nie chcą jeszcze kończyć wieczora, więc uzgodniono, że spotkają się w domu Strange'a na „rozchodniaczka”.

Strange kupił w spożywczaku dwanaście piw i skierował samochód w stronę domu, na Georgia Avenue. Janine siedziała obok niego, dotykając go udem. Derek zaczął grzebać przy magnetofonie — włożył taśmę „War Live” i włączył przewijanie, szukając ulubionego utworu.

— Który chcesz znaleźć? — zapytała Janine.

— „Get Down”. O, już jest — Derek podbił niskie tony, potrzebował więcej basu. — Nie wiesz czasem, jakie plany ma Ron na poniedziałek?

— Chyba namierzył paru gości, którzy dali nogę na kaucji.

— Przydałby mi się do pomocy.

— Derek, naprawdę potrzebujemy tych pieniędzy, które on zarabia dla firmy. Nie powiesz mi, że z tej sprawy dla pani Wilson będzie większa kasa, bo wiem, że wystawisz jej zaniżony rachunek. Daj Ronowi robić swoje, a ty zajmij się tym, czym chcesz.

— No, co racja, to racja — Strange podkreślił głośność i zaczął śpiewać: — To poo-licja... Mówimy o poo-licji...

Janine parsknęła śmiechem. — Jesteś w świetnej formie, kochany.

— Bo się dobrze bawię.

— Ja też. I podoba mi się ta Juana. Dziewczyna ma dobrze poukładane. Wiedziałaś, że robi prawo tutaj na uniwerku? Może namówię ją, żeby pogadała o tym z Lionelem, może tak opłótkami dotrze do niego, że każdy może osiągnąć to, co zechce, jeśli naprawdę mu na tym zależy. Wiesz przecież, że Juana nie miała uprzywilejowanego startu w życiu, nic z tych rzeczy...

— A Terry? Jak myślisz, to dla niej odpowiedni chłopak?

— Jeśli zostaną razem, będą mieli problemy, których sobie teraz nawet nie wyobrażają. Poza tym wystarczy spojrzeć mu w oczy, żeby wiedzieć, że to narwaniec. Musi najpierw przemyśleć sobie wiele spraw na własny temat, nim będzie gotów podjąć odpowiedzialność prawdziwego związku. Ale lubię chłopaka.

Strange pokiwał głową, patrząc w lusterko na jadącego za nimi czarnego volkswagena. — Ja też.

Za nimi, w garbusie Quinn przerzucał biegi, a Juana obsługiwała sprzęgło i kierowała lewą ręką — prawą miała zajęta przeglądaniem kaset w pudełku, spoczywającym na jej udach.

- Może Lucinda Williams? — zapytała.
- To ta laska z serialu „Laverne and Shirley”?
- Nie, to *Cindy Williams*.
- Wiem, tak sobie tylko robię podśmiejuchki.
- Dobra, wrzuc to, spodoba ci się.

Quinn włożył taśmę do magnetofonu. Z głośników ryknęło „Metal Firecracker”, wypełniając dźwiękiem całe auto.

- Zajebisty kawałek — stwierdził Quinn.
- O tak, Lucinda to umie.

Quinn spojrział przed siebie i zachichotał. — Derek nawoskował ten swój wóz, aż lśni. Dałbym głowę, że facet kocha tego swojego cadillaca.

- Co w tym złego?
- Nie, nic. Mówię, że po prostu jest z niego dumny, i tyle. W jego grupie wiekowej cadillac to symbol sukcesu. Wiesz, o co mi chodzi.
- No... chyba tak.

Juana we wczesnym dzieciństwie usłyszała, jak biały chłopczyk z jej klasy w podstawówce na widok cadillaca zawołał „bryka dla czarnuchów”. Od początku mówiła sobie, że „Terry nie jest taki”, pod żadnym względem. Skąd jednak można wiedzieć, co naprawdę kryje się w cudzym sercu? Quinn wypił dziś ładnych kilka piw, więc może teraz ujawnił się do końca, rozluźnił, po raz pierwszy mówił szczerze. Może nie potrafił zapanować nad własnymi przekonaniem, bo nauczono go tego, nieodwracalnie, bardzo dawno temu. A może po prostu była przeczulona. Kiedy już zaczęło się drażnić w tym kierunku, można było wpędzić siebie samego w obłęd na tle czegoś, co mogło w ogóle nic nie znaczyć.

- Coś nie tak? — zapytał Quinn, patrząc na jej twarz.
- Nic, Terry — odparła, odnajdując jego dłoń i ściskając ją lekko.
- Tak tylko, myślałam o tobie.

21.

Strange skutecznie coś, co nazywał „kurzym chodem”, a Janine tańczyła obok niego. Z głośników w salonie dudnił „Night Train”. Quinn stał nieopodal, pokrzykując dla dodania im animuszu i pociągając piwo z puszki.

Juana siedziała na kanapie i skręcała jointa z zioła i bibułki, które wykopała z torebki. Greco leżał na podłodze z łbem między łapami. Jego ogon co jakiś czas tłukł w dywan.

— Sonny Liston przy tym ćwiczył ciosy — powiedział Strange na koniec piosenki.

— Jak ty przed chwilą? — zażartował Quinn.

— Oj, facet, to taki nasz taniec z dawnych lat. Lepiej popatrz na to — Strange podniósł płytę CD z fotografią białej dziewczyny w stylu z lat sześćdziesiątych na okładce. — Wielki Otis Redding. „Otis Blue”.

— A przedtem puściłeś tego, no, Solomona Burke'a. Co jest, krok po kroku do muzyki współczesnej?

— Tutaj masz mistrza — oznajmił Strange, gdy bluesowa gitara Steve'a Croppera odpaliła kawałek „Ole Man Trouble”, a zaraz po niej weszły dęciaki i głos Otisa.

— Masz też coś z Motown?

— Kurna, Terry, Motown to szajs, soul dla białasów, facet.

— A co ja, ekspert? Kiedy to tutaj grali w radio, mnie jeszcze nie było na świecie.

— A ja wciąż biegałam w falbaneczkach — dodała Janine. — Zupełne dziecko.

— Ale ja to pamiętam — odparł Strange. — I było super.

Juana podeszła do nich z jointem w dłoni. — Ma ktoś ochotę?

— Ja tak — zgłosił się Quinn.

— Dawno nie próbowałem — przyznał się Strange.

— Śmiało — zachęciła Juana.

— Żebyście tylko teraz nie zaczęli się wydurniać — zastrzegła Janine.

— A wy to co? — odciął się Derek.

Stanęli we czwórkę pośrodku salonu i wypalili blanta. Strange zassał dym od Quinna, ale Juana odmówiła. Janine tylko zamachała ręką, śmiejąc się. Kiedy z jointa została już tylko resztką, wszyscy czworo, rozchichotani, spierali się o następne płyty do puszczenia.

W końcu Strange włączył z kompaktu „Motor Booty Affair” i podkreślił dźwięk. — Teraz Parlament. Oblęd. No, towarzystwo, ruszamy!

Całą czwórką zaczęli tańczyć, z początku nieśmiało, do złożonych, rozbudowanych piosenek. Linia basu wiła się, napierała, wyłaniały się z niej melodie. Kiedy rytm wpełzł w ich ciała, rozluźnili się i weszli w klimat. Przy piątym kawałku byli już spoceni.

Strange przyćmił światła i włączył „The Belle Album” Ala Greena.

— Przypominają mi się rozbierane imprezki z dawnych lat — powiedział.

— Na to też byłam za młoda — Janine ucałowała go w usta.

Powoli krążyli przy utworze tytułowym. Janine oparła policzek o tors Strange'a, drobiąc kroki stopami odzianymi tylko w pończochy. Quinn i Juana w tańcu obcałowywali się jak licealiści. Kiedy piosenka się skończyła, Janine zerknęła na zegarek i powiedziała Derekowi, że już na nią pora.

— Lionel powinien niedługo wrócić do domu — stwierdziła. — Chcę być na miejscu, kiedy przyjdzie.

— Fakt, musimy się zbierać — przyznał Strange.

— Gdzie kibelek? — zapytał Quinn.

— Na górze — odparł Derek.

Quinn wszedł na piętro. Zlokalizował łazienkę, zobaczył uchylone drzwi wiodące do sypialni i zabudowanej werandy, oraz dwie kolejne sypialnie, z których jedną urządzono jako biuro. Quinn zerknął przez ramię — na schodach nikogo nie było — i wszedł do biura.

Pokój wyglądał na często używany. Zamiast biurka Strange miał blat położony na dwóch szafkach na akta. Na blacie znajdował się monitor, głośniki, klawiatura, podkładka pod mysz i porozrzucane papierzyska w totalnym nieładzie. Quinn wszedł za biurko.

Strange przymocował tam do ściany drewniany stojak na płyty CD. W przegródkach ułożył płyty ze ścieżkami dźwiękowymi do westernów: trylogii z Eastwoodem Sergio Leone, „Dawno temu na Dzikim Zachodzie”, „Siedmiu Wspaniałych”, „Powrót Siedmiu Wspaniałych”, „Nazywam się Nobody”, „Navajo Joe”, „Wóz pancerny”, „Dwa muły dla siostry Sary”, „Zawodowcy”, „Pojedynek w Diabło”, „Biały Kanion”, „La resa dei conti” i inne. W tym pokoju nie było nawet śladu po ukochanej przez Strange'a muzyce funk i soul z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Quinn zaczął się zastanawiać, czy Strange nie ukrył tej części swojej kolekcji płyt tutaj, bo wstydził się przyznać przyjaciółom, że uwielbia muzykę do westernów.

Zerknął na papiery na biurku. Przeważnie dotyczyły kursów akcji, choć były wśród nich także druki raportów z logo Strange Investigations w nagłówku. Do tego stos pakietów zapalek i słowiała fotka ładnej dziewczyny. Podniósł zdjęcie — rozpoznał uderzającą urodę siostry Chrisa Wilsona. Quinn pamiętał ją z reportaży prasowych i telewizyjnych, które ukazały się w dniu pogrzebu.

— Widzisz tu gdzieś toaletę? — zagadnął go Strange, stając w progu.

Quinn podniósł wzrok. — Wybacz, stary. Chyba jestem z natury wścibski.

Oczy Strange'a były lekko przekrwione, rozleniwione. Derek splótł ramiona i oparł się o futrynę.

— Po co ci zdjęcie Sondry Wilson? — zapytał Quinn.

— Z tego prostego powodu, że zaczynam podejrzewać, iż ona jest kluczem do całej tej sprawy.

— Rozmawiałaś z nią?

Strange pokręcił głową. — Najpierw musiałbym ją odnaleźć. Jej własna matka nie wie, gdzie się dziewczyna podziała. Sondra to ćpunka, w ciężkim heroinowym ciągu. Od dawna nie była w domu. Myślę, że Wilson chciał do niej dotrzeć, może nawet ściągnąć ją z powrotem do mamy. Myślę też sobie, że tej nocy, kiedy zginął, ktoś do niego zadzwonił w sprawie siostry.

Quinn upuścił fotografię na biurko. — Myślisz, że Ricky Kane miał z tym coś wspólnego?

— Podoba mi się twój instynkt, Terry.

— Więc jak, tak czy nie?

— Nie wykluczam.

— Musisz z nim pogadać.

— Jeśli jest w to zamieszany, nic mi z tego nie przyjdzie. Mógłby się nawet zamknąć na amen, a nie mam jak go przycisnąć. Mógłbym nawet utrudnić sobie poszukiwania Sondry.

— A właśnie to chciałbyś teraz robić, nie?

— Aha — przytaknął Strange. — Dokończyć to, co zaczął Chris Wilson. Ściągnąć ją do domu.

— Dlatego, że nie masz dla Leony Wilson nic innego, prawda? Wiesz, że mój związek ze śmiercią jej syna był dokładnie taki, jak to ujęto w raportach, bez podtekstów.

— Tak twierdzisz?

— *Pytam*, Derek.

— To posłuchaj — Strange potarł policzki, odetchnął głęboko. — Jasny szlag, ale mnie pierdolnęło. Szczerze mówiąc, od lat nie jarałem. Nie mam pojęcia, czemu dziś mnie naszło. No, ale na coś muszę zwalić winę.

— Winę za co?

— Za to, że zaraz ni z beczki, ni z owieczki poproszę cię o przysługę. Bo widzisz, mój partner Ron będzie w przyszłym tygodniu zawalony robotą. Przydałaby mi się twoja pomoc.

— Rzuć coś bliżej.

— Na dzień dobry założyłbym ogon Kane'owi. Tak sobie myślałem, że może od razu od poniedziałku rano.

— Powiedz, o której.

— Ale nawet nie masz bryki.

— W ten weekend kupuję właśnie auto.

— Tak już?

— Mam dość tego, że Juana wozi mnie po mieście.

— No to dobra. Zadzwoń do ciebie w niedzielę wieczorem, powiem ci, gdzie się spotkamy.

— Derek?

— No?

— To znaczy, że jestem czysty?

— No kurwa — basowo zarechotał Strange. — Facet, ty to jesteś...

— Poważnie pytam, Derek.

— No dobra — Strange machnął ręką. — Jeśli nie byłeś jednak czysty, to tylko z własnej winy. Musisz sam przed sobą przyznać, jak naprawdę wyglądała sytuacja. Musisz uwolnić *sam siebie*, facet.

— Ale właśnie powiedziałeś...

— Powiedziałem, że podejrzewam, iż coś się działo między Chrisem Wilsonem i jego siostrą. Że to przez jej życie Chris znalazł się tamtej nocy na Ulicy D. Ale ty sam przyznałeś, że Wilson próbował wyjaśnić tobie i twojemu kumpłowi, że był gliną. Wywrzaskiwał swój numer odznaki, facet, ale ty go nie słuchałeś.

— Chwila...

— Nie *słuchałeś*. Zobaczyłeś czarnego typa z bronią i ujrzałeś przestępcę, więc podjąłeś *decyzję*. Tak, wiem, było mnóstwo hałasu, zamieszania, migoczące światła. Ale gdyby był biały, posłuchałbyś go? Pociągnąłbyś za spust, gdyby Wilson był biały? Nie sądzę, Terry. Więc jeśli odrzucimy całą nadbudowę pierdoła, musisz po prostu przyznać jedno: Zabiłeś człowieka dlatego, że był czarny.

Quinn wbił wzrok w oczy Strange'a. Chciał powiedzieć coś na swoją obronę, ale nie mógł znaleźć słów. Był pewien, że nic, co zdołałby sklecić, i tak by nie wystarczyło. Czy istniał jakiś sposób, by biały mógł powiedzieć czarnemu, że nie był taki — żeby nie zabrzmiało to fałszywie albo samochwalczo?

Usłyszeli, że z dołu nawołuje ich Janine. Strange opuścił wzrok na podłogę.

— Chodź, Terry — zniżył głos niemal do szeptu. — Czas na nas.

Quinn i Juana pojechali na wschód, do domu na Dziesiątej, w którym mieszkała. Poszli prosto do jej sypialni, gdzie Terry zrzucił ubranie i rozebrał Juanę, stojąc za nią. Powiódł obiema dłońmi wzdłuż wnętrza jej ud i wsunął w nią dwa palce. Wyprężyła plecy i jęknęła, kiedy zacisnął palce na jej obrzmiałych sutkach. Potem, błyskawicznie, rznęli się na łóżku — Juana leżała na krawędzi, opierając łydki na jego ramionach, a Quinn wchodził w nią, wciąż stojąc na podłodze. Kochali się szybko, niemal gwałtownie — Juana osiągnęła orgazm z pół stęknieniem, pół wyciem. Quinn wytrysnął zaraz potem. Na jego czole i szyi wystąpiły żyły. Łóżko przejechało przez pół pokoju i zatrzymało się dopiero na ścianie.

Quinn wysunął się z Juany i ułożył ją pośrodku łóżka, wkładając poduszkę pod jej głowę. Nakryli się kocami, zwarci w mocnym uścisku, a resztki płynów rozplynęły się po nich i po pościeli. Juana wpatrywała się w niego, milcząc — jej oczy mówiły wszystko. Wkrótce oddychała już rytmicznie. Jej powieki zatrzepotały, potem zupełnie się zamknęły i zasnęła.

Lionel Baker wrócił do domu za kwadrans drugą, niemal dwie godziny po limicie. Janine czekała na niego w salonie, co parę minut rozchylając zasłony frontowego olma, żeby sprawdzić, czy syn nie nadchodzi. Strange cierpliwie siedział obok niej. W końcu przed ich domem na Quintana zaparkował lexus i kiedy Janine zobaczyła, że wysiadł zeń Lionel, westchnęła: „Dzięki Bogu”.

Strange wiedział, że młody popalał zioło albo w jakiś inny sposób, nie tylko alkoholowo, podkreślił sobie wieczór, jak tylko chłopak wszedł do domu. Lionel miał rozszerzone źrenice, poruszał się powoli i niezgrabnie. Nie spojrział matce w oczy, rzucił tylko w jej stronę „Hej” i spróbował wywinąć się od dalszej rozmowy, zmiierzając ku schodom.

— Chwileczkę, Lionel — powiedziała Janine.

— Co się stało? — po raz pierwszy spojrział wprost na nią. Zerknął na Strange'a, ale zaraz wrócił wzrokiem do Janine i wyglądało na to, że lada moment bezczelnie się wyszczerzy.

— Gdzie byłeś, synu?

— Pojechaliśmy z Rickym, tylko tak, na przejażdżkę, słuchaliśmy muzyki... Mogę tylko pójść na górę się przebrać? Zawsze się *czepiasz*, cholera.

Janine zerwała się z miejsca. — Tylko nie takim tonem, mój panie. Siedzieliśmy tu z panem Strange'em, martwiliśmy się, że wpakowałaś się w jakieś kłopoty albo stało ci się coś. A teraz wracasz, spóźniony, z przekrwionymi oczami...

— A wy to co?
— *Co takiego?*
— Daj spokój, mama — Lionel machnął ręką, odwrócił się i ruszył na piętro.

Janine na moment zamarła, po czym zrobiła krok za synem. Derek przytrzymał jej ramię.

— Spokojnie, kochana. Ja z nim pogadam, dobra?

Wszedł na piętro i zapukał do zamkniętych drzwi pokoju Lionela. Chłopak nie odpowiedział. Strange obrócił gałkę i wszedł do pokoju. Lionel stał przy oknie, wyglądał na ulicę. Derek przeszedł przez sypialnię i stanął obok chłopca. Ten obrócił się do niego.

— Lionel?

— No?

— Wiesz, że matka cię kocha, nie?

— Jasne.

— Kiedy cię pyta, gdzie się podziewałeś przez cały wieczór, po prostu zbija sobie ciśnienie. Przez ostatnie dwie godziny siedziała tam w salonie i zamartwiała się o ciebie, więc kiedy już wróciłeś, chciała, żebyś poczuł, *co jej zaserwowałeś*.

— Ja wiem. Tylko... Jestem już prawie dorosły, panie Strange. Czemu ona mnie wciąż wypytuje? Rozumie pan?

— Skoro mieszkasz pod jej dachem, a ona płaci rachunki, musisz z tym żyć.

— No i jeszcze mama mówi mi, że mam czerwone oczy, a po was też widać, żeście sobie zajarali.

— Dziś wypiliśmy tylko po kilka piw, i tyle — zełgał Strange. — No, nie wiem, może trochę przesadziliśmy, ale było fajnie. Nie będę cię za to przeproszał, twojej matce należało się nieco rozrywki za tyle ciężkiej pracy. Ja jednak nigdy nie twierdziłem, że jestem ideałem, nawet kiedy uprzedzałem cię, że możesz sobie skopać życie na tysiąc sposobów, zanim jeszcze je naprawdę zaczniesz. Widzisz, mówiłem ci, co sądzę o tych jazdach szpanerską bryką z blantem w garści. Wciąż uważam, że w ten sposób możesz się wpakować w coś, co spieprzy ci całe życie. Którego nawet jeszcze nie zacząłeś, synu.

— Nie jest pan moim ojcem — mruknął Lionel, a w jego oczach zaraz załśniły łzy. — Nie może pan nazywać mnie synem.

Strange położył dłoń na jego ramieniu. — Masz rację. Nigdy nie miałem tej odwagi, jakiej trzeba, żeby naprawdę być ojcem dla chłopaka. Są jednak chwile, kiedy patrzę na ciebie, kiedy rzucasz

dowcipami przy obiedzie albo kiedy ubierzesz się elegancko, gotów na wyjście w miasto na spotkanie z dziewczyną, kiedy czuję dumę... Są takie chwile, kiedy *patrzę* na ciebie, Lionel, i czuję coś takiego, co na sto procent czułby ojciec wobec własnego dziecka.

Przygarnął Lionela do siebie. Czuł serce chłopca bijące tuż przy jego piersi. Przytrzymał go przez chwilę, po czym pozwolił mu się wyswobodzić.

— Panie Strange?

— Tak?

— Ten układ, który pan ma z moją mamą... Chodzi mi o to, że ja wiem, która jest godzina, nie? Wiem, że pan chce okazać jej szacunek, więc nie nocuje pan u niej, kiedy jestem w domu, ale tak sobie myślę... No, myślę, że może idąc spać do innego łóżka, okazuje jej pan nawet mniej szacunku.

Strange'a zatkało. — Że co?

— No, chodzi mi o to, że byłoby fajnie, gdyby po prostu został pan u niej na noc.

— Ja... ee... porozmawiam z twoją matką — Derek zaczął się jąkać. — Zobaczę, co na to powie.

Wyszedł na korytarz i udał się do sypialni Janine. Mama Lionela siedziała na łóżku, dotykając podłogi osłoniętymi nylonem palcami. Przyćmiła światło, a z radiobudzika na szafce przy łóżku rozbrzmiewał głos Ronalda Isleya, śpiewającego „Voyage to Atlantis”.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Jak najbardziej — odparł. — On chce, żebym został na noc.

— A co ty na to?

— Bardzo.

— Nakarmiłeś Greco?

— Otworzyłem mu puszkę żarcia, zanim wyszliśmy.

— Chodź no więc tutaj — Janine uśmiechnęła się i poklepała miejsce na łóżku obok siebie.

Wstając z łóżka, Quinn okrył Juanę jej kocami i kołdrami aż po szyję. Przez ostatnie dwie godziny obserwował wyświetlacz budzika Juany, patrzył na zmieniające się cyfry i wiedział, że nie zaśnie.

Już wytrzeźwiał. Przeciągnął się i nago podszedł do okna, kręcąc prętem przy miniżaluzjach, żeby zrobić sobie prześwit. Wyrzał na oświetlony przez latarnie chodnik przy Dziesiątej. Zobaczył młodego

czarnego faceta w przydużej kurtce z kapturem, który zaglądał w okna kolejnych mijanych samochodów.

Quinn natychmiast poczynił parę założeń dotyczących tego faceta, samych negatywów. Potem spróbował wymyślić inne powody, dla których ten chłopak włóczyłby się po ulicach o tej porze. Może, jak Quinn, po prostu nie mógł zasnąć, więc wyszedł na spacer. Może właśnie wyszedł od dziewczyny i wciąż jeszcze czuł się królem wszechświata, więc w oknach samochodów szukał tylko swojego odbicia. Logiczne hipotezy, ale to nie o nich najpierw pomyślał, kiedy zobaczył tego czarnego chłopaka.

Quinn wrócił pamięcią do tej chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył Juanę, wchodzącą do księgarni przy Bonifant.

Strange miał tutaj sto procent racji: czy Quinn zdawał sobie z tego od początku sprawę, czy nie, związek z Juaną zaczął po to, żeby coś udowodnić i sobie, i wszystkim dokoła.

— Niech cię szlag, Terry — szepnął. Zacisnął powieki i ścisnął palcami grzbiet nosa.

22.

W niedzielę rano Strange zjadł śniadanie z Janine i Lionelem w barze Three Star przy ulicy Kennedy w dzielnicy Northwest. Właścicielem i zarządcą lokalu był Billy Georgelakos, syn pierwotnego właściciela, Mike'a Georgelakosa. Ojciec Dereka, Darius Strange, przez dwadzieścia pięć lat pracował tu dla Mike'a jako kucharz.

Billy i Strange byli niemalże rówieśnikami. W soboty, kiedy i Mike, i Darius przyprowadzali synów do pracy, Billy i Derek bawili się razem w okolicznych zaułkach. Strange nauczył kolegę, jak się boksować i jak podcinać w futbolu, a Billy odwzajemnił się, wprowadzając go w świat komiksów i kapiszonowców. Weekendowy towarzysz zabaw był pierwszym białym kumplem Dereka.

Kiedy pod koniec lat sześćdziesiątych Mike Georgelakos zmarł na atak serca, Billy rzucił studia i przejął interes, bo nie mieli żadnego ubezpieczenia ani innego źródła dochodu dla rodziny. Nie zamierzał zostać w tym biznesie, ale ułożyło się inaczej. W dzielnicy trochę się pozmieniał, w menu przybyło dań dla czarnych klientów, ale Billy wciąż prowadził lokal na wzór ojca — serwował tylko śniadania i lunche, siedem dni w tygodniu.

Strange wiedział, że Mike Georgelakos już dawno wykupił bar na własność — Grecy z jego pokolenia z reguły mieli dość oleju w głowie, żeby inwestować tylko w posiadane nieruchomości. W związku z tym koszty prowadzenia lokalu były bardzo niskie. Bar Three Star opłacił studia dwóch synów Billy'ego, wystarczyło też na utrzymanie jego matki. Billy odziedziczył po ojcu jeszcze jeden zwyczaj — na dwie godziny przed zamknięciem lokalu wyciągał taśmę z kasy. W barze przyjmowano wyłącznie gotówkę, a skarbowka nie musiała o wszystkim wiedzieć.

— Podaj no ten ostry sos, Lionel — rzucił Strange.

Chłopiec pchnął butelkę sosu po stole, tak że przejechała przed Janine i dotarła do Dereka, który wycisnął nieco na omlęt z fetą i cebulką, i dodatkowo trochę na leżącą obok podwędzaną kielbasę.

— Niezłe śniadanie, co? — stwierdził Derek.

— Mhm — przytaknęła Janine.

— Wyczesane — potwierdził Lionel. — Mogliby tylko puszczać tu jakąś lepszą muzyę.

— Muzyka jest super — sprzeciwił się Strange. W niedzielne poranki Billy puszczał w barze gospel, bo wielu klientów przychodziło tu prosto z kościoła. Tak samo robił jego ojciec.

— Czemu nazwał pan psa Greco? — zapytał Lionel. — Właśnie przez tą grecką knajpę?

— E, nie. Kiedy byłem mały, miałem jeszcze jednego greckiego kumpla. Nazywał się Logan Deoudes. Jego ojciec też miał taką knajpę, John's Lunch, przy Georgia Avenue niedaleko Fort Stevens. No i Logan miał psa, skundlonego boksera, obłądnego, na którego wołał Greco. I to imię zawsze mi się podobało. Już wtedy zdecydowałem, że kiedy będę miał własnego psa, też będzie się wabił Greco.

Billy Georgelakos podszedł do nich. Niósł dzbanek pełen kawy prosto z ekspresu. Miał na sobie białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, a za prawe ucho zatknął długopis bic. Billy był grubokościsty, wszystkie rysy twarzy miał przez to większe, a szczególnie rzucał się w oczy wielki, orli nos. Nie licząc dwóch siwych kępek na skroniach, z kopuły jego głowy znikły wszystkie włosy.

— Chcesz cieplejszej, Janine? — zagadnął, wskazując podbródkiem na jej filiżankę.

— Tak, jeszcze odrobinę — odparła. Billy dolał jej nieco kawy, ale filiżankę Strange'a bez pytania wypełnił po brzegi.

— Co tam u twojej mamy, Derek?

Strange pokiwał dłonią, „jako-tako”. — *Etsi-ke-etsi* — powiedział.

— No tak, to jak i z moją — stwierdził Billy. — Twarde z nich starszki, nie?

Ruszył z powrotem w stronę kuchni — pogadać ze swoją wieloletnią pracownicą, Ellą Lockheart, również pochodzącą z tej dzielnicy.

— Mówi pan po grecku, panie Strange?

— Troszkę — Derek ukrył się za niedomówieniem. Billy nauczył go paru użytecznych zwrotów i całej masy bluzgów.

— Czadowo — rzucił Lionel.

— Macie na dziś jakieś plany? — Strange zapytał wtedy Janine.

— A coś proponujesz?

— Chciałbym się przejść. Jutro będę miał urwanie głowy, i to może chwilę potrwać. Jest zimno, ale słońeczko tak pięknie świeci, że mam ochotę zabrać Greco na spacer nad Rock Creek. Może potem zajdę do domu opieki, odwiedzę mamę.

— Jestem za — stwierdziła Janine.

— Lionel?

— Mam inne plany. Ta rodzinna ścieżka zdrowia zapowiada się naprawdę fajnie i w ogóle, ale jeśli nie macie nic przeciwko, już wolałbym spędzić dzień, obcinając laski w centrum handlowym.

Billy nabił ich rachunek na kasie. Kiedy wychodzili, Strange jak zawsze zatrzymał się przy ścianie zaraz obok drzwi do baru, gdzie wisiało kilka spłowiałych, oprawionych w ramicy fotografii. Na jednym z nich ojciec Strange'a w kucharskiej czapie nieco na bakier prężył się dumnie, dzierżąc w jednej dłoni łopatkę do grilla, z uśmiechem na pożłobionej, przystojnej twarzy. Obok niego stał Mike Georgelakos, niski i pulchny.

— Sam on — rzucił Strange, a Lionel i Janine nie odezwali się ani słowem, bo wiedzieli, że to była jego prywatna chwila.

— *Yasou*, Derek — odezwał się Billy zza lady.

— *Yasou*, *Vasili* — Strange obrócił się, żeby pomachać przyjacielowi. Potem puścił oko do Lionela, który wyraźnie był pod ciężkim wrażeniem, i wyszli.

Tej niedzieli po południu Quinn wybrał się na południe wzdłuż Georgia Avenue, przez całe Silver Springs i za tory kolejowe. Mijał salony tatuażu i myjnie samochodowe, sklepy z częściami do aut, należące do Afroamerykanów zakłady fryzjerskie i sklepy odzieżowe, kufłoteki i smażalnie kurczaków, sklepy z telefonami komórkowymi i pagerami. Szedł przez godzinę bez ustanku. Dzień był chłodny, ale słońce i ruch sprawiały, że i tak było mu ciepło.

Zatrzymał się przy małym autokomisie po zachodniej stronie alei. Wokół całego placu rozwieszono wielobarwne, plastikowe wiatraczki, które furkotały na wietrze. Z boku parkingu stała przyczepa kempingowa, gdzie sprzedawcy wypełniali umowy kupna. Nad jej drzwiami wywieszono spory szyld, otoczony prostokątem żarówek i głoszący: „U Eddiego Ridera znajdziesz brykę jak cholera!”. Quinn wszedł na plac parkingowy.

Nie był automaniakiem, ale lata pracy w policji wyrobiły w nim nawyk rejestrowania w pamięci modeli i roczników samochodów. Przez ostatnie kilka lat służby miał jednak problem, który objawił się także teraz, gdy stanął, patrząc na rzędy aut — nie potrafił rozróżnić marek. Większość aut wyprodukowanych od początku lat dziewięćdziesiątych wyglądała tak samo. To Japończycy zbudowali pierwsze zaokrąglone modele, ale ich śladem poszli Amerykanie, Koreańczycy, nawet czasami Niemcy. Wskutek tego widziany od tyłu hyundai na pierwszy rzut oka był nie do odróżnienia od lexusa czy mercedesa. Ford za piętnaście tysięcy wyglądał dokładnie tak samo, jak infiniti za czterdzieści. A wszystkie toyoty, szczególnie ultraprzeciętna camry, stanowiąca obecny ekwiwalent hony accorde z lat osiemdziesiątych, fascynowały mniej więcej tak samo, jak domek na przedmieściach i rychła śmierć. Quinn od tylu lat żył bez samochodu właśnie dlatego, że nie kręcił go żaden model, który widział.

— A czegoż to pan u nas szuka? — ktoś odezwał się zza jego pleców zaskakująco nosowym głosem.

Quinn odwrócił się i ujrzał niskiego, szczupłego, czarnoskórego faceta w średnim wieku. Mężczyzna nosił mocne okulary w czarnych oprawkach. Miał na sobie białą koszulę, krawat w baloniki i markową sportową marynarkę z wyprzedzący. Uśmiechnął się do Quinna, szczerząc koronki na zębach.

— Czegoś ekstra — odparł Quinn.

— Jestem Tony Tibbs. Mówią mi *Pan Tibbs*. He he! Tak tylko żartowałem, wie pan. Tak naprawdę wołają tu na mnie Tony Kucyk, bo każdemu dam pojeździć, i to dobrze. Niezłe, co? A pan jak się nazywa, bo chyba pan nie mówił?

— Terry Quinn.

— Irlandczyk, co?

— Mhm.

— Zawsze zgodnę. I jestem z tego dumny. A słyszał pan odwieczną zagadkę irlandzkich gejų? — Tibbs zmarszczył się, teatralnie okazując zatroskanie. — Och, chyba pan nie gej, co?

- Chwila...
- Tak się tylko drocę, przyjacielu, przecież widzę, że z pana stuprocentowy mężczyzna. Więc jak, zna pan tę odwieczną zagadkę?
- Nie.
- Kto tryka Patryka? Pat. Ha ha! — Tibbs oparł dłoń na biodrze.
- Szukamy czegoś szczególnego, Terry?
- Chciałbym kupić samochód.

— No, to chyba nie będę ci mógł pomóc. Ha ha! Tak tylko żartuję!

Quinn zmierzył Tony'ego Tibbsa wzrokiem: postać zarazem żalonna i heroiczna. Dzieci dostatku, które nigdy w życiu nie musiały się kałać pracą, żeby popłacić rachunki, mogłyby się z Tibbsa nabijać do upadłego, ale Quinnowi przypadł on do gustu, nawet te koszmarnie grepsy mu nie przeszkadzały. Tyle tylko, że Terry nie chciał zmarnować tu zbyt wiele czasu, postanowił więc wyklarować sprzedawcy to i owo.

— Słuchaj, Tony — zaczął. — Sprawa jest prosta: jeśli zobaczę wóz, który mi się spodoba, a cena nie wyda mi się wygórowana, nie będę się z tobą targował, po prostu wyciągnę książeczkę czekową i z miejsca wypiszę ci czek na całą kwotę. Nie chcę żadnych rat, zaznaczam. Chcę po prostu wyłożyć kasę i wyjechać stąd samochodem.

Tibbs wyglądał na nieco urażonego i poniekąd ogłupiałego. Takie przedsiębiorstwa sprzedają kredyty, a nie samochody, i mają z tego ponad dwadzieścia procent prowizji. Wyglądało na to, że odmowa targowania też odrobinę zdeprymowała sprzedawcę.

- Rozumiem — odpowiedział Tibbs.
- Jeszcze jedna sprawa: kiedy wejdziemy do tej przyczepy, nie próbuj mi weisnąć serwisowania. Ledwie o tym szepnij, a możesz zapomnieć o kliencie.
- W porządku.
- Świetnie — skwitował Quinn. — No, to teraz sprzedaj mi jakiś wóz...

Kiedy wędrowali po placu, nic jakoś nie pobudziło apetytu Terry'ego. W końcu dotarli do krótkiego rzędu samochodów obok biurowej przyczepy, gdzie lśniły w słońcu trzy stare, nawoskowane chevrolety.

- A te to co? — zagadnął Quinn.
- Maskotki Eddiego Ridera — odparł Tibbs. — Gość uwielbia model chevelle.
- Są na sprzedaż?
- Jasne. Eddie zawsze przy nich majstruje — Tibbs zauważył coś we wzroku Quinna. Zwęszył krew. Wyprostował się. — Ten tutaj to

usportowiony model z sześćdziesiątego siódmego. Trzy i pół litra, dwanaście cylindrów.

Potem pokazał czerwony samochód z czarnymi pasami: — Tu masz model z siedemdziesiątego drugiego. Ma wlot powietrza w masce i tłoki Hookera.

— A tamten? — Quinn wskazał brodą ostatni wóz w rzędzie, granatowo-czarny, piękny fastback z felgami od Cregara.

— A to śliczny Super Sport, trzy dziewięćdziesiąt sześć litra, trzysta pięćdziesiąt koni. Czterobiegowa przekładnia Hursta, a do tego jeszcze tłumiki Flowmaster.

— Który rocznik?

— Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty.

— Urodziłem się w tym roku.

— No, to dziecko z ciebie.

— Otwórz no maskę, co?

Quinn zajął do silnika. Wymieniono wszystkie wężyki, nie było luzu na paskach. Na blok silnika można by wysypać torbę mrożonych frytek i zjeść je stamtąd po odgrzaniu. Terry wyciągnął bagnet i obwąchał końcówkę.

— Czysty, nie? — zagadnął Tibbs. — Nie czuć żadnej spaliny, prawda?

— Ano czysty. Mógłbym się przejechać?

— Kluczyki mam w przyczepie.

— A tak przy okazji, ile za niego?

— Zbiję cenę maksymalnie, skoro aż tak nie lubisz się *targować* — stwierdził Tibbs.

— Czyli ile?

— Sześć pięćset. To kradzież w biały dzień, normalnie. Jak szef się dowie, że za tyle sprzedałem, mogę od razu zabrać manele z biura.

— Sześć tysięcy pięćset to uczciwa cena za ten wóz?

— Sześć pięćset? — Tibbs wyduł wargi i wybałuszył oczy. — Cenka czysta jak łąka.

Quinn zachichotał.

— Powiedziałem coś śmiesznego?

— Nic takiego — odparł Terry. — Jeśli ten wóz prowadzi się równie pięknie jak wygląda, to już jest sprzedany.

23.

Quinn spotkał się ze Strange'em przy poniedziałkowym śniadaniu, w Domu Modlitwy Raju Wszystkich Dusz Słodkiego Tatki. Ten obiekt przy ulicy M w dzielnicy Northwest zajmował większą część przecznicy między Szóstą a Siódmą Ulicą. Był to nowoczesny, zamożny ośrodek, służący okolicznym mieszkańcom swoją działalnością religijną i edukacyjną. Pracowała tu grupa obdarzonych silną motywacją osób, które doglądały terenów Domu Modlitwy — tę okolicę w najlepszym wypadku można by nazwać nieciekawą. Quinn zaparkował swoją chevelle na należącym do kościoła strzeżonym parkingu i skierował się do kafeterii na parterze kompleksu.

Co rano jedli tu śniadanie policjanci mundurowi i w cywilu, pracownicy społeczni, biznesmeni, parafianie i okoliczni mieszkańcy. Porcje były obfite, a ceny mniej niż niskie. Dzięki silnej wierze pracownicy kafeterii byli radośni i przyjaźni.

Quinn załadował sobie tacę jajecznicą, bekonem, grzankami i kaszą jaglaną, po czym usadowił się naprzeciwko Strange'a przy długim stole, pośród ludzi różniących się kolorem skóry i zamożnością. Strange wymiałał swój talerz, oczyszczając go z pasztetu, jajek sadzonych i kaszy.

Do stołu podszedł biały, przyjaźnie uśmiechnięty facet nazwiskiem Chris O'Shea i zagadał do Strange'a.

— Uważaj no na siebie, Derek — dodał na koniec.

— Nie ma sprawy, Chris — odparł Strange. — Ty też.

Quinn zauważył, że gdzie by się nie zapuścić w Dystrykcie, Strange wszędzie spotykał znajomych.

— Gotów do roboty? — zapytał Derek, odsuwając opróżnioną tacę.

— A co masz na dziś?

— Z rana przyczaimy się koło domu Ricky'ego Kane'a. Koleś mieszka u mamy, w Wheaton. Jeśli gdzieś wyjedzie, my za nim, zobaczymy, jak sobie wypełnia dni. Masz — wyjął z kieszeni kurtki telefon komórkowy i jakąś karteczkę i podał Quinnowi. — To Rona, ale dziś możesz używać. Masz tam mój numer, i swój też.

— Czemu nie krótkofalówki?

— Bo tak jest łatwiej życiowo. Przy krótkofalówkach ludzie wciąż się na ciebie gapią, jak idziesz i gadasz, a do telefonów już się przyzwyczaili.

— Bo wyglądam jak każdy inny buc z komorą, tak?

— Aha. Znalazłeś sobie brykę, jak rozumiem?

Quinn przytaknął.

— Ba, myślę nawet, że ci się spodoba.

Kiedy wyszli na parking, Strange wybuchnął śmiechem na widok chevelie super sport z alufelgami.

— Coś nie tak? — zdziwił się Quinn.

— Faktycznie śliczny.

— Więc co?

— Wy, szczawie, zawsze wybieracie sobie wozy jak neony: „Patrzcie na mnie, tu jestem”. Ron Lattimer ma dokładnie ten sam problem.

— A ten twój caprice wygląda jak radiowóz. W moim mamy większe szanse, że nas nie namierzą.

— Może i masz rację. Nieważne, jedziemy każdy swoim, zobaczymy, jak się ułoży.

Matka Ricky'ego Kane'a miała nieduży domek przy Viers Mill Road, ceglana podmurówka, a wyżej siding, zupełnie jak wszystkie inne przy tej ulicy. Deweloper, który postawił to osiedle w latach sześćdziesiątych, wykazał bardzo mało ambicji i jeszcze mniej wyobraźni. Sądząc po wynikach obserwacji z ostatniej godziny, Strange doszedł do wniosku, że tutejsi mieszkańcy składali się z niedobitków pierwotnych lokatorów, białych z klasy średniej, i nowych roboli Ameryki, pochodzących z Ameryki Łacińskiej, Etiopii, Pakistanu czy Korei.

Zadzwoił do Quinna, który zaparkował na rogu o przecnicę dalej.

— Nie śpisz jeszcze?

— Mam kawę w termosie — odparł Terry.

— I pewnie chce ci się łać.

— Musiałeś przypomnieć?

— Widziałeś naszego malucha, jak przedtem wychodził?

— Owszem.

— Kolejny mały fiut z wielkim psem, co?

Kane wyprowadził swojego płowego pitbulla na spacer, wszystkiego pół przecnicy, jakąś godzinę temu. Strange narobił mu zdjęć swoim AF-1 z teleobiektywem. Kane, blondyn średniego wzrostu, chudy, był ubrany w zimową kurtkę, pod którą założył docieplaną kamizelkę i przyduże dzinsy, wiszące mu na biodrach. Na głowie miał dzierganą czapkę z nausznikami. Kościstą twarz zdołał cień wystrzyżonej koczkiej brodki.

— Próbuje być trendy Murzynem — dodał Strange.

— Ostatnio wszystkie białe szczawie na przedmieściach tak wyglądają, przynajmniej tak zauważyłem.

— Taak, póki nie skumają, co to naprawdę znaczy być czarnym w Stanach.

— Tyle że ten koleś musi być niewiele młodszy ode mnie.

— Mhm. Zdecydowanie nie przypomina siebie z czasów, gdy dawał wywiady dla telewizji, nie?

— Rzuć też okiem na jego brykę. Pozbył się tej badziewnej toyoty.

Na podjeździe domu Kane'a stała nowiutka, czerwona honda prelude z połyskliwymi deklami i podniesionym spoilerem.

— Ano widzę. Fakt, że dostał odszkodowanie.

— Prawda. Może to i stąd.

Quinn upił łyk kawy z termosu. — Wspominałem już, jak bardzo miło było mi poznać Janine tamtego wieczora?

— No, to fajna babka. I fenomenalnie zarządza biurem. Ty też przygruchałeś sobie piękną pannę.

— Wiem — skwitował Quinn.

— Dobra, idzie nasz cel.

Kane wyszedł z domu, niosąc sportową torbę. Otworzył bagażnik hondy i wrzucił torbę do środka, po czym zamknął klapę i przekreślił klucz.

— Jedzie na siłownię — podsunął Quinn. — Nie sądzisz?

— Może.

— Ruszam pierwszy — zaproponował Terry.

— Dobra — odparł Strange. — Po co ma mnie przywazyć i w ogóle.

Strange i Quinn zrobili parę kółek dokoła kwartału, kiedy Kane wskoczył do sklepu sieci 7-Eleven po kawę i fajki, po czym znów wsiedli mu na ogon, gdy ruszył na południe, w głąb Dystryktu. Trzymali się o kilka samochodów za nim, bo trudno było zgubić ten czerwony wózek. Kane dojechał Trzynastą aż do samego centrum, po czym zjechał na Czternastą i zostawił auto w garażu parkingowym Carr Park za skrzyżowaniem z F.

— Mam wjechać tam za nim? — zapytał Quinn.

— Parkuj na ulicy — odparł Strange. — Jeśli musisz, nawet na zakazie. Ja zapłacę mandat.

Quinn zatrzymał chevelle przy krawężniku, podobnie jak Strange w swoim caprice, tylko że ten zrobił to pół przecznicy dalej.

— I co teraz? — spytał Quinn.

— Windy w tym garażu łączą się z tym budynkiem po lewej. O ile Kane nie ma tam czegoś do załatwienia, w co wątpię, za jakieś trzy-cztery minuty wyjdzie przez te podwójne, szklane drzwi.

— Czemu sądzisz, że nie pojedzie tam na górę?

— Bo idzie do tej knajpy po drugiej stronie ulicy, widzisz? Purple Cactus.

— Mam pójść tam za nim?

— Zna twój wygląd, ale potem zapuściłeś sobie kłaki jak lew. Więc wal śmiało. Masz ciemne okulary?

— Pewnie.

— To je załóż. Niepotrzebny ci żaden inny kamuflaż, w życiu, nie ma co przesadzać. A kiedy kogoś śledzisz, Terry, posłuż się miastem.

— Może wyjaśnisz?

— Przez cały czas pamiętaj o sylwetce śledzonego, ale nie bezpośrednio. Patrz, gdzie idzie, w odbiciach w sklepowych witrynach, w oknach samochodów, nawet w ich karoserii. Ukryj się w tłumie.

— Uwaga, jest!

— No to dawaj.

Quinn wysiadł z auta i przyczaił się przy budynku. Kane wyszedł przez szklane drzwi. Strange patrzył, jak Quinn ruszył za śledzonym, trzymając się z tyłu, wśród niezbyt gęstego tłumku przedpołudniowych przechodniów. W okularach i z długimi włosami Quinn wyglądał raczej na barczystego fana rocka niż na policjanta. Kane przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w restauracji Purple Cactus.

Strange zadzwonił do Terry'ego. — Śmiało, do środka. Zaczynają się szykować do serwowania lunchu. Powiedz im po prostu, że chcesz tu przyjść na randkę, albo coś, i sprawdzasz, jak wygląda lokal. Spróbuj wyczaić, co Kane tam robi.

— I nie pozwolili, żeby mnie rozpoznał, dobrze myślę?

— Bardzo śmieszne.

Po pięciu minutach Quinn wyłonił się z restauracji i przeszedł z powrotem przez jezdnię. Wsiadł do swojego samochodu i zadzwonił do Strange'a.

— Pogadał tylko z paroma kelnerami i barmanką na dole. Jakby miał tydzień odwiedzin. Właśnie wychodzi.

Kiedy Kane wyprowadził hondę z garażu i wyjechał na Czternastą, Strange rzucił:

— Ruszamy.

Kane zostawił samochód cztery przecznice dalej, w kolejnym garażu. Tym razem to Strange ruszył za nim pieszo. W myślach zakładał się, że wie, dokąd zmierzał Ricky.

Kane wszedł do Sea DC, sztywnej restauracji z owocami morza i wyszynkiem na rogu Czternastej i K. Front lokalu był całkowicie przeszkolony, więc Strange nie musiał podejmować ryzyka wchodzenia tam za nim. Kane rozmawiał z jakimś facetem za kontuarem, który umieszczono na czymś w rodzaju podestu, przez co dominował nad resztą sali.

Strange wrócił do auta i rzucił do telefonu: — Obchodzi teren.

— Co on, handluje żarciem?

— Czymś na pewno handluje, na sto procent. Z reguły kiedy widzi się kolesia, który tak się kręci wśród pracowników restauracji, to znaczy, że robi dla bukmacherów.

— Albo zbiera zamówienia na coś zupełnie innego.

— Też możliwe. Uważaj, nadchodzi. Szykuj się.

Strange wcisnął przycisk, zrywając połączenie. Nie wspomniał Quinnowi, że Sea DC było ostatnim miejscem pracy Sondry Wilson przed jej zniknięciem.

Kane podjechał do ekskluzywnego, ogrodzonego aksamitnymi linami klubu na rogu Osiemnastej i Jefferson, gdzie często odmawiano chętnym wstępu za niewłaściwą fryzurę czy nieodpowiednią metkę na spodniach. Potem zawitał do Eurodisco na Dziewiątej, naprzeciwko osławionego nocnego klubu 9:30, uczęszczanego przez typy artystowskie i dzieciaki z krajów Zatoki Perskiej, które mogły sobie pozwolić na kokainowy nałóg dzięki funduszom powierniczym. Potem pojechał na Ulicę U i zaparkował przed kolejnym nocnym klubem, tym razem dla czarnych japiszonów. Wizyty zawsze wyglądały tak samo: wejście, pięć minut w środku, wyjście. Potem Kane skręcił we Florida Avenue i pojechał na wschód, Quinn i Strange za nim.

Cherokee Coleman podniósł z biurka złote pióro i postukał nim w bibularz na blacie. — Wielki z ciebie gość, Adonis.

Adonis Delgado, siedzący przed biurkiem, zerknął na swoje skrzyżowane ramiona, pęczniejące pod granatowym mundurem. Odrobinkę napiął mięśnie, wygładzając wszystkie zmarszczki i zagięcia materiału.

— Pracowałem na to.

— Tak też sądzę. Jak myślisz, Angelo, on jeszcze urósł?

Angelo Gruba Dupa stał za Colemanem, który jak zwykle siedział w swoim skórzanym fotelu. Angelo wzruszył ramionami. Twarz ukryta pod markowymi okularami przeciwsłonecznymi nie zmieniła obojętnego wyrazu.

— Nie używałeś chyba tych, no, sterydów, co? — zagadnął Coleman, udając z troską.

— Wiesz, że nie tykam tego syfu — odparł Adonis. Zrobił sobie zastrzyk tego ranka, zaraz po dwugodzinnej sesji na siłowni.

— No bo wiesz, że przez ten szajs ma się problemy poniżej pasa. Skurczy ci się, że będziesz miał jak u Chińczyka i w ogóle kiła mogiła.

— Z moimi klejnotami wszystko w porządku — Adonis wyszczerzył się przerażająco, odsłaniając szeroko rozstawione, pokrzywione zęby.

Był brzydkim, jasnoskórym Murzynem. Miał wysokie, bardzo szerokie czoło i wgnieciony nos, którego nozdrza rozchyłały się ku górze niczym w świńskim ryju. Oczy policjanta były matowoczarne i jakby azjatyckie w kształcie. Angelo Gruba Dupa mawiał, że Delgado wyglądał jak te mongoloidalne downy, na przykład jak ten z serialu, co go oglądał w niedzielę wieczorem, kiedy jeszcze był małym dzieciakiem. Dlatego też mówił o Adonisie per „Corky”, ale tylko wtedy, gdy tamtego nie było w zasięgu słuchu.

— No dobra, to czemu zawdzięczamy dziś ten zaszczyt, Adonis? — zagadnął Coleman. — Rzadko się zdarza, żebyś miał chęć pogadać z nami twarzą w twarz. Przeważnie tylko krążysz po okolicy, żeby zapewnić bezpieczeństwo naszym obywatelom. Zaczęliśmy sobie myśleć, ja i Angie, że przestało ci leżeć nasze towarzystwo.

— Przyszedłem się upewnić, że z Boone'ami wszystko jasne. Kiedy przyjdzie czas, chciałbym osobiście załatwić ten ostatni kurs.

— Znaczy, ty i Zębaty?

— Jasne.

— Nie będzie się pluł?

— Zrobi, co mu każę.

— Dobra — Coleman uniósł brew. — Wiesz, jakiś spięty jesteś. Nie gniewasz się na mnie, Adonis, co? Chyba nie dlatego, że pozwoliłem, żeby Earl Boone zabrał twoją laskę?

— Kurwa, mówisz o tej cipie z Prochowni?

— Więc się nie *gniewasz*.

Coleman i Delgado przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. W końcu Delgado siąknął nosem i potarł jego grzbiet. — Już ci mówiłem, to tylko ćpunka, ale ma wargi. Dałem jej obciągnąć, raz czy dwa, i tyle. Kiedy już skończę z Rayem i Earlem, po prostu dorzucę jej zwłoki do stosu.

— Nie, żebym ci coś doradzał, ale jeśli chciałbyś jeszcze ostatni raz do niej uderzyć, lepiej się zabezpieczyć, i to na dwie albo i trzy warstwy.

— Zawsze dubluję — odparł Delgado. — I to ekstra grube.

— Nie wątpię — rzucił Coleman.

Rozdzwoniła się komórka, leżąca na biurku. Coleman odebrał połączenie, rzucił „Dobra” i rozłączył się.

— Co jest, Cherokee? — spytał Angelo.

— Zaraz się zjawi nasz mały, bladokóry braciszek.

— To ja tu zaczekam, jeśli nie masz nic przeciwko — stwierdził Adonis.

— Masz do niego jakiś własny interes?

— Wisi mi szmal.

— Czyli będziesz go cisnął? Jak miło widzieć, że pan *mundurowy* Delgado rozszerza swój wachlarz klientów.

— No, jakbym mało zrobił dla tego białasa. A niczego nie robię za darmo — Delgado wyciągnął cygaro z powieszanej na oparciu krzesła granatowej kurtki.

— Wolałbym, żebyś tu tego nie palił — oświadczył Coleman. — Ani ja, ani Angie nie lubimy tej woni.

Quinn i Strange pojechali za Kane'em aż do zaułka zaraz za skrzyżowaniem Florida Avenue i North Capitol, kawałek na wschód. Kiedy Derek zauważył ćpunów i oprychów na ulicy, zadzwonił do Quinna:

— Spokojnie, Terry. Przyspieszę trochę i odjadę kawałek. Jedź za mną, aż zaparkuję, wtedy wsiądę do twojego wozu.

— W porządku.

Kane podjechał do otwartych drzwi warsztatu i wjechał do środka. Strange odprowadził go wzrokiem, po czym sam skręcił w prawo, Quinn za nim. Derek wrócił na Florida Avenue i pojechał na wschód, do kompleksu koreańskich sklepów spożywczych, gdzie znalazł parking. Złapał aparat fotograficzny, wyskoczył z samochodu i wsiadł do chevelle Quinna.

— Gazu! — rzucił.

Quinn pospieszenie wrócił do tej uliczki odchodzącej od Florida Avenue, gdzie jawnie odbywał się handel narkotykami wraz z całą gangsterską otoczką. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, trzy przecznice od centrum biznesu, ale nie wyłączył silnika. Przed nimi młodzi mężczyźni, leniwi jak koty, opierali się o mury, wystawali na narożnikach ulic czy kręcili się wokół zapuszczonego budynku,

wyglądającego na magazyn, a otoczonego poszarpaną żółtą taśmą, jakiej używa policja do oznaczania scen zbrodni. Przed krótkim ciągiem kamieniczek o oknach nierzadko zabitych deskami stał rząd limuzyn niemieckiej i japońskiej produkcji, kilka samochodów terenowych oraz radiowóz policji miejskiej.

— Widzisz tego buicka? — zapytał Quinn.

— Owszem — odparł Strange, niemalże szeptem. — Chcesz, żebym podjechał bliżej?

Strange wychylił się z okna i cyknął parę zdjęć. — Nie ma po co. Ten obiekt to pięćset milimetrów, prawie jak porządna lornetka.

— O, idzie nasz koleś.

Patrzyli, jak Ricky Kane opuścił warsztat i przeszedł na drugą stronę ulicy, jakby to on tu rządził. Na rogu, gdzie zaczynał się ów ciąg kamieniczek, spotkało go paru młodych facetów, którzy odeskortowali go do domu, pod którym parkował radiowóz.

— Co się tutaj dzieje, do kurwy nędzy? — mruknął Strange.

— Mnie pytasz? — odparł Quinn.

— A słyszałeś kiedyś o Cherokee Colemanie?

— Taak, słyszałem. Jak każdy glina w Dystrykcie i większość mieszkańców. Co o nim wiesz?

— Coleman grał w kosza, na obronie w drużynie Green Wave, w Spingarn. Skończył liceum w osiemdziesiątym dziewiątym. Mógłby jeszcze powojować, ale był za niski i zbyt kiepski technicznie, więc nie miał szans na college. Tutaj szybko wyrobił sobie renome po tym, jak popełnił kilka bezczelnych morderstw, za które nie szło go skazać. I tak oto ogólniak, który dał światu Elgina Baylora i Dave'a Binga*, wydał z siebie także handlarza narkotykami, który należy do najbardziej morderczych oprychów w tym mieście.

* Gwiazdy NBA lat 70-tych i 80-tych.

— Czytałem taki wywiad w Washington Post z dziećmi z LeDroit Park. Mówią o Colemanie, jakby to był jakiś bohater.

— Wiesz, ich starsi bracia i siostry pracują dla Cherokee, częściej niż w McDonalдах.

— Cherokee... — Quinn zerknął na Strange'a z ukosa. — Czemu tyłu czarnych facetów o jaśniejszej skórze twierdzi, że płynie w nich indiańska krew, co, Derek? Zawsze mnie to dziwiło.

— Pewnie nie chcą przyznać, że mają domieszkę białej krwi — Strange opuścił aparat. — A Coleman ma bazę właśnie w tej okolicy.

— Wszyscy o tym wiedzą, a biznes i tak się kręci.
— Bo Coleman nie jest głupi. Nigdy nie tyka prochów, więc za co go aresztować? Widzisz wszystkich tych koleśi na ulicy? Każdy z nich ma wyznaczoną rolę. Masz naganiaczy, prowadzących klientów do gości, którzy sprzedają towar. Do tego jeszcze są czujki i kasjerzy, którzy zabezpieczają gotówkę. Ci, którzy dopiero wchodzą w ten biznes, zawsze ci najmłodszy, są jedynymi, którzy zajmują się heroiną, crackiem czy kokainą. I nawet oni nie noszą towaru przy sobie. Przyjrzyj się dobrze, to zauważysz, że zawsze kręcą się gdzieś w pobliżu miejsca, gdzie można ukryć fiolkę cracku albo porcję hery za dychę w magnetycznym pojemniczku na klucze czy w skrytce w ścianie. Zawsze też gdzieś niedaleko jest droga ucieczki, żeby mogli pójść w długą: jakiś zaułek czy dziura w płocie. Raz na jakiś czas policja miejska wpada tu i robi masowe aresztowania. I gównie to daje. Co z tego, że zwiniemy te dzieciaki i ćpunów? Co z tego? Przy pierwszych kilku aresztowaniach młodzi nawet nie trafią do poprawczaka, szczególnie że towaru mieli tyle co nic. Ćpuny przesiedzą przez noc w areszcie, albo i nie to, a potem dostają roboty publiczne. Grubym rybom nic się nie dzieje.

— Mówisz, że Coleman w życiu nie trafi do pierdła?

— Trafi, trafi. Federalni dupną go za przewałki na podatkach, jak to zwykle bywa z takimi koleśiami. Albo któryś z jego ludzi wsypie go za jakieś stare morderstwo w zamian za zmniejszenie wyroku. Tak czy inaczej, w końcu go dopadną. Najpierw jednak zdąży spieprzyć życie setkom ludzi.

Quinn skinieniem głowy wskazał magazyn, gdzie narkomani powolnym krokiem wyłaniali się z wybitych w murach wielkich dziur bądź w nich znikali. Po przymie ziemi przebiegł szczur, nie lękając się dziennego światła ani snujących się wokół ludzi.

— Tam idą walnąć sobie w żyłę — mruknął Terry.

— Zgadza się. Założę się, że wielu z nich po prostu tam mieszka.

— A co z Kane'em?

— No tak, co z naszym Rickym, he? Akurat teraz, jak myślę, przyszedł po odbiór towaru. Bo kiedy kursował po tych wszystkich restauracjach i barach, zbierał zamówienia od personelu. Też tak sądzisz?

— Dokładnie tak samo.

Kane wyszedł z kamienicy. Szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył nagle w stronę magazynu.

— A co ten, kurwa, robi? — Strange zerknął w okular aparatu i zrobił dwa kolejne zdjęcia.

- Słuchaj, Derek — trącił go Quinn.
- Kane pochylił się i wszedł do jednej z wybitych w murze dziur.
- Nie możemy tu zbyt długo czekać — ciągnął Quinn. — Nie możemy tu zostać, póki Kane stamtąd nie wyjdzie.
- Fakt. Jak nic, niedługo namierzy nas któryś z oprychów Colemana, a i ten gliniarz, kto by to nie był, zaraz może wracać do wozu.
- Zjeżdżajmy stąd. Jak na jeden dzień sporo już mamy.
- Podjedź na przecznicę do tego radiowozu, Terry, a potem szpula w prawo.
- Quinn wrzucił pierwszy bieg, zwolnił sprzęgło i przytarł oponą o krawężnik, nim zdążył odbić. Gwałtownie wrzucił dwójkę. Paru typów na rogu ulicy spojrzalo w ich kierunku, jeden zaczął coś wrzeszczeć w stronę auta. Strange do połowy wysunął się z okna i usadowił się w otworze, opierając łokcie na dachu samochodu. Z tej pozycji strzelił kilka zdjęć radiowozu, po czym schował się do wnętrza wozu akurat w momencie, gdy Quinn skręcił ostro w prawo w najbliższą przecznicę. Terry zauważył we wstecznym lusterku, że paru ziomali gonilo ich na piechotę.
- Jasny szlag, Terry, kazałem ci narobić tyle rabanu? Gumy na asfalcie zostawiłeś chyba na dwa palce.
- Jeszcze nie oswoiłem się z tym wozem.
- No tak, ale już więcej nie możemy tu nim przyjechać.
- A co, będziemy tu wracać?
- *Ja* wrócę — Strange usadowił się wygodniej w fotelu, pozwalając, by chłodne powietrze owiewało mu twarz. — Na tej ulicy jeszcze dużo jest do odkrycia.

24.

Quinn obudził się we wtorkowy rano w sypialni swojego mieszkania. Usiadł na brzegu ułożonego na podłodze materaca. W pokoju znajdowała się jeszcze metalowa, zamykana skrzynka oraz kupiona w komisie szafka nocna, na której stała lampka i budzik, a obok niego stosik czterech czy pięciu westernów w tanich wydaniach. Ścian sypialni nie zdobiły żadne plakaty czy jakiegokolwiek inne obrazki.

Quinn potarł skronie. Zeszłej nocy wypił parę piw w Quarry House, po czym zjawił się u Rosity, ale Juana miała akurat wolne. Wrócił do swojego mieszkania przy Sligo i zadzwonił do niej, ale mógł tylko

zostawić wiadomość na sekretarce, więc potem siedział przez jakiś czas i czekał, aż oddzwoni. Nie doczekał się, wobec czego wyszedł z domu i udał się do Tradesmen's Tavern, gdzie zagrał w bilard, wypił jeszcze dwa budweisery i wrócił na swoje śmieci. Juana wciąż nie dzwoniła.

W kiszkowatej kuchni zrobił sobie teraz tosty i kawę, po czym przebrał się w dres i zszedł do piwnicy, gdzie miał ławeczkę do podnoszenia ciężarów i materace, do tego lustro, a na gwoździu wbitym w ściankę z pustaków wisiała skakanka. Zarządca budynku pozwolił mu na użytkowanie piwnicy w ten sposób pod warunkiem, że ze sprzętu będą korzystać także inni mieszkańcy. Paru czarnych młodziaków i jeden czy dwóch Latynosów z sąsiednich bloków dowiedziało się o tym i zdarzało się, że ćwiczyli razem z Terryem. Czasami pomagał im wtedy, jeśli nie pyskowali i nie popisywali się twardą postawą, czasem nawet zdarzyło mu się dowiedzieć, jak się nazywali. Przeważnie jednak ćwiczył sam.

Po prysznicu sięgnął do dolnej szuflady komody i wyjął glocka kaliber dziewięć milimetrów, kupionego ładnych kilka miesięcy temu po rozmowie z typem za barem w jednej z okolicznych tawern, przy Georgia Avenue. Rozłożył pistolet na części i wyczyścił go, po czym zmontował broń z powrotem. Wiedział, że nie miał logicznego powodu, by kupić sobie tego glocka, ale od kiedy zdał broń, odchodząc ze służby, czuł się nagi, niepełny. Gliniarze przyzwyczajają się do noszenia broni, więc teraz Terry czuł się lepiej ze świadomością, że ma pistolet na wyciągnięcie ręki. Schował go teraz do futerału, leżącego obok pasa z kaburą, który kupił w hurtowni w Springfield, po drugiej stronie rzeki.

Przez jakiś czas oglądał telewizję, ale w końcu ją wyłączył. Potem zadzwonił do biura Strange'a. Odebrała Janine.

— Wyszedł, Terry.
— Możesz dać mu sygnał?
— Pewnie, spróbuję. Tylko, wiesz, może akurat robić coś takiego, że nie będzie mógł z miejsca oddzwonić.

Quinn usłyszał w jej głosie coś fałszywego i cień żalu.

— Daj mu znać, że go szukałem, Janine. Z góry ci dziękuję.

Rozłączył się. Juana go unikała. Teraz zaczął mieć wrażenie, że Strange również zaczął grać nieuchwytnego.

Strange stał akurat przed biurkiem Janine.

— Dzwonił może Ron? — zapytał.
— Jest na mieście, ma namierzonych paru koleśi, co dali nogę na kaucji. W tym tygodniu powinniśmy mieć z tego nieco kasy.

- Fajnie. Poszłaś do banku, jak cię prosiłem?
- Proszę bardzo — podała mu niedużą kopertę. — Dwieście dolarów w dwudziestkach, jak chciałeś.
- Dzięki. Już dzisiaj nie wracam. Jeśli wydarzy się coś nadzwyczajnego, wiesz, jak mnie złapać. W przeciwnym razie po prostu przyjmuj wiadomości, co jakiś czas zadzwonię sprawdzić, co słychać.
- Koncentrujesz się wyłącznie na sprawie Wilsona...
- Jestem o włos od jej zakończenia. Odbierz te fotografie, które dałem wczoraj do wywołania, co? I zadzwoń do Lydella Blue, uprzedź go, że mogę się zgłosić z kolejną prośbą.
- Zliczasz sobie godziny, które w to pakujesz, Derek? Wydatki też?
- Tak, wszystko pod kontrolą.
- Janine założyła ręce i odchyliła się w krześle. — Nie podobało mi się, że musiałam okłamać Terry'ego.
- Robiłaś tylko to, co ci kazałem. Przez najbliższe parę dni muszę się tym zająć sam. We dwóch tylko byśmy sobie przeszkadzali. Jak przyjdzie czas, znów go wciągnę.
- Strange ruszył do drzwi.
- Derek?
- Obrócił się w jej stronę. — Aha?
- To był bardzo miły weekend. Miło było obudzić się przy tobie, wiesz? I Lionelowi się przydało. Kiedy razem jedliśmy śniadanie w niedzielę, jak rodzina...
- To dobrze, Janine. Do zobaczenia.
- Po wyjściu na Dziewiątą Strange zapiął kurtkę, chroniąc się przed zimnem. Ruszył w stronę swojego caprice, mijając salon fryzjerski Hawka i zakład pogrzebowy Marshalla, jak też bar zapraszający na lunch. Wspomniiał słowa Janine. Miała rację, to faktycznie był bardzo miły weekend. To, że miała rację, nieco go przerażało.
- Postanowił, że powinien zadzwonić do tej kobiety, Helen, którą poznał w klubie podczas świąt. Może da się namówić na spotkanie przy drinku? Już dawno chciał się z nią spiknąć, ale ostatnio był tak zajęty, że wciąż o tym zapominał.

Zaparkował samochód na North Capitol, niedaleko skrzyżowania z Florida Avenue, i ruszył piechotą na wschód. Po jakimś czasie, gdy już zbliżał się do rewiru Colemana, podniósł garść piachu i roztarł go sobie po twarzy, a następnie pochylił się i utyłł sobie lśniące głąny. Włosy

zmierzył sobie jeszcze w aucie. I założył starą, sztruksową kurtkę, którą woził zwiniętą w bagażniku.

Idąc dalej, zaczął mijać młodych podwładnych Colemana. Zaczął lekko powłóczyć nogami, nie zerknął na napotykanym gangsterów, patrzył prosto przed siebie. Potem minął ćpuna, który żebrał na crack, ale Derek szedł dalej, ku magazynowi otoczonemu poszarpaną żółtą taśmą. Dziś na ulicy nie pojawił się radiowóz. Strange wspiał się na sporą, ziemną przyzmę, z rozmysłem potykając się przy zejściu, i ruszył w stronę dziury wybitej w ścianie budynku. Wszedł przez nią do środka.

Hala była spora, podłogę pokrywały oberwane dwuteowniki, gołębie gówna i kałuże wody. Gołębie gnieździły się na ramach pod sufitem, czasami przelatywały z miejsca na miejsce. Strange lubił ptaki, ale nie kiedy latały w zamkniętych pomieszczeniach. Jak zamarły patrzył przed siebie, słysząc trzepot gołębih skrzydeł.

Tonio Morris ukryty w mroku swojego pokoju obserwował, jak barczysty Murzyn wkroczył do głównej hali na parterze. Nieznajomy mamrotał słowa, które Tonio rozpoznał jako wczesny rap z płyty Gila Scott-Herona — kiedyś ją miał, ale sprzedał. Obcy mężczyzna, postawny mimo starszego wieku, poruszał się powoli i miał wyzerowany wyraz twarzy, jakby cisnął go głód, był brudny i nosił zszargane ciuchy, ale nie był tym, kogo próbował udawać. Tonio za długo żył tym życiem i w tym środowisku. Widział i *wiedział*.

Patrzył teraz, jak czarny brat szedł przez halę, mamrocząc pod nosem, brnąc przez kałuże w drodze ku schodom, nawet po kostki w wodzie, nie zwracając sobie głowy unoszeniem stóp. To nie był gliniarz. Żadna menda nie zapuściłaby się do tego szamba na solo. Tonio doszedł do wniosku, że ten gość czegoś chciał. I to bardzo, skoro odważył się tu przyjść.

Kent State... — mrucał Strange. — Jackson State...*

* Uniwersytety, gdzie w 1970 r. krwawo stłumiono protesty studenckie.

Podchodził coraz bliżej do stojącego u podnóża schodów, trzymającego przy nodze półautomatyczny pistolet młodego mężczyzny. Młodziak przyjrzał się Derekowi, gdy ten przechodził obok, a Strange powoli ruszył w górę odsłoniętej klatki. Pod nosem mamrotał tekst do „H2Ogate Blues”** — znał ten kawałek na pamięć, dzięki czemu mógł klepać słowa, nie zaprzatając sobie nimi uwagi, a przy okazji uspokajało go to.

** Aluzja do afery Watergate.

— Bobby Seale* skuty i zakneblowany... — ciągnął. — Kto wreszcie powie, że rząd w Maryland jest porąbany?

* Aktywista murzyński, w czasie jednej z rozpraw sądowych za ciągle wtrącanie się w tok procesu skuty i zakneblowany z rozkazu sędziego.

Dotarł do korytarza na piętrze i śladem stłumionych pogwarek oraz innych odgłosów wszedł do toalety z otwartymi kabinami. Jakiś facet wrzasnął w jego stronę, ale Strange wciąż szedł naprzód, oddychając rytmicznie przez usta, żeby oprzeć się smrodowi. W kabinach paliły się świece. Podłoga była śliska od ekskrementów i wymiocin. Strange dotarł do ostatniej z kabin, zajętej przez mężczyznę ubranego w sweter, którego mankiety całkowicie zakrywały jego dłonie. Ów mężczyzna, obciążony skórą szkielet, wyszczerzył się do Strange'a, który zawrócił i ruszył z powrotem tam, skąd przybył. Tutaj nie było nic, nikogo wartego spotkania czy rozmowy. Zupełnie nic.

Nieznajomy czarny brat wrócił do głównej hali, zmierzał w kierunku dziury, przez którą tu wszedł, a gołębie trzepotały nad jego głową. Szedł powoli, ale nie aż tak wolno, jak przedtem — Tonio Morris pomyślał sobie: „Niczego nie znalazł, więc chce szybko się stąd zmyć”.

— Pst — syknął, na wpół wychylając twarz z mroku pokoju. — Mam, czego ci trzeba, ziomek.

Nieznajomy zwolnił kroku, ale nie obrócił się w jego stronę.

— Mam dla ciebie informacje, koleś — Tonio pokiwał palcem wskazującym, wciąż mówiąc ściszym głosem. — Chodź no tutaj, ziomek, to się dogadamy. Przecież nic ci się nie stanie, jak się dowiesz. No chodź.

Strange odwrócił się i zmierzył spojrzeniem wyniszczonego mężczyznę, stojącego w otwartych drzwiach do mrocznego pokoju. Tamten był ubrany w utyłaną bluzę od dresu i spodnie, podtrzymywane kawalkiem luźno związanego sznurka. Buty miał zupełnie rozwalone, zelówki odkleiły się od wierzchów.

Derek podszedł do niego, zatrzymując się przy wielkiej kałuży nieopodal wspornika od drzwi. Belka zasłaniała pole widzenia temu młodemu typkowi, który czuwał przy schodach. Strange przyjrzał się twarzy chudzielca — jego oczy były zmętniałe, dotknięte jaskrą. Derek przez lata widział taką maskę śmierci na wielu twarzach ludzi, choćby w czasie wizyt w domu opieki, u matki.

— Czego chcesz? — zapytał, również ścisząc głos.

— Czego chcesz? Dać sobie w kanał. Nawalić się jak skurwysyn, facet Tyle że potrzebuję kasy. Masz szmal?

Strange nie odpowiedział.

— Obciągnę ci pałę za dychę — podjął Morris. — Kurwa, zrobię ci dobrze za piatała.

Strange odwrócił się i spojrzał w stronę dziury w murze.

— Bez paniki, koleś. Jestem Tonio.

— Pytał cię ktoś o imię?

— Czegoś szukasz, nie? Czegoś albo kogoś. Mam rację? Każdy buc by zauważył, że nie jesteś taki jak my. Starasz się, ale nic z tego. Możesz się mazać brudem do usranej śmierci, ale wciąż jeszcze masz zdrowe ciało, oczy w porządku. Więc czego to szukasz, ziomek, co?

Strange stanął wygodniej. Krople wody z dziury w suficie mąciły taflę kałuży przy jego prawym bucie.

— Biały koleś przyszedł tu wczoraj po południu — powiedział w końcu. — Nie macie ich tu chyba za wielu.

— Ano nie.

— Chudy biały szczaw w wełnianej czapce, ściemniany ziom.

— Znam gościa. Widziałem go, facet. *Wszystkich* widzę. Więc jak, facet, masz kasę dla Tonio?

— No i co tu robił ten biały kolo? Walił w żyłę na piętrze?

— Ten białas to nie ćpun.

— To co tu robił? Kręci jakieś biznesy z Colemanem?

— Czy ja ci wyglądam na pojeba? Kurwa, ja nic nie wiem o żadnym Colemanie, a nawet jakbym wiedział, to i tak nic nie wiem.

Strange wyjął z portfela plik dwudziestek. Jedną z nich zmiął w kulkę i cisnął na podłogę, pod nogi Morrisa. Ten szybko podniósł banknot i wetknął go w kieszeń spodni.

— Więc co tu robił ten biały typ? — powtórzył Strange.

— Szukał takiej dziewczyny — odparł Morris. — Mojej kumpeli. To także jego stara znajoma.

Serce Strange'a zabiło mocniej. — Dziewczyny?

— Aha. Na imię ma Sondra — odpowiedział Morris.

— A ma jakieś nazwisko? — głos Strange'a w jego własnych uszach brzmiał chrapliwie, obco.

— A ma. Ale ja go nie znam.

— To ona? — Wyjął z kieszeni kurtki fotografię Sondry Wilson i podniósł ją do oczu Morrisa.

Ten przytaknął, bezwiednie poruszając kącikiem ust.

Strange schował zdjęcie z powrotem. — Znalazł ją? — zapytał.

— Że co?

— Ona tu jest?

Morris oblizal wyschnięte wargi i wskazał brodą plik banknotów w dłoni Strange'a. Ten zmiął kolejną dwudziestkę i rzucił ją na podłogę.

Morris uśmiechnął się. Z jego zębów zostały tylko czarne pieńki, rodziniki słabo poutykane w gnijących dziąsłach.

— Co jest, brachu? Brzydzisz się dotknąć moich rąk?

— Gdzie ona jest?

— Sondra *wyjechała*, facet.

— Gdzie ona jest? — powtórzył Derek.

— Niedawno zabrali ją stąd dwaj biali faceci. Mały zezowaty skurwiel i starszy gość. Nie znam ich. Nie wiem, jak się nazywają. I nie wiem, gdzie pojechali.

Strange milczał. Zaciskał i rozwierał jedną pięść.

— Ale wróć — dla zabawy podjął Morris.

— A skąd to wiesz?

— To i owo do nas dociera... Ci z drugiej strony ulicy, jak ten gość przy schodach... oni wiedzą, kiedy głód nas przycisnie. Mówią nam, kiedy znów będzie coś do wzięcia. I już niedługo coś będzie. Ci biali przywiozą.

— Kiedy?

— Jutro. Przynajmniej tak słyszałem.

Strange sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął jeszcze jedną, złożoną dwudziestkę. Morris wyciągnął dłoń po banknot, ale Derek póki co nie rozstawał się z gotówką.

— Co wiesz o tej dziewczynie?

— Ten biały koleś przyprowadzał ją przedtem ze sobą, kiedy przychodził z wizytami. Brał ją tam, do tego domu po drugiej stronie ulicy. A jednego razu ją tam już zostawił. Przez parę tygodni siedziała po tamtej stronie, wozili ją tymi wypasionymi furami. Miesiąc, coś koło tego. Potem dotarła tutaj. Miała własne miejsce, kabinę na piętrze. Ale już nigdy nie wróciła na drugą stronę ulicy...

— Wiesz, o której przyjadą tu jutro ci dwaj biali?

— Nie — Morris popatrzył smętnie na wciąż tkwiącą w garści Strange'a dwudziestkę.

Derek włożył banknot w wyciągniętą dłoń narkomana.

— Jeśli mnie tu jeszcze kiedyś zobaczysz, nie znamy się, chyba żebym ci powiedział, że się znamy. Jasne?

— Że niby wtedy mam cię znać?

Strange przytaknął. Najprawdopodobniej ten ćpun zgarnął teraz więcej kasy, niż udało mu się zebrać za jednym razem przez kilka ostatnich lat.

Strange zawrócił i szurając, ruszył w kierunku dziury, przez którą wszedł do magazynu. Krew pędziła w jego żyłach, czuł, że waliło mu serce. Musiał wyteńczyć wolę, by iść powoli. W końcu jednak się udało, i wkrótce wyszedł na słońce.

25.

Wczesnym wieczorem Strange obudził się z drzemki. W sypialni było ciemno, więc zapalił światło. Leżący na chodniczku u stóp łóżka Greco uniósł łeb ponad łapy i powoli zamerdzał ogonem.

— Głodny, koleś? — zagadnął go Strange. — Dobra, nie ma sprawy. Tylko daj staremu chłopu wyjść z łóżka.

Kiedy już nakarmił psa, usiadł przy biurku i słuchając ścieżki dźwiękowej do „Una pistola per Ringo”, zaczął przeglądać pakieciki zapalek rozsypane po blacie: Sea DC, Purple Cactus, Jefferson Street Lounge, klub Bank Vault przy Dziewiętej, Shaw Lounge przy U, U Kinnisona przy Pennsylvania Avenue, U Roberta Farrelly'a w Georgetown i cała masa innych. Zbierał je Chris Wilson... on *wiedział*.

Strange sięgnął po stojący na blacie telefon i zadzwonił do Purple Cactus. Dowiedział się tego, czego chciał, i odłożył słuchawkę. Potarł twarz, a potem powieki.

Zrzucił ubranie. Wziął prysznic, po czym przebrał się w czarny golf i luźne spodnie, i wtedy zadzwonił do kobiety imieniem Helen. Ten wieczór miała zajęty, podobnie jak nadchodzący weekend. Wybrał numer kolejnej znajomej, ale nie podniosła słuchawki.

Założył czarną skórzaną kurtkę, wrzucił to i owo do kieszeni, poklepał Greco po łbie i wyszedł z domu. Pojechał cadillakiem do centrum, przez całą drogę słuchając „Live It Up” — utworu „Hello It's Me” słuchał dwa razy, bo naprawdę podobało mu się wykonanie braci Isley. Zaparkował na rogu Czternastej i H, piechotą dotarł do skrzyżowania z K i wszedł do Sea DC.

W sali jadalnej nie było wolnych miejsc, ani na parterze, ani w loży, a przy barze na podwyższeniu klienci tłoczyli się w trzech rzędach.

Wielu paliło papierosy albo cygara. Niezbyt postawny kierownik z wystrzyżonym wąsikiem usiłował nakłonić grupę samych palaczy, by siedli bliżej kontuaru. Jego emocjonalne, poirytowane, piskliwe okrzyki tylko śmieszyły tamtych. Telewizor zainstalowany ponad stelażem na zamówienia wyświetlał raport z giełdy i niektórzy z klientów baru zadzierali głowy znad drinków, obserwując skrótowe symbole nazw papierów wartościowych oraz ceny, przewijające się przez ekran od prawej do lewej.

Strange grzecznie wepchnął się pomiędzy zgromadzonych, przy samych „kijach” od piwa. W tego typu lokalach biali z reguły pozwalali czarnym na wszystko.

Poczekał chwilę, ale w końcu ściągnął uwagę barmana. Był to szczupły, gładko ogolony mężczyzna średniego wzrostu. Swoim nieszczerym uśmiechem uraczył także Strange'a, pochylając się ku niemu nad barem i kładąc jedną dłoń na mahoniowym blacie.

— Czym mogę służyć, przyjacielu? — zapytał.

— Ricky Kane — odparł Strange, odwzajemniając jakościowo uśmiech.

— A to co, jakiś drink?

Strange nakrył dłonią rękę barmana. Wbił kciuk w nerw ukryty w trójkącie ciała między kciukiem a palcem wskazującym tamtego. Barman stopniowo zbladł jak ściana.

— Wczoraj widziałem, jak z nim rozmawiałeś — Strange wciąż się uśmiechał, mówił spokojnie i bez nacisku. — Jestem detektywem, *przyjacielu*. Jeśli chcesz, mogę wyciągnąć licencję i pokazać ci ją. Twojemu kierownikowi też.

Grdyka barmana podskoczyła do góry. Facet szybko skinął głową.

— Nie o ciebie mi chodzi — ciągnął Strange — i gównu mnie obchodzi twój los, jasne? Chcę wiedzieć tylko jedno. Czy Ricky Kane kręcił z Sondrą Wilson?

— Sondrą?

— Tak, Sondrą Wilson. Pracowała tutaj. Zapomniałeś?

— Bo ja wiem... możliwe. Raz przyjechał tu po nią po zamknięciu lokalu, kiedy tu jeszcze pracowała, ale nie była u nas zbyt długo. Wytrzymała, bo ja wiem, może tydzień.

— Wylali ją?

— Miała problemy z frekwencją — barman zaczął zezować na kij od piwa. — Moja dłoń...!

— Barman! — wydarł się facet w szelkach na drugim końcu baru.

— Kane i Sondra Wilson — cisnął Strange.

— Poznali się U Kinnisona, w tej restauracji z frutti di mare koło George Washington Avenue. Sondra pracowała tam, zanim przeszła do nas. On był tam kelnerem, nim znalazł posadę w Purple Cactus.

— Barman!

Strange pochylił się nad barem. — Jeśli wspomnisz o tym Kane'owi czy komukolwiek innemu, przyślę tu moich ludzi i zamkniemy tę budę w pizdu. Wylądujesz w pierdłu, wyszykują cię w taki pomarańczowy kombinezon, jakie mają tu w Dystrykcie, i wsadzą do celi z prawdziwymi facetami. Kumaszu, co do ciebie mówię, przyjacielu?

Barman przytaknął. Strange pozwolił mu odejść. Kiedy się odwracał, potrącił jakąś kobietę, więc rzucił: — Przepraszam.

Stał uśmiech z twarzy i poruszył kilka razy ramionami, po czym wyszedł z restauracji.

Udał się do baru U Stana przy Vermont Avenue i zamówił czerwonego Johnnie Walkera, a do tego wodę sodową. Barman puścił na głośniki „Disco Lady” Johnniego Taylora, tę wersję, gdzie wśród muzyków sesyjnych był Bootsy Collins na basie. Strange lubił tę melodię. Ktoś usiadł na stolku obok.

— Jak leci, Strange?

— Niezgorzej, Junie, a co u ciebie, chłopie?

— W porządku. Wyglądasz mi na z deka wypompowanego, facet, bez urazy. Na pewno wszystko gra?

Strange spojrzął na swoje odbicie w lustrze za kontuarem. Wziął serwetkę ze stosika i otarł pot z twarzy.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Po prostu trochę tu gorąco.

Strange siedział potem przy barze w dolnej sali Purple Cactus. Na sali jadalnej zwolniło się już kilka stolików, a on był jedynym klientem przy kontuarze. Uśmiechy i odprężone miny kelnerów wskazywały, że wieczorna nawała gości już minęła.

Strange zamówił sobie butelkę piwa i sączył powoli. Dziś wieczorem pracowała brunetka o imieniu Lenna, przytomna dziewczyna o bystrych oczach, którą zauważył w czasie poprzedniej wizyty. Wiedział, że ją tu zastanie — tego właśnie chciał się dowiedzieć, kiedy tu dzwonił. Właśnie dodawała owocową dekorację i mieszadełko do koktajlu dla któregoś z klientów, gdy Strange spojrzął jej w oczy. Uśmiechnęła się

do niego, po czym postawiła drinka na okrągłej tacy obok kilku innych. Strange odpowiedział jej uśmiechem.

Kiedy ponownie przechodziła przed nim, obrócił się na stołku i rzucił: — Przepraszam panią?

Zatrzymała się. — Tak?

— Pani Lenna, prawda?

Zgarnęła z twarzy kosmyk włosów. — Zgadza się.

Strange podał jej serwetkę, na której wypisał drukowanymi literami „STO DOLARÓW”.

— Nie rozumiem — powiedziała.

— Dostanie pani prawdziwą stówę za poświęcenie mi kwadransa.

— Chwila, nie zapędził się pan? — gest dłoni wskazywał, że powinien zastopować, ale krzywy uśmiezek sugerował, że była raczej zaintrygowana niż urażona.

— Jestem detektywem — oświadczył, otwierając portfel, by odsłonić licencję. — Prywatnym, nie z policji.

— O co panu chodzi?

— O Ricky'ego Kane'a.

— Nic z tego.

— Nie zamierzam robić gnoju ani pani, ani nikomu innemu, kto tu pracuje. Nie chodzi mi o to, kim jest Ricky ani co tutaj kręci...

Lenna z założonymi rękami rozejrzała się po sali.

— Spotkajmy się przy barze na górze — podsunął. — Za piętnaście minut rozmowy dostanie pani dwa razy więcej, niż zarobiła dziś wieczorem. Do tego stawiam drinki.

— Muszę niedługo skasować mój ostatni stolik — odparła, nie patrząc mu w oczy.

— To za pół godziny?

Odprowadził ją wzrokiem. Na mieście najlepszymi informatorami były épuny i prostytutki. Kelnerki, barmani, doręczyciele przesyłek kurierskich i robotnicy też nie byli źli. Kosztowali nieco więcej, ale Strange już dawno przekonał się, że niezależnie od kosztów, każdy, kto znał wartość pieniądza, miał swoją cenę.

Jak długo pracował tu Ricky? — zapytał.

— Nie bardzo — odparła Lenna. — Ten incydent z policjantem wydarzył się może z miesiąc po tym, jak go tu przyjęli. Potem dość szybko dostał odszkodowanie i rzucił robotę.

Strange pociągnął łyk piwa, Lenna upiła nieco ze swojej szklanki. Miała bladobrazowe oczy i jędrne, grube wargi. Przebrała się w zwykłe ubranie i rozczesała lśniące, opadające na ramiona kasztanowe włosy. Strange zauważył, że przy okazji użyła też jakichś perfum.

— Co sobie pomyślałaś, kiedy do tego doszło? Skoro wiedziałaś, że Kane dilował, czy artykuły w gazetach nie budziły w tobie jakichś wątpliwości? Może podejrzewałaś, że tamtej nocy zdarzyło się jeszcze coś, co umknęło uwadze policji?

— Pewnie, że o tym pomyślałam — Lenna rozejrzała się dokoła. Najbliżsi klienci, jakaś parka, siedzieli cztery stołki dalej, a barman pracował przy czymś obok słabo oświetlonej kasy. — Paru z nas nawet wdało się w rozmowę na ten temat. Wiesz, studia licencjackie opłacałam z kelnerowania, a tutaj jak na razie uskładałam na połowę magisterskich. Przez te wszystkie lata pracowałam już w kilku z najpopularniejszych restauracji w tym mieście. Jeśli jest jakiś bar czynny do późna w nocy, na pewno będzie wśród jego personelu ktoś, kto zaopatruje w towar innych pracowników, jak również klientów... nieważne, czy właściciel lokalu o tym wie, czy nie. Restauracje mają z natury sporą klientelę, a bar to chyba najłatwiejsze miejsce na taki zakup. No wiesz, zważywszy na otoczenie, to nic nadzwyczajnego, i w ogóle... Do tego dochodzi jeszcze opinia o policji, jaką ma większość ludzi w tym mieście... Bo rozumiesz, tak naprawdę mówimy tu o dwóch różnych sprawach. Ricky Kane dilował, ale nikt tak naprawdę nie wierzył, że tamtej nocy został zatrzymany za handel prochami. Pewnie wsiedli na niego właśnie dlatego, że zaczął sikać na ulicy, dokładnie tak, jak pisali w gazetach. Generalnie każdy myślał, że i jego mogło to spotkać. Każdemu z nas zdarzyły się takie przeboje z policją, jak nie wcześniej, to później...

— No dobra. A co o nim sądzisz w tej chwili?

— O co ci chodzi?

— Stary dobry Ricky wciąż tu przychodzi i kręci interesy. Wczoraj też tu był, zbierał zamówienia, nie?

— Mówiłam ci, że nie powiem nic o moich współpracownikach i przyjaciółach. Jeśli chcą się bawić z Rickim, to ich problem, nie mój.

— Ale i tak na pewno masz swoje zdanie o tym, co robi Kane, nie?

Lenna pokiwała głową, patrząc na szklankę z piwem, którą trzymała.

— Nie lubię Ricky'ego. Nie podoba mi się jego biznes. Już nie używam, ale zaliczyłam swoje, kiedy byłam młodsza. Poszłam na kokę. Teraz młodzi i nocne marki lecą na heroinie. To droga do piachu. Ci,

k którzy jej używają, nie wiedzą o tym albo nie chcą się do tego przyznać, ale taka prawda. Tak czy inaczej, jak już mówiłam, to ich problem. Jeszcze coś?

— Jedna sprawa — Strange wyciągnął z kieszeni zdjęcie Sondry Wilson. — Rozpoznajesz tę dziewczynę? Widziałaś ją kiedyś z Kane'em?

— Nie — powiedziała Lenna po uważnym obejrzeniu fotografii. — Nie tak bankowo.

— A możesz jaśniej?

Lenna wzruszyła ramionami. — Ricky gustuje wyłącznie w czarnych dziewczynach o bardzo jasnej karnacji. Ona by pasowała. Mogę ci powiedzieć, że zmieniał te panny jak rękawiczki. Nie pamiętam, żebym go kiedyś widziała z którąś z nich więcej niż jeden raz.

Strange pociągnął długi łyk z butelki, odstawił ją na bar i wsunął w dłoń Lenny pięć złożonych dwudziestek.

— No dobra, wystarczy mi. Wybacz, jeśli cię wcześniej uraziłem. Nie chciałem dać do zrozumienia, że te pieniądze to za coś innego.

Lenna zarzuciła głową i uśmiechnęła się. Płomień stojącej za barem świecy zamigotał w jej oczach. — Przystojny z ciebie gość. Prawdę mówiąc, zauważyłam cię, kiedy tu byłeś poprzednio. Poniekąd żałuję, że to jednak nie było coś innego.

— To mi pochlebia — odparł Strange. — Przyznam jednak szczerze, że jestem już po słowie.

— Rozumiem — Lenna zsunęła się ze stolka i dopiła piwo, stojąc. — Miło było cię poznać.

— Wzajemnie.

Strange odprowadził ją wzrokiem, kiedy wyszła z restauracji i ruszyła Czternastą na północ. Dopił piwo i zdał sobie sprawę, że był głodny, a do tego chyba odrobinę podcięty. Z Lenny była zgrabna dziewczyna, a jemu chciało się baby. I to zawsze miłe, kiedy zagaduje cię kobieta młodsza o dwadzieścia pięć lat. Ostatnimi czasy coraz rzadziej mu się to przytrafiało. Mimo to jednak ta Lenna wcale go nie kręciła. Bogiem a prawdą, nigdy mu nie leżały białe dziewczyny.

26

Terry Quinn siedział przy barze w restauracji U Rosity, przy Georgia Avenue w centrum Silver Spring, i czekał, aż Juana Burkett skończy zmianę. By zabić czas, czytał „Przejażdżkę z diabłem” Daniela

Woodrella i popijał heinekę z butelki. Juana uśmiechnęła się do niego, gdy wchodził, ale Terry żył już na tym świecie dosyć długo, by wiedzieć, że za tym uśmiechem kryło się coś smutnego, że chyba jednak ich związek miał się ku końcowi.

Kiedy restaurację opuścił ostatni z klientów, Juana wyszła z damskiej toalety — wciąż w stroju kelnerki, ale umyta, uczesana i ze świeżą szminką na wargach.

— Dałam pomywaczowi parę groszy więcej, skończy za mnie sprzątanie. Gotowy?

— Pewnie — Quinn wsunął książkę do tylnej kieszeni dżinsów. — Chodźmy.

Raphael, który na stoliku dla dwojga układał w kolejności numerów rachunki z dzisiejszego dnia, pomachał im na pożegnanie.

— Dostaliśmy dziś coś, co by ci się spodobało — powiedział mu Quinn. — Starego George'a Duke'a*, z czasów jego Dukey Stick**.

* Klawiszowiec, grał m, in, z Frankiem Zappą. ** Instrument klawiszowy jego pomysłu.

— „Talk to me quick” — ucieszył się Raphael. — Odłóż to dla mnie, co? Wpadnę i kupię.

Quinn poprowadził Juanę wzdłuż alei do miejsca, gdzie pod latarnią zaparkował swój wóz. Chevelle pięknie lśniła w tym świetle.

— Moje nowe auto — pochwalił się. — Podoba ci się?

— Poważnie twój?

— No chodź. Przejedziemy się.

Quinn wyjechał do Rock Creek Park, kierując się na południe krętą drogą znaną jako Beach Drive. Z magnetofonu grał Springsteen. Noc nie była zbyt zimna, więc Terry opuścił sobie okno o ćwierć obrotu. Juana zrobiła to samo. Wiatr zdmuchnął jej włosy z ramion i przyjemnie kąsał policzki.

— Teraz już wiem, czego lubisz słuchać — powiedziała.

— To muzyka świata, w którym dorastałem — odparł. — Zresztą kiedy się kupi nowy wóz, trzeba go ochrzcić przy „Darkness on the Edge of Town”. Nie ma lepszej muzy do auta.

— Podoba mi się ten wóz — stwierdziła.

Juana trzymała dłonie na podołku, kciukiem jednej trąc knykcie drugiej. Quinn sięgnął między jej dłonie, rozdzielając je. Chwyił jedną i splótł swoje palce z palcami Juany.

— Spróbuję ci to ułatwić — powiedział.

— Dzięki.

— Mam cały ten bagaż, Juana. Wiem, że go taszczyć, ale nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Gdybym miał cię gdzieś, powiedziałbym sobie: „Poczekam, zobaczę, jak *ona* sobie z tym poradzi”. Bo chcę z tobą zostać tak długo, jak tylko ty mnie chcesz, rozumiesz?

Juana przytaknęła. — Kiedy się poznaliśmy, myślałam, że coś z tego będzie. Potem jednak, na ulicach, kiedy faceci gapili się na nas i rzucali tekstami, kiedy sobie spacerowaliśmy, widziałam, że nie dasz sobie z tym rady. I że to raczej nie przejściowa sprawa. W tym naszym cudownym społeczeństwie nikt nie pozwoli nam o tym zapomnieć. Jak Boga kocham, były chwile, kiedy wydawało mi się, że chciałeś tego napięcia. Że to właśnie pewność konfliktów sprawiła, że w ogóle zacząłeś się mną interesować. Nigdy nie chciałam być twoją czarną dziewczyną, Terry. Chciałam po prostu być twoją dziewczyną i kropka. Koniec końców, nie miałam pewności, czego naprawdę w głębi duszy chciałeś.

— Więc ci powiem — odparł Quinn. — Może na początku faktycznie traktowałem cię jak jakiś symbol, sposób, żeby powiedzieć wszystkim, że pod skórą jestem zupełnie normalnym facetem. Tyle że zapomniałem o tym po góra dziesięciu minutach bycia z tobą. Od tamtej chwili w moim sercu było miejsce tylko dla ciebie.

— Tylko że było w tym za dużo napięcia — stwierdziła Juana. — To *nieustanny* stres. Czasami nawet przy seksie. Tamtej nocy...

— Wiem.

— Jestem jeszcze młoda, Terry. Mam mnóstwo czasu, żeby stawiać czoła wszystkim tym problemom, które w związkach stają przed każdym z nas. Problemy z pieniędzmi, niewierność, obumarła miłość... tyle że nie chcę mieć z nimi do czynienia już teraz. Nie jestem na to gotowa, rozumiesz?

— Przecież wiem — Quinn ścisnął jej dłoń. — Nic nie szkodzi.

Skręcił w lewo, w Sherrill Drive, i ruszył serpentyną pod wysokie wzgórze w stronę Szesnastej Ulicy. Zredukował bieg i dodał gazu.

— Ładna noc, nie? — rzucił.

Zjechał z powrotem do Silver Spring i zaparkował na Selim Avenue.

— Masz ochotę na spacer? — zapytał.

Przeszli po kładce na drugą stronę Georgia Avenue i doszli do ogrodzenia z siatki.

— Podsadzę cię — zaoferował.

— Miał być spacer, nie wspinaczka.

— Daj spokój, to nic wielkiego.

Sforsowali plot i przeszli obok stacji kolejowej, a potem dalej wzdłuż torów. Od południa nadjeżdżał pociąg podmiejski. Quinn zatrzymał się i objął Juanę, przyciskając ją mocno do piersi. Ponad jej głową spojrzął na światła uliczne, latarnie i neony na Georgia Avenue.

— Pięknie, prawda?

Jej palce dotknęły jego twarzy.

— Nie zapomnij o mnie — poprosił.

Ucałował ją w usta, kiedy pociąg przejeżdżał obok, i nie przerywał pocałunku wśród poderwanej podmuchem kurzawy.

Strange konał z głodu, stwierdził też, że jeszcze jedno piwo byłoby nie od rzeczy. Wyszedł z Purple Cactus i pojechał do chińskiej dzielnicy. Zaparkował w zaułku za ciągiem handlowym na Ulicy I, między Piątą a Szóstą. Kręcił się tam jakiś naganiacz, więc Strange dał mu piątaka, żeby popilnował samochodu, obiecując kolejną piątkę po powrocie.

Wszedł tylnymi drzwiami do knajpy, wychodzącej frontem na Ulicę I. Przeszedł przez kuchnię i korytarz, mijając kilka zamkniętych pomieszczeń, aż wreszcie za kurtyną z koralików odnalazł małą jadalnię, skąpo udekorowaną i mieszczącą raptem pół tuzina stolików. W sali pracowało kilka młodych Chinek i jedna dużo starsza. Przy stoliku dla czworga siedział samotny biały facet, z wyglądu praktycznie archetyp turysty, i pił piwo ze szklanki.

— Zjadłbym jakąś kolację, *mama* — rzucił Strange do starszej pani. Ta zatrajkotała do jednej z młodych dziewczyn, która poprowadziła Dereka do stolika.

— Ty chcesz picie? — zapytała.

— Tsingtao.

Przyniosła mu piwo i kartę dań, gdy tymczasem pozostałe dziewczyny usiłowały zwrócić na siebie jego uwagę. Już sobie jedną upatrzył, szczupłą, ale z niezłym tyłeczkiem — zauważył ją zaraz po wejściu.

Jedna z dziewczyn zagadywała siedzącego przy stoliku turystę — przy jego szklance z piwem leżał nawet broszurkowy plan miasta.

— Ciojest — zapytała go panienka. — Ty nidy nie lucha?

Pozostałe parsknęły śmiechem.

Strange zjadł kurczaka w sezamie z białym ryżem, a do tego chrupiące won tony i czarkę zupy na ostro i kwaśno. Wypił jeszcze jedno piwo, zasłuchany w odprężającą muzykę smyczkową, którą tu grali. Kiedy już skończył, złamał ciasteczko z wróżbą i przeczytał wiadomość: „Przestań wreszcie szukać, szczęście jest na wyciągnięcie ręki”.

Upuścił karteczkę na talerz. Skinieniem przywołał starszą panią i wyjaśnił jej, czego jeszcze chciał i kto miał mu to dać.

— Ciojest — panienka ponownie zapytała turystę, który sądząc po minie, był gdzieś w pół drogi między konfuzją a przerażeniem. — Ty nigdy nie lucha?

Strange zostawił należność na stoliku i wstał. Turysta odezwał się:
— Przepraszam pana?

Derek podszedł do jego stolika.

— Tak?

— Wie pan, o co one mnie wciąż pytają? — zapytał turysta.

— Chyba o to, czy się pan nigdy nie *ruchał*...

Strange wyszedł za zasłonę z koralików, mamrocząc pod nosem Jelop". Otworzył jedne z drzwi w korytarzu i wszedł w przejście do ciągu pokoików.

Rozebrał się i wziął gorący prysznic w wyłożonym kafelkami boksie. Potem poszedł do czystego, białego pokoju i zrzucił ręcznik, którym okręcił się w pasie, po czym nago położył się na tapicerowanym stole. Wybrana przezeń dziewczyna weszła do pokoju i zaczęła robić mu masaż całego ciała. Kiedy usiadła okrakiem na jego biodrach, poczuł na plecach jej nagie piersi i wezbrało w nim podniecenie. Poprosiła, by się obrócił. Przyjemnie było położyć się na plecach, bo miał już całkowity wzwód.

Dziewczyna kilkakrotnie poruszyła pięścią w górę i w dół, uśmiechając się.

— Nieźle, mała — rzucił Strange, ściskając jej sutek między kciukiem i palcem wskazującym. Chinka wtarła sobie w dłonie mleczko kosmetyczne i strzepała mu kapucyna. Po wszystkim wytarła go wilgotnym, gorącym ręcznikiem.

Strange ubrał się i wrzucił czterdzieści dolarów do porcelanowej misy przy drzwiach. Dziewczyna spojrzała na niego z rozczarowaniem i zacmokała. Dereka to nie brało, wiedział, że cztery dychy to normalna cena.

W zaułku dał naganiaczowi obiecane pięć dolarów, nim wsiadł do auta.

— Ale super — stwierdził naganiacz.

— Ano, *super* — odparł Strange.

Pojechał na północ i zaparkował cadillaca na Dziewiętej Ulicy, dokładnie pod swoim biurem. Przekręcił klucz w zamku frontowych drzwi, wszedł do środka i włączył światło. Ruszył do swojego gabinetu, po drodze zerkając na ład na biurku Janine. Ta kobieta po prostu nie

mogłaby wyjść do domu, póki nie załatwiłaby wszystkiego, co było do załatwienia. Nie zwalniając kroku, poszedł dalej.

W gabinecie usiadł za biurkiem. Janine odebrała zdjęcia, które zrobił przy Florida Avenue. Przejrzał je teraz: Ricky Kane wyszedł bardzo wyraźnie, podobnie jak numery boczne i tylne zaparkowanego na ulicy radiowozu.

Strange sięgnął po telefon. Zadzwoił do swojego starego kumpla Lydella Blue i zostawił mu wiadomość na sekretarce. Wolał nie nagrywać numeru radiowozu na taśmę Lydella. Zadzwoił do Quinna, znów odebrał automat, więc zostawił wiadomość, że jutro czekała ich robota. Powiedział, kiedy i gdzie po niego przyjedzie.

Zanosilo się na wczesne dobranoc. „Nie powinienem był tyle dziś pić — pomyślał sobie. — Nie powinienem był...”

— A w cholerę z tym.

Zauważył, że w rogu bibularza na kartce papieru leży batonik PayDay. Podniósł go i spojrział na kartkę. Janine narysowała na niej czerwone serduszko, nic więcej. Strange odwrócił wzrok i zobaczył figurkę gracza Redskinsów, tę, którą pomalował dla niego Lionel, obserwującą go z drugiego końca blatu.

— Jesteś super facet, Derek — mruknął. Ale w jego głosie nie było przekonania, a słowa zabrzmiały jak parszywe kłamstwa.

27.

Edna Loomis dosiadała Raya Boone'a na ich łóżku, poruszając się w górę i w dół na jego grubym, acz krótkim fiucie, niezgrabnie rzucając biodrami w próbie utrzymania rytmu ryczącej z magnetofonu piosenki Alana Jacksona. Z pochyloną głową zamiatała farbowanymi na pomarańczowo-blond piórami jego bladą klatę, też do rytmu muzyki.

— Wyrosła nam panna — śpiewała. — Ale ma kowbojki!

Ray zachichotał i porządnie ścisnął jej cycka. Edna jakby stęknęła. Nie miał pojęcia, czy to z rozkoszy, czy z bólu.

Spuścił się w nią, a Edna zaraz potem udała, że też miała orgazm. Ray prawie zaczął śmiać się w głos, widząc, jak Edna dygocze i wyje, coś jak pies, któremu ktoś właśnie nadepnął na łapę. Pewnie gdzieś w telewizji widziała, jak jakaś aktorka to robiła. Ray nie miał pojęcia, czemu Edna czuła potrzebę udawania. W dupie miał jej orgazmy.

Edna zesza z niego i poszła na drugą stronę pokoju. Ściszyła muzykę

i zapaliła virginia slima ze swojej skórzanej sakiewki. Dłoń, w której trzymała zapalniczkę, wciąż drżała od krążącej w jej żyłach amfy.

— Całkiem wyłącz to granie — rzucił Ray. — Mam już tego dosyć.

Edna wyłączyła miniwieżę. Ray przyglądał się jej — kiedy to zauważyła, wciągnęła brzuch. Nie dość, że miała już te takie dolki na całych udach, to jeszcze bebecz sobie zahodowała.

— Musimy z tatą wyjechać. — Ray usiadł na brzegu łóżka. Wycisnął resztki spermy i wytarł je w prześcieradło.

— Zostawisz mi co nieco, żebym miała coś do roboty, kiedy was nie będzie?

— Przecież dopiero co wypaliłaś w pytę amfy, zanim się ruchaliśmy.

— Założę się, że twój tata *swojej* dziewczynie coś zostawi.

— A weź mi o tym nic nie mów — warknęła.

Edna figlarnie pokazała mu język, po czym mocno sztachnęła się fajką. Nie zamierzała wiercić mu dziury w brzuchu, nic z tych rzeczy. Wciąż przecież miała klucz do pokoju w stodole, gdzie Ray trzymał swoje zapasy.

Earl Boone zapiął suwak dżinsów i spojrzał na rozciągniętą na łóżku dziewczynę. Ta podciągnęła kołdrę do tych niemal ptasich ramion i wpatrywała się weń swoimi seksownymi, intrygująco różnobarwnymi oczami. Nie miał co do niej żadnych, no, tych, złudzeń, nic takiego. Pewnie, że kiedy już zabrał ją z miasta i umył, pilnował, żeby brała prysznic i dobrze pachniała, to wyglądała prawie równie dobrze, jak te ślicznotki paradujące po ulicach. Earl wiedział jednak, że była zwykłą ćpunką i nie zostało jej zbyt wiele życia, jeśli nie zamierzała zwolnić tempa. Tylko, cholera, ładniejszej ćpunka jeszcze w życiu nie widział.

— Poradzisz sobie, słoneczko? Bo wiesz, musimy z synem wyskoczyć do miasta.

— A zostawisz mi coś, Earl?

— Jasne, że tak. Przecież wiesz, że nie mógłbym ciebie skazać na cierpienie.

Earl skończył się ubierać. Nienawidził tej koszmarniej muzyki, którą Edna grała w sypialni Raya, dalej wzdłuż korytarza. Nie cierpiał tego nowomodnego szajsu, śpiewanego przez ślicznych chłoptasiów w kapeluszach prosto ze sklepu i przyciasnych dżinsach. Czemu ludzie słuchali tego gówna, jeśli mogli sobie włączyć Casha, Jonesa, Haggarda czy Hanka Williamsa? Muzyka urwała się właśnie w chwili, gdy byłby

gotów przysiąc, że nie zdierzy ani chwili więcej. Earl doszedł do wniosku, że młody też już szykował się na ostatni kurs.

Wyjął z kieszeni kurtki mały, woskowy pakiecik brązowej heroiny i położył go na komodzie.

— Wróć za parę godzin — oznajmił.

Sondra Wilson odprowadziła go wzrokiem, póki nie zamknął za sobą drzwi sypialni. Próbowwała nie patrzeć na pakiecik na komodzie. Nie chciała natychmiast załadować, wolałaby mieć to na dłużej. Potem jednak zaczęła leciutko drżeć, myśląc o tej paczusce, takiej samotnej. Wspomniała mamę i brata i zaczęła płakać. Nie była do końca pewna, skąd ten smutek. Wszystko, czego pragnęła, było właśnie tutaj, o trzy kroki od łóżka, na którym leżała.

Otarła łzy z policzków i wstała. Nago przeszła przez pokój.

Edna Loomis widziała z okna sypialni, jak Ray i Earl kłócą się o coś na podwórzu. Earl wskazywał ręką rząd pieńków na krawędzi lasu, gdzie Ray ustawił puszki po piwie. Młody miał w dłoni pistolet — Edna podejrzewała, że chciał sobie postrzelać do puszek. Lubił to robić przed wyprawami do Dystryktu, mówił, że jest dzięki temu „umysłowo przygotowany” na spotkania z kolorowymi w mieście. Earl nie lubił, kiedy Ray strzelał z pistoletu — szlag go trafiał przez hałas.

Pewnie udało mu się namówić Raya, żeby zrezygnował, bo młody poszedł do stodoły, po czym wyłonił się stamtąd ze swoją sportową torbą i załadował heroinę do skrytki za zderzakiem auta. Obserwując go przy tym zajęciu, Edna dopiła trzeciego tego popołudnia Jacka Danielsa z colą.

Czuła się jakoś dziwnie, jakby lekko, a serce tłukło jej jak opętane.

„Ale zawsze może być ostrzejsza jazda, mała. Bez dwóch zdań”.

Zagrzechotała lodem w szklance i wyssała ostatnich parę kropel whisky, a Ray i Earl wsiedli do taurusa i odjechali.

Edna ubrała się, schowała w džinsach klucz do stodoły i ruszyła do schodów. Po drodze zapukała do drzwi pokoju Earla, gdzie przez cały czas siedziała ta ćpunka Mulatka, Sondra. Kiedy dziewczyna nie odpowiedziała, Edna otworzyła drzwi i weszła.

Sondra siedziała nago na brzegu łóżka i z pomocą żyłетки dzieliła heroinę na kreski na szklanym przycisku do papierów. Edna nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała tak chudą dziewczynę, nawet licząc te nowojorskie modelki w telewizji. Nie miała pojęcia, co takiego widział w niej Earl, ale to w sumie nie była jej sprawa, a w ogóle to miała to gdzieś.

- Idę na spacer — powiedziała.
- Dobra — Sondra nawet nie uniosła głowy.
- Chyba na taki dłuższy, do lasu.
- Dobra.
- No, to fajnie.

Edna sama nie wiedziała, po co się przed tamtą usprawiedliwia. Wysłała na korytarz.

Sondra pochyliła się nad przyciskiem i wciągnęła grubą kreskę hery. Zaraz potem wessała sąsiednią.

Niemal natychmiast ciepło rozeszło się jej po karku. Potem popłynęło za oczy, do wierzchołka czaszki. Później sięgnęło do nóg i pośladków, wędrując wzdłuż kręgosłupa jak jakiś cudowny, gorący płyn, pędząc przez żyły. Krańce pokoju rozplynęły się gdzieś, i Sondra położyła się na wygrzonym łóżku.

Pamiętała jeszcze, że parę chwil temu płakała, ale nie mogła już sobie przypomnieć, dlaczego.

Edna poklepała się po kieszeniach, kiedy weszła do stodoły i zważym krokiem zmierzała przez saloon ku drzwiom pokoju na zapleczu. W jednej kieszonce z przodu miała mosiężną fajeczkę, w drugiej klucz. Skórzany woreczek z paczką fajek i zapalniczką wetknęła w kieszeń na tyłku.

Obróciła klucz w zamku obitych stałą drzwi, otworzyła je i włączyła światło. Zamknęła drzwi za sobą. Szybko podeszła do półki nad improwizowanym laboratorium Raya. Ściągnęła stamtąd jedną fiolkę i otworzyła ją. Pojemnik był po brzegi wypełniony kryształami amfy.

Edna wepchnęła całą fiolkę w kieszeń dzinsów. Do powrotu Raya zostało jeszcze sporo czasu. Zamierzała zrobić sobie kolejnego drinka i naprawdę przejść się po lesie. Zajara sobie tych kryształków i będzie impreza dla niej jednej. Należało się jej coś dobrego, bo Ray zawsze wystawiał ją do wiatru, a ona przecież robiła co mogła, żeby mu dogodzić.

Usłyszała, że otworzyły się drzwi wejściowe do stodoły. Obróciła się i ruszyła z powrotem, ale potknęła się zaraz — wystraszyło ją własne odbicie w lustrze przy ławeczce do podnoszenia ciężarów. Spojrzała w dół; przy ławeczce strzęp dywanika nie do końca zakrywał klapę.

Dobiegł ją odgłos kroków na podłodze saloonu. Zawsze była bystra, jej kumpela, Johanna, też zawsze jej to powtarzała. Więc po krótkim namyśle podjęła bystrą decyzję. Miała tylko jedno wyjście.

Ray i Earl ujechali raptem milę na międzystanowej, kiedy młody powiedział ojcu, że muszą wrócić z powrotem na farmę.

— O czymś zapomniałem — przyznał.

— Co, tych prochów w ciapki? — zapytał Earl.

— Potrzebuję tego, żeby sobie radzić z tymi brudasami.

— No to wracaj, jeśli musisz — Earl wyjął sobie puszkę buscha z chłodziarki na sześć piw, stojącej u jego stóp. — Ja tam, jak już czegoś potrzebuję, to mam to albo w puszcze, albo w butelce.

Ray zawrócił taurusem i ruszył w stronę farmy. Earl uchylił okno, a potem opuścił je do połowy. — No, wczoraj przysła odwilż.

— Jeszcze wróci mróz.

— Jak taka pogoda się utrzyma, zacznie śmierdzieć od tych tam szmaciarzy. Lepiej zakop ich gdzieś głęboko przy pierwszej okazji.

— Ziemia wciąż jest za twarda, tata.

— Lepiej się tym zajmij, Paskud.

— No i się *zajmę*, tata.

Ray odetchnął głęboko. Zastanawiał się, czy ojciec kiedykolwiek przestanie mu rozkazywać.

Ray szedł przez saloon twardym krokiem, zaciskając pięści. Musiał się uspokoić, ale jak miał to zrobić, jeśli miał się zajmować wszystkimi tymi ludźmi, kręcić własny interes i na dobitkę słuchać, jak ojciec sra mu na łeb. Zdjął klucze ze sprzączki przy pasie i włożył jeden z nich do zamka drzwi do tylnego pokoju.

Zamek już był otwarty. Ray sięgnął do klamki. Jasny szlag, drzwi nie były zamknięte.

— Edna — pokręcił głową. Wiedział, że to ona musiała tam poleźć. Jakoś dobrała się do jego kluczy. Nikt inny nie był tak głupi, żeby robić sobie z nim takie żarty.

Ray podszedł do swoich zapasów i wziął kapsułki z amfą. Wetknął fiolkę w kieszeń dzinsów. Przyjrzał się zawartości półki: brakowało tej fiolki, w której były kryształki. Pewnie Edna schowała się w lesie i jarała to wszystko jak głupia. Pazerna suka. Ray wiedział, że nigdzie nie wyjechała, bo jej F-150 wciąż stał na podwórzu.

Obrócił się, słysząc klakson. Na pewno to tata wałnął, żeby go pogonić.

Rozejrzał się jeszcze po pokoju. Coś mu tutaj nie grało... Cholera, no jasne, dywanik ściągnięty z klapy. Pewnie się przesunął, kiedy

szarpali się tutaj z tymi Kolumbijczykami, tamci się, kurwa, strasznie rzucali. Nieważne, nie zawadzi sprawdzić. Ray odsunął dywanik dalej i podniósł klapę, wstrzymując oddech przed znajomym odorem.

Spojrzał w dół drewnianej drabiny, wiodącej do tunelu. Tam też paliło się światło, ale to o niczym nie świadczyło, bo włącznik był wspólny dla całego budynku.

Earl znów walnął w klakson.

— No już idę! — wydarł się Ray, choć wiedział, że tata nijak go nie usłyszy.

Opuścił klapę, nakrył ją resztówką dywanika i o parę stóp przesunął ławeczkę do podnoszenia ciężarów. Teraz jej waga dociskała klapę.

Nim zamknął drzwi od zewnątrz, zgasił jeszcze światło. Spuszczanie Ednie łomotu nie sprawiało mu przyjemności, ale baba miała lanie jak w banku, kiedy tylko wróca do domu.

Edna nie wystraszyła się, naprawdę. Nawet wtedy, gdy Ray zgasił światło, bo nigdy nie bała się ciemności. Cierpliwie siedziała na zimnej ziemi, czekając, aż Ray na pewno sobie pójdzie, a kiedy już uznała, że ten czas nadszedł, po prostu jakby raczkowała po tunelu, aż wreszcie znalazła drabinę. Wspięła się na górę, do klapy.

Tej jednak nie dało się podnieść. Ray postawił coś tam na górze. Edny wcale to nie zdziwiło. Zeszła z powrotem na dół i usiadła, miała czas do namysłu.

Kiedy jeszcze światło się paliło, zobaczyła dość długi odcinek tunelu, wiedziała, że ciągnął się on prosto na jakieś pięćdziesiąt jardów, a potem ostro skręcał w prawo. Sztolnia była wąska i niska, Edna wiedziała, że będzie musiała iść jak pies, na rękach i kolanach, ale nie było w tym niczego trudnego: „pięćdziesiąt jardów prosto i skręt w prawo”.

Była pewna, że Ray i Earl zrobili sobie jakieś wyjście na końcu tunelu, żeby móc uciec w las przed tymi wszystkimi agentami FBI i ATF, których sobie uroili. Nawet Ray nie był taki głupi, żeby harować nad tunelem, który nie miałby drugiego wyjścia.

Śmierdziało tu padliną. Ray mówił, że w tunelu były węże, ale Edna nie bała się też żadnych węży. Dorastała w tej okolicy i już nawet nie potrafiłaby powiedzieć, ile tych czarnych paskudztw zatłukła motyką. Może były tu i szczury, ale szczury to tylko przerośnięte myszy. Tak, coś tu kipło, to na bank, może któryś z tych kotów, co wiecznie się kręciły przy stodole. Edna знаła ten smród.

W każdym razie, gdyby coś się jej pokićkało czy coś, kiedy by się czołgała przez tunel, zawsze mogła użyć zapalniczki, którą miała w kieszeni. Cieszyła się teraz, że ją wzięła. I że wzięła prochy.

Strasznie rozbolała ją też głowa. Edna miała wrażenie, że ból się wzmacza. Odszukała fiolkę kryształów, fajeczkę i zapalniczkę. Skrzesała ognia, żeby móc załadować faję. Leciutki kop da jej siłę, żeby wypruć z tego kanału w trymiga.

Wypaliła więc kryształki, kaszląc wściekle po ostatnim sztachu, i dała płomieniowi zgasnąć. Zaczynało ją grzać. Z początku haj był przyjemny, ale potem zrobiło się gwałtownie i skończyła cała roztrzęsiona. Uświadomiła sobie, że mogła nieco przesadzić. Miała wrażenie, że tunel zaciskał się wokół niej, i po raz pierwszy zaczęła się bać, choć nie wiedziała, co ją przestraszyło. Chciała się stąd wydostać.

Schowała do kieszeni wszystko, z wyjątkiem zapalniczki. Ręce jej drżały, więc nie uporała się z tym zadaniem tak szybko, jak by chciała. Potarła kółko zapalniczki, spojrzła przed siebie i zaczęła raczkować.

Słyszała własny oddech, kiedy parła w głąb tunelu. Zaczęła nucić, z nadzieją, że to ją uspokoi, ale tylko jeszcze bardziej się złękła, więc ucichła i raczkowała dalej. Jej głowa pulsowała i bolała jak jasny gwint. Edna raptownie przyspieszyła, ubita ziemia dawała dobrą przyczepność.

— Cholera! — wyrznęła głową w ścianę tunelu.

„Jestem na końcu prostej” — pomyślała i namacała skręt w prawo, a za nim więcej wolnej przestrzeni. Smród był tu potworny, zaczęło ją mdlić, ale peźła dalej. Kręciło się jej w głowie. Wpadła w panikę na myśl, że może jej zabraknąć powietrza.

Odór znów niemal ją zadławił. Usłyszała coś jakby chrzęst, z wysiłkiem złapała oddech i wciąż parła naprzód. Dotknęła czegoś miękkiego, po czym wpełzła na jakiś inny przedmiot, zimny i sztywny.

Uniosła przed sobą zapalniczkę i skrzesała płomień. Leżały przed nią dwa trupy, pokryte wijącym się robactwem.

— Neeeeee! — wrzasnęła. — Och, Boże, Ray, Boże, Ray, Boże! Obróciła się, a zapalniczka wyleciała spomiędzy jej palców.

Edna padła na brzuch. Wbijając paznokcie w zimną glinę. Była jednak tak otumaniona, że nie mogła się ruszyć, miała wrażenie, że ktoś rozszczepił jej głowę siekierą. Zwymiotowała w mrok tunelu i opuściła głowę na ziemię, czując na twarzy ciepło własnych rzygowin. Jej oczy zaszklily się i wpatrywały w jeden punkt, a język wysunął się z uchylonych ust.

28.

Wychodzą — rzucił Strange, obserwujący dom przez teleobiektyw swojego AF-1.

- Nie zeszło im za długo — stwierdził Quinn.
- Pewnie tylko przywieźli towar. Teraz idą po kasę. Co za pojeby, jak z jakiegoś serialu o wsiokach.
- Ten mały ma buty na obcasach, widziałeś?
- Przecież ci mówiłem, że to zawsze ci nieduzi chcą coś ludziom udowodnić. Właśnie na nich trzeba uważać.

Strange i Quinn siedzieli w wynajętym chevroletcie lumina dwie przecznice na zachód od Prochowni. Spędzili tu już kilka godzin, a Strange przekazał Quinnowi wszystko to, czego się dowiedział poprzedniego dnia.

Teraz patrzyli, jak Ray i Earl Boone wyszli z warsztatu i przeszli przez ulicę, kierując się w stronę kamienicy, gdzie swoje biuro urządził Cherokee Coleman. Ray i Earl zamienili kilka słów z parą posępnych, młodych facetów, którzy poprowadzili ich schodami do drzwi wejściowych i dalej, do wnętrza domu.

— Eskorta jak dla króla — mruknął Quinn. — Ciekawe, ile łuf uzbierałoby się na tej ulicy.

- To tylko dzieciaki.
- Mogą cię zabić równie skutecznie, jak każdy inny gość. Nie trzeba mieć dyplomu, żeby pociągnąć za spust.

— Tyle że ci kolesie wcale nie muszą tu tkwić. Wydaje im się, że tu ich miejsce, ale tak nie jest. Oglądają telewizję, widzą, czego się nachapali inni, co rzekomo powinni mieć, więc chcą zgarnąć coś dla siebie. Tylko jak się mają do tego zabrać, Terry?

- Może uczciwą pracą?
- Daj spokój, aż taki głupi nie jesteś. Loteria urodzin sprawiła, że pojawili się na tym świecie w tym, a nie innym miejscu. Gdzie się urodzili, które starsze dzieciaki były dla nich przykładem... często gęsto jedynym przykładem, jaki mieli... los wielu z tych szczawi został rozstrzygnięty już dawno temu.

- Tu masz rację. Ale co z nimi teraz począć?
- Ja bym zrobił dwie rzeczy — odparł Strange. — Po pierwsze, zalegalizowałbym prochy. Odebrałbym im to wszystko, o co walczą, bo w gruncie rzeczy to akurat jest nieistotne. To jak te sztuczki z filmów

Hitchcocka, taki gadżet, żeby akcja szła naprzód. Przecież w niektórych krajach Europy legalizacja wyszła na dobre, nie? Tam nie zobaczysz tego typu przestępczości. Im zniesienie prohibicji ucięło wiele spraw, z którymi my tutaj wciąż musimy walczyć.

— No dobra. A ta druga sprawa?

— Zakazać prywatnego posiadania broni, na skalę całego kraju. Po okresie moratorium i wakacji prawnych, każdy przyłapany z pistoletem dostaje wyrok z automatu. Pistolet nadaje się tylko do jednego, facet: to narzędzie do zabijania innych ludzi.

— Nie ty pierwszy na to wpadłeś. No dobrze, to czemu nikt nie robi z tym czegoś na serio?

— Bo nawet jeśli by zebrać wszystkich tych polityków z Kongresu i Senatu w jednym pomieszczeniu, nie uskładałbyś pary jajec. Nawet ci, co wiedzą, co należy zrobić, mają świadomość, że gdyby wystąpili za legalizacją dróg i zakazem posiadania broni krótkiej, podpisaliby wyrok śmierci na własną karierę. A cała reszta siedzi w kieszeni lobby producentów broni. A tymczasem niemal połowa czarnych mężczyzn w tym mieście albo już zaliczyła więzienie, albo jest w trakcie odsiadki.

— Więc co, mówisz, że to czarne klimaty?

— Mówię, że to klimat *kasy*. Mamy w tym kraju dwa odrębne społeczeństwa, a przepaść dzieląca zamożnych i biedaków rozszerza się z dnia na dzień. A co najbardziej dołuje, to fakt...

— Że wszyscy na to leją — dokończył Quinn.

— Niezupełnie. Masz mentorów, wolontariaty, grupy przykościelne... oni wszyscy się starają, możesz mi wierzyć. Ale to za mało. Ważniejsze jest to, że niektórych ludzi to jednak rusza, ale większość martwi się o jakieś duperele. No pomyśl: dlaczego jakiś przygłupi rasistowski didżej trafia na czołówki gazet, tygodniami trąbią o nim w niusach w telewizji, a tymczasem morderstwa czarnych nastolatków, *dzieci*, toną dzień w dzień gdzieś na ostatnich stronach lokalnych dodatków do gazet? Czemu nasi piszą rok w rok felietony do „Washington Post”, marudząc, że czarni aktorzy nie dostają nominacji do Oskarów, kiedy każdego dnia powinni pisać o tym, jak spierdolony jest w tym mieście system szkół, które praktycznie nie dostają wsparcia, gdzie woda cieknie z dachów, a podręczniki służą przez piętnaście lat. Tak się porobiło, że dzieciaki idą tu do szkoły i boją się o własne życie, a jak już dotrą na zajęcia, jeden ochroniarz przypada na pięćsetkę uczniów. Jak myślisz, ilu goryli ma burmistrz, co?

— Nie mam pojęcia, Derek. Poważnie pytasz?

- Retorycznie.
- No nie, ty musisz wyluzować, facet — poradził Quinn. — W twoim wieku wylew może się zdarzyć...
- Weź ty się odpierdol, koleś.
- Z następnej przecznicy wyjechał radiowóz, buick crown victoria, i skreślił na wschód, powoli mijając Prochownię.
- To nasz znajomy?
- Na bank — odparł Strange, mrużąc oczy. — Najbardziej na świecie nienawidzę gliniarzy, którzy się sprzedali.
- Czegoś się dowiedziałeś?
- Dopiero zeszłego wieczora odebrałem zdjęcia... — Strange wspomniał pakiet fotografii, które Janine zostawiła na jego biurku, i coś zaświtało mu w głowie.
- Ale sprawdzisz te numery?
- Kumpel się tym zajął.
- To teraz lepiej spadajmy — stwierdził Quinn. — Pewnie facet zaraz będzie zawracał.
- Też mi się tak wydaje. Kiedy te wsioki stamtąd wyjdą, pewnie będą wracać tą samą drogą.
- Ja bym się cofnął na North Capitol i tam zaparkował.
- Strange odpalił silnik chevroleta. — Słusznie.

Quinn popijał kawę z kubka termosu, wpatrzony w widok za przednią szybą. Strange otworzył butelkę wody mineralnej i pociągnął zdrowy łyk z gwinta.

- Wiesz, Juana i ja... zerwaliśmy — odezwał się nagle Quinn.
- Że co? — Strange myślał właśnie o Janine i Lionelu.
- Powiedziałem, że między mną i Juana już skończone.
- To fatalnie, facet.
- Powiedziała mi, że było w tym za dużo napięcia.
- No popatrz, ciekawe czemu — Strange poprawił się za kierownicą. — Kiepski manewr, facet, że pozwoliłeś, żeby taka poukładana babka od ciebie odeszła. Miało to jakiś związek z różnicą kolorów?
- Owszem — Quinn nie zdołał się uśmiechnąć. — W każdym razie, jak to mawiał mój stary, kobiety są jak tramwaje: jeśli jedna ucieknie, prędzej czy później pojawi się następna. Taka prawda, nie?
- Brzmi dzielnie. Teraz robisz dobrą minę do złej gry, ale nie zobaczysz zbyt wielu tramwajów, które dorównują Juanie urodą. Albo sercem, skoro już o tym mowa.

- Przecież wiem — Quinn spojrzął na Strange'a przesywająco. — A skoro już dzielisz się ze mną nagromadzoną przez lata mądrością...
- Wał śmiało.
- Kiedy ślub z Janine?
- Ślub? Kurwa, Terry, jestem już za stary, żeby myśleć o ślubach
- Strange zakręcił butelkę i spojrzął na swój podolek. — A poza tym należy się jej ktoś lepszy ode mnie. Ale dzięki za radę, żeby nie było.
- Tak tylko próbowałem pomóc.
- Jasne. I mówisz, że masz ojca... No popatrz, tyle już się znamy, a dopiero teraz zaczynasz dzielić się życiorysem. Żyje jeszcze?
- Oboje rodzice już nie żyją — odparł Quinn. — Mam brata w okolicy San Francisco, ale odzywa się od wielkiego dzwonu. A u ciebie?
- Została mi tylko mama.
- Żadnego rodzeństwa?
- Miałem brata. Odszedł trzydzieści jeden lat temu.
- Mniej więcej wtedy odszedłeś z policji, zgadza się?
- Owszem. — I Strange zamilkł.
- No, jadą — odezwał się Quinn, gdy ze wschodu nadjechał ford taurus.
- Ociec i oćcowy syn.
- Masz pełen bak?
- Aha.
- Bo coś mi się nie widzi, żeby ci goście byli tutejsi — stwierdził Quinn. — Myślę, że długa droga przed nami.

Wyjechali z miasta na obwodnicę, a potem skręcili na północ w drogę numer 270. Sylwetka taurusa, sama z siebie niczym się niewyróżniająca, idealnie wtapiała się w strumień wozów na szosie. Co drugi wyglądał podobnie. Kierowca taurusa przestrzegał ograniczenia prędkości, więc Strange trzymał się o dziesięć aut za nim. Nie martwił się, że ich zauważą — gesty ruch był najlepszą osłoną.

— Nie masz w tym wozie jakiegoś radiolokatora? — zagadnął Quinn.

— No jasne — odparł. — Poczekaj chwilę, zaraz wyświetlę ich auto na Batekranie tego Batmobila.

— Nie no, bo tak sobie myślałem, że wozisz ze sobą tyle różnych rzeczy. Cały ten sprzęt, który sobie wieszasz przy pasku, a w plecaku na tylnym siedzeniu nawet gogle na podczerwień. Ciekawe skąd, dokładali je do płatków kukurydzianych?

— Nie rób se jaj z moich gogli, losiu.
— A co robimy, kiedy już przyjedziemy na miejsce?
— Nie wiem, gdzie oni jadą, ale tam właśnie znajdziemy siostrę Chrisa Wilsona.

— Bo tak ci powiedział jakiś kapuś? Zwykły ćpun?
— Jak się nie ma, co się lubi...

W miarę jak samochody zjeżdżały z autostrady ku przedmieściom takim jak Gaithersburg, Germantown czy Darnestown, tym najbliższym centrum obrzeżom nowej metropolii, w jaką przeobraził się Waszyngton w Dystrykcie Columbia, Strange przestał dusić gaz i trzymał chevroleta dalej za fordem niż poprzednio. Po dziesięciu milach zobaczył, że nad zderzakiem śledzonego wozu błysnął prawy kierunkowskaz. Strange także skręcił w zjazd, nie spuszczając oka z taurusa.

Zgubiliśmy ich? — zapytał Quinn.

— Nie sądzę — odparł Strange. Weszli w długi zakręt, najpierw przez pola, potem ginący w gęstym lesie. Kiedy znów wyjechali na prostą, taurus był przed nimi. Kierowca zaparkował go przed czymś w rodzaju bramy, blokującej wjazd na wiodącą przez las żwirówkę.

— Przejedź obok nich — polecił Quinn. — Nawet nie zwalniam.

— Co jest, przypominam ci Danny'ego Glovera? Wyglądam jak afroamerykański przydupas, ukochany przez wszystkich białych Amerykanów? Terry, to ja kieruję tym śledztwem, bo coś mi się widzi, że o tym zapomniałeś.

— Przejedź obok nich — powtórzył Quinn. — Gazu, facet!

— Kurwa jego mać, a myślałeś, że co zrobię?

Przemknęli obok taurusa. Ten kurdupel, który właśnie stał przy bramie i wkładał klucz do kłódki, zerknął na nich, kiedy przejeżdżali. Patrzył hardo, ale miał z tym pewien problem.

— Widziałeś? — rzucił Quinn. — Koleś ma strita w oczach.

— Mhm. Zauważyłem, kiedy patrzyłem przez teleobiektyw. Ten starszy też jest zezowaty. Bankowo tatuś, nie?

Wjechali w kolejny długi zakręt, znów przez las. Strange zjechał na pobocze, wyłączył silnik i chwycił za plecak z tylnego siedzenia.

— No to ruchy — powiedział.

Weszli w las, a właściwie bór gęsty od sosen i dębów, mijając posiekany śrutem znak zabraniający wstępu nieupoważnionym.

— Tędy — Quinn wskazał dłonią na północny wschód. Wyglądało na to, że biegło tam coś w rodzaju ścieżki, więc poszli wzdłuż niej.

— Wygląda na to, że przed nami jakaś przesieka — rzucił Strange.
— Widzę. Tyle że nie możemy podejść zbyt blisko, jeśli oni tam są. O tej porze roku nie ma liści na drzewach. Będziemy odsłonięci.

— Fakt.

— I patrz, jak idziesz. Nie depcz po patykach, bo na otwartej przestrzeni dźwięki niosą się daleko. Nie jesteśmy w mieście, Danny... znaczy, *Derek*.

— Bardzo śmieszne — skwitował Strange.

Quinn zerknął przez ramię i uniósł dłoń w geście „stój”. Obaj się zatrzymali. Quinn rozejrzał się wokół i brodą wskazał półkę do polowań na jelenie, którą zbito z desek wśród dolnych gałęzi dębu. Machnął ręką w jej stronę, a Strange skinął głową.

Jako pierwszy wszedł na górę Quinn; do pnia drzewa przybito szczeble z drewnianych klocków. Strange podrzucił mu swój plecak i ruszył na górę. Półka była wąska i zakolysała się nieco pod ich ciężarem.

— Wytrzyma? — zapytał Derek, nie podnosząc głosu.

— Zaraz się o tym przekonamy.

Pośród drzew mieli widok na polanę, może ze sto pięćdziesiąt jardów dalej. Widzieli, jak ojciec i syn wysiedli z forda, zaparkowanego między motocyklem a pikapem na zagraconym podwórzu. Za pojazdami piętrzyła się wielka stodoła, obok której stał sypiący się dom mieszkalny. Strange obserwował zagrodę przez teleobiektyw, pstrykając kilka zdjęć, kiedy to syn wyciągał torbę z bagażnika.

— Nic nie widzę — mruknął Quinn. — Na starość wzrok mi siada.

— Mam w plecaku lornetkę, dziesięć na pięćdziesiąt. Weź sobie.

Quinn wyciągnął lornetkę i dopasował rozstawienie okularów oraz ostrość.

Tamci dwaj ruszyli do domu. Syn niośł torbę sportową. Raz spojrział w stronę lasu, nim obaj weszli na ganek, po czym zniknęli wewnątrz budynku.

Strange przymrużył oczy. — Ona pewnie tam jest.

Czekali, słysząc krakanie wron, potrząskiwanie patyków, szum wiatru w wierzchołkach wybijających drzew. Po najwyższych gałęziach dębów ganiały się wiewiórki. Derek i Terry wciąż czekali, pograżeni w milczeniu. Łania z łomotem przedarła się przez krzaki i minęła ich, znikając za wzgórzem, którego stok opadał na zachód od myśliwskiej półki.

— Są — rzucił Strange.

Obaj mężczyźni wyszli przed dom. Sondra Wilson stała przy tym starszym.

— To ona — stwierdził Derek.

Starszy nieznamomy ujął ją pod ramię, kiedy schodzili z ganku. Nawet z tej odległości Strange widział, że dziewczyna była bliska śmierci. Jej ramiona sterczały pod płaszczem jak rączki sekatora, a podkrążone oczy patrzyły tępo znad zapadniętych policzków.

Teraz cała trójka stała na podwórzu, a syn gestykułował w stronę lasu. Furia w jego głosie niosła się pomiędzy drzewami, docierając nawet do Quinna i Strange'a. Ojciec odpowiadał mu cichym głosem, usiłując uspokoić młodego. Ten jednak złapał Sondrę Wilson za ramię i potrząsnął nią gwałtownie. Głowa dziewczyny jakby opadła jej na ramię, a wtedy ojciec zrobił trzy kroki naprzód i pchnął syna w pierś, przewracając go na piach i żwir.

Młody podniósł się powoli, bez słowa, nie patrząc już ani na ojca, ani na Sondrę. Starszy pan objął ją delikatnie i poprowadził z powrotem do domu.

Syn poczekał, aż wejdą do środka. Wtedy wyciągnął spod kurtki pistolet i zaczął strzelać w stronę lasu. Twarz wykrzywił mu jakiś dziwny grymas, połączony z uśmiechem. Strange mrugał przy każdym strzale. Kule z metalicznym zgrzytem rykoszetowały wśród pni.

— Kurwa jego mać, o co tu chodziło? — zapytał Quinn.

Strange znów przypomniał sobie leżący na biurku pakiet fotografii. Wspomnił, jak był w pokoju Chrisa Wilsona, co leżało na komodzie, przedmioty schowane w pudełku po cygarach. Pamięć podsunęła rozmowę z panią Wilson, zdjęcia na ścianie... *jedno ze zdjęć...*

— Co jest, Derek?

— Wybacz, facet, zamyśliłem się.

— Coś ważnego?

— Wilson miał taki kwitek z supermarketu, chyba z Safeway. Włożył go do pudełka po cygarach na komodzie. Leżał tam także aparat fotograficzny.

— Czyli są jakieś zdjęcia, których nie odebrał.

— Aha. W dodatku, skoro próbował odnaleźć siostrę... jeśli idziemy tym samym tropem co on, rozumiesz, to na pewno w jakiś sposób Chris dokumentował te swoje poszukiwania. I coś mi się widzi, że wiem, gdzie schował te notatki...

— To na co czekamy?

— Wiesz, po prostu szlag mnie trafia na myśl, że mam ją tu zostawić — stwierdził Strange. — Sam widziałeś, facet. Niewiele czasu jej zostało.

- Dziś i tak nic nie zdziałamy. Chyba że chcesz złapać za ten nóż, co go masz przy pasie, i zatańczyć z tym koleśkiem z pistoletem.
- Masz rację — przyznał Derek. — Ale ja tu wrócę.

29.

Strange zdjął ze ściany oprawioną fotografię Larry'ego Browna z młodym Chrisem i odłożył ją na łóżko Wilsona. Zgodnie z jego podejrzeniami, zdjęcie zasłaniało coś jakby dziurę w ścianie. Wśród kawałków płyty wiórowej tkwił nieduży notatnik, pokryty grubą warstwą kurzu. Otwór był akurat na tyle duży, by ukryć notes — wyglądało to tak, jakby Wilson wybił dziurę w ścianie pięścią.

Leona Wilson wspomniała, że jej syn wyraźnie się zdenerwował, kiedy próbowała wyrównać zdjęcie. A według informacji, jakie posiadał Strange, Chris Wilson był jednym z tych ludzi, którzy naprawdę musieliby mieć powód nie z tej ziemi, żeby wsiąść na własną matkę. Cokolwiek odkrył — a Strange był pewien, że fakty wykryte przez Wilsona trafiły do notesu — ukrywał to w tajemnicy przed własną matką, dziewczyną, jak też przed wydziałem policji.

Strange schował notatnik do torby wraz z kwitkiem na odbiór zdjęć w sklepie sieci Safeway. Zgodnie z nadrukiem, zdjęcia można było odebrać w placówce przy Piney Branch Road, w Takoma, niedaleko kościoła, do którego chodził Derek.

W salonie Leona Wilson zerknęła zza firanki na zaparkowanego na ulicy chevroleta. Kiedy Strange wszedł do pokoju, puściła zasłonę i obróciła się w jego stronę.

- Znalazł pan to, czego szukał?
- Owszem.
- Zatem robi pan postępy.
- Robię — Strange zarzucił plecak na ramię. — Pani Wilson...
- Tak?
- Jak sądzę, udało mi się odnaleźć pani córkę.

Wargi Leony Wilson ułożyły się w drżący uśmiech. — Dziękuję. Och, dzięki ci, Panie Boże. — Złączyła dłonie na wysokości pasa. — Czy ona... jak jest z jej zdrowiem?

— Będzie potrzebować pomocy, pani Wilson. Zawodowej pomocy, żeby zdołała się wykaraskać z tarapatów, w jakie wpadła. Trzeba...

musi pani natychmiast się tym zająć. Są programy odwykowe, są kliniki... w kościele na pewno dostanie pani całą listę. Musi pani zorganizować to *od razu*, jasne? Już dziś.

— Dlaczego?

— Bo zamierzam przywieźć Sondrę do domu.

Strange ruszył do drzwi.

— A kim jest ten biały mężczyzna w samochodzie przed domem? Obawiam się, że bez okularów widzę co najwyżej kolor jego skóry.

— To niezależny agent, którego zatrudniłem.

— Pomaga panu w tej sprawie?

— Aha. — Derek otworzył drzwi.

— Panie Strange, ja...

— Już dobrze. Robię tylko to, za co mi pani płaci, pani Wilson. Na koniec dostanie pani przecież rachunek.

— Pomodłę się za pana w tę niedzielę, panie Strange.

— Dziękuję pani.

Wyszedł na zewnątrz, ale na chwilę zatrzymał się na betonowym ganku. Obiecał tej kobiecie coś, z czego teraz będzie się musiał wywiązać.

Widziałem, że ta kobieta wyglądała na mnie zza firanki — stwierdził Quinn. — Rozpoznała mnie?

— Bez okularów nie poznałaby nawet własnej twarzy w lustrze — odparł Strange. Przeciął Georgia Avenue, choć w połowie skrzyżowania żółte światło zmieniło się na czerwone.

— Byłem na pogrzebie Chrisa Wilsona. Wspominałem ci o tym?

— Nie.

— Ktoś musiał dać znać krewnym, że przyszedłem. W ogóle nie widziałem tam zbyt wielu białych twarzy, nie licząc paru policjantów. W każdym razie pani Wilson spojrzała mi w oczy wśród tego całego tłumu... *wtedy* miała okulary... i ukloniłem się jej. Popatrzyła na mnie tak zimno...

— A czegoś się spodziewał?

— Nie to, że czegoś oczekiwałem, wiesz? Raczej po prostu miałem na coś nadzieję. Tyle że pewnie nawet tym nie powinienem był się ludzi.

Strange nie sądził, że powinien jakoś na to odpowiedzieć. Minął skrzyżowanie z Buchanan i jechał dalej na północ.

— Hej, przegapiłeś ten zjazd do ciebie — odezwał się Quinn.

— Nie, odwożę cię dziś pod dom, Terry. Kiedy jestem już tak blisko rozwiązania sprawy, muszę przemyśleć sobie parę spraw solo.

- Nie mów, że teraz chcesz mnie z tego wypchnąć?
- Zadzwoń do ciebie później, wieczorem — obiecał Strange.

Kiedy już wysadził Quinna, pojechał do supermarketu Safeway przy Piney Branch Road.

— Długo tu na pana czekały, panie Wilson — powiedziała kobieta za szybą, podając mu pakiet fotografii.

- Dziękuję, że je dla mnie przechowaliście — odparł Strange.

Wrócił do wypożyczalni aut na Georgia Avenue i oddał chevroleta, a z parkingu firmy zabrał swojego caprice'a. Po powrocie do domu nakarmił Greco, wziął prysznic, przebrał się w dres i poszedł do swojego gabinetu, gdzie usiadł za biurkiem. Lydell Blue zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce: numery radiowozu odpowiadały buickowi crown victoria, którego kierowcą był posterunkowy Adonis Delgado. Strange zanotował sobie to nazwisko.

Przygiął lampkę i zaczął oglądać zdjęcia odebrane w supermarkecie. Doszedł do połowy, gdy nagle serce zabiło mu mocniej.

— Jasna dupa — mruknął i powtórzył to jeszcze raz, zanim skończył przeglądać fotografie. Otworzył notatnik i zabrał się za dziesięć stron tekstu pisanego jak dziennik, bo Chris Wilson notował dzień, godzinę i miejsce każdego kroku w swoim śledztwie. Potem sięgnął po telefon, podniósł słuchawkę, ale zaraz odłożył ją z powrotem na widelki.

Z szafki na akta wyjął kopertę, a z niej kasety z nagraniami rozmów. Przesłuchał je teraz ponownie. Przewinął taśmy do interesujących go miejsc i odsłuchał je jeszcze dwukrotnie.

Wyprostował się w krześle. Sięgnął ręką w dół i poklepał Greco po łbie. Założył ręce i wbił wzrok w sufit. Przejechał palcem przez kurz, który zgromadził się na blacie biurka. Odetchnął powoli, pochylił się i przyciągnął telefon do siebie. Wykręcił numer. Po trzecim dzwonku odezwał się głos: — Halo.

- Tu Derek. Pamiętasz, gdzie mieszkam?
- Jasne.
- Więc lepiej tu przyjeżdżaj, losiu.
- Już lecę — odparł Quinn.

Cherokee Coleman wcisnął na komórce przycisk przerwania rozmowy i odłożył telefon na zielony bibularz. — Już tu są.

Angelo Gruba Dupa poprawił swoje okulary przeciwsłoneczne, tak że trzymały się teraz na samym końcu nosa. — A my jesteśmy gotowi, żeby załatwili dla nas tę sprawę do końca?

— Jutro wieczorem. Udało się upchnąć ten towar szybciej, niż przypuszczałem. Więc wysłamy naszych kolegów do Burakowa, niech przywiozą ostatni ładunek. Forsę też mają przywieźć z powrotem. I zająć każdego skurwysyna, który się tam napatoczy, żebym mógł przekazać moim kolumbijskim braciom, że wziąłem i pomściłem śmierć ich krewniaków. Trzeba mieć z nimi dobre układy, żeby tłuc ten szmal. Aż chciałbym zobaczyć miny glińiarzy po odkryciu tej jatki, jak te białe skurwysyny drapią się po tłustych łbach i ni chuja nie mogą wykombinować, kto to zrobił, po co i za co.

— Z mocy łaski boskiej.

Coleman spojrzał na Angelo. — Ty wiesz, to niezła nazwa na kolejną partię towaru, Angie.

— Już jej użyliśmy.

— A „Zajebany w Dystrykcie”?

— Całkiem niegorsze, może być.

Coleman wstał z fotela i podszedł do okna. Z czarnej maximy wysiedli dwaj mężczyźni. Na ich spotkanie wyszła większa grupa młodych.

— Delgado kupił sobie nowiutką sportówkę — rzucił Coleman. — Felgi też ma fajne.

— Gość wyraźnie chce tego, co my już mamy — odparł Angelo.

— Miłego chcenia. Gdyby nie chcenie, świat stanąłby w miejscu, czarny człowieku.

— A jak tam jego partner?

— Jakoś, gdyby nie te zęby.

— Koń, który mówi — Angelo zarżał i szurając stopą po podłodze, policzył do trzech.

Wciąż jeszcze śmiali się wraz z Colemanem, kiedy dwaj przybysze weszli do gabinetu.

— Co was tak bawi? — zaczął Delgado.

— Angelo właśnie opowiedział mi dowcip — odparł Coleman.

— Co słychać, Ząbek? — Angelo Gruba Dupa powitał drugiego z przybyłych.

— Prosiłem cię, żebyś tak do mnie nie mówił — odparł tamten. — Nazywam się Eugene Franklin, jasne?

30.

Quinn siedział na twardym krześle w salonie Strange'a. Na podłodze między jego stopami leżał notes i butelka po piwie. Terry ścisnął w dłoni pakiet zdjęć. Dwa z nich przedstawiały Eugene'a Franklina i Adonisa Delgado w cywilnych łańchach, jak wyszli z prywatnego wozu Eugene'a przy kamienicy Cherokee Colemana. Quinn nie przeczytał jeszcze zapisków w notesie, ale Strange podał mu najistotniejsze dane.

— Jeszcze piwa? — zagadnął Strange, usadowiony na nieco wytartej kanapie.

— Nie — odparł Quinn. — Lepiej nie.

Szeroko otwarte oczy patrzyły tępo z pobladłej twarzy, pod napiętą skórą wężliły się mięśnie żuchwy.

— Puść mi jeszcze raz tamtą taśmę. Kiedy Eugene opowiadał ci wszystko U Eriki.

Strange włączył magnetofon. W cichym pokoju zabrzmiał głos Eugene'a: „Widziałem, gdzie celował Wilson. Widziałem w jego oczach, co zamierzał zrobić. Nie mam nawet cienia wątpliwości, że gdyby Terry do niego nie strzelił, on zacząłby strzelać do mnie...”

Derek wcisnął klawisz „stop” na dyktafonie.

— Zacząłby strzelać do *mnie* — powiedział. — Tu właśnie Franklin się sypnął.

Quinn niezbyt przytomnie skinął w stronę dyktafonu. — Puść moje nagranie. Pierwszą rozmowę, jaką zaliczyliśmy, tam na miejscu, na Ulicy D.

— Już raz tego słuchaliśmy.

— Puść — powtórzył Quinn.

Strange zmienił kasetę. Przewinął do punktu, który, jak wiedział, chciał usłyszeć Quinn.

Strange: „I co robisz dalej?”

Quinn: „Celuję w napastnika. Wrzeszczę do niego, żeby rzucił broń i położył się twarzą do ziemi. On krzyczy coś do mnie. Nie słyszę zbyt dobrze, co do mnie mówi, bo przekrzykuje go Eugene...”

Derek wyłączył magnetofon. — Twój partner *przekrzykiwał* Wilsona, bo nie chciał, żebyś usłyszał, co on do was mówił. Wprowadzał dodatkowe zamieszanie, nie chciał, żebyś się zorientował, że Wilson jest gliną.

— Puść ten dalszy kawałek — powiedział Quinn.

Strange: „Co takiego się stało, kiedy spojrział na was, Quinn?”

Quinn: „To była tylko chwila. Spojrział na mnie, potem na Gene'a, i przez jego twarz przeszło coś paskudnego. Nigdy tego nie zapomnę. Był na nas wściekły, na mnie i na Gene'a. Więcej niż wściekły: w tej chwili miał minę zabójcy. Uniósł broń w naszą stronę, a wtedy...”

Strange: „Wycelował w ciebie?”

Quinn: „Niedokładnie. Jak mówiłem, ruszył ręką. Omiótł mnie lufą, a miał taki wyraz twarzy... W moim umyśle nie było cienia wątpliwości... Wiedziałem... Naprawdę *wiedziałem*, że on zaraz pociągnie za spust. Eugene wykrzyknął moje imię, a ja zacząłem strzelać.”

— Wystarczy — stwierdził Terry.

Strange zatrzymał taśmę.

— Ja to widzę tak — mruknął cicho. — Tamtej nocy twój partner był kierowcą radiowozu. To, że natknęliście się na Chrisa Wilsona, absolutnie nie stało się przypadkowo. Franklin skręcił w Ulicę D, bo tak to było ustawione. Wiedział, że Kane zwabi tam Wilsona. Wiedział, że Kane nie będzie musiał zbytnio się starać, żeby Wilson wyciągnął na niego broń.

— Ani żebym ja zaczął do niego strzelać — wtrącił Quinn.

— Możliwe. Fakt jest faktem, twój partner w tym siedział. Mamy fotografie i notes Chrisa. Ten młodzieniec naprawdę odwalił kawał solidnej policyjnej roboty. Moje nagrania potwierdzają...

— Ja po prostu nie chcę w to uwierzyć, Derek.

— Uwierz własnym słowom — odparł Strange. — „Spojrzał na mnie, potem na Gene'a, i przez jego twarz przeszło coś paskudnego”. „Miał minę zabójcy”, kiedy ujrzał Eugene'a. Sam powiedziałeś: „*Omiótł* mnie lufą”. To nie *tobie* Chris Wilson był gotów zadać śmierć. Celował do gliniarza, który się sprzedawał. Do skurwiałej mendy, siedzącej w kieszeni dilerka, przez którego jego siostra kiblowała w tamtej umieralni. Kumaszu, co do ciebie mówię, facet?

— Tak — Quinn wpatrywał się uporczywie w podłogę.

— I dobrze. Teraz mi powiedz, kto to jest Adonis Delgado?

— Wielki, wredny glina. Siedział przy barze U Eriki tego dnia, kiedy rozmawialiśmy z Eugene'em.

— Taki brzydki mięśniak z przetrąconym nosem?

— Aha.

— Czyli to ten, co w kiblu chciał mi pokazać, kto tu rządzi. Pewnie myślał, że da mi do zrozumienia.

— Ale Eugene? — mruknął Quinn.

— A żebyś, kurwa, wiedział. *Eugene*.

Quinn wstał. Ściągnął skórzaną kurtkę z oparcia krzesła i ubrał się w nią.

- A *ty* dokąd?
- Idę po resztę tej historii.
- Potrzebna ci pomoc?
- To moja jazda — Quinn odwrócił się, gdy doszedł do drzwi. — Nie kładź się na razie spać.
- Jeszcze się zobaczymy tej nocy?
- Aha. Nawet coś ci przywiozę.

Eugene Franklin miał kawalerkę w wieżowcu przy przylegającym do nabrzeża odcinku Maine Avenue w dzielnicy Southwest. Jak wielu gliniarzy-kawalerów Franklin uważał mieszkanie właściwie za miejsce do spania, jedzenia i oglądania telewizji. Pokoik dzienny był skąpo wyposażony — mała kanapa i fotel, naprzeciwko nich telewizor, a do tego ława i telefon na stoliczku przy oparciu kanapy. Na dźwięk sygnału Eugene podniósł słuchawkę.

- Taak?
- Gene, cześć, tu Terry. Jestem w holu, przy drzwiach wejściowych.
- Ale, Terry...
- Wpuść mnie, facet. Muszę z tobą o czymś pogadać.

Franklin wcisnął przycisk na słuchawce. Wstał z kanapy i wolno przejechał palcem po odstającej górnej wardze. Miał taki nawyk w chwilach stresu lub zamieszania.

Podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je i stanął w progu. Quinn zmierzał w jego stronę przez długi, pokryty pomarańczową wykładziną korytarz.

- Cześć — zawołał z uśmiechem.

Jego długie włosy falowały, kiedy szedł. Przemierzał ten korytarz błyskawicznie, z pochyloną głową. „Jak postać z kreskówki, zdeterminowany, zmierza do celu...” — pomyślał Franklin. Wtedy jednak zauważył, że ten uśmiech Quinna był raczej jak grymas, wymuszona mina, w której był ból i coś dużo gorszego.

- Cześć, Eugene — powtórzył, kiedy doń podszedł, ale nawet nie zwolnił kroku, a Franklin zobaczył, że jego gość wyciągnął pistolet zza paska spodni.

Eugene zrobił krok wstecz, do wnętrza mieszkania, kiedy Quinn brutalnie zamachnął się bronią, aż jej kształt rozmazał się w świetle

jarzeniówek na korytarzu. Metal uderzył w skroń Franklina, który z miejsca zatoczył się do tyłu, a pokój wirował wokół niego.

Ugięły się pod nim nogi. Zaczął upadać i kiedy tak walił się na podłogę przez mroczniejące światło, pistolet znów śmignął w jego stronę, ale tym razem Franklin niemal nie poczuł ciosu. Na koniec ujrzał jeszcze twarz swojego partnera, brzydką, wściekłą, pełną lęku, i w tej chwili go lubił. Osuwając się w miękkie łożo nocy, Franklin czuł wyłącznie ulgę.

Quinn, swobodnie trzymając pistolet, stał na środku dziennego pokoju Franklina.

Ten zaś siedział na kanapie z głową odchyloną do tyłu, przykładając do skroni zwilżony ręcznik. Bawełna zabarwiła się na różowo w miejscu, gdzie wsiąkała w nią krew z głębokiego rozcięcia. Quinn położył przed nim notatnik z żółtymi kartkami, jakiego używają prawnicy, a na nim długopis.

— Jak się skurwiłeś, Gene?

— Nie wiesz jak? — odparował Franklin.

— Delgado cię wciągnął.

— Zgadłeś. Kiedyś regularnie widywałem go U Eriki. Był tam co noc, chłwał, opowiadał pierdoły z kosmosu i wracał samotnie do domu. Delgado był jak ja, nie mieliśmy za wielu kumpli, a o babkach w ogóle mogliśmy zapomnieć. I jakoś tak zaczęliśmy gadać ze sobą, znaczy, Adonis i ja. Wiedziałem, że to totalny skurwiel. Wszyscy o tym wiedzą. Ale i tak z nim rozmawiałem.

— O czym gadaliście?

— No, wiesz, właściwie o wszystkim. Jak nie jedno, to drugie, aż wreszcie zesłaliśmy na ten najważniejszy temat. Delgado opowiadał mi, że koleś z kasą w kieszeni może już nie zawracać sobie głowy szukaniem kobiet, bo one same go znajdują. Bo możesz wyrwać każdą dupę, jaka ci się nawinie, jeśli będzie myślała, że jesteś przy forsie. Wiedziałem, że facet pieprzy głupoty, ale byłem napruty i w ogóle...

— Jak przeszliście do poważniejszych spraw?

— Zaczął opowiadać, jak Cherokee Coleman kręci swój biznes tam nieopodal Florida Avenue. Że Cherokee nigdy nie wylądował w pierdlu, że nikt nie tknie tego fiuta, bo gość jest na to za cwany. Że biznes będzie się kręcił tak długo, jak długo będzie rynek na prochy, a poza tym chuj z ćpunami, to i tak darwinowskie odrzuty. I wtedy powiedział mi, że dorabia sobie na boku, bo wykombinował, że skoro Coleman to

taki gość, a nikt z tym nic nie robi, to i mały Adonis może sobie zasilić budżet. Mówił, że to nic takiego. Dwa razy w miesiącu Coleman otrzymywał dostawę, i w te dwa dni Delgado krążył po okolicy w radiowozie, pilnując, żeby nie było żadnych intruzów, czy to naszych, czy federalnych. Nawet nie musiał wysiadać z wozu. Twierdził, że to była cała jego robota.

— Czemu ci o tym opowiedział? Nagle chciał dzielić się kasą?

— Bo nie zawsze mógł tam być i pilnować. A poza tym pojawił się problem, z którym Delgado nie mógł albo nie chciał poradzić sobie sam. Oczywiście nie miałem pojęcia, co to był za problem, póki nie siedziałem już w tym po uszy.

— Chris Wilson.

Franklin opuścił wzrok na podłogę. — Zgadza się. Jego siostra zaczęła kręcić z Rickym Kane'em. Wilson poszedł tym tropem tak samo co wy i trafił do Colemana. Na jednej ze swoich wypraw Kane wszedł do biura Colemana z Sondrą, a wyszedł sam. Sondra została dupą Colemana, ot tak. I Wilson złapał ciężki schiz.

— Już wtedy byłeś z nimi?

— No, tak jakoś. I faktycznie było łatwo, tak jak mówił Delgado: zrobić kilka kółek wokół kwartału magazynów, dwa razy w miesiącu. Wtedy jeszcze nie widziałem w tym niczego złego.

— Pierdolisz.

— Próbuję ci wyjaśnić, jak było.

— Pierdolisz — Quinna aż zatykało. — Co się potem stało?

— Wtedy Wilson zaczął chodzić na zwiad w cywilnych łachach, kręcił się przy Prochowni, po winklach. Pewnie właśnie wtedy zrobił mi te fotki. Wiedział, że solo nie ma co zadzierać z armią Colemana, nie wiedział też, komu może zaufać w policji. Tyle że strasznie go cisnęło przez to szambo, w które wpakowała się jego siostra, i facet przestawał nad sobą panować. Jednej nocy przy wejściu do U Eriki groził nawet Adonisowi. Mnie też groził.

— Więc poszłicie z Delgado do Colemana.

— Adonis sam poszedł. Postanowili pozbyć się Wilsona. Dla Delgado to był pryszcz. Wtedy już wiedziałem, że Adonis miał na koncie parę zabójstw dla Colemana. Tyle że nie miało to już znaczenia. Wtedy właściwie byłem już jednym z nich. Chcieli jednak, żebym całkowicie przekroczył granicę, spalił mosty.

— Chcieli, żebyś sam zabił Wilsona.

— Zgadza się — Franklin rzucił ręcznik na podłogę. Kropelka krwi wypełzła z rozcięcia i pocięła po policzku.

— Namówili Kane'a, żeby wyciągnął Wilsona gdzieś na ubocze?

Franklin przytaknął. — Kane powiedział Wilsonowi, że zabrał jego siostrę od Colemana. I żeby się spotkali o określonej godzinie przy Ulicy D. Wiedzieli, że Wilsonowi odpierdoli, kiedy zobaczy tam samego Kane'a. Ja zawiozłem tam ciebie... sam wiesz, co się potem stało.

— Nie. Ty mi powiedz, Eugene. Powiedz mi, co się stało.

— Nigdy nie zastrzeliłem człowieka. Nawet do nikogo nie strzelałem, Terry. Wyciągnąłem broń i celowałem w niego, ale...

— *Dlaczego go nie zastrzeliłeś, Eugene?*

— Bo ty zrobiłeś to pierwszy.

Quinn spojrzął na pistolet w swojej dłoni. — Wiedziałeś, że tak się stanie.

— Nie, nie wiedziałem. Wiedziałem tylko, że jesteś do tego zdolny, bardziej niż ja. I...

— I co?

— Znam cię. Wiedziałem, co zobaczysz, widząc, jak Chris Wilson trzyma Ricky'ego Kane'a pod lufą.

Quinn uniósł broń do biodra, celując we Franklina. Wargi Eugene'a zadrżały, w oczach wezbrały łzy.

— Nie zrobisz tego, Terry. Częścią ducha pragnę, żeby było inaczej... ale ty tego nie zrobisz.

— Masz rację — Quinn wymierzył lufę glocka w notes na stole. — Opisz to. Od początku do końca, Gene. I to zaraz. Pokażę wszystkim, jaki jesteś: twojej rodzinie, kolegom z policji, ludziom, wśród których się wychowałeś w swojej dzielnicy. Wszyscy się dowiedzą, jaka z ciebie menda. A już na sto procent dopilnuję, żeby twoi nowi koledzy w pierdłu dowiedzieli się, jaki mundurek nosiłeś, zanim cię wsadzono.

— Wybacz, facet.

— Chuj ci w dupę, Eugene. Swoje przeprosiny też możesz tam wsadzić. Pisz.

Franklin spisał w notesie kompletne zeznanie, podpisał się pod ostatnią stroną i odnotował datę, po czym długopis wypadł mu z dłoni.

— Chciałbym porozmawiać z ojcem, zanim będzie o tym w wiadomościach — powiedział. — Kiedy chcesz oddać to władzom?

— Kiedy oddamy dziewczynę matce.

— Ale ona wyjechała z Dystryktu.

— Wiem — odparł Strange. — Byliśmy tam dziś ze Strange'em. Pojechaliśmy za tymi burakami pod ich farmę, tam, gdzie ją trzymają.

Franklin otarł rozcięcie na skroni. Krwawienie już ustało, więc odłożył ręcznik. — Jedziemy tam z Delgado jutro wieczorem.

— Po co?

— Wieziemy kasę, zabieramy dostawę prochów.

— A podobno cała twoja lewa robota to jeżdżenie dokoła Prochowni.

— No tak, ale to wyszło po naszym ostatnim spotkaniu z Colemanem — odparł Franklin. — Te buraki, za którymi pojechaliście, to Ray Boone, ten kurdupel, i jego ojciec Earl. Tam na farmie zabili dwóch kurierów z Kolumbii. Coleman chce, żebyśmy teraz zabili Boone'ów, żeby zachować dobre układy z Kolumbijczykami.

— A co z dziewczyną?

— O dziewczynie nie wspomnieli, pewnie dlatego, że wiedzą, że nie chciałbym słuchać tego, co mieliby do powiedzenia. Delgado sam ją posuwał i wciąż laska chodzi mu po głowie. Ale jak on zacznie zabijać, to chyba nie skończy, póki wszystkich tam nie rozwali.

— A ty co?

— Nie dam rady zabić człowieka, Terry. Już ci mówiłem...

— Macie to załatwić jutro wieczorem?

— Spotykam się z Delgado o ósmej... więc powinniśmy dojechać tam na wieś koło dziewiątej. Mają po nas przyjechać w jedno miejsce, a potem zawiozą nas na swoje śmieci.

— Mają tam dom i stodołę.

— To wiem. Coleman mówił, że Boone'owie lubią ubijać interesy w stodole. Urządzili tam regularny bar, jak te stare kasyna, czy coś w tym stylu.

— A Sondra siedzi w ich domu?

— O ile wiem.

Quinn wetknął glocka za pasek spodni. — Jutro w nocy dopilnujesz, żeby nikt nie wychodził ze stodoły, jasne? Daj mi i Strange'owi szansę, żebyśmy zabrali stamtąd dziewczynę.

— A co mam zrobić, jeśli Delgado zacznie rozpieprzać?

— Gówno mnie to już obchodzi. Naprawdę nie robi mi to różnicy — Quinn podniósł notes ze stołu i wpiął długopis w kieszonkę na piersi koszuli. — Cokolwiek postanowisz zrobić jutro w nocy, pamiętaj, że to i tak nie zmienia moich planów odnośnie tego zeznania.

— Tak też sądziłem.

— To na razie, Gene.

Quinn wyszedł z mieszkania. Drzwi zamknęły się za nim z kliknięciem.

Strange spał na kanapie, kiedy rozbrzmiał dzwonek do drzwi. Obudziło go szczekanie Greco. Spojrzał przez judasza, po czym otworzył frontowe drzwi. Na ganku stał Quinn, a jego oddech parował w nocnym chłodzie.

— Mam — Terry pokazał Strange'owi zeznanie Franklina.

— No, to opowiedz wszystko to, o czym jeszcze nie wiem — powiedział Strange.

Quinn wyłożył mu wszystko, nie wchodząc do domu.

Kiedy skończył, Strange mruknął: — A więc jutro wieczorem.

A Quinn odparł: — Tak jest.

31.

Strange wduślił przycisk interkomu na biurku i rzucił do mikrofonu: — Janine?

— Tak, Derek — zachrząściło w odpowiedzi.

— Wejdź tu na chwilę, co?

Strange pochylił się, podniósł z podłogi pakiet — dużą bąbelkową kopertę — i położył ją na biurku. W przesyłce, zaadresowanej do Lydella Blue z Czwartej Komendy Rejonowej, znajdował się komplet dowodów, jakie Strange zgromadził w sprawie Wilsona.

Tego dnia Derek przyszedł do pracy wcześniej. Skserował całą dokumentację i zaadresowany na własną firmę pakiet kopii wrzucił do skrzynki pocztowej. Potem zadzwonił do swojego prawnika odnośnie testamentu. Poinformował go również o detalach polisy ubezpieczeniowej na skromną sumę, której beneficjentami byli Janine i Lionel.

Do gabinetu weszła Janine Baker.

— No cześć — powitał ją Strange.

— Cześć.

— Nie będzie mnie przez resztę dnia, może nawet jutro przez parę godzin.

— Dobra — przytaknęła Janine.

— Jakbym był niezbędny, daj znać na pager.

— No, jak zwykle. Nic w tym nadzwyczajnego.

— Prawda. Nic nadzwyczajnego — Strange potarł swędzący nos. — A jak tam Lionel?

— Nieźle.

- Posłuszny, odrabia lekcje i w ogóle?
 - Czasem staje dęba, ale jest w porządku.
 - No dobra — Strange pochylił się i poklepał pękatą kopertę na biurku. — Jeśli tego nie odwołam, powiedzmy do jutra w południe, masz wziąć tę przesyłkę i nadać na poczcie, jasne?
 - Pewnie.
 - Póki co, włóż ją do sejfu. Jest jeszcze jedna taka przesyłka, ale ta przyjdzie *tutaj*, z pocztą, za parę dni. Kiedy to się stanie, to *ją* włóż do sejfu.
 - Jasne.
 - Zestawiłaś już rachunek dla Leony Wilson?
 - Jak tylko powiesz mi, że zamknąłeś sprawę, mogę to zrobić.
 - Zamknąłem. Dołóż jej jeszcze osiem godzin i nie zapomnij wliczyć wszystkich tych rachunków na wydatki, które uskładałem.
 - Robi się.
 - Super. Czyli wszystko mamy załatwione — Strange wstał z fotela, zdjął skórę z wieszaka i zarzucił ją na siebie. Podeszedł blisko do Janine i wyjrzał przez otwarte drzwi gabinetu. — Jest tam Ron?
 - Wyszedł, robi sprawę z oszustwem ubezpieczeniowym.
 - Strange objął Janine w talii i przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją w usta, przedłużając pocałunek. Spojrzała mu w oczy.
 - Pierwszy raz zrobiłeś to tutaj, Derek.
 - Kiepsko mi idzie układanie w słowa tego, co mam w głowie — mruknął Strange. — Słuchaj...
 - Już wszystko mi powiedziałeś, Derek.
 - Wciąż w jego objęciach, Janine przeciągnęła kciukiem po ustach Strange'a, usuwając ślady szminki.
 - Muszę spadać.
 - Jeszcze wcześniej.
 - Wiem. Ale chciałem spędzić dzień z mamą.
- Janine odprowadziła go spojrzeniem, kiedy szedł przez recepcję, aż zniknął za drzwiami. Potem wzięła pakiet z biurka i poszła włożyć go do sejfu.

Quinn poszedł do księgarni na poranną zmianę, po czym wrócił do mieszkania, poćwiczył nieco w piwnicy, wziął prysznic i zaczął się ubierać: ciepła bielizna, flanelowa koszula, levisy i traperskie buty. W mikrofali odgrzał mrożony obiad i zjadł go, po czym zrobił sobie dzbanek kawy i wypił pierwszy z trzech kubków. Włączył potem z

wieży „London Calling” The Clash. Siedząc na krawędzi łóżka, wysłuchał „Death or Glory”. Następnie włączył „Born to Run” Springsteena i zrobił dużo głośniejsze, żeby przesłuchać „Backstreets”. Zaczął krążyć po sypialni, aż w końcu wyciągnął z szuflady komody pistolet i pas z kaburą.

Stanął przed dużym lustrem. Opasał się i zapiął klamrę z przodu, tak, że kabura ciasno przylegała do dolnej części prawego biodra. Wcześniej zdjął z pasa futerał na gaz, ładownicę, uchwyt na długopis i szekłę do kluczy, zostawiając tylko parę kajdanek w futerale u nasady pleców. Włożył glocka do kabury, wyjął, znów włożył i znów wyjął.

Wyjął magazynek z uchwytu i sprawdził, czy był załadowany do pełna. Podniósł glocka, zamknął oko i wycelował zgodnie z białym punktem na muszce, po czym na sucho strzelił w ścianę. Uchwyt z czarnego polimeru dobrze siedział w dłoni. Quinn wbił magazynek w gniazdo i wsunął glocka do kabury.

Podniósł słuchawkę, gdy zadzwonił telefon.

- Halo — po drugiej stronie słyszał muzykę symfoniczną.
- Tu Derek. Już jestem gotów.
- Ja też — odparł Quinn. — Przyjeżdżaj.

Strange odłożył słuchawkę. Siedział w domu, przy biurku, a w pokoju rozbrzmiewała ścieżka dźwiękowa Morriconego do „Dawno temu na Dzikim Zachodzie”. Akurat grał główny temat i Strange na chwilę przymknął oczy. W jego kolekcji nie było piękniejszego utworu i najbardziej na świecie pragnąłby siedzieć tak i słuchać tej muzyki do późna w nocy. Jednak za ociekającą deszczem szybą niebo robiło się coraz ciemniejsze, więc wiedział, że pora ruszać.

Czarna maxima Adonisa Delgado mknęła na północ drogą numer 270. Dwuczłonowe wycieraczki usuwały z szyby deszcz, bo zaczęło kropić. Szczyt ruchu przewalił się godzinę temu, więc mieli przed sobą otwartą drogę.

— Oni lubią załatwiać sprawy w stodole — rzucił Delgado, usadowiony nisko pod kierownicą. Miał na sobie czarne dresy, których rękawy ciasno opinały bicepsy, a z karku, którego obwodu nie powstydziliby się koń, zwieszał się złoty łańcuch.

— Wiem — odparł Eugene Franklin, siedzący obok niego w kubelkowym fotelu pasażera.

— Kiedy jeszcze żyli tamci dwaj Kolumbijczycy, robili sobie z tego jaja z Colemanem, opowiadali mu, jak to wygląda. Dzwonimy do nich,

kiedy zjedziemy z dwieście siedemdziesiątki, i spotykamy się na parkingu przy pawilonach handlowych. Zabiorą nas stamtąd...

- Ja to wszystko wiem.
- Zabiorą nas stamtąd, *Eugene*. I lubią walnąć sobie parę drinków w tej stodole, zanim dobiją interesu.
- Ja nie piję.
- Wypij jednego czy dwa, grzeczność nakazuje, ale się nie skuj. A ja zrobię tak: wyłgam się jakoś i pójde do tej ćpuneczki. Zajmę się nią, potem wrócę do stodoły.
- To na pewno dobry pomysł?
- O co ci, kurwa, *chodzi*?
- Może będzie lepiej, jeśli zajmiesz się nią po wszystkim. No, wiesz, w stodole na pewno usłyszą odgłos wystrzału w domu.
- Ty się nie bój o odgłosy.
- A co, masz tłumik, czy jak?
- No nie! Tłumik, czy jak? — Delgado zaczął przedrzeźniać roztrzęsiony głos Franklina, po czym zaśmiał się krótko. — Kurwa, *Eugene*, nie wiem, kogo pojebało, że w ogóle dali ci odznakę. Na cholerę mi tłumik, ciółku? Położę jej na łbie poduszkę i przez to będę strzelał.

Delgado zwiększył częstotliwość pracy wycieraczek. Padało coraz mocniej.

- Dobra — ciągnął. — Kiedy wrócę do stodoły, i to zaraz jak tam wrócę, idę prosto do Raya i załatwiam go raz-dwa. Ty zrób to samo z jego ojcem, jasne? Wolę się nie martwić o to, co mam za plecami.
- Nie bój nic — odparł Franklin.
- O, jest nasz zjazd — Delgado włączył kierunkowskaz. — Weź moją komórkę ze schowka, facet. Dzwoń do tego białego zezola, powiedz mu, że zaraz będziemy.

Ray Boone rozerwał kapsułkę metamfetaminy i wysypał zawartość na reklamowe lustro budweisera, które ściągnął ze ściany. Z pomocą żyłki uformował dwie kreski i wciągnął gryzący, pokryty błękitnymi plamkami proszek. Gwałtownie odchylił głowę i poczuł znajome odrętwienie w głębi gardła. Duszką opróżnił puszkę piwa i wyrzucił ją do śmieci, ocierając z wargi kapiącą z nosa krew.

- Telefon dzwoni, tata.
- Słyszę — odparł Earl. W jednej dłoni trzymał papierosa, drugą grał w pokera na automacie.
- To oni.

— No to odbierz, Paskud.

Ray podniósł komórkę z zielonego sukna okrywającego stół, przy którym siedział. Po krótkiej rozmowie z jednym z posłańców Colemana wcisnął klawisz przerywający połączenie.

— Są już niedaleko — powiedział.

Earl skinął głową, ale milczał.

Ray miał przy sobie wszystko, czego potrzebował. Beretta 92F z pełnym magazynkiem tkwiła za paskiem spodni, na plecach. W jednej kieszeni kurtki była kapsułka amfy, w drugiej — twarda paczka czerwonych marlboro. Co do heroiny, wyniósł ją już wcześniej z pokoju i ułożył torby za barem.

Zrobił to, bo nie chciał dziś wieczorem wracać tam na zaplecze więcej niż raz — zaczynało tam naprawdę koszmarnie śmierdzieć. Tata miał rację — i ta świadomość niepokoiła Raya nawet bardziej niż fakt, że Edna wzięła i się zabrała. Znienacka zrobiło się ciepło i ci sztywni szmacciarze w tunelu zaczęli ostro gnić.

Earl podniósł swoją chłodziarkę, załadowaną sześciopakiem buscha, i poklepał się po kieszeniach kurtki, żeby się upewnić, czy zabrał fajki i swoją trzydziestkę ósemkę. Wyszli z Rayem ze stodoły. Na podwórzu Earl pstryknięciem posłał niedopalek w stronę lasu i rzucił:

— Zaraz wracam. Muszę zobaczyć, co u dziewczyny.

Ray wiedział, że ojciec idzie do domu dać swojej kolorowej épunce paczuszkę szczęścia, ale jakoś wcale go to nie obchodziło. Nawet nie wkurwił się na ojca za to, że go wczoraj przewrócił. Był zaprzątnięty własnymi problemami.

Podszedł na skraj lasu i wyjrzał w mrok, pozwalając, by deszcz siekł mu twarz. Gdzie się podziała Edna, do kurwy nędzy? W porządku, dobrała się do jego zapasów i wyjarała wszystko, więc teraz się bała. Ale minął już cały dzień, a ona wciąż się nie odezwała. Ray zadzwonił nawet do tej jej kudłatej kumpeli, durnej jak puszka gwoździ laski, Johanny, ale ta też twierdziła, że nie wie, gdzie jest Edna. Kłamliwa suka, na sto procent wiedziała, bo trzymały ze sobą jeszcze od gimnazjum. Ta Johanna nawet udawała, że podejrzewa go o coś, kiedy rozmawiali, jakby to on coś zrobił Ednie. Kurwa, przecież nigdy jej nie skrzywdził. Jasne, kiedy baba wróci do domu, trzeba jej będzie trochę nakłaść po ryju, ale to już zupełnie inna sprawa.

— Jeszcze zmokniesz, Paskud — Earl podszedł do niego od tyłu.

— Jak tak będziesz stał na deszczu, buty ci sparszywieją.

— Tak tylko o czymś myślałem, tata.

- Wiem, o czym tak myślałeś. Kiedy dziś załatwimy sprawę, możesz sobie kupić całe stado owieczek i przestaniesz myśleć o tamtej.
 - Pewnie tak. Dobra, jedziemy po tamtych.
- Ruszyli do samochodu.
- W stodole zaczyna śmierdzieć — powiedział nagle Earl.
 - Jutro ich zakopię — obiecał Ray.
 - Mówiłem ci, że przychodzi ocieplenie.
- Przez ten bajzel z Edną i wieczne pouczania ojca, i krążącą w żyłach amfę, Ray miał wściekłą ochotę przegryźć własny język.

Gotowy? — Strange stanął w sypialni Quinna i zerknął na plecak w jego dłoni.

- Owszem — odparł Terry. — A ty?
- Spędziłem dzień z mamą. Lekarze mówią, że powoli się wyłącza. Po prostu leży sobie na łóżku i patrzy przez okno. Tak czy inaczej, chciałem przy niej być.
- A ja popracowałem sobie w księgarni. Miałem co robić, żeby odwrócić myśli od tego wszystkiego.

— I co tam u Lewisa? Nie przetrenował nadgarstka?
Zachichotali razem, po czym popatrzyli po sobie w milczeniu. Strange podał Quinnowi parę cienkich, czarnych rękawiczek.

- Załóż je, kiedy przyjedziemy tam na miejsce. Będzie ci trochę cieplej, a są tak cienkie, że mógłbyś w nich podnieść centa z podłogi.
- Dzięki — Terry wrzucił je do plecaka.

Strange spojrział przez okno sypialni. — Pada jak skurwysyn. Będzie błoto, ale deszcz zagłuszy sporo hałasu.

- A jak będziemy szli przez ten las, ograniczy nam widoczność.
- Nie bój żaby, z moimi nogami na podcierwień damy radę.
- Te twoje gadzety — westchnął Quinn, patrząc na pas Strange'a, gdzie wisiał pager, wielofunkcyjne narzędzie od Leathermana, nóż myśliwski oraz komórka w futerale.

— Skoro już o tym mowa, przypnij sobie — Strange odpiął pager i podał go Quinnowi. — Na wypadek, gdybyśmy zabierali się stamtąd oddzielnie, każdy jedzie swoim wozem.

Quinn przytaknął. — Gdyby nie, spotykamy się przy tym znaku zakazu wstępu na drugim zakręcie.

- Dobra, ale jakbyśmy się rozdzielili czy coś...
- Zobaczmy się z powrotem w Dystrykcie — odparł Quinn.

32.

Ray Boone poszedł za bar i znalazł flaszkę Jacka Danielsa tam, gdzie ją zostawił, przy zlewie z nierdzewnej stali obok lodówki. Colt taty też był na zwykłym miejscu, zawieszony na dwóch gwoździach wbitych w drewno nad zlewem — jeden podtrzymywał lufę, drugi kabłąk spustu. Ray wystawił butelkę na kontuar, zdjął szklankę z półki za sobą i nalał prawie po brzeżek.

— Też chcecie łyka, chłopaki? — zawołał, przekrzykując piosenkę George'a Jonesa z szafy grającej.

Zobaczył, że ten śmiesznie wyglądający Murzyn, ten z zębami jak królik, siedzący smętnie z puszką piwa w garści przy obciążonym sukniem stoliku do kart, pokręcił przecząco głową. Drugi czarnuch, ten wielki brzydał w szpanerskich dresach, nawet nie dał po sobie poznać, że usłyszał pytanie. Stał pośrodku pokoju i kręcił łbem nad potężnymi ramionami, jakby próbował rozruszać zastrzał w grubym karku. Z zaciśniętych zębów sterczało cygaro.

— A ty, tata? — zagadnął Ray.

— Malucha z chęcią — odparł Earl. Stał przy szafie grającej, wybierał kolejne utwory i popijał buscha z puszki.

Ray nalał ojcu. Mało brakowało, a zaczęłyby się śmiać — i oni dwaj, i ich goście tkwili w kurtkach, mimo że stodoła była ogrzewana. Ray wiedział, jak wszyscy tu obecni, że każdy miał przy sobie broń. Tak to było w tej zabawie. Ray i Earl chcieli z tym skończyć, a teraz zarobią dość szmalu, żeby nie musieć się w to bawić nigdy więcej. Kiedy jednak Ray zastanawiał się nad tą sytuacją, musiał przyznać, że będzie mu brakowało akurat tego: popijania z klientami, stresu, broni... tej właśnie zabawy.

Płatni gliniarze Colemana wyłożyli torbę z forszą na bar, przy samym końcu kontuaru. Ray ułożył torby z heroiną zaraz obok. Żaden z gości nie zaproponował jeszcze ważenia towaru, ani nawet go nie obejrzał. Ray powiedział, że uprzejmość nakazuje wypić najpierw co nieco, a oni posłuchali.

Teraz rozerwał kapsułkę amfy i wysypał zawartość na kontuar. Nawet nie zwracał sobie głowy żyłką. Pochylił się nad blatem i wciągnął całość. Chuj z tym, co sobie pomyśli tata czy ci permanentnie opaleni gliniarze, Ray zamierzał dziś wieczorem uczcić zakończenie interesu.

— Kurrna! — zawołał. I zapalił papierosa.

Z szafy grającej rozległ się męski głos: „Tego wieczora zawiodłem się na flaszcze...”

„Te białe wszy i ich pierdolone country” — pomyślał Adonis Delgado, dopijając resztkę słabiutkiego i zalatującego szczynami piwa, którym go poczęstowali. Najpierw kazali mu leżeć na tylnym siedzeniu tego forda, z nosem w dupie Franklina, aż kark mu zeszytywniał, a teraz jeszcze musiał słuchać tego gówna dla jaskiniowców z ich grajszafy. Delgado miał lewy pistolet, półautomatycznego browninga dziewięć milimetrów, w przypiętej do pasa kaburze. Cieszył się na myśl, że przyjdzie mu go użyć.

Eugene Franklin patrzył na Earla Boone'a, kiedy ten przechodził obok, by usiąść przy automacie wideo z kartami do gry na ekranie. Franklin włożył dłoń do kieszeni kurtki i dotknął spoczywającego tam luźno służbowego glocka 17. Zerknął na zegarek, zastanawiając się, gdzie są Quinn i Strange.

— Jesteś dziś gdzieś umówiony? — Ray wyszedł zza baru ze szklaneczką whisky w dłoni i papierosem przyklepionym do wargi. — Co, Eugene? Dobrze mówię, Eugene, nie?

— Dobrze mi, gdzie jestem — Franklin nie patrzył w pokopane oczy Raya. — Wszystko gra.

— U mnie *nie* — odezwał się Delgado. — Muszę do łazienki.

— Lej na dworze — odparł Ray. — Od zachodu słońca tak robimy.

— Ale srać mi się chce — upierał się Delgado. — Nie macie tu toalety?

— Jest jedna na zapleczu, ale zepsuta — powiedział Earl.

— Idź do tej w domu — poradził Ray. — Nie zamykaliśmy.

Delgado zauważył, że ojciec obrócił się i spojrzał na syna ostro.

— Nie bójcie nic, nie będę wam tam grzebał — powiedział. — Gdzie mam iść?

— Na piętro — odparł Ray.

— To zaraz wracam — rzucił Delgado Franklinowi. Złamał cygaro w pół i wrzucił resztki do popielniczki na stole do pokera.

Franklin patrzył za nim, póki Delgado nie zamknął za sobą drzwi. Uniósł puszkę do ust, ciesząc się, że grała głośna muzyka, a deszcz bębnił w dach. Czuł, że zębami leciutko dzwoni o blachę.

Quinn i Strange brnęli przez las. Derek założył te swoje gogle, a Terry trzymał się tuż za nim. Wiatr i deszcz chłostał ich twarze. Pod kurtkami mieli kilka warstw odzieży, na dłoniach cienkie, czarne

rękawiczki, ale to nie wystarczało. Strange poślizgnął się raz na błotnistym podejściu. Quinn zdążył złapać go za łokieć, pomagając odzyskać równowagę.

Dotarli w końcu na skraj lasu i zrzucili plecaki na mokre igliwie w gęstym sosnowym zagajniku. Punktowy reflektor zamontowany nad stodołą oświetlał podwórze. Przez szeroki stożek światła cięły gęste krople deszczu. W domu zza ciemnego okna jednej z sypialni przebłyskiwało mętne światelko.

Strange wrzucił gogle do plecaka i wyjął z niego krótki łom. Quinn sięgnął do swojej torby i wyjął pas z bronią. Wyprostował się i zapiął pas, odpinając klapę kabury.

— Popatrz pan — mruknął Strange. — Regularny Lee Van Cleef*.

* Jeden z najczęściej występujących w spaghetti westernach aktorów.

— Ktoś musiał.

— Wiem, wiem. Kiedy mogę, zawsze biorę lżejszą robotę. Strange zerknął na piętro domu. Wrócił wzrokiem do ociekającego wodą Quinna, którego długie włosy przykleiły się teraz do twarzy po obu stronach. — Ona chyba tam właśnie jest. A cała reszta jest chyba w stodole.

— Dużo tego chyba...

— Tak czy inaczej, zaraz się dowiemy — Strange odetchnął kilka razy, równo, głęboko. — Przypnij ten pager do paska, facet.

Quinn przypiął pager na lewym biodrze. — Dobra, włączony.

— Jeśli tu wrócę i ciebie nie będzie, zmiatam dalej z Sondrą, jasne? Nie chcę cię tu zostawić, facet, ale jesteśmy tu dziś przede wszystkim po to, żeby zabrać tę dziewczynę z powrotem do mamy, Terry...

— Jasna sprawa.

— Więc nie będę tu stał i na ciebie czekał, łosiu. Kiedy doprowadzę Sondrę do mojej bryki, zadzwonię do ciebie z komórki. Zabrzeczy pager, to masz sygnał, że oboje jesteśmy bezpieczni, jasne? Wtedy możesz się wycofać, ale nie wcześniej. Póki nie dam ci znać, trzymaj ich tam w stodole.

— Będę ich tam trzymał ruski rok albo póki nie zmienisz rozkazów.

— Jasny szlag, chłopie, równy z ciebie gość.

— Ruszaj lepiej, Derek.

— Posłuchaj, Terry...

— Ruszaj — uciął Quinn. — Spotkamy się pod domem Leony Wilson, jasne?

Strange wyszedł na podwórze, po żołniersku zygzakując przez oświetlony teren. Wbiegł na ganek domu, gotów wyważyć drzwi łomem. Klamka ustąpiła jednak pod ręką, więc otworzył drzwi i wszedł do środka.

Quinn zrzucił kurtkę. Ułożył ją na plecaku, który spoczywał na igliwiu między jego stopami.

Adonis Delgado ściągnął bluzę i spodnie, zostawiając je splecione na podłodze. Zdjął też slipy i rzucił je na resztę ubrania. Nago przeszedł przez sypialnię w stronę dziewczyny, która siedziała oparta o wezglowie łóżka. Wydawało mu się, że usłyszał jakieś skrzypienie na schodach za zamkniętymi drzwiami, ale jego uwagę przykuło własne odbicie w lustrze na komodzie: wyglądał świetnie, brzuch jak kaloryfer, nabite bicepsy, ramiona i tors. Kiedy doszedł do łóżka, miał już pełny wzwód.

— Chono tu, mała — rzucił do tej ćpunka, Sondry, z której zostały tylko obciążone skórą kości, nie do porównania z tym, jak wyglądała, kiedy pierwszy raz zaliczył ją w Prochowni. I bardzo dobrze. Jej źrenice były jak nakłucia szpilki. Delgado wiedział, że właśnie sobie przyćpała. I bardzo dobrze, raz jeszcze.

— Proszę — głos Sondry Wilson był już raczej niesionym oddechem szeptem.

Delgado schwycił ją za drobny nadgarstek.

— Ty zdradziecka suko!

Za drzwiami Strange minął już półpiętro i wspinał się dalej.

Gdzie ten twój cień? — zapytał Ray. — Wyszedł chyba ze dwadzieścia minut temu.

— Zaraz wróci — odparł Franklin.

— *Sam* go przyprowadzę — Earl wstał ze stołka przed automatem do pokera.

— Ja to zrobię, tata — rzucił Ray. — I tak muszę odcedzić kartofelki.

Earl spojrzął za synem, który zniknął za drzwiami stodoły. Potem poszedł za bar zrobić sobie drinka, wciąż zerkając na tego typu z końskim zgryzem. Butelka Danielsa stała na zlewie. Skoro już ukrył przed tamtym dłonie, Earl zdjął colta z gwoździ i odciągnął zamek, kładąc pistolet na boku na nierdzewnej stali.

Swoją trzydziestkę ósemkę miał w kieszeni kurtki, lecz uważał, że lepiej mieć pod ręką jeszcze jeden pistolet gotów do strzału. Kiedy człowiek robi interesy ze śmieciami, nie można być za słabo przygotowanym.

— Ten kawałek jest świetny — Earl wskazał podbródkiem grajszafę, która grała „Orange Blossom Special”. Jednak ten kolorowy gliniarz przy stole nie odpowiedział. — Co jest, koleś? Johnny Cash się nie podoba?

Quinn przewrotem wpadł na podwórko, gdy tylko zobaczył, że otwierają się drzwi stodoły. Uniósł się do przysiadu i przywarł do pickupa, forda, zaparkowanego obok taurusa. Wyciągnął z kabury glocka i przeładował, trzymając lufę broni wymierzoną w niebo, równolegle do twarzy. Powoli wstał, obserwując małego, tego Raya, jak przechodził obok, w stronę domu.

Przez chwilę studiował rytm jego kroków. Po cichu doliczył do trzech i wyszedł na środek podwórza, idąc za Rayem, zbliżając się doń szybko.

— Ani się rusz! — krzyknął znieca, gdy Ray postawił nogę na stopniach wiodących na ganek.

Ray zatrzymał się. Quinn rzucił: — Ręce do góry, palce spleć za głową. Już! I rozstaw nogi szeroko!

Ray uniósł ręce, lekko obracając głowę. Nie spieszył się z rozstawianiem nóg, więc Quinn podszedł bliżej i kopnął go w łydkę.

— Kto ty, *kurwa*, jesteś? — zapytał Ray.

— Stul pysk — odparł Quinn, wciskając lufę glocka w miękki punkt za prawym uchem małego.

Obszukał go szybko, znalazł pistolet w kaburze u nasady pleców i wyciągnął go stamtąd. Zręcznie zwolnił zaczep magazynka i upuścił go w błoto podwórza. Rozładowaną broń cisnął w bok. Niemal się uśmiechnął: nie stracił ruchów, niczego, cholera, nie zapomniał.

— Idziemy z powrotem do stodoły — rozkazał.

— Spokojnie — powiedział Ray.

— Idziemy, mówię!

Ray zawrócił, a Quinn zaraz za nim. Szli krok w krok, a lufa pistoletu wciąż tkwiła za uchem małego, aż dotarli do drzwi stodoły. Jeszcze jeden krok, Quinn zamrugał, by usunąć wodę z oczu, i już byli w środku.

Quinn szybko zlustrował sytuację: ojciec stał za barem, miał leniwy, trochę mętny wzrok, ale ukryte dłonie. Eugene siedział przy jakimś stole karcianym, pił piwo. Nigdzie nie było widać Adonisa.

— Wy dwaj, ręce do góry! — wrzasnęła. — Nie próbować żadnych sztuczek, bo jak Boga Kocham, rozpierdolę małemu łeb na pół sali!

— Wyluzuj, facet — rzucił Earl, powoli unosząc ręce.

Quinn niemal go nie słyszał. Ryk muzyki z grajszafy niósł się echem po pomieszczeniu.

— Ty tam przy stole — rzucił. — Dłonie płasko na blacie przed sobą!

Franklin wykonał polecenie.

— Już, pod bar — Quinn popchnął Raya. — Oprzyj się o niego plecami, jasne?

Ray podszedł do kontuaru i stanął w miejscu odległym może o sześć stóp od tego, gdzie po drugiej stronie znajdował się jego ojciec. Obrócił się, oparł plecami o bar i postawił obcas jednego z kowbojskich butów na mosiężnym pręcie. Przedramiona oparł o mahoń kontuaru, luźno zwieszając dłonie. Z jednego nozdrza wciąż ciekła krew, spływając po wardze.

Quinn celował to w ojca, to w syna. Potem we Franklina i szybko znów ku Boone'om.

— Ty — zerknął w stronę Eugene'a. — Wstań i wyciągnij wtyczkę od tej grajszafy. I zaraz siadaj z powrotem.

Eugene Franklin wstał, podszedł do szafy grającej, przykleknął na jedno kolano i wyszarpnął wtyczkę z gniazdka. Muzyka urwała się natychmiast. Franklin wrócił do swojego krzesła, usiadł i ułożył dłonie płasko na zielonym suknie blatu.

Teraz było słychać tylko deszcz. Krople bębniły o drewniane ściany stodoły i równo łomotały na blaszanym dachu.

— Z których jesteś? — zapytał Ray. — FBI? DEA?

— Skąd by nie był, jest tu sam — rzucił Earl.

— Pewnie jeden z tych agentów, którzy wolą działać solo — stwierdził Ray. — Kowboj. Mam rację?

„Fakt, jestem kowboj” — pomyślał Quinn.

Usłyszeli stłumiony, kobiecy wrzask. Potem tylko deszcz, a zaraz znów przeciągły, stłumiony krzyk.

— Słyszałeś, Paskud?

— Słyszę.

— Zamknąć się — zażądał Quinn.

Delgado wplótł potężne palce we włosy Sondry Wilson i pociągnął ją ku sobie przez łóżko.

Drzwi otworzyły się na oścież. Delgado obrócił się, nagi. Pędził ku niemu jakiś facet, unosząc do ciosu łom. Delgado przyjął uderzenie na przedramię i pięścią przyłożył tamtemu w ucho, kiedy facet wpadł na niego, i razem uderzyli w komodę. Adonis odepchnął kolesia, któremu łom wyleciał z rąk. Facet potknął się, ale odzyskał równowagę i przyjął postawę bojową, mocno ustawione stopy, palce dłoni rozwarłe szeroko.

— Strange — Delgado parsknęła śmiechem.

Derek zauważył, że Adonis zerknął na swoje ciuchy na ziemi. Kopniakiem posłał je pod ścianę. Delgado zacisnął pięści, dotknął podbródka najpierw jednym, a potem drugim kciukiem, i ruszył naprzód, a Strange cofnął się pod ścianę.

Delgado dopadł go tam. Zaczął lewym prostym, po którym Dereka zapiekło w żebrach, poprawił prawym hakiem. Strange docisnął łokcie do ciała i przyjął cios na lewy biceps, aż do kości. Wtedy sapnął i wypuścił błyskawiczny podbródkowy, trafiając Delgado w żuchwę, aż go cofnęło o krok. W oczach Adonisa zapłonęła furia. W dwóch krokach przemierzył pokój i uderzył z prawej. Pięść pomknęła jak błyskawica i wyrznęła Strange'a w policzek, zwalając go na ziemię.

Przetoczył się i zerwał na nogi, otrząsając się, żeby oprzytomnieć. Namacał futerał na biodrze. Rozpiął go i wyjął nóż myśliwski. Rozłożył ostrze, zważył nóż w dłoni. Delgado uśmiechnął się do niego spod przeciwległej ściany. Miał dziąsła czerwone od krwi.

— *Zabiorę ci ten kurewski kozik, dziadek.*

— *Spróbuj szczęścia — odparł Strange.*

Delgado zrobił zwód, zbliżył się, zamarkował lewą i uderzył prawą, wkładając w to wszystkie siły i celując mniej więcej trzy stopy za głowę Dereka. Ten zrobił unik. Pęd rzucił Adonisa naprzód i olbrzym potknął się, poślizgnął, aż przyklęknął przed Strange'em na jedno kolano. Spojrzał w górę — oczy miał ogromne, białe. Strange gwałtownie uderzył nożem w dół, wbijając ostrze aż po rękojeść w gruby kark Delgado. Nóż przeciął tętnicę szyjną i przebił tchawicę. Przez pokój bryznęła szkarłatna fontanna. Sondra zaczęła wrzeszczeć.

Delgado, osuwając się na podłogę, niemrawo usiłował dosięgnąć rękojeści. Kaszlnął krwawą mgiełką, walcząc o oddech. Jego mózg umarł i Delgado wierzgał jak zwierzę, kiedy głowa opadała mu w rosnącą kałużę posola.

Strange oparł stopę o policzek Adonisa i wyciągnął nóż. Ostrze wytarł sobie w dżinsy, wcisnął mosiężny przycisk blokady i złożył nóż z powrotem. Chowając go do futerału, obrócił się w stronę dziewczyny. Skuliła się pod wezłowiem łóżka, jej wrzaski przenikały cały pokój. Strange podniósł łom i wetknął go w tylną kieszeń spodni.

Przeszedł przez sypialnię i mocno uderzył Sondrę na odlew. Znów ją spoliczkował. Przestała wrzeszczeć, zaczęła za to szlochać i dygotać. Bała się go. I bardzo dobrze. Szarpnięciem ściągnął z łóżka wełniany koc i otulił jej ramiona.

Potem podniósł Sondrę i wyniósł ją z pokoju, krok po kroku, do półpiętra i dalej na parter. Otworzył jakoś drzwi frontowe i wyszedł na ganek, potem znów po schodach, i wyszedł na deszcz. Nie spojrzął w stronę stodoły. Zatrzymał się przy sosnowym zagajniku, ułożył Sondrę na ziemi, zarzucił na ramię plecak i znów podniósł dziewczynę. Zobaczył kurtkę i plecak Quinna, ale ich nie ruszał. Szybko, nie oglądając się za siebie, zapuścił się w bezpieczny mrok między drzewami.

Przestała wrzeszczeć — rzucił Ray.

- Słyszę — odparł Earl, spoglądając na Franklina.
- Mówilem wam, żebyście się zamknęli — Quinn zerknął z ukosa na Franklina i zauważył, jak jego prawa dłoń zsunęła się z blatu.
- A wiesz, ja tam i tak będę gadał — prychnął Ray — tobie to przecież bez różnicy.
- Gadaj śmiało, Paskud.
- Lepiej się od tego czuję. A tobie, tata, nie jest lepiej, jak sobie o tym wszystkim gadamy?
- Aha — Earl podrapał się po nosie.
- Ręce na kontuarze — rzucił Quinn.
- Tajest — odpowiedział Earl, a Ray parsknął śmiechem.
- Po co tu właściwie przyszedłeś? — zapytał. — Po prochy? Forsę? Kurna, chłopie, masz to wszystko tu, na barze. Bierz to i spadaj, jeśli po to przyszedłeś.

Quinn milczał.

- Musi ci ręka drętwieć od trzymania tej spluwy — mruknął Earl. Deszcz młócił w ściany stodoły.
- Co, będziesz tak stał całą noc? — warknął Ray. — Kurwa, facet, coś *musisz* zrobić. No wiesz, albo nas zastrzelisz, albo okradniesz, albo stąd wyjdiesz. Więc jak będzie?

Na biodrze Quinna zapiszczał pager. Wszyscy słyszeli ten dźwięk, ale nikt się nie odezwał. W końcu piszczenie ustało.

Quinn zaczął iść tyłem, z pistoletem wciąż wymierzonym w Boone'ów.

- Ray zaśmiał się, a Terry poczuł, że krew napływa mu do policzków.
- Popatrz no, tata. Facet weźmie i se stąd wyjdzie... rakiem.
- Widzę — zmarszczki na policzkach Earla pogłębiły się, kiedy się uśmiechnął.
- Tak chcesz to skończyć, ciulu? Po prostu wyjdiesz?

Quinn zatrzymał się, wyprostował i schował broń do kabury. Zerknął na Eugene'a Franklina, obrócił się nagle i pokazał im wszystkim plecy. Ruszył do drzwi stodoły.

Earl podniósł colta i pchnął go po kontuarze w stronę syna. Obcas buta Raya na moment zahaczył o mosiężny pręt, kiedy mały obracał się po pistolet. Stracił sekundę, złapał jednak colta, zacisnął palce na rękojeści i skierował rękę w stronę Quinna, kiedy Earl sięgał po własną trzydziestkę ósemkę, wyciągając ją z kieszeni kurtki.

— Terry — odezwał się Franklin cichym, spokojnym głosem.

Quinn wyrwał glocka z kabury, przysiadł, obrócił się i strzelił z biodra. Drzazgi z baru sypnęły się wokół Raya. Quinn znów pociągnął za spust i pocisk rozerwał koszulę Raya pośrodku klatki piersiowej. Mały wypuścił broń i zwałił się na podłogę z desek.

W sali gruchnął kolejny strzał. Pistolet Earla splunął ogniem i Quinn poczuł podmuch, a potem palący ból wzdłuż skroni.

Franklin kopniakiem przewrócił karciany stół, gdy wstawał. Cztery razy ściągnął spust swojego glocka, który szarpał się w jego dłoni. Earla cisnęło w lustro za barem. Butelki na podręcznych półkach rozrywały się wokół w fontannach szkła i krwi. Earl obrócił się, padł, znikł.

W uszach Quinna rozlegało się rytmiczne dzwonienie. Usłyszał czyjś jęk. Potem krótkie kaszlnięcie, a po nim już tylko dzwonienie, i deszcz.

Terry podszedł przez kłęby dymu. Kopniakiem odrzucił trzydziestkę ósemkę od zwłok Raya. Z glockiem gotowym do strzału wszedł za bar i spojrzal na ciało ojca. Wtedy schował broń do kabury.

— Co z dziewczyną? — rzucił Franklin.

— Strange ją zabrał.

— A Delgado?

— Jeśli Strange zabrał dziewczynę, to Delgado też mamy z głowy.

Spadamy.

W sosnowym zagajniku Quinn podniósł swoją kurtkę i plecak. Weszli z Franklinem w las, kierując się na słabo prześwitujący przed nimi pas światła na międzystanowej.

Godzinę później Quinn zaparkował chevelle pod wieżowcem, w którym mieszkał Franklin, nie wyłączając silnika.

— I co teraz, Terry? — zapytał Franklin.

— Masz nieco czasu — odparł Quinn. — Strange wysłał dziś przesyłkę do kogoś w departamencie, komu może ufać. Notatnik Chrisa Wilsona i fotografie.

— A co z moim zeznaniem?

— Strange zrobił sobie kopię — Quinn sięgnął nad Franklinem i otworzył schowek na rękawiczki. — Oryginał mam tutaj.

Franklin wziął od niego żółtą kartkę papieru. Quinn skinął głową i Eugene schował papier do kieszeni kurtki.

— Dzięki, Terry.

Quinn wpatrywał się w szybę. Zgarnął włosy za ucho, uważając, by nie dotknąć miejsca, gdzie drasnęła go kula Earla.

— Nie wyszedłeś na czysto. To, co wysłał Strange, wystarczy, żeby cię skazać. Możesz się przyznać albo nie, twoja sprawa. A co do dzisiejszych wydarzeń i dziewczyny...

— Nikt się nie dowie, co się stało dziś wieczorem, ani co z dziewczyną. Nie ode mnie — Franklin przełknął ślinę. — Terry...

— Znikaj.

Franklin wyciągnął rękę. Quinn nie wypuścił kierownicy.

— No to dobra — Franklin cofnął się od wozu i ruszył przez parking, skulony przed deszczem.

Później, aż do końca życia, Quinn miał wspominać smutną, niekształtną twarz Eugene'a Franklina i jego wyciągniętą, wzgardzoną dłoń.

Tuż po świcie Derek Strange opuścił dom Leony Wilson, po cichu zamykając za sobą drzwi. Deszcz ustał. Derek stał na betonowym ganku i oddychał chłodnym powietrzem poranka, podnosząc kołnierz kurtki, by chronić się przed zimnem.

Kawałek dalej, za jego caprice'em, stała ładna, granatowa chevelle. Za kierownicą siedział młody biały facet o długich włosach.

— Dzięki ci, Boże — powiedział Strange.

Spojrzał w oczy Quinna i uśmiechnął się.

33.

Tego wieczora w wiadomościach o szóstej był materiał o samobójstwie Franklina.

Ktoś z sąsiedniego mieszkania usłyszał około południa wystrzał i zawiadomił policję. Znaleziono Eugene'a siedzącego na kanapie. Oczy wyszły mu z orbit od ciśnienia gazów, przypalony nos szerniał. Krew, kawałki kości i tkanki mózgowej zbryzgały ściany i obicie kanapy. Na

kolanach Franklina leżał jego służbowy pistolet. Wykaligrafowany jego charakterem pisma list spoczywał schludnie na blacie ławy.

W wiadomościach o jedenastej samobójstwo Franklina zeszło w cień w związku z odkryciem kilku morderstw na podłej farmie przy wschodniej granicy hrabstwa Montgomery. Znalezione tam sześć ciał w różnych stadiach rozkładu. Policję zaalarmowała przyjaciółka jednej z ofiar, niejkiej Edny Loomis. Owa przyjaciółka, Johanna Dodgson, nie miała żadnego kontaktu z Edną od kilku dni i kiedy dręczące ją obawy stały się nieznośne, zawiadomiła policję. Po tym, jak w stodole znaleziono dwa ciała, a w domu jeszcze jedno, policja odnalazła jeszcze drugie tyle zwłok w tunelu biegnącym pod farmą, w tym również szczątki Edny Loomis. Johanna Dodgson wspomniała o istnieniu tego tunelu, kiedy zawiadomiła policję o swoich podejrzeniach.

Podmiejska Masakra, jak to wydarzenie zostało bardzo szybko ochrzczone przez prasę, zdominowała wiadomości lokalne przez najbliższe trzy dni. Zaczęła krążyć plotka, że jedną z ofiar był policjant z Dystryktu, co rychło doczekało się publicznego potwierdzenia. Na miejscu zbrodni odnaleziono narkotyki i znaczną kwotę w gotówce. Pojawiła się kolejna pogłoska, że śmierć sierżanta Eugene'a Franklina miała jakiś związek z Podmiejską Masakrą, ta jednak nie doczekała się potwierdzenia. Rzecznicy prasowi policji obiecywali rychłe wyniki dochodzenia, twierdząc, że ogłoszenie ich było „kwestią najbliższych dni”.

Strange codziennie stawiał się do pracy, robił mniej więcej to, co zwykle. Uważnie śledził doniesienia prasowe, ale nie rozmawiał o nich z nikim, oprócz Rona i Janine, a i wtedy tylko napomykał o sprawie. Dwa razy dzwonił do Quinna, żeby z nim pogadać, ale za każdym razem Terry nie był zbyt komunikatywny, trzymał dystans — być może gnębiła go depresja. Strange złożył też krótką wizytę Leonie i Sondrze Wilson i ucieszyło go to, co zobaczył.

Były to dla niego stresujące chwile. Choć złapał kilka łatwych zleceń, głównie po prostu czekał. Pod koniec następnego tygodnia z ulgą odebrał telefon, którego nie mógł się nie spodziewać. Telefon zadzwonił w sobotę rano, kiedy Derek wracał z Greco z długiego spaceru i właśnie wszedł do holu swojego domu przy Buchanan Street.

- Halo — rzucił, podnosząc słuchawkę.
- Tu Lydell. Możemy pogadać, Derek?
- Powiedz tylko gdzie — odparł.

Oregon Avenue na południe od Military Road prowadzi do tej części parku Rock Creek, gdzie znajduje się kompleks edukacyjny, stajnie i całe mile ciągnących się po wzgórzach szlaków. Na prawo od bramy wejściowej był olbrzymi parking, miejsce zebrań tych, którzy przychodzili szkolić swoje psy na przyległym polu albo po prostu dać im się tam wybiegać. Spore upodobanie do tego parkingu żywiły też romansowe parki.

Strange i Lydell Blue siedzieli w samochodzie Dereka, zaparkowanym za buickiem jego kolegi, na wprost wygonu dla psów. Włosy Lydella przerzedziły się i do końca posiwały, podobnie jak gęsty wąs, od trzydziestu lat zdobiący jego szeroką twarz o mocnych rysach. Brzuszysko zwisało nad paskiem spodni. Lydell trzymał w dłoni kartonowy kubek z kawą. Przez wyrwany w wieczku otwór unosiła się smużka pary.

Po polu biegało z pół tuzina psów dużych ras. Wszyscy ich właściciele byli biali, zamożni i ubrani wygodnie, ale kosztownie. Na drugim końcu parkingu, pod samym parkiem, facet w średnim wieku obściskował się z młodszą panią na przednim siedzeniu nowego modelu pontiaka.

— Trzeba było przywieźć Greco — rzucił Blue, obserwując przez szybę wilczarza irlandzkiego i białego samojeda, które siedziały bok w bok na pagórku. Piętnaście stóp dalej kobieta w zakiecie z Banana Republic nakazywała im, by się nie ruszały.

— Greco nie przepada za innymi psami — odparł Strange. — Od razu zaczęłyby szczyrzyć kły do tych dwóch.

— No tak, szkoda by było psuć tym wszystkim ludziom taki piękny dzień...

— Mów, co masz, Lydell — Strange spojrzał na przyjaciela.

— Jeśli to zrobię, nie będziesz nic krył?

— Ile ty mnie właściwie znasz, facet, co?

— No dobra. Dobra — Blue przeciągnął kciukiem po wąsie. — Gliniarze, którzy znaleźli ciało Eugene'a Franklina, odnaleźli także na miejscu list samobójczy. Właściwie raczej przyznanie się do winy.

— Widziałeś ten list?

— Kumpel z Zabójstw dał mi kopię. Napisany piórem na kartce czystego białego papieru. Pismo klarowne i dokładne, jakby pisał zupełnie nieprzymuszony. Podpis pasował do tego w aktach osobowych Franklina.

— Co było w liście?

— Franklin przyznał, że wraz z Adonisem Delgado brali pieniądze od tego narkotykowego bossa, Cherokee Colemana. Dokładnie opisał rolę, jaką odegrał przy śmierci Chrisa Wilsona. Jak to Wilson

namierzył jego i Delgado, a Coleman rozkazał im, żeby się go pozbyli.

Posłużyli się Rickym Kane'em, który rozprowadzał narkotyki po restauracjach i wcale nie był takim idealnym młodzieńcem z przedmieść, jakiego robiła z niego prasa, żeby wyciągnął tam Wilsona w cywilnych ciuchach i sprowokował go na tyle, by Wilson wyglądał na napastnika. To Franklin miał zabić Wilsona, ale jako pierwszy strzelił jego partner, Quinn. Franklin twierdził, że Quinn nie był w to zamieszany.

Strange przetrawił usłyszane informacje. — Dziennikarze wspominali o tych pogłoskach, że Franklin był w jakiś sposób powiązany z Podmiejską Masakrą. Jeśli trzymał z Delgado...

— To wszystko też jest w liście. Franklin i Delgado zostali wysłani tam na farmę przez Colemana, żeby przeprowadzić zakup narkotyków, jak również zabić dwóch hurtowników: Earla i Raya Boone'ów. Bo niby Coleman chciał wyrównać rachunki za dwóch Kolumbijczyków, których Boone'owie tam zamordowali. To akurat by się zgadzało: w tunelu pod farmą znaleziono ciała dwóch mężczyzn, których zgon nastąpił znacznie wcześniej niż śmierć Boone'ów. Zidentyfikowano zwłoki, to Kolumbijczycy, bracia Nestor i Lizardo Rodriguez, których zaginięcie zgłoszono niedawno w okolicy Richmond.

— A co z Boone'ami i Adonisem? Kto ich zabił?

— Franklin twierdził, że on sam. Jak pisał, miał wyrzuty sumienia i musiał to wszystko skończyć w jedyny sposób, jaki uznał za stosowny. Zaczął się bić z Delgado w domu, poszło na ostro i go zabił. Potem poszedł do stodoły i zabił ojca oraz syna. Forseę i narkotyki zostawił na miejscu, a sam wrócił do Dystryktu. Dzień później strzelił sobie w łeb.

— W tym tunelu znaleziono też dziewczynę...

— Edna Loomis. Śmierć z przyczyn naturalnych. O ile oczywiście udar mózgu w wieku trzydziestu lat można nazwać naturalnym. Tak to już bywa, kiedy się przesadzi z metamfetaminą.

— Co za historia — mruknął Strange.

— No nie? Problem w tym, że się kupy nie trzyma.

— A co nie gra?

— Pół orkiestry. Na początek sama scena zbrodni, i stodoła, i dom. Dobra, Franklin mówi, że sumienie go ruszyło i zaczął się tłuc z Delgado. Czemu zatem Adonis był nagi? Co więcej, zginął od ciosu nożem. Czemu Franklin po prostu nie wpakował w niego kulki, jak w pozostałych?

— Nie mam pojęcia.

— Do tego w kałuży krwi Delgado znaleziono odcisk buta. O ile pamiętam, rozmiar dwanaście. Franklin nosił dziesiątki...

— Jeszcze coś? — zapytał Strange.

— Obaj Boone'owie zostali zastrzeleni z glocka siedemnaście. Tyle że każdy z innego glocka. Bruzdy na pocisku znalezionym w ciele syna i drugim, wydłubanym z drewna baru, nie pasują do śladów na kulach znalezionych w ciele ojca i wokół niego. Nie zgadzają się także odtworzone trajektorie. Tamtej nocy strzelców było dwóch, Derek. Inaczej być nie mogło.

— I żadnych odcisków, nic z tych rzeczy?

— Żadnych poza śladami samych zabitych, Franklina i jeszcze jednej, niezidentyfikowanej kobiety.

— No proszę, kobieta?

— W sypialni, w której odnaleziono ciało Delgado, znaleziono wydzielinę pochwową i włosy łonowe.

— Może to ta Loomis?

— Nie pasują. Jeśli jednak była tam jakaś kobieta-widmo, wiedzielibyśmy, czemu Delgado zginął, jak go Pan Bóg stworzył.

— Wygląda mi na to, że trafiła się wam autentyczna łamigłówka.

— Aha... — Blue obrócił głowę i wbił wzrok w Dereka.

— Ale po co mnie tu ściągnąłeś, Lydell?

— Już ci mówię, Derek. Dostałem pocztą anonimową przesyłkę, bez adresu zwrotnego, a naklejka adresowa pochodziła z drukarki, jakich w tym mieście może być z tysiąc. W środku był notes ze szczegółowym opisem śledztwa Chrisa Wilsona i fotografie pokazujące, jak Franklin i Delgado wchodzili do tej meliny Colemana — Blue upił łyżeczek kawy. — Ty mi to przysłałeś, nie?

— Ja — przytaknęła Strange.

— Nie trzeba geniusza, żeby na to wpaść. Zadzwoń do mnie z pytaniem o numery radiowozu, którym jeździł Delgado, pamiętasz?

— Owszem.

— Więc powiedz mi, skąd wydostałeś wszystkie te informacje.

Strange wzruszył ramionami. — Wynajęła mnie Leona Wilson, żebym spróbował oczyścić reputację jej syna. Chciała, między innymi, żeby jego nazwisko wyryto na tym monumencie w centrum. Zacząłem od rozmowy z Quinnem, a potem z Franklinem, i naturalną kolejną rzeczą przeszedłem do śledzenia Ricky'ego Kane'a, żeby zobaczyć, co on tak właściwie robi.

— Dobra. I co znalazłeś?

— To samo, co Wilson. Kane doprowadził mnie do Colemana, a wtedy zauważyłem, że w dwa różne dni ten sam buick crown victoria patrolował okolice jego terenu działań. Zadzwoń do ciebie, dostałem nazwisko Delgado. Znalazłem notes Wilsona i jego zdjęcia, i

wysłałem je do ciebie. Widzisz, Lydell, wiedziałem, że na takie klimaty to ja jestem za mały. Myślałem sobie, że zdołasz ułożyć sobie obrazek i prawdziwa historia Wilsona wyjdzie na jaw. Nic mnie nie obchodziły żadne spiski przestępcze, facet. Po prostu chciałem zrobić to, za co mi płaci Leona Wilson.

— Zgłosiło się też paru gliniarzy. Mówią, że widzieli, jak rozmawiałeś z Franklinem U Eriki.

— Bo tak było.

— Wezwą cię na przesłuchanie, facet. Quinna też.

— Powiedziałeś im, że przysłałem ci te informacje?

Blue duszkiem opróżnił kubek i upuścił go na podłogę.

— W ogóle nie wiedzą, że coś mam — odparł. — Notes i fotki są w bagażniku mojego buicka. Oddam ci je, zanim się rozstaniemy.

— Nie możesz ich użyć?

— A jak się wytłumaczę z tego, że w ogóle je dostałem?

— To fakt, nie masz jak.

— Musiałbym skłamać albo wciągnąć w to i ciebie. Ani jedno, ani drugie mi się nie uśmiecha. Zresztą wydział nie potrzebuje tych materiałów, żeby mieć sprawę dla sądu. Zwinęliśmy Kane'a. Słyszałem, że już jest grzeczny, potwierdził też zaszłości opisane przez Franklina w liście samobójczym. Zmuszą go, żeby wystawił Cherokee Colemana w zamian za krótki wyrok w lekkim więzieniu. A czy uda się udupić Colemana, to się jeszcze zobaczy. Do tej pory facet ze wszystkiego się wywijał.

— Kane powiedział wam, jak zwabił Wilsona na ulicę tamtej nocy?

— Twierdzi, że słyszał, że siostra Wilsona była ćpunką, jechała na herze. Powiedział więc Wilsonowi, że ją znalazł i żeby spotkali się na Ulicy D.

„Słyszał, że siostra Wilsona była ćpunką... załgany skurwysyn — pomyślał Strange. — Próbuje się wybielić”.

— Wiedziałeś o tej jego siostrze? — zapytał Blue.

— Dziewczyna mieszka z matką — Strange obojętnie skinął głową.

— Ta rodzina przeszła już przez tyle, że naprawdę szlag by mnie trafił, gdyby prasa puściła tę plotkę o nałogu.

— Nie musisz nam mówić, przez co one przeszły. Dla śledztwa nie ma znaczenia, jak Kane wyciągnął Wilsona na ulicę. Gdyby ktokolwiek pytał, siostra Wilsona jest tu zupełnie czysta.

— A Chris? Co z nim?

— No tak, Chris Wilson. Sprawa jest delikatna, departament będzie musiał trochę pożonglować. Z oczywistych względów nie chcą wielkiego halo wokół sprawy sprzedajnych glin, nie chcą też, żeby

ludzie zaczęli myśleć, iż władza popiera to, co robił Wilson, czyli zasadniczo rzecz biorąc, jednoosobowe zastępowanie wymiaru sprawiedliwości. Koniec końców sam nie wiem, jak to zaserwują publice. Wiem jednak, co się mówi o Wilsonie na komendzie głównej. Chłopak dostanie jakąś pośmiertną pochwałę od komendanta Ramseya, bez rozgłosu.

— Słusznie — stwierdził Strange. — Naprawdę słusznie.
— Namieszaleś, Derek.
— Na to by wychodziło.
— Dziwnie tylko wyszło z tym drugim gliniarzem, z Quinnem.
— No tak. Wokół niego będzie dokładnie taki sam smród, jak na początku.

— A uważasz, że powinno być inaczej? — zapytał Blue.
— Facet popełnił błąd — zaczął Strange. — Trochę go poznałem i mogę ci powiedzieć, że Quinn wciąż płaci za tamtą noc. I myślę, że już zawsze będzie za nią płacić.

— Przerwał życie dzielnego młodego mężczyzny. To coś więcej niż byle błąd. I nie powiesz mi, że gdyby Chris Wilson był biały...

— Wiem, Lydell. Nie musisz mi tego wyklądać. Wiem.

Strange opuścił nieco okno. Samochód nagrzał się w popołudniowym słońcu.

— W tym mieście jest tylu dobrych ludzi — odezwał się Blue. — A wiecznie słyszymy tylko o tym, co w Dystrykcie jest źle. Teraz też nasłuchamy się o złych glinach, choć większość jest w porządku. Ludzie, których spotykam na co dzień, przeważnie pochodzą z porządnych rodzin. Wiesz, to ci, którzy chodzą do kościoła, codziennie idą do pracy, żeby utrzymać dom. Dobrzy nauczyciele, solidni robotnicy... a my, od tylu lat, zapierdalamy w kółko wokół tych złych. Czemu żeśmy sobie wybrali ten zawód, Derek?

— Nie mam pojęcia. Chyba to robota nas sobie wybrała.

— Gdyby to człowiek wiedział za młodu... — Blue zaśmiał się krótko, spoglądając na przyjaciela. — Boże, przecież znamy się od prawie pięćdziesięciu lat. Pamiętam nawet, jak biegaleś w gimnazjum, zupełny kajtek, trzymając pięści przy piersi. Pamiętam też, jak za młodu wyglądałeś w mundurze... w sześćdziesiątym ósmym.

— Sześćdziesiąty ósmy... — mruknął Strange. — To był dopiero rok, Lydell, nie?

— Ano był.

Spojrzeli po sobie.

— Dziękuję ci, Lydell.

- No, *ty* dobrze, wiesz, jak to działa.
- Strange uściśnął mu dłoń. — Znaczą się departament wezwie mnie na przesłuchanie.
- Lada dzień — odparł Blue. — I te twoje wyjaśnienia...
- Niby co, coś ci się w nich nie podobało?
- Nie no, trzeba im tylko trochę szlifę. Na twoim miejscu nieco bym nad tym popracował.

Strange wrócił do domu i zadzwonił do Terry'ego Quinna. Streścił mu rozmowę z Lydellem.

- Szlag mnie trafia, że musiałem okłamać kumpla — powiedział.
 - Ale nie widziałem innego wyjścia.
 - Pewnie Eugene zniszczył pierwszą wersję przyznania się do winy — odrzekł Quinn.
 - Na to by wyglądało. To, co znalazła policja, było napisane na białym papierze bez linii. Sam też to i owo zniszczę. Muszę się pozbyć ciuchów z tamtej nocy, butów, noża... powinieneś zrobić to samo. Szczególnie plecak i glock.
 - Już załatwione.
 - Nie podoba mi się twój głos, Terry — stwierdził nagle Strange.
 - Nie rób żadnych głupstw, co?
 - Nie bój nic — odparł Quinn. — Nie mam tyle odwagi, co Eugene.
- Strange usłyszał trzask odkładanej słuchawki.

34.

W niedzielny poranek na początku kwietnia, kiedy wiśnie nad Basenem Pływowym okryły się bujnym, pięknym kwieciami, a na miejskich rabatach bielą i różem pyszniły się krzewy magnolii i derenia, Strange, Janine i Lionel spotkali się w kościele.

Derek od dłuższego czasu nie zjawiał się na nabożeństwach. Tego dnia, tydzień po Niedzieli Wielkanocnej, postanowił jednak pójść, by pomodlić się za mamę. Choć zdarzało mu się czasem modlić w domowym zaciszu, tym razem, zważywszy na ciężki stan mamy, uważał, że słusznie będzie udać się do domu Pana. Wiedział, że nie należy przychodzić do kościoła z nadzieją na osobistą łaskę, że to w jakimś nie do końca przezeń pojmany sense hipokryzja, ale poszedł i już.

Ławki w kościele pod wezwaniem Boga w Chrystusie Nowego Betlejem, na rogu Georgia Avenue i Piney Branch Road, były niemal całkowicie wypełnione. Strange dość uważnie wysłuchał kazania, modlił się gorliwie za mamę, a Janine nakryła wtedy jego dłoń swoją. Potem z przyjemnością słuchał chóru wykonującego pieśni gospel. Tę część nabożeństwa zawsze lubił najbardziej.

Stojąc pod kościołem, kiedy wierni się rozchodzili, Derek rozpoznał wielu z nich. W twarzach niektórych dzieci widział rysy ich rodziców, których znał od czasu, gdy sami byli dziećmi. Ujrzał także kilku byłych klientów, z którymi się witał, a oni chętnie wymieniali z nim mocne uściski dłoni i poklepywania po ramieniu. Często przynosił im nie najlepsze wieści, ale zawsze cieszył się, że nie uległ pokusie zawyżania rachunków czy robienia fuszerek. Wiedzieli, kim był Strange i co sobą reprezentował, a on był dumny z tego, że takim go znają.

— Idziemy dziś na śniadanie do tego Greka? — zagadnął Lionel.
— Dziś Billy ma zamknięte — odparł. — U nich to Wielkanoc.
— A ja chciałam zrobić coś dobrego z indyka — odezwała się Janine. — Przyjdiesz na kolację?
— Planowałem pójść z Greco na długi spacer przy Rock Creek — odrzekł. — Ale tak, bardzo chętnie zjem z wami kolację, o ile będzie wcześniej. Bo muszę zostać na wieczór u mamy.
— Więc zjemy wcześniej — zgodziła się Janine. — Do zobaczenia o piątej?

— Już się cieszę, Janine.
Ucałował ją jeszcze pod kępą posadzonych przy kościele azalii.
— No wiecie wy co — jęknął Lionel. — Tak na widoku Boga.

Strange przeszedł się do swojego cadillaca, zaparkowanego na ulicy Tuckerman. Przy krawężniku po drugiej stronie jezdni stał szary plymouth. Leona Wilson otworzyła drzwi dla swojej córki, Sondry, która właśnie schyliła się, żeby wsiąść do auta. Strange przyjrzał się jej przez chwilę — pod sukienką wciąż była chuda, bez kobiecych zaokrągleń, ale włosy miała ostrzyżone do ramion i ułożone u fryzjera, a oczy, choć nieco nieprzytomne, odzyskały blask. „Jeszcze się nie wygrzebała, ale jest na dobrej drodze” — pomyślał.

Kiedy szedł przez ulicę, żeby przywitać panią Wilson, przez myśl przemknęła mu twarz Terry'ego Quinna. Dawno już się z nim nie widział, ani nawet nie rozmawiał.

Leona Wilson obeszła samochód wkoło, żeby dojść do drzwi od strony kierowcy, ale zatrzymała się, widząc nadchodzącego Strange'a.

Najwyraźniej przez chwilę nie rozpoznała go pod niedzielnym strojem, ale zaraz uśmiechnęła się do tego barczystego przystojniaka w garniturze w prążki. Wyciągnęła doń dłoń ukrytą w białej rękawiczce, lekko przechyliła głowę.

- Pani Wilson — odezwał się Derek.
- Panie Strange.

Strange siedział jakiś czas potem za kółkiem swojego cadillaca brougham, zaparkowanego przy ulicy Bonifant w Silver Spring. Greco spał na czerwonej poduszce na tylnym siedzeniu, pochrapując. I Derek, i pies objedli się smakołyków Janine, więc Greco skorzystał z okazji do sjezty.

Po drugiej stronie ulicy Terry Quinn zamknął drzwi do księgarni, sprawdził klamkę i obrócił się, żeby ruszyć dalej chodnikiem.

Strange wychylił głowę przez okno. — Hej, Terry!

Quinn odnalazł źródło głosu i uśmiechnął się. Przeszedł przez ulicę, zbliżając się do cadillaca. Strange miał wrażenie, że Terry schudł, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to włosy go zmyliły — Quinn znów ściał się na krótko.

— Wsiądź no na chwilę, facet — zaproponował.

Quinn podszedł do drzwi dla pasażera i klapnął na fotel. Greco obudził się, usiadł i obwąchał kark gościa, gdy mężczyźni podali sobie ręce.

— Co cię przywiało w te strony? — spytał Quinn.

— Tak tylko, pomyślałem o tobie — rzucił Strange. — Popatrz no, znów elegancki z ciebie facet...

— Aha. Poszedłem do tego salonu przy Georgia Avenue, „Eleganccy i Dumni”.

— Znam miejsce.

— Chyba nie byli zbyt szczęśliwi, że ich wybrałem. Ale chciałem tylko strzyżenie na krótko, więc to dostałem. Jak by nie było, fajnie jest pozbyć się kłaków.

— I znów wyglądasz jak glina.

— Wiem — Quinn przytknął kciuk do wargi. — Mówisz, że o mnie pomyślałeś. Dlaczego?

— W końcu jesteśmy przyjaciółmi, nie?

— Naprawdę, my jesteśmy przyjaciółmi?

— No pewnie.

— Ale to nie wszystko?

— Widziałem dziś po kościele Leone i Sondrę Wilson.

Quinn skinął głową. — I co słyhać u młodej?

— Wiesz, jak to jest na tej drodze. Jak już człowiek wsiąkł, zawsze może znów popłynąć. Walka nigdy się nie skończy. Matka zapisała ją jednak do jednego z najlepszych programów odwykowych w mieście. Myślę, że młoda da radę.

— Dobrze się spisałeś.

— Ty też — Strange spojrzął na Quinna. — Chris Wilson dostał pochwałę. Ceremonia była z tych cichych, ale dostał. I umieścili jego nazwisko na tym murze.

— Słyszałem — odparł Quinn. — Departament nie wciągał w to prasy, ale dotarły do mnie wieści z firmy.

— No tak, tym razem departament rozegrał sprawę z prasą niemal perfekcyjnie. Ale co innego mogli zrobić? Sami nie wiedzieli wszystkiego. Mają list Franklina, dane z miejsca zbrodni, które nie trzymają się kupy, i zeznanie Kane'a, w którym facet się wybiela. Wiedzą, że jest jeszcze coś, ale najwyraźniej nie umieją się do tego dobrać.

— No, od nas niczego nie wyciągnęli.

— Ano nie — Strange przyjrzał się Quinnowi uważnie. — Lepiej wyglądasz.

— Bo dobrze mi się żyje.

— Wyszedłeś już z tamtego doła?

— Chyba tak — odrzekł Quinn. — Powiedziałeś, że kiedyś nauczę się nie wdawać w walki. Może powoli do tego dochodzę.

— Może tak być. Pracujesz w tej księgarni z Lewisem i resztą towarzystwa, to masz kupę czasu na medytację.

— O tak, Derek, czasu mi nie brakuje...

— Tak sobie myślałem, rozumiesz, że są takie szczególne chwile, kiedy przydałby mi się jeszcze jeden pracownik. I może miałbyś ochotę od czasu do czasu rozpracować dla mnie jakąś sprawę?

— A ty będziesz robił te lżejsze, co?

— Bardzo śmieszne.

— A Ron Lattimer?

— O tej porze roku Ron ma pełne ręce roboty przy wybieraniu kreacji na wiosnę. Przez ostatni tydzień prawie go nie widziałem.

— Ale ja nie mam licencji na detektywa.

— W sumie łatwo ją dostać.

— Pomyślę o tym, co?

— Jasne, pomyśl. Masz tyle czasu... nic, tylko myśleć.

Greco polizał Quinna po karku. Terry obrócił się w fotelu i podrapał boksera za uszami.

- Masz jakąś kobietę? — zapytał Strange.
- Nic specjalnego. A jak się układa z Janine?
- Świetna jest. Dopiero co powiedzieliśmy sobie dobranoc.
- Spędzasz z nią sporo czasu, co?

Strange przytaknął. — Wreszcie się ocknałem. Zawsze szukałem kogoś innego... uganiałem się za babami, które miały mnie gdzieś, zaliczałem nawet ten, no, anonimowy seks...

- Znaczący, kurewki.
- Aha. Wiecznie szukałem czegoś nowego, kiedy to, co najlepsze, miałem na wyciągnięcie ręki, pod samym nosem. Dokładnie tak, jak mawiała mama. Nie, żeby planowałem się od razu żenić, czy coś. Ale chcę z nią być, dla niej i dla chłopaka.
- Przekaż im moje pozdrowienia.
- Jasne.

Quinn zerknął na zegarek. — Muszę lecieć.

- Ja też. Gdzie masz wóz?
- Przyszedłem pieszo.
- Podrzucić cię do domu?
- Nie, dzięki. Chyba zrobię sobie spacer.

Quinn sięgnął do klamki. Derek położył dłoń na jego ramieniu.

- Terry.
- No?
- Chciałem, żebyś wiedział, biorąc pod uwagę to, jak cała ta sprawa się skończyła... no, chcę ci powiedzieć, że się co do ciebie myliłem, facet.

Quinn uśmiechnął się niewesoło. — Co do pewnych rzeczy owszem, Derek. Ale nie w całości.

Wysiadł z auta. Strange patrzył, jak przechodzi przez ulicę, w gęstniejący zmrok.

Terry Quinn szedł w górę Bonifant, po czym skręcił w lewo w Georgia Avenue. W chłodnym zmroku słabo jaśniały latarnie i światła w oknach domów. Kiedy tak szedł aleją, czterech czarnych wyrostków w zbyt luźnych ciuchach nadciągnęło chodnikiem z naprzeciwka. Widząc, że Quinn nie zejdzie im z drogi, rozdzielili się. Kiedy się mijali, jeden z nich trącił Quinna ramieniem, a ten zrewanżował się łokciem.

„Okłamałem Strange'a — pomyślał. — Sam siebie okłamuję. Nigdy się nie zmienię. Nigdy nie przestanę się wdawać w walki”.

Usłyszał, jak tamci parsknęli śmiechem, ale szedł dalej. Minął U Rosity, nie zaglądając w okna, po czym skręcił w lewo i poklepał po

głowie popiersie Normana Lane'a, nim zapuścił się w boczną uliczkę. Zmierzał na południe.

Przeszedł na drugą stronę Silver Spring Avenue i wciąż wzdłuż tej samej przecznicy dotarł do Sligo Avenue, a po jej drugiej stronie doszedł do Selim. Minał sklep z częściami samochodowymi przy Napa, knajpę *pho* My-Le i salony z zagranicznymi autami, sąsiadujące z torami kolejowymi. Zaraz potem wszedł na kładkę dla pieszych nad Georgia Avenue, a po drugiej stronie jezdni przeskoczył przez ogrodzenie z siatki, minął stację kolejki podmiejskiej i zszedł po schodkach do oświetlonego tunelu dla przechodniów pod torowiskiem.

Wszedł na drewniany peron obok płotu rozlewni Canada Dry. Obrócił się z dłońmi wbitymi w kieszenie dżinsów i patrzył na zbliżający się pociąg jadący na północ.

To zawsze było jego prywatne miejsce. Teraz jednak dzielił je z kobietą, którą tu pocałował w klarowną, kąsającą mrozem zimową noc.

Zamknął oczy i wsłuchiwał się w odgłosy pociągu, czuł pęd wagonów, podmuch i poderwany kurz.

Nie przyszedł tu po odpowiedź. Nie było żadnych odpowiedzi. Tylko doznanie.

Żadnych odpowiedzi, nie będzie też żadnego zakończenia. Chris Wilson został oczyszczony, ale dla Quinna nic się nie zmieniło. Bo Strange miał rację od samego początku: Terry zabił człowieka, bo tamten miał inny kolor skóry.

Strange szedł ponurym korytarzem na drugim piętrze Rejonowego Zakładu Opiekuńczego. Minał dwie pielęgniarki, które śmiały się w głos z czegoś, co powiedziała jedna z nich, ignorując mężczyznę siedzącego niedaleko w wózku inwalidzkim, który bez przerwy powtarzał: „Siostrzo!” W jednym z pokoiów grał telewizor, ustawiony na maksymalną głośność. W korytarzu było ciepło, pachniało przetartą żywnością i — pod przykrywką środków dezynfekujących — moczem i kałem.

Strange wszedł do pokoju matki. Alethea leżała na boku, przykryta kołdrą. Nie spała, wpatrywała się w okno. Podszedł do brzegu łóżka.

— Mamusiu — pocałował ją w wilgotne czoło. — Przyszedłem.

Mama lekko pomachała dłonią i uśmiechnęła się słabo, odsłaniając poszarzałe dziąsła. Jej okryte kołdrą ciało było drobne, jak u dziecka.

Strange znalazł w szufladzie szafki grzebień i zaczął rozczesywać jej rzadkie, siwe włosy, zczesując te smętne resztki na usianej brodawkami skórze. Kiedy już skończył, Alethea wskazała coś ponad jego ramieniem.

Podszedł do okna i spojrzął w róg gzymsu.

Samiczka strzyżyka wybudowała tam gniazdo i właśnie wysiadywała jajka. Na widok Strange'a mały ptaszek odleciał.

Derek wiedział, o co chodziło mamie. Z rolki w łazience oderwał kilka papierowych ręczników, na wózku sprzątaczką w holu znalazł taśmę klejącą, i przykleił kawałki papieru do okna. Mama robiła to każdej wiosny z kuchennym oknem domu, w którym się wychował. Wyjaśniała mu, że ptasia mama nie różni się niczym od innych mam, że jej także należy się prywatność i spokój w czasie opieki nad dziećmi.

Alethea Strange zamrugła nań z łóżka, patrząc na jego dzieło i wyrażając aprobatę.

Derek przysunął do jej łóżka wyścielane krzesło i usiadł. Siedział tak przez dłuższą chwilę, opowiadając, jak minął dzień.

— A Janine? — powiedziała bardzo cicho.

— Jest wspaniała, mammo. Przesyła uściski.

— To diament...

— Na własnym podwórku. Tak, mammo.

Strange w końcu zasnął, wciąż siedząc na krześle. Ocknął się w środku nocy. Mama wciąż nie spała, świdrowała go spojrzeniem swoich pięknych, piwnych oczu.

Derek zaczął opowiadać o swym dzieciństwie w Dystrykcie. Mówił o tacie — wzmianka o mężu przywołała uśmiech na usta Alethei. Wspomnił o bracie, o kłopotach, w jakie się wpakował, i o tym, że nawet mimo tego wszystkiego miał dobre serce.

— Kocham cię, mamusiu — powiedział potem. — Jestem taki dumny z bycia twoim synem.

Kiedy mówił, wciąż trzymał jej dłoń i patrzył w oczy. I nadal trzymał jej rękę o świcie, kiedy za oknem zaczęły śpiewać ptaki, a ona odeszła.